



CHarles Martin

Umarli nie tańcza

Rozdział pierwszy

Gdy zeszyły październik dobiegał już końca, łodygi soi wspięły się na wysokość czterech stóp, kukurydza wybujała prawie dwakroć wyżej, a glicynia już dawno zdążyła rozsypać swoją purpurę, wzmogła się listopadowa bryza, przegnała letni upał i obudziła Maggie, która obróciła się na bok, klepnęła mnie w ramię i szepnęła: „Chodźmy popływać”. Była druga w nocy, księżyc świecił w pełni, a ja powiedziałem: „Dobrze”. Klepnięcie w ramię oznaczało zazwyczaj, że wiedziała coś, czego ja nie wiedziałem, a zdarzało się to bardzo często. Pojąłem zaś to od pierwszej chwili, gdy ją poznałem.

Wstaliśmy z łóżka, zabraliśmy parę ręczników i trzymając się za ręce, poszliśmy nad rzekę, w której Maggie zanurkowała z ramionami rozłożonymi niczym łabędź księżycową nocą lecący nad Południową Karoliną. Zostawiłem ręczniki na brzegu, ruszyłem do wody i poczułem na dnie piasek przeciskający się między palcami u stóp oraz nurt rzeki rwący pomiędzy kolanami. Przechylając się do tyłu, zamoczyłem tył głowy, zamknąłem oczy, a później, stojąc w rzece sięgającej do pasa, pozwoliłem, by woda spływała mi po karku. Lato, jak to często bywa z latem w Digger, trwało zbyt długo i powiew wiatru stanowił oczekiwaną ulgę. Pływaliśmy w ciemnej wodzie, aż poczuliśmy ochłodę i Maggie rozłożyła ręcznik na rozświetlonym białym piasku. Następnie położyła się i oparła głowę na moim ramieniu, a księżyc zaszedł za baldachimem z cyprysów.

Jakiś czas później, gdy wracaliśmy do domu, trzymając mnie pod rękę, wiedziała już, że właśnie poczęliśmy naszego syna. Ja dowiedziałem się o tym dopiero cztery tygodnie później, gdy zeskoczyła z werandy i wpadła na mnie na polu kukurydzy. Z szerokim uśmiechem przystawiła mi do oczu biały papierek i wskazała na różową kreskę.

Wkrótce potem zacząłem zauważać zmiany. Rozpoczęły się w jednym z naszych pokoi. Dotychczasowy gabinet szybko stał się bowiem „pokojem dziecięcym”, a Maggie wróciła ze sklepu przemysłowego z ośmioma litrami błękitnej farby do ścian i dwoma białej na elementy wykończenia.

- A jak będzie dziewczynka? - zapytałem.

- To syn - powiedziała i podała mi pędzel. Rozłożyliśmy więc na drewnianej podłodze stare prześcieradła i zaczęliśmy się wygłupiać niczym Tom i Huck z powieści Marka Twaina. Do końca wieczoru to my pokryci byliśmy błękitem, a nie ściany, ale przynajmniej wykonaliśmy pierwszy krok.

Zapach farby wygonił nas z domu, wybraliśmy się zatem na zorganizowaną w sobotnie przedpołudnie garażową wyprzedaż. Natrafiliśmy na dziecinne

łóżeczko za sześćdziesiąt dolarów z poręczą, na której widniały ślady ząbków. Maggie przebiegła palcami po wgłębieniach niczym Helen Keller czytająca w języku Braille'a.

- Jest idealne - powiedziała.

Ustawiliśmy je w rogu pokoju, a w niedzielne popołudnie wybraliśmy się na przejażdżkę do Charlestonu, gdzie znajdowało się coś w rodzaju hurtowni z artykułami dziecięcymi. W całym swoim dotychczasowym życiu nie widziałem tylu rzeczy dla dzieci zgromadzonych w jednym miejscu. Szczerze mówiąc, o istnieniu jakiejś połowy z nich nie miałem wcześniej pojęcia. Gdy przekroczyliśmy rozsuwane, szklane drzwi, rozległ się nagrany na taśmie głos: „Witamy w Świecie Dziecka! Jeżeli my tego nie mamy, ono tego nie potrzebuje!”. Ton głosu był dla mnie pierwszym sygnałem, że znalazłem się w tarapatach.

Maggie chwyciła dwa wózki na zakupy, przysunęła mi jednym w brzuch, przybrała minę stratega i rzekła:

- Ruszamy!

Sytuacja przerosła mnie już jakoś w połowie pierwszej alejki. Nakupowaliśmy pieluch, chusteczek pielęgnacyjnych, smoczków, tasiemek do smoczków, butelek, smoczków do nich i podstawek, pojemników na butelki i do utrzymywania tychże w cieple, mleczka na odparzenia od pieluch, maści na odparzenia od pieluch, pudru na odparzenia od pieluch. Oczywiście, nabyliśmy także fotelik dla dziecka, kocyki, grzechotki, łóżeczko do przewijania, małe wiaderka na wszystko, co już kupiliśmy, nosidełko dla dziecka, dodatkowe mleczko, maść i puder przeznaczone tylko na ewentualne odparzenia od nosidełka, buciki, czapeczkę, aby nie zmarzła mu głowa, oraz - co równie niezbędne - książeczki dla dzieci. Mniej więcej w połowie sklepu przestałem już liczyć i tylko posłusznie potakiwałem.

Dla Maggie każdy detal, nieważne jak drobny, miał znaczenie. Pewnie ze sto razy słyszałem, jak powtarza: „O, a spójrz na to” lub: „Czy to nie jest słodkie?”. Stojąc już przy kasie, pochylaliśmy się nad dwoma groteskowo wyładowanymi wózkami.

Jakiś geniusz od marketingu umieścił na samym przedzie najdroższe pluszowe misie. Maggie w obszernych dżinsowych ogrodniczkach zatrzepotała powiekami swoich wielkich, brązowych oczu i przechyliła głowę. Głębokim, ściszoną do szeptu, uwodzicielskim głosem powiedziała:

- Dylan, ten miś ma na imię Huckleberry. Zaśmiałem się tylko. Cóż innego mogłem zrobić?

Załadowałem furgonetkę i zacząłem oddychać z większą swobodą, myśląc, że dzieło zniszczenia już się dokonało, ale... nie opuściliśmy jeszcze parkingu. Dokładnie tuż obok Świata Dziecka znajdował się sklep z odzieżą dla kobiet w ciąży. Maggie, nawiedzona przez potężnego ducha zakupów, zdejmowała wieszaki, podając mi je przez ponad godzinę. Gdy nie mogłem już niczego dojrzeć zza góry ubrań na rękach, zaprowadziła mnie do przymierzalni, gdzie właściwie po raz pierwszy w moim życiu kobieta zaprosiła mnie do środka. Zamknęła drzwi, zasunęła zamek i upięła włosy w sprężysty kucyk.

Przez następną godzinę moja żona pozowała, przymierzając wszystko po kolei, a ja podziwiałem. Jedyne oświetlenie stanowiła czterdziestowatowa żarówka nad jej głową, ale gdy się odwróciła, uniosła kucyk znad szyi i szepnęła: „Rozepnij mi zamek”, światło spłynęło na jej stusiedemdziesięciocentymetrową sylwetkę niczym magiczny kurz Dzwoneczka z Piotrusia Pana. Zamigotało na opadających po karku, jasnych, puszystych włosach oraz na drobinach potu na górnej wardze i na jej silnych, opalonych ramionach, biegnąc w dół szczupłych pleców, wzdłuż smukłych bioder i długich, wysportowanych nóg, aby w końcu zawirować na mięśniach łydek.

Boże, jak ja kocham moją żonę.

Od szortów po koszulę, spodnie, sukienki, spódniczki, staniki ciążowe, staniki do karmienia, bieliznę na szósty miesiąc, bieliznę na dziewiąty miesiąc, kurtki oraz bluzki - trwał pokaz. Gdy przymierzała każdą z rzeczy, wkładała sobie za pasek „imitujący ciężę” jasiek, opierała rękę na biodrze, pochylała się do przodu na palcach i spoglądała w lustro.

- Czy według ciebie to mnie pogrubia?
- Maggie, żaden facet przy zdrowych zmysłach nie odpowie ci na to pytanie.
- Dylan - powiedziała, celując we mnie palcem - odpowiedz mi.
- Jesteś piękna.
- Jeżeli mnie okłamujesz - powiedziała, unosząc brwi i przekrzywiając głowę
- śpisz na kanapie.
- Co tylko zechcesz.

Gdy opuszczała przymierzalnię, emanowała już pełnym, cudownym blaskiem kobiety w ciąży. Trzysta dwadzieścia siedem dolarów później gotowa była rodzić w każdym momencie.

Życie nigdy nie było bardziej intensywne i kolorowe, jak gdyby Bóg oparł o nas podstawę drugiego końca łuku tęczy. Rzędy bawełny, kukurydzy, soi, orzeszków ziemnych i arbuźów wyłoniły się z gruntu, formując pikowany kobierzec, obrębiony na brzegach ścięciem z chwastów przy krawędzi starej autostrady stanu Południowa Karolina. Starodawne i rozłożyste dęby pokryte

mchem, pełzającymi po nich czerwonymi robakami oraz historią kołysały się na wietrze, stojąc niczym milczący wartownicy nad zaoranymi grzędami. Naiwni i nieświadomi buszowaliśmy pomiędzy uprawami, a Maggie przykładała moją dłoń do swojego brzucha, uśmiechając się.

W dwunastym tygodniu wybraliśmy się na pierwszą ultrasonografię. U, Maggie dawał się już wówczas zauważać, jak to określała, „balon”. Nic innego nie mogłoby napęlić ją wtedy większą dumą. Gdy do gabinetu wszedł lekarz, leżała na stole z mierzącym tętno płodu kardiokografem marki Velcroed przystawionym do brzucha, trzymając mnie za rękę. Lekarz włączył ultrasonograf, wycisnął na brzuch żel i rozpoczął wędrówkę po nim za pomocą połączonej z urządzeniem słuchawki. Gdy Maggie po raz pierwszy usłyszała głos bijącego serca, rozplakała się: „Dylan - wyszeptala - to nasz syn”.

W szesnastym tygodniu pielęgniarka potwierdziła jej intuicję, gdy Maggie leżała na tym samym stole. Siostra wodziła po jej brzuchu aparatem, zatrzymując słuchawkę, gdy nasz syn ukazał nam czubek swojego wyposażenia.

- No tak - powiedziała pielęgniarka. - To jest chłopiec. I to całkiem z tego dumny.

Padłem na kolana. W wieku dwudziestu dziewięciu lat zaglądałem do brzucha mojej żony i widziałem tam naszego syna. Tak wyraźnego jak samo życie, z bijącym sercem i wiercącego się, aby zobaczyć cały rozciągający się przed nim świat.

- Cześć, stary - bąknąłem zachwycony.

Tak rozpoczęły się moje konwersacje z brzuchem Maggie. Od tego dnia każdego wieczoru rozmawiałem ze swoim małym, lecz coraz większym synem. Gdy cała nasza trójka leżała w łóżku, unosiłem Maggie koszulę tuż ponad brzuchem, przykładałem usta do okolic pępka, gdzie jej skóra była puszysta niczym powierzchnia brzoskwini, i rozmawialiśmy. Futbol, dziewczyny, szkoła, rolnictwo, traktory, psy, uprawa kukurydzy, kumple, kolory. Słowem: wszystko, co tylko mogło przyjść mi do głowy. Chciałem po prostu, aby mój syn poznał brzmienie mojego głosu. Po kilku dniach zacząłem wyczuwać ustami jego kopnięcia. Zanim zegnałem się z nim na dobranoc, śpiewałem mu o Jasiu małym jak pestka jabłka" albo że „Tatuś kocha swojego słodkiego chłopczyka" czy po prostu że „Jezus mnie kocha”.

Czasami w środku nocy, gdy maluch zaczynał kopać lub odciskał stopę na ścianie jej brzucha, Maggie chwytala mnie za rękę i przykładała ją do tego miejsca. Nigdy się nie odezwała, ale ja budziłem się pod wpływem emanującego stamtąd ciepła oraz zarysu nóżki mojego syna.

Pod koniec pierwszego trymestru, przechadzając się pomiędzy rzeczami wystawionymi na przydomowych wyprzedazach, znalazłem rozklekotanego konia na biegunach, który wymagał doprowadzenia do porządku przy użyciu sporej ilości kleju oraz kilku warstw białej farby. Przyniosłem go do domu, rozstawiłem w stodole swój warsztat ciesielski i przykazałem Maggie, aby nie podglądała. Po tygodniu wniosłem go do środka i ustawiłem przy łóżeczku. Spojrzała i łzy popłynęły jej strumieniem. Myślę, że wtedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że to nowa fala hormonów zaczęła władać ciałem i umysłem mojej żony.

Niedługo potem pojawiły się zachcianki.

- Kochanie - znowu ten ściszony, uwodzicielski głos. - Mam ochotę na świeże, naturalne masło orzechowe oraz sorbet truskawkowy od Haagen Dazsa.

Nigdy bym nie pomyślał, że tak trudno znaleźć świeżo utarte, naturalne masło orzechowe o dziesiątej wieczorem. Gdy wróciłem do domu, Maggie stała już na werandzie, przytupując nogą i machając łyżką. Jak tylko zdjąłem pokrywkę, zagłębiliśmy się w sam środek naczynia i zaczęliśmy jednocześnie je opróżniać. Gdy wylizwała już sorbet, odezwała się:

- A teraz może cheeseburgera?

Pod koniec drugiego trymestru stała się bardzo wyczulona na swoim punkcie. Najmniejszy drobiazg wyprowadzał ją z równowagi. Pewnego ranka, przyglądając się w lustrze swojej twarzy, krzyknęła:

- A to co? Dylanie Styles, chodź no tu!

Zazwyczaj gdy Maggie zwraca się do mnie po imieniu i nazwisku, oznacza to, że zrobiłem coś złego. Na przykład zostawiłem uniesioną deskę klozetową albo niezamkniętą tubkę z pastą do zębów, nie wyrzuciłem śmieci, nie zabiłem jakiegoś robala lub pajaka, który pojawił się w odległości bliższej niż półtora metra od domu, lub próbowałem tylko coś ukryć, ale zostałem przyłapany. Wtedy zaś ton jej głosu wskazywał na to, że właśnie zostałem przyłapany.

Wszedłem do łazienki i zastałem Maggie stojącą na palcach tuż nad umywalką i wpatrzoną w podbródek, który znajdował się zaledwie parę centymetrów od powierzchni lustra. Trzymając w dłoni szkło powiększające, odezwała się znowu:

- Co to jest?

Wziąłem do ręki lupę i uśmiechnąłem się. Badając jej podbródek, zobaczyłem wyrastający z niego, pojedynczy czarny włos długości około centymetra.

- No cóż, Maggs, zdaje się, że rośnie ci broda.

Wiem, wiem, przesadziłem, ale nie mogłem się powstrzymać.

Wrzasnęła z przerażenia i klapnęła mnie w ramię:

- Pozbądź się go! Natychmiast! Pośpiesz się! Sięgnąłem do szuflady, wyciągnąłem z niej szwajcarski scyzoryk i używając paznokcia, wysunąłem na zewnątrz małą pęsetę.

- Wiesz, Maggs - powiedziałem - jeżeli tak ci już zostanie, będziemy mogli znaleźć ci pracę na jarmarku.

- Dylanie Styles - odezwała się, ponownie wskazując na mnie zakrzywionym palcem - jeżeli chcesz być jeszcze kiedyś kochany, radzę ci, przestań natychmiast.

Może i trochę przesadzałem, ale potrzebowała dystansu. Podałem jej zatem krem do golenia, mówiąc:

- Proszę, do skóry wrażliwej.

Pół minuty później, powalony przez nią, leżałem na posadzce w pozycji embrionalnej, a ona próbowała wyrwać mi tych kilka włosów rosnących dotąd spokojnie na mojej klatce piersiowej. Gdy oskubała mnie już dokumentnie, uniosła pięści niczym bokser gotowy na następną rundę:

- Dylanie Styles, lepiej się zamknij i wyrwij to paskudztwo z mojego podbródka.

W łazienkowym świetle wyrwałem tego samotnego złoczyńcę, umieściłem go na jej wyciągniętej dłoni i rozbawiony wróciłem do kuchni. Maggs natomiast spędziła przed lustrem następną godzinę, badając swoją twarz.

Niedługo później przestała widzieć swoje palce u nóg. Dziecko rośło i zaczęło wystawać niczym piłka do koszykówki przytwierdzona do żerdzi. Maggs stała bezsilna przed lustrem z otwartą buteleczką lakieru do paznokci i zawodziła:

- Jestem gruba! Jak możesz mnie kochać, gdy tak wyglądam?

A potem pojawiły się łzy, zrobiłem więc jedyną rzecz, którą mogłem zrobić. Ująłem ją za rękę, posadziłem na kanapie, nalałem jej szklankę zmrożonej wody z plasterkiem pomarańczy, wyprostowałem jej nogi i pomalowałem paznokcie u stóp.

Gdy była w siódmym miesiącu, wróciłem kiedyś do domu po zmroku i usłyszałem plusk wody w wannie oraz Maggie mówiącą do siebie. Wsunąłem głowę do środka i zobaczyłem, jak trzyma różową maszynkę, próbując golić sobie nogi. Zdołała już skaleczyć się w kostkę. Przysiadłem zatem na brzegu, wziąłem maszynkę do ręki, uniosłem jej piętę, jedną, potem drugą, i ogoliłem swojej żonie nogi.

Gdzieś pomiędzy siódmym i ósmym miesiącem zasiadłem do kolacji - którą Maggie uparła się ugotować samodzielnie - i znalazłem paczkę owiniętą w szary papier. Odwiązując wstążkę, odwinąłem papier i spojrzałem na zielony T-shirt z

wyszytym na przedzie napisem „Najlepszy tata na świecie”. Nosilem go codziennie przez cały tydzień.

Chociaż z każdym dniem robiła się coraz cięższa i mniej mobilna, Maggie zdołała uszyć obicie na łóżeczko i sama je naciągnąć. Znajdowały się na nim wzory złożone z pasków, piłek do koszykówki, piłek do futbolu, nietoperzy oraz piegowatych chłopców. Ja kupiłem minipiłkę do futbolu Warnera oraz rękawicę do minibaseballa i włożyłem wszystko do środka łóżeczka. Na podłodze pod nim ustawiłem kolekcję resoraków Matchboxa, kolejkę i klocki. Gdy zakończyliśmy aranżację, okazało się, że dla naszego syna nie zostało już wiele miejsca.

W ostatnim trymestrze, gdy nadchodziło późne popołudnie, Maggie łatwo się męczyła i namawiałem ją wtedy na drzemkę. Z rzadka dawała się przekonać. Na dwa tygodnie przed wyznaczonym terminem, który przypadał na pierwszego sierpnia, zaczęły puchnąć jej nogi, dłonie i stopy, a piersi zrobiły się obolałe i wrażliwe. Na tydzień przed pojawiły się zaś skurcze Braxtona Hicksa i lekarz nakazał jej trzymać stopy w górze oraz więcej wypoczywać.

- Proszę zbytnio się nie niecierpliwić - powiedział. - To może trochę potrwać.

Z jakiegoś powodu, chociaż nie bardzo wiedziałem z jakiego, zaczęło mi się wydawać, że im brzuch Maggie stawał się większy, a ona czuła się mniej komfortowo, tym mniej miała dla mnie czułości. To znaczy, fizycznie. Wszystko na to wskazywało. Staralem się do tego przywyknąć, tłumiąc w sobie to przekonanie zgodnie z zasadą: nawet o tym nie myśl, ale nawet przez chwilę mi się to nie udało. Lecz dokładnie na trzy dni przed rozwiązaniem klepnęła mnie w ramię...

Tydzień po upływie terminu nadeszły pierwsze prawdziwe skurcze. Maggie natychmiast rozpoznała różnicę. Szła właśnie przez kuchnię, gdy przytrzymała się blatu szafki, zagryzła górną wargę i zamknęła oczy. Ja sięgnąłem po torbę oraz Huckleberry ego i czekałem na nią przy wozie. Jechałem z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, trąbiąc na każdy samochód, który znalazł się na mojej drodze, gdy Maggie położyła mi delikatnie dłoń na udzie i szepnęła:

- Dylan, zdążymy.

Zaparkowałem przy wejściu prowadzącym na oddział położniczy, po czym podeszła do nas pielęgniarka. Gdy odnalazłem Maggie na drugim piętrze, lekarz właśnie ją badał.

- Dwa centymetry - powiedział, zdejmując lateksowe rękawiczki. - Proszę jechać do domu i iść spać. Zobaczymy się jutro.

- Zobaczymy się jutro? Nie może pan - powiedziałem - odesłać nas do domu. Moja żona rodzi.

Lekarz uśmiechnął się:

- Owszem, poród się zaczął. Ale nie nastąpi dzisiaj. Jedźcie na dobrą kolację, a później proszę zabrać żonę do domu. A to - podał Maggie dwie pigułki - złagodzi bóle.

Pomagając jej wsiąść do wozu, powiedziałem:

- Ty wybierasz. Pojedziemy, gdzie tylko zechcesz.

Maggie uśmiechnęła się, oblizwała wargi i wskazała kierunek. Parę minut później siedzieliśmy w Burger Kingu, gdzie pochłonęła Whoppera z serem, duże frytki, cheeseburgera i czekoladowego shake'a. Ja zdołałem zjeść połowę cheeseburgera oraz dwie frytki.

Tamtej nocy Maggie spała na raty, a ja w ogóle. Leżałem tylko w ciemności, wpatrując się w twarz mojej żony i odgarniając jej włosy jak u Audrey Hepburn z oczu niczym u Bette Davis.

O szóstej Maggie znowu przygryzła wargę i zaniósłem ją do wozu.

- Cztery centymetry - powiedział lekarz, przykrywając jej nogi końcem szlafroka. - Pora iść na oddział.

No to poszliśmy. Pokonując każde piętro. Każdy hol. Każdy korytarz. Czasem po kilka razy.

Przechodząc przez oddział ortopedyczny sześć godzin później, Maggie jęknęła i złapała za poręcz, a jedna z jej nóg ugięła się w kolanie. Chwyciłem wózek, wcisnąłem guzik windy i tupiąc nogą, czekałem, aż znajdziemy się na drugim piętrze.

Lekarz rozmawiał przez telefon w dyżurce pielęgniarek, ale szybko odłożył słuchawkę, gdy zobaczył wyraz twarzy Maggie. Położyliśmy ją na łóżku, przykładając do brzucha kardiogram. Trzymałem jej głowę w dłoniach, gdy lekarz nasłuchiwał.

- W porządku, Maggie, rozluźnij się. - Potem wyjął ten podłużny, plastikowy przyrząd i poprosił pielęgniarkę, aby pokryła go żelem. - Wywołam u pani odejście wód płodowych i podam oksycytenę.

Gdy pomyślałem sobie: Nie pozwolę ci włożyć tego mojej żonie do środka, Maggie westchnęła i chwyciła mnie za rękę tak mocno, aż pobieleły jej kostki.

- A to oznacza dwie rzeczy: skróci to pani wysiłki i - przerwał, gdy płyn wytrysnął na zewnątrz - skurcze staną się nieco bardziej bolesne.

- Dobrze - odparła Maggie, gdy pielęgniarka przecierała jej prawe ramię spirytusem, po czym założyła wenflon.

Kwadrans później rozpoczęły się naprawdę silne bóle. Siedziałem obok łóżka, przytrzymując na jej czole wilgotny ręcznik i zmagając się z rosnącym napięciem w żołądku. Zanim nadeszła północ, Maggie była już mokra od potu, a równocześnie stawała się coraz bledsza. Zawołałem pielęgniarkę i poprosiłem ją:

- Zróbmy coś. Proszę!

W ciągu kilku minut przybył anestezjolog i zapytał Maggie:

- Czy możemy podać pani środek znieczulający? Bez zmrużenia oka powiedziałem:

- Tak, doktorze.

Maggie usiadła i pochyliła się do przodu tak mocno, jak tylko pozwalał jej na to brzuch. Lekarz obszedł ją, stając z tym i podając znieczulenie w sam środek kręgosłupa, dokładnie w momencie gdy nadszedł kolejny skurcz. Jęknęła, ale nie poruszyła się nawet o centymetr. Boże, miej w opiece moją żonę.

Oddychając ciężko, położyła się z powrotem na łóżku i uniosła kolana. Po jeszcze jednym skurczu zaczęło działać znieczulenie. Jej ramiona rozluźniły się i straciła czucie w nogach. W tamtym momencie, gdybym miał tylko milion dolarów, oddałbym mu wszystko, co do centa. Prawie ucałowałem go w usta.

Następne dwie godziny były lepsze niż całe poprzednie dwa dni. Wpatrywaliśmy się w monitor, śledząc nadejście i koniec każdego skurczu. „O, ten był niezły”, mówiliśmy głośno, po czym znów słuchaliśmy bicia serca, śmialiśmy się, rozmawialiśmy o imionach i staraliśmy się nie myśleć o tym, co miało nastąpić. Było coś surrealistycznego w świadomości, że nasz syn stanie się rzeczywistością w naszych ramionach już za parę chwil. Chwyciliśmy się za ręce, zaśpiewałem piosenkę przy jej brzuchu i przez większość czasu siedzieliśmy otoczeni ciszą.

Okolo wpół do drugiej zaczęły się kłopoty z porodem u kobiety za ścianą i musieli odwieźć ją na nagłe cesarskie cięcie. Nigdy wcześniej nie słyszałem, aby ktoś tak krzyczał. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Wiedziałem jednak, jakie wrażenie musiało to wyrzucić na Maggie. Starła się tego po sobie nie okazywać, ale tak było.

O drugiej lekarz zbadał ją po raz ostatni.

- Dziesięć centymetrów i pełne rozwarcie. W porządku, Maggie, możesz zacząć przeć. Będziemy dziś obchodzić urodziny.

Była mistrzynią. Byłem z niej naprawdę dumny. Ona pani, ja wydawałem komendy niczym trener: „Jeden, dwa, trzy...” - odliczałem, a ona wbijała się podbródkiem w swój brzuch, zamykała oczy i z morderczą siłą, ściskając mnie za rękę, parła.

Działo się to dwa dni i dziesięć wieczyń temu.

Rozdział drugi

Przydzielono nam osobny, mały pokój z widokiem na parking. Usytuowany był na końcu długiego i cichego korytarza. Jedyne oświetlenie dawały w nim urządzenia, do których podłączona była Maggie, a jedyny dźwięk dochodził z kardiomonitora i od czasu do czasu z korytarza, gdzie salowy toczył wózek ze środkiem dezynfekującym o zapachu sosny dominującym nad wonią moczu. Ktoś przystawił łóżko Maggie do ściany, przysunąłem je zatem pod okno, aby mogła cieszyć się tam światłem księżyca. Gdy je toczyłem, odłączyłem wszystkie urządzenia, uruchamiając kaskadę dzwonek alarmowych w dyżurce pielęgniarek.

Jedna z nich o bladej twarzy wślizgnęła się przez drzwi do pokoju. Zatrzymała się na chwilę, gdy zobaczyła, jak siedzę przy łóżku Maggie i trzymam ją za rękę. Już miała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i zamiast tego zabrała się do pracy, naprawiając to, co ja powyrywałem. Zanim wyszła, sięgnęła do szafki po kocyk, okryła nim moje plecy i zapytała:

- Napijesz się kawy, złotko?

Potrząsnąłem głową, a ona poklepała mnie po ramieniu.

Maggie znajdowała się „we śnie”, była nieprzytomna od chwili porodu. Przetarłem jej ręce i policzki ciepłym, wilgotnym ręcznikiem, a następnie dotknąłem palców u nóg. Były zimne, przeszukałem więc naszą torbę, znalazłem parę skarpet, delikatnie naciągnąłem jej na pięty i przykryłem dodatkowym kocem. Gdy już otuliłem ją pod szyją kołdrą, usiadłem przy łóżku i zczesalem jej włosy za uszy, gdzie wyczułem pozostałości zakrzepłej krwi. Po raz trzeci zmoczyłem ręcznik ciepłą wodą i obmyłem jej twarz, ręce i szyję.

Nie pamiętam, aby w jakimś momencie bolało mnie ramię, ale pamiętam to, że pielęgniarka próbowała trzy razy, zanim w końcu zdołała wkluć się w żyłę. Maggie w dość krótkim czasie musiała otrzymać dużą ilość krwi, oddałem jej w związku z tym jeszcze raz tyle, ile przewiduje dopuszczalna norma. Pielęgniarka wiedziała, że Maggie musiała ją otrzymać, gdy więc przytrzymałem igłę i powiedziałem, by nie przerywała, spojrzała na mnie spod okularów, otworzyła mi jeszcze jedną coca-colę i kontynuowała pobieranie. Wróciłem na salę porodową z wkluciem na obu przedramionach, usiadłem przy Maggie i patrzyłem na swoją krew wpływającą do ciała mojej żony.

Gdy tak siedziałem w ciszy pod księżycem, na czole Maggie, pomiędzy jej brwiami, pojawiła się zmarszczka - jej znak firmowy. Widoczny dowód, że postanowiła coś rozstrzygnąć. Przyłożyłem swoją dłoń do jej czoła i trzymałem

ją tak przez parę sekund, aż zmarszczka się rozplynęła, a oddech stał się wolniejszy.

- Maggs?

Wsunąłem rękę pod jej dłoń i pomyślałem, jak to możliwe, aby ktoś tak piękny miał palce pokryte odciskami. Przy miarowych i rwanych dźwiękach kardiomonitora wpatrywałem się w uderzenia jej serca, obserwowałem krótki, szybki oddech i czekałem, aż te duże, brązowe oczy otworzą się i spojrzą na mnie.

Czekałem nadaremnie.

Spoglądałem przez okno na parking, ale nie było tam wiele do oglądania. Południowa Karolina to jedno z najpiękniejszych miejsc na tym bożym świecie - zwłaszcza gdy glicynia wyrasta spośród chwastów, które nie zdołały jej zdusić - ale parking przy Szpitalu Komunalnym w Digger do nich nie należy. Odwróciłem się do Maggie i przypomniałem sobie rzekę, blask, który opromieniał jej oczy, uśmiech, plecy oraz wodę spływającą po powierzchni skóry i gromadzącą się na brzuchu.

- Maggs - powiedziałem - chodźmy popływać.

Rozdział trzeci

Dni zamieniały się w noc i z powrotem w dni, a ja zacząłem bać się mrugnąć, myśląc, że może umknąć mi chwila, gdy otworzy oczy. Jestem całkowicie pewien, że w owym czasie ludzie wchodzili i wychodzili, ale ja nigdy ich nie widziałem. Wydaje mi się, że pamiętam Amosa kładącego rękę na moim ramieniu i mówiącego: „Nie martw się o farmę, zajmę się wszystkim”. Myślę, że pamiętam również dominującą podczas jednej z tych nocy, uporczywą woń piwa w oddechu Bryce'a, niemniej przez siedem dni mój cały świat składał się tylko z dwóch osób - Maggie i mnie. Wszystko ponad to znajdowało się poza sferą uwagi. Brzegi mojego świata uległy zamazaniu.

Po południu siódmego dnia lekarz wyprowadził mnie na korytarz i przedstawił mi rokowania. Na jego twarzy malował się wyraz zakłopotania i widać było, że nie przychodzi mu to łatwo, bez względu na doświadczenie w przekazywaniu złych wieści.

- Dylan, będę z tobą szczery - powiedział. Sekundy rozciągnęły się w dni. - Maggie znajduje się poza zasięgiem, jak to określamy, promyczka nadziei. Im dłużej pozostaje w stanie wegetatywnym, tym więcej odruchów bezwarunkowych wykazują jej mięśnie. Niestety, odruchy te stanowią rezultat aktywności rdzenia kręgowego, a nie mózgu. W ciągu następnych paru tygodni jej szanse na przebudzenie wynosić będą 50%. W kolejnym miesiącu spadną o połowę. A następnie. .. - Potrząsnął głową. - Oczywiście, wszystko to jest zaledwie statystyką, cuda się zdarzają. Ale nieczęsto.

Później, tego samego popołudnia, przedstawiciel szpitala odpowiedzialny za egzekwowanie należności finansowych złożył mi krótką wizytę:

- Panie Styles, nazywam się Thentwhistle. Jason Thentwhistle - wszedł do pokoju i wyciągnął rękę.

Natychmiast poczułem do niego jakąś niechęć.

- Tak, cóż... Sądzę, że powinniśmy porozmawiać o pańskiej sytuacji finansowej.

Obróciłem lekko głowę i przymrużyłem oczy.

- Pacjenci w śpiączce wymagają często długofalowej opieki medycznej...

To mi wystarczyło. Uderzyłem go najmocniej, jak tylko potrafiłem. Być może silniej niż kogokolwiek wcześniej. Gdy spojrzałem w dół, leżał na podłodze z okularami złamanymi w trzech miejscach, przekrzywionym na bok, rozkwaszonym na twarzy nosem oraz wyciekającą przez nozdrza krwią. Chwyciłem go za pięty i wyciągnąłem na korytarz, ponieważ nie chciałem, aby krwawił na podłogę przy Maggie.

- D.S., jesteś tu od momentu wyjścia ze szpitala? Otworzyłem oczy, przypomniałem sobie Thentwhistle'a i rozejrzałem się dookoła. Pochylona nade mną twarz wydawała się znajoma.

- Dylan? - wielka, mięsista łapa delikatnie klepnęła mnie dwa razy w twarz. Nie było już wątpliwości.

- Amos?

Jeszcze raz klepnął mnie w policzek, mówiąc:

- Hej, koleś? Jesteś tam?

Musiałem jęknąć, ponieważ Amos chwycił mnie za ramiona i potrząsnął.

- Dobra, dobra - odezwałem się, poklepując go po rękach. - Jestem. - Pękała mi głowa, a świat wirował dookoła zdecydowanie za szybko. Dzięki dłoniom Amosa przestał wirować, ale ból pozostał.

- D.S.? - zbliżył swoją twarz do mojej. - Jesteś tu od wyjścia ze szpitala? - Nadal pozostawał na obrzeżach pola widzenia.

- Nie wiem. A kiedy wyszedłem?

- We wtorek - powiedział, osłaniając mi twarz przed słońcem swoim kapeluszem.

Zamachałem ręką, bo wyglądał jak jakieś ptaszysko. A - Co jest dzisiaj? - zapytałem, wciąż walcząc z trzepoczącym kapeluszem.

- Czwartek - Amos zmarszczył nos i pomachał dłonią: - I dobrze, że padało. - Wachlując zaś kapeluszem powietrze, dodał: - D.S., ale śmierdzisz. Co tyś tu robił?

Sięgnąłem w kierunku traktora, pociągnąłem za uchwyt lewarka skrzywionego dwadzieścia jeden lat temu przez mojego dziadka, który podnosił za jego pomocą drewniane bale, i spróbowałem się podciągnąć. Nie dałem rady. Zastanawiałem się przez chwilę, ale nie mogłem sobie przypomnieć:

- Czwartek?

Podciągnąłem kolana i podrapałem się po szyi oraz czterech swędzących bąblach na kostkach pod dżinsami.

Amos wyglądał na kogoś, kto nie bardzo wie, co o tym wszystkim myśleć.

Jeszcze raz wyteżyłem pamięć: - Wtorek?

Szybki napływ krwi do głowy spowodował, że opadła, zakołysała się i uderzyła o łodygę kukurydzy wyrastającej z kopca mrowiska.

Amos chwycił ją w dłoń.

- A siedźże tu spokojnie. Mus, za długo na słońcu byłeś. Co? Jak długo?

Zazwyczaj angielski Amosa jest całkiem niezły. Przechodzi na dialekt chłopaka z farmy w Południowej Karolinie, tylko gdy rozmawia ze mną. Po

dwudziestu pięciu latach przyjaźni rozwinęliśmy swój własny język. Mówi się, że tak samo jest w małżeństwie.

- Muszę się dostać do szpitala - wymamrotałem.

- Chwila, Mister Kukurydza. Ona nigdzie ci nie odjedzie. - Amos nałożył plastikową nakładkę na wskaźnik poziomu paliwa. - Ten stary traktor też nie. Musimy cię doprowadzić do porządku. Gdyby nie Blue, ciągle bym tu jeździł i cię szukał.

Blue to blue heeler, pies pasterski, najbardziej inteligentny, jakiego kiedykolwiek znałem. Ma siedem lat i właściwie jest to „pies podwórkowy”, który śpi w nogach naszego łóżka. Przetarłem oczy i spróbowałem spojrzeć wyraźnie. Bezskutecznie. Amos sięgał już, by wygładzić mi koszulę, ale po zastanowieniu zmienił zdanie.

- W moim wozie jest za mało paliwa? Gdzie zostawiłeś swój? - powiedziałem.

- Mógłbyś mnie tam zawieźć?

Widząc mój powrót do życia, Blue zeskoczył z traktora, liznął mnie po twarzy, a następnie usiadł mi pomiędzy nogami, kładąc głowę na udach.

- Tak, mógłbym - powiedział Amos, artykułując każdą literę. - Ale nie, nie zrobię tego. Zabieram cię do roboty.

Nie wyrażał się zbyt jasno.

- Do roboty? - rozejrzałem się. - Amos, pracowałem bez przerwy, aż... no, aż się tu pojawiłeś. - Zdjąłem z siebie Blue. Gdy jest podekscytowany, dość mocno się ślini. - Odejdź, Blue. Przestań.

Nie posłuchał. Zamiast tego obrócił się na plecy niczym martwy robak, przekręcił głowę na bok, wystawił język i unióś łapy do góry.

- D.S. - Amos powiódł palcami po wewnętrznej stronie swojego pasa zastępcy szeryfa. - Nie zaczynaj ze mną, bo nie jestem w nastroju. - Nałożył z powrotem kapelusz i poprawił sobie nieco kaburę. A później jego głos stał się głośniejszy. - Szukam cię przez całe przedpołudnie, po wszystkich zakamarkach, na każdym pastwisku. Objechałem ze sto pięćdziesiąt hektarów.

Amos gestykulował, jak gdyby znajdował się na scenie lub opowiadał historię z wyprawy na ryby. Potrafił stać się bardzo ożywiony, gdy tylko chciał.

- No i parę minut temu jadę przez pole i widzę zardzewiałą starość, którą twój dziadek nazywał traktorem, jak stoi na tym wygwizdowie ni w pięć, ni w dziewięć, bez kierowcy. Nic się nie dzieje poza jednym, co przykuło moją uwagę.

Amos sięgnął i zaczął drapać Blue pomiędzy uszami.

- Stary Blue siedzi wyprostowany na traktorze, jakby chciał, żeby go zauważono. No to zawróciłem wóz i pomyślałem sobie, że wygląda mi to na

tego starego wariata, który po tygodniu piekła wychodzi ze szpitala tylko po to, żeby na koniec wyłudować tutaj, udając, że niby pracuje w polu.

Wyciągnął dłoń, nabrał w nią garść piasku i sypnął nim w stronę kukurydzy.

- Dylanie Styles - powiódł wzrokiem wzdłuż długiego rzędu kukurydzianych upraw, które ciągnęły się bardziej po łuku niż w prostej linii - idiota jesteś. Nawet z całym tym twoim wykształceniem. Możesz sobie wypisywać te wszystkie tytuły przed swoim nazwiskiem, ale jestem twoim przyjacielem i powiem ci to prosto w oczy: rolnik z ciebie żaden, a do tego cholerny idiota.

Amos to bystry facet. Jego odznaka szeryfa może być pod tym względem myląca. Przyjął tę robotę, ponieważ chciał, a nie dlatego, że nie mógł znaleźć sobie innej. Amos niczego od innych nie chce - od innych poza mną. Jest ogromny, elokwentny, tak czarny, jak to tylko możliwe, i jest moim najstarszym przyjacielem. Urodził się rok wcześniej niż ja i chodził do klasy wyżej. Podczas pierwszego roku w szkole średniej obaj graliśmy na pozycji obrońcy. Nazywali nas, z oczywistych względów, Ebony i Ivory.

Amos był zawsze tym szybszym, zawsze silniejszym i ani razu nie pozwolił, aby ktoś mnie powalił. Przy niejednej okazji widziałem, jak spycha dwóch wspomagających naraz, oczyszczając dla mnie drogę. Moje pierwsze przyłożenie uzyskałem wyłącznie na jego plecach. Złapałem piłkę, chwyciłem go za koszulkę, zamknąłem oczy, a on ciągnął mnie przez osiemdziesiąt jardów, aż do tej chwili triumfu, gdy zauważyłem pod nogami mijaną linię końcową. A gdy podniosłem wzrok i zobaczyłem wiwatujący tłum, Amos stał samotnie przy linii bocznej, pozwalając, abym to ja mógł napawać się całym tym splendorem.

Później tego samego roku Koguty przyznały mu stypendium. Przez cztery lata zdobywał sportowe laury i sklasyfikowano go na trzecim miejscu w kraju. Od pierwszego dnia na uczelni poświęcił się zgłębianiu prawa kryminalnego i dowiedział się na ten temat wszystkiego, czego tylko był w stanie. Zaraz po ukończeniu studiów Amos złożył podanie o pracę w hrabstwie Colleton i wrócił do domu. Od tamtego czasu nosi gwiazdę. W zeszłym roku przyszyli mu nawet na rękawach belki sierżanta.

Przetarłem oczy i obiema rękami przytrzymałem sobie głowę. Świat ponownie zaczął wirować, a mrówki na nogach w żadnej mierze nie poprawiały mojego położenia.

- Czy jest tu ktoś jeszcze, do kogo mógłbym się zwrócić? - Prawie odebrało mi głos i jedynym, na co było mnie stać, okazał się szept jak u palacza. - Amos, piłeś rano kawę? Wiesz, jestem zmęczony i nie bardzo pamiętam, jak się tutaj dostałem, ale wydaje mi się, że jeździsz na mnie jak na łysej kobyle. A ponieważ to robisz, to najwyraźniej nie piłeś jeszcze dzisiaj rano kawy.

Amos zrobił się teraz naprawdę pobudzony.

- Od samego rana włóczę się po tym bezdrożu, które oboje nazywacie swoim domem. Przez ciebie oraz twoją nieobecną dublerkę minęła mnie rano przyjemność napicia się kubka kawy. Co wy, Stylesowie, widzicie w tej dziurze? Jeżeli chciałeś znaleźć sobie jakieś miejsce, gdzie mógłbyś odespać ten tydzień bez snu, to mogłeś się postarać o coś lepszego niż środek pola kukurydzy. W ciągu ostatniej godziny zniszczyłem sobie spodnie, porysowałem buty, podarłem koszulę i nie powiem, ile mam w tej chwili na sobie poprzyklejanego świńskiego łajna. Po co ty trzymasz tę starą świnię?

- Kogo? Pinky?

- No pewnie, że Pinky. A kto inny mógłby tyle narobić? - Amos wskazał na swoje buty. - Przez całe życie nie widziałem jeszcze świni, która wydalaby tyle co ta. Powinieneś wystawić ją do zawodów. To - powiedział z naciskiem - wala się wszędzie. Czym tyją karmisz?

- Amos... A... Amos - wyjąkałem, drżąc. - Jest pewnie ze trzydzieści dwa stopnie i czuję się jak ścierwo. Wszędzie mnie swędzi i boli mnie głowa. Chcę tylko zobaczyć swoją żonę. Pomóż mi po prostu wrócić do domu.

Amos wiedział, kiedy odpuścić.

- Chodź, D.S. Wracamy. - Pomógł mi wstać i oparł mnie sobie na ramieniu. - Ivory, mówiłem ci już, że powinieneś wziąć prysznic?

- Taa... - odparłem - słyszałem twoją uwagę.

Przedarliśmy się przez kukurydzę i pokuśtykaliśmy w stronę domu.

Ciągnąc mnie ze sobą, Amos zapytał: - Jaka jest ostatnia rzecz, którą zapamiętałeś?

- Cóż - odparłem, kierując kroki w kierunku werandy - siedziałem sobie przy Maggs, gdy ten elegancik ze szpitala wetknął swój spiczasty czerep przez drzwi i zapytał, jak zamierzam uregulować należności. Zaczął gadać coś o tym, jakie to koszta ponosi szpital w związku z Maggie. Zrobiłem więc to, co zrobiłby każdy mąż. Odwróciłem się i walnąłem tego spiczastogłowego dupka...

Amos uniósł ręce.

- Dobra, rozumiem.

- Przeciągnąłem go do holu i pielęgniarka Maggie zaczęła go doglądać. Ale, szczerze mówiąc, to nie bardzo im się śpieszyło z tym opatrywaniem. - Spojrzałem na skaleczenie na kostce prawej ręki. Była wciąż opuchnięta i zesztywniała, co świadczyło o tym, jak mocno go uderzyłem. - Nie bardzo pamiętam, co działo się później...

Amos przeniósł mnie jeszcze kilka kroków do domu. Nie patrząc w moją stronę, powiedział:

- Pracownik administracji szpitala, niejaki Jason Thentwhistle, z brakującymi dwoma zębami, złamanym nosem oraz nową parą okularów i mocno spuchniętym fioletowym okiem, przybył na posterunek złożyć doniesienie na niejakiego Dylana Styleasa. Powiedział, że chce wnieść oskarżenie.

Spojrzenie Amosa podążało nadal w kierunku werandy, ale przez jego twarz przebiegł uśmiech.

- Powiedziałem mu, że bardzo mi przykro słyszeć o awanturze, w którą się wdał, jednakże bez świadka naprawdę niewiele możemy uczynić. - Odwrócił się i podciągnął mnie za ramiona. - D.S., nie możesz tak bić wszystkich, którzy opiekują się twoją żoną.

- Ale, on nie opiekował się moją żoną. Przez niego...

Amos ponownie uniósł ręce.

- Pozwolisz mi skończyć?

- Powinienem być wałnąć go mocniej. Próbowałem złamać mu szczękę.

- Nie słyszałem tego. - Objął mnie mocno ramieniem w pasie i zrobiliśmy jeszcze parę kroków.

Powstrzymałem go i postarałem się spojrzeć mu w oczy.

- Amos, czy z Maggie wszystko w porządku? Pokiwał zamasyżycie głową.

- Żadnych większych zmian. Pod względem fizycznym wydaje się zdrowieć. Krwawienie ustało.

- Jestem w stanie prowadzić, ale może się okazać, że mam za mało paliwa i będę musiał dopchać swój wóz do stacji benzynowej, czy możesz więc po prostu zawieźć mnie tam bez wdawania się zbytnio w dyskusje? - poprosiłem raz jeszcze.

Amos wsunął ramię głębiej pod moje, podholował mnie bliżej tylnej werandy i powiedział:

- Po twojej rozmowie kwalifikacyjnej - odburknął, wciągając mnie na schody.

- Rozmowa kwalifikacyjna? - usiadłem na stopniach i podrapałem się po głowie. - Co za rozmowa?

Łapiąc oddech, Amos otarł czoło, wygładził sobie koszulę, ponownie wykonał swój perswazyjny gest stróża prawa, poprawiając obiema rękami pas z kaburą, i odparł:

- Z panem Winterem. Digger Junior College. Jeżeli przejdiesz ją pomyślnie, będziesz uczył angielskiego - w katalogu kursów numer 202: literaturoznawstwo.

Chwilę to trwało, zanim słowo uczył w końcu do mnie dotarło.

- Amos, o czym ty gadasz? Mówże po angielsku.

- Właśnie mówię, doktorze Styles. Tak jak i ty za jakieś dwie godziny, rozmawiając z panem Winterem na temat przedmiotu, którego będziesz uczył. - Uśmiechnął się i zdjął swoje okulary przeciwsłoneczne.

Amos zwraca się do mnie per doktor tylko w wyjątkowych okazjach. Obroniłem doktorat parę lat temu, ale ponieważ porzuciłem dydaktykę wraz z ukończeniem studiów, niewiele osób o tym wie, a jeszcze mniej mnie w ten sposób tytułuje. Chociaż dumny jestem ze swoich osiągnięć, raczej nie ma powodów, aby wszystkich o nich informować. Kukurydza, którą uprawiam, nie dba bowiem o moje wykształcenie. I na pewno nie wpływa ono na umiejętność kierowania traktorem.

- Po kolei - powiedziałem, kręcąc głową. - Pomożesz mi zobaczyć się z żoną czy nie?

- D.S., czy ty mnie słuchasz? - Amos uniósł brwi i spojrzał wymownie. - Doktor Dylan Stytes już wkrótce obejmie funkcję nauczyciela kontraktowego w Digger Junior College, ucząc angielskiego - w katalogu kursów przedmiot pod numerem 202: literaturoznawstwo. I - spojrzał na zegarek - pan Winter oczekuje cię w swoim gabinecie za godzinę i pięćdziesiąt siedem minut.

Rozłożył kartkę papieru, którą wyjął z kieszeni koszuli, i mi ją podał.

- Nie spieraj się ze mną. Oni potrzebują nauczyciela, a ty z wielu powodów potrzebujesz tej pracy.

- To może wymień jakiś - odparłem. Amos otarł pot z czoła białą chusteczką.

- Zacznijmy od podatków. Następnie rata kredytu. Jedno i drugie zbliża się z końcem miesiąca, a szanse, że na tym kawałku ziemi uda ci się rzeczywiście dojść do czegoś poza stratami, są raczej bliskie zeru. Praca w szkole to twoja polisa ubezpieczeniowa, której teraz potrzebujesz.

- Amos, ja mam pracę. - Wyciągnąłem przed siebie ręce. - Dokładnie tu, o, i tam. To wszystko jest właśnie moja praca. - Wskazałem na pola otaczające dom. - A skąd ty w ogóle wiesz o moich podatkach i ratach? Pochylił głowę, wpatrując się w ziemię.

- D.S., razem tutaj dorastaliśmy, grając w piłkę na tym polu. Dokładnie tam rozciąłeś mi wargę, a - spojrzał w kierunku swojego domu - prawie dwieście metrów stąd, po drugiej stronie tego pola i polnej drogi, znajduje się moja chata i moje pole. Znam się więc na rolnictwie. Nie chcę, abyście razem z Maggie to wszystko stracili. - Splunął. - Do diabła, nie chcę. I nie spieraj się ze mną. Skorzystaj ze swojego wykształcenia, posłuchaj mnie i wejdź pod prysznic, skoro jesteś jeszcze w stanie opłacać rachunki za ciepłą wodę.

- Co z Maggie? - zapytałem ponownie.

- Będzie żyła. Jej stan jest stabilny. Przynajmniej pod względem fizycznym. Psychiczenie... nie wiem. To już Jego kompetencje. - Oczy Amosa skierowały się ku niebu.

- Amos - odezwałem się, gdy świat z wolna zaczął nabierać ostrości - powiedz mi, o co chodzi z całym tym prowadzeniem zajęć?

W czasie studiów w Wirginii brałem godziny zlecone z siedmioma grupami na dwóch różnych uniwersytetach, żeby było nam łatwiej płacić rachunki oraz by zapewnić sobie, jak mi się zdawało, miejsce pracy po zakończeniu studiów. Ale gdy obroniłem doktorat i otrzymałem tytuł, nikt nie chciał mnie zatrudnić. Miałem wrażenie, że nie tyle chodziło tu o kwalifikacje, ile o moje pochodzenie. Chłopak z farmy jako nauczyciel, a w każdym razie „ten chłopak”, nie był mile widziany na ich wydziale.

Nie mogąc znaleźć pracy w dziedzinie, którą wybrałem, osiadłem na swoim polu. Nie byłem jak mój dziadek, Papa Styles, i nikt nie pukał do moich drzwi z prośbą o radę, niemniej razem z Maggie wiązaliśmy koniec z końcem dzięki pracy na roli. Amos o tym wiedział. Wiedział również, że spotkawszy się już raz z odmową, nie byłem raczej skory do tego, by znowu płaszczyć się przed nimi - zwłaszcza w zamian za godziny zlecone w prowincjonalnym collegeu.

- College w Digger, sala numer jeden, w katalogu kursów - angielski, numer przedmiotu: 202. Prowadziłeś już takie zajęcia.

- Ale Amos, po co? Z tego, co daje ziemia, z tej plantacji igieł sosnowych oraz dwóch pastwisk oddanych w leasing

można wyżyć. Moje miejsce jest przy Maggie, a nie z bandą wyrzutków, którzy nie zdołali się dostać do porządnej szkoły.

- D.S., nie ośmieszaj mnie. Nie wtedy, gdy się za tobą wstawiam. I nie poniżej tych dzieciaków. Nie one jedne nie mogły dostać się do „porządnej szkoły”. - Amos potrafił być brutalnie szczery. Miał także swój prawdziwie subtelny sposób na to, jak sprawić, bym przełknął swoją dumę. - A poza tym, to nie był mój pomysł, tylko Maggie.

- Maggie?

- Znalazła w gazecie ogłoszenie, że college zatrudnia nauczycieli kontraktowych. Zadzwoiła więc do pana Wintera jakiś miesiąc temu, aby zasięgnąć informacji. Miała rozmawiać o tym z tobą po porodzie.

- Hm, tak... - czułem się skołowany. - Nie miała okazji.

- A jeśli chodzi o twoje zobowiązania podatkowe i spłatę kredytu, to Shireen z posterunku uzyskała dla mnie dostęp do twoich zeznań i harmonogramu spłat, który notabene wygląda naprawdę nieźle. Próbuję ci tylko pomóc, aby nic się pod tym względem nie zmieniło.

Pokręciłem głową i powstrzymałem falę mdłości.

- Amos, gdybym tylko mógł cię wpakować do aresztu razem z tymi twoimi niewiniątkami...

- D.S., jak długo zamierzasz się ze mną o to spierać? Dobrze wiesz, że każdy z tych, których wsadzam do aresztu, zasługuje na to, aby się tam znaleźć. Oni też o tym wiedzą.

Miał rację. Miał to wypisane na czole. Każdy wiedział, że Amos był w porządku, nawet ci, których wsadzał do aresztu. Gdybyśmy złamali kiedyś prawo, to chcielibyśmy, aby aresztował nas właśnie ktoś taki jak on. Dostalibyśmy to, na co zasłużyliśmy, ale całkowicie sprawiedliwie. Amos stał na straży prawa. Nie afiszował się nim.

- A poza tym - szepnął - takie było życzenie Maggie. W którymś momencie podczas tych ostatnich trzech dni uwaląłem się w świńskich odchodach, które teraz znalazły się także na rękach i koszuli Amosa. Otrzeptał się, rozmazując je na sobie jeszcze bardziej, przerwał na chwilę, a potem popatrzył dokładnie w moim kierunku.

- D.S., spójrz na mnie. Stoję tu w mundurze pokrytym świńskim łajnem, mam ze sobą krótkofalówkę, naładowany pistolet, wielką pałkę i odznakę. Gdybym mógł przez moment zamienić się z tobą miejscami, zrobiłbym to. Ale że nie mogę, pozostaje mi prosić cię, żebyś wszedł do domu, wziął porządny prysznic, ogolił się i przebrał. Ponieważ w głębi duszy wiesz, że to najlepsze, co możesz zrobić. - Jego wzrok powędrował w kierunku pola kukurydzy. - Tak będzie najlepiej dla twojej żony i dla tego miejsca.

Czasami wolałbym, aby Amos nie był taki szczery.

- Kto jest teraz przy niej? - zapytałem.

- Jeszcze do niedawna ja tam byłem. Teraz jest pielęgniarka. Kochana dziewczyna. Córka pastora. Maggie będzie pod dobrą opieką. D.S., nic więcej nie możesz dla niej zrobić. Wszystko w rękach Boga. Nie rozumiem, dlaczego tak jest, i nie podoba mi się to, ale ani ty nie możesz nic dla niej zrobić, ani ja. W tym momencie powinniśmy się więc martwić raczej o ciebie, aby nazwisko Styles - wyciągnął palec wskazujący - na tamtej skrzynce na listy nie okazało się nieporozumieniem. A żeby tak się nie stało, musisz wyklądać. Do tego to się sprowadza. I nie wciskaj mi kitu, że niebędziesz już uczył. - Amos skierował we mnie swój ogromny palec i zastukał nim w moją klatkę piersiową. - Jesteś nauczycielem. Dlaczego według ciebie Bóg już na samym początku podarował ci Nanny? Wydaje ci się, że to był jakiś kosmiczny przypadek? - Splunął raz jeszcze. - Myślisz, że dzieliła się z tobą tym wszystkim, abyś trzymał to pod kluczem w swojej samotni?

Postawił stopę na stopniu i oparł łokieć o kolano.

- Nie wydaje mi się. Może i lubisz pracę na roli, ale nie jesteś taki jak Papa, a przynajmniej jeszcze nie. Możesz ukrywać się tu, jeżeli taka twoja wola, ale byłoby to z wielką szkodą dla ciebie. A teraz doprowadzisz się do porządku czy sam mam cię potraktować wodą ze szlauchu?

Otworzyłem drzwi i poczłapałem do środka, mamrocząc niewyraźnie:

- Do diabła z tobą, Amos...

- Hej, spełniam tylko obietnicę daną twojej żonie. Ty się z nią ożeniłeś. Nie ja. Jeżeli masz jakieś zastrzeżenia - skinął w stronę szpitala - to kieruj je do niej.

- Tak bym zrobił, gdybym mógł się tam dostać.

- Hm... Zrób to, jak będziesz po swojej pogaduszce z panem Winterem.

Amos uśmiechnął się, mruczając coś do siebie, a potem wszedł do kuchni i zaczął czyścić ekspres do kawy.

Rozdział czwarty

Moje narodziny stanowiły chyba dla rodziców cud - z racji ich wieku. Przynajmniej mówiono mi, że tak sądzili, gdyż tata miał wtedy czterdzieści dwa, a mama czterdzieści lat. Posiadam z tego okresu cudowne wspomnienia, chociaż niezbyt ich dużo, ponieważ tata zginął w wypadku samochodowym mniej więcej w czasie moich piątych urodzin, a mama zmarła na udar, kupując w supermarkecie płatki śniadaniowe, sześć miesięcy później.

Po pogrzebie córki przyjęli mnie do siebie dziadkowie i wychowywali, aż skończyłem osiemnaście lat i wybrałem się do collegeu. Pomimo braku rodziców w naszym domu panowała miłość. Papa z Nanny zadbali o to. Przelali ją na siebie nawzajem, na mnie oraz na dom.

Gdy dziadek budował ten nasz niewielki, ceglany wiejski budynek, ponad sześćdziesiąt lat temu, ułożył w nim podłogę z desek magnolii o długości półtora metra każda, które połączył ze sobą bez użycia gwoździ. Były mocne, skrzypiały i pokryte były gdzieniegdzie głębokimi bruzdami, a w miejscu, gdzie moi dziadkowie tańczyli w samych skarpetach do muzyki big-bandu Lawrence'a Welka, wypolerowane na błysk.

Papa wyłożył ściany piętnastocentymetrowymi deskami z drewna cyprysowego, sufit ośmiocentymetrowymi deskami z dębu łączonymi ze sobą na wpust i pióro, a dach blachą falistą. Nie przypominam sobie, aby dom miał kiedykolwiek inne barwy niż biel z zielonymi wykończeniami i okiennicami. Dlaczego? Ponieważ tak podobało się Nanny, a Papa nie oponował.

Pewnego lata, stojąc na drabinie i malując któryś to już raz z kolei podsufitkę, spojrział w dół i powiedział z uśmiechem:

- Nigdy nie przekomarzaj się z kobietą w sprawach dotyczących jej domu. Zapamiętaj jedno. Należy on do niej, nie do ciebie. - Pomachał pędzlem w kierunku kuchni i szepnął: - Niech będzie, że to ja go zbudowałem, ale w gruncie rzeczy to mamy szczęście, że pozwala nam tu nocować.

Kiedykolwiek myślę o domu Nanny, przypominam sobie lśniąca na nim wiosną biel i zieleń świeżo nałożonej farby na tle całego tego kwitnienia oraz chłodny powiew bryzy przedostającej się przez frontowe i tylne drzwi, otwarte dzięki zapierającym je dwóm żelazkom, które wyszły już z łask.

Papa miał sporo dziwactw. Trzy pierwsze miejsca na liście zajmowały: spodnie nieprzemakalne, scyzoryki oraz ryżowe chrupki śniadaniowe. Pierwsze dwa dzielił z większością farmerów, ale trzecie z nich już nie. Wyciągał z kredensu miskę, wypełniał ją po brzegi płatkami, układał na nich kawałki brzoskwiń i polewał ćwiartką litra śmietany, opróżniając całą paczkę przy

jednym posiedzeniu. Nic dziwnego, że pierwsze trzy słowa, które nauczyłem się czytać, brzmiały: chrupać, kruszyć i pękać.

Ze względu na swoje ubogie wiejskie pochodzenie Nanny i Papa nie odebrali należytego wykształcenia. Urodzeni w czasach przed Wielkim Kryzysem i wychowani w okresie, gdy dolar coś znaczył, byli zbyt pochłonięci pracą, aby zaprzętać sobie głowę edukacją. Proszę jednak nie myśleć, że wykształcenie było dla nich czymś obcym. Oboje odznaczyli się zacięciem poznawczym, tyle tylko, że nie miało ono charakteru akademickiego. Papa poświęcał się studiom nad zagadnieniami z zakresu upraw i hodowli, i był w tym dobry. W ciągu tych sześćdziesięciu lat, gdy zajmował się ziemią, częściej rodziła niż nie. Jego reputacja zataczała coraz szersze kręgi, a ludzie zaczęli pokonywać szmat drogi tylko po to, aby zaczepić go i zasięgnąć jego opinii na różne tematy, od metod karmienia począwszy, na metodach zasiewu skończywszy.

W czasie gdy Papa pracował na roli, Nanny gotowała i szyła. A późnym wieczorem, gdy zdjęła już swój fartuch i powiesiła go na drzwiach prowadzących z kuchni na tył domu, czytała. Mieliśmy telewizor, ale jeśli o mnie chodzi, to wołałem jej głos. Po tym, jak Walter Cronkite mówił nam co wieczór, że dzisiaj również ze światem nie stało się nic złego, Papa pstrykał, wyłączając telewizor, i Nanny otwierała książkę.

Po szkole odnajdywałem wzrokiem Papę siedzącego na traktorze, biegłem przez pastwisko, siadałem mu na kolanach i słuchałem jego opowieści o potrzebie drenażu tarasowego, oznakach porannego wschodu słońca, zapachu popołudniowego deszczu, smaku słodkiej kukurydzy i, oczywiście, o Nanny. Gdy nasze karki pokryte już były kurzem i spieczone na czerwono od zachodzącego słońca, Papa i ja unosiliśmy w górę nosy i podążaliśmy za zapachami, jakie rozchodziły się z kuchni Nanny. To była rzecz, która prowadziła nas z powrotem do domu niczym dwa charty wietrzące zwierzyne.

Pewnego ranka, gdy miałem około dwunastu lat, stałem właśnie w łazience, przygotowując się do wyjścia do szkoły i słuchając nastawionej głośno stacji nadającej rock'n'rolla, prowadzonej przez pewnego wulgarnego didżeja i słuchanej przez wszystkich moich kolegów.

Wszedł Papa z uniesionymi ze zdziwienia brwiami, ściszył radio i powiedział:

- Synu, rzadko mówię ci, co masz robić, ale dzisiaj zrobię wyjątek. Możesz słuchać tego - wskazał na radio, z którego za sprawą jego interwencji dobywała się teraz muzyka country - albo tego. - Przekreślił gałkę i powietrze wypełniły hymny z lokalnej stacji nadającej muzykę gospel.

To była jedna z najlepszych rzeczy, jaką dziadek kiedykolwiek dla mnie zrobił. Posłuchajcie Williego Nelsona, gdy śpiewa My Heroes Have Always

Been Cowboys, a zrozumiecie, o co mi chodzi. Mniej więcej w tym samym czasie przeskakiwałem po wszystkich trzech kanałach telewizyjnych, które odbierał nasz zakurzony zenith, i trafiłem na serial zatytułowany The Dukes of Hazzard. Jako że wcześniej słyszałem te same głosy śpiewające w radiu temat przewodni, powiązałem sobie jedno z drugim.

Od dawna już cały mój tydzień kręcił się wokół tego, co będę robił w piątkowy wieczór o dwudziestej. Nanny i Papa oglądali telewizję razem ze mną, ponieważ po filmie rozpoczynał się serial Dallas, a oni musieli dowiedzieć się w końcu, kto zabił J.R. Ale od dwudziestej do dwudziestej pierwszej telewizor należał do mnie. Zakochałem się w Bo oraz Luku Duke'ach i bawiłem się, naśladując wszystko, co robili. Z pomocą Papy kupiłem sobie gitarę, nauczyłem się grać Mommas, Don't Let Your Babies Grow Up to Be Cowboys i zacząłem nosić buty kowbojki. Na każdą okazję.

Papa pracował ciężko przez sześć dni w tygodniu, ale jak większość konserwatywnych protestantów z południa Stanów Zjednoczonych, nigdy w niedziele. Niedziele przeznaczone były jedynie dla Pana, Nanny i dla mnie. Przedpołudnia spędzaliśmy w kościele, następnie zajadaliśmy się pieczonym kurczakiem lub kotletami wieprzowymi. Po leniwej popołudniowej drzemce chadzaliśmy nad rzekę, gdzie łowiliśmy leszcze na dżdżownice lub słuchaliśmy roznoszących się tuż po zapadnięciu zmroku głosów leśnych kaczek.

Papa nigdy nie manifestował przesadnie swojej wiary, ale z jakichś powodów uwielbiał stawiać kościelne wieże. W ciągu tych piętnastu lat, podczas których mieszkałem z dziadkami, byłem świadkiem dwunastu sytuacji, gdy organizował imprezy służące wznoszeniu kościelnej wieży. Pastorzy z całej okolicy dzwonili, prosząc go o pomoc, i o ile mi wiadomo, żadnemu z nich nie odmówił. Wyznanie kościoła nie miało dla niego większego znaczenia, ale wysokość wieży, owszem. Im wyższa, tym lepsza. Najbliższa znajdowała się jakąś milę od naszego domu, na szczycie kościoła pastora Johna Lovetta - charyzmatycznego zielonoświątkowca, a na jej froncie widniał napis: „Zesłanie Ducha Świętego nie było jednorazowym zdarzeniem”.

Skończywszy czternaście czy piętnaście lat, zapytałem dziadka:

- Papa, dlaczego właśnie wieże?

Uśmiechnął się, wyciągnął z kieszeni scyzoryk, zaczął czyścić nim każdy paznokieć z osobna i spojrzał gdzieś ponad pastwisko.

- Niektórym trzeba wskazać właściwy kierunek - powiedział. -Ja również się do nich zaliczam.

Podczas mojego pierwszego roku w college'u Nanny zapadła na zdrowiu. Gdy okazało się, że to coś naprawdę poważnego, jadąc do domu, złamałem wszystkie

mijane nakazy i zakazy, jakich wiele było po drodze. Wbiegłem na schody z tyłu domu dokładnie w momencie, gdy Papa padał na kolana, modląc się: „Panie, błagam Cię. Podaruj mi jeszcze jeden dzień z moją żoną”.

Po sześćdziesięciu dwóch latach muzyka ucichła, światła przygasły i skończyły się ich tańce na deskach z drewna magnolii. Samotność złamała Papę, który trzy tygodnie później również odszedł. Lekarze powiedzieli, że jego serce po prostu przestało bić, bo nie ma terminu medycznego na oznaczenie złamanego serca. Papa po prostu umarł. I tyle.

Dorastając, zawsze chciałem wybrać się w podróż na zachód. Gdy zmarli dziadkowie, znalazłem wreszcie usprawiedliwienie, urwałem się więc ze szkoły i wyruszyłem w stronę zachodzącego słońca. Wychowałem się, oglądając z Papą westerny, a zatem cała ta niezmierna otwarta przestrzeń fascynowała mnie. A poza tym tam właśnie rozciągały się Góry Skaliste. Całymi tygodniami podróżowałem od jednej góry do drugiej. Zobaczyłem Wielki Kanion i nawet zamoczyłem stopy w Pacyfiku. Nie potrzebuję wiele, żywiłem się więc głównie masłem orzechowym i spałem wraz z Blue na tyle mojego trucka. Nawzajem dawaliśmy sobie trochę ciepła.

Gdy przybyłem do Nowego Meksyku, powoli zaczęły mi się kończyć pieniądze, zapakowaliśmy się więc do wozu i wyruszyliśmy w drogę do domu. Gdy w końcu dotarłem z powrotem do Digger, prawie rok po śmierci Papy, wino i chwasty prawie zakrywały już dom, wiatr zdążył powyrywać parę okiennic, zaczęła odłazić farba i jeden lub dwa słupy ogrodzenia przewróciły się, pociągając za sobą drut kolczasty. Ale woda ze studni wciąż smakowała dobrze, dom był suchy, a bryza, która kojarzyła mi się z Nanny, przynosiła ochłodę nawet w duszne sierpniowe popołudnia. Papa wiedział, co robi, budując dom właśnie tutaj.

Spędziłem sześć tygodni na czyszczeniu, malowaniu, polerowaniu podłóg papierem ściernym, naprawianiu kanalizacji, oliwieniu klamek i zawiasów od drzwi oraz doprowadzaniu do porządku płotu i drutu kolczastego. Spędziłem także mnóstwo czasu przy traktorze, próbując po prostu ponownie go uruchomić. Jego warkot kojarzył mi się z Papą, ale pozostawał w bezruchu zbyt długo i kilka fragmentów przewodu paliwowego skorodowało. Spuściłem resztki paliwa, zmieniłem świece, rozdzielacz i sam przewód. Po paru wyrafinowanych epitetach i kilku telefonach do Amosa maszyna w końcu zaskoczyła.

W drodze do sklepu z narzędziami wpadłem na Maggie. Znaliśmy się ze szkoły średniej, ale nigdy nie byliśmy parą. Z perspektywy czasu zdałem sobie sprawę, że musiałem być durniem, że tak się nie stało. Ale ja byłem wówczas zbyt zajęty polowaniami, wędkowaniem albo grą w futbol. W każdym razie z

tego powodu nie tylko nie chodziłem na randki, ale także nie przykładałem się do nauki. To przyszło dopiero później.

Papa powiedział mi kiedyś, że zanim spotkał Nanny, zawsze czuł się jakoś dziwnie. Był to stan, który przypominał puzzle, w których brakuje dwóch trzecich elementów. Gdy poznałem Maggie, zdałem sobie sprawę z tego, co miał na myśli. Większość facetów opowiada o figurze swoich żon, w przypadku mojej, owszem, było tak samo, ale to jej włosy jak u Audrey Hepburn i oczywiście u Bette Davis przykuły moją uwagę.

Po dwóch lub trzech kolejnych „przypadkowych” spotkaniach w sklepie z narzędziami zebrałem się w sobie i zaprosiłem ją na randkę, nie musiałem zresztą długo jej namawiać. Gdybym nie był lebiegą, poprosiłbym ją o rękę już po dwóch tygodniach, ale potrzebowałem sześciu miesięcy, zanim zdobyłem się na odwagę. Kupiłem obrączki, pobraliśmy się i gdzieś na plaży pod gwiazdami Jekyll Island Maggie przekonała mnie, abym dokończył swoją edukację.

Zapisałem się więc na zajęcia wieczorowe do filii Uniwersytetu Południowej Karoliny w Walterboro. Podczas gdy śmierć Nanny i Papy podcięła mi skrzydła, Maggie pomogła mi je na nowo rozprostować i obrać właściwy kierunek dalszego lotu.

Przez większą część życia, w znacznej mierze dzięki zachętom ze strony Nanny, pisałem. I była to jedyna rzecz,

w której byłem naprawdę dobry. Gdy rozpocząłem pierwszy rok studiów na uniwersytecie, zapisałem się na wydział filologii angielskiej i taki był początek mojej drogi ku obronie tytułu z twórczego pisania. Szło mi to znakomicie - tak mi się przynajmniej wydawało.

Podczas pierwszych trzech lat na uczelni napisałem parę opowiadań i powysyłałem je do wszystkich czasopism, do których można coś wysłać, będąc pisarzem. „The Saturday Evening Post” czy choćby „The New Yorker”. Wciąż trzymam teczkę z odpowiedziami odmownymi. Gdy teczka zrobiła się prawie pełna, przestałem wysyłać opowiadania. Jednak Maggie nadal we mnie wierzyła. Pewnego dnia, pod koniec pierwszego roku na uczelni, wydrukowała kilka fragmentów moich tekstów i wysłała je do Wirginii wraz z podaniem o przyjęcie na studia magisterskie. Z jakichś powodów przyjęli mnie i obiecali nawet, że opłacą mi czesne i kupią podręczniki. Nie wiem, czy stało się tak dlatego, że moje pisarstwo miało jakąś wartość, czy dlatego, że sam nie dałbym rady za to zapłacić. W każdym razie to oni wzięli na siebie wszystkie koszty.

Tak więc razem z Maggie wytyczyliśmy dla mnie kolejny kierunek i wróciłem do szkoły. Nie upłynęło jednak zbyt wiele czasu i moje wielkie nadzieje na to, by pogłębić rozumienie sensu pisania, podsycane przez miłość

Nanny do czytania, legły w gruzach. Studia magisterskie nie stały się dla mnie drogowskazem. Nie ukończyłbym ich, gdyby nie Victor Graves, czerstwy, zaawansowany już wiekowo profesor, który śmiał się niczym niestroniący od rumu podпиты marynarz. Vic wziął mnie pod swoje skrzydła i nauczył nawigować.

Po obronie pracy Vic zachęcił mnie do złożenia podania o przyjęcie na studia doktoranckie. Przy odrobinie nadziei, ale bez żadnego dodatkowego wsparcia, tak właśnie zrobiłem. Trzy tygodnie później otrzymałem list, iż zostałem przyjęty, a Maggie oprawiła go w ramkę i powiesiła nad moim biurkiem. Nie mogłem w to uwierzyć. Ja? Uczestnikiem studiów doktoranckich? Chyba ktoś tu żartuje. Jestem gościem, który zbijał baki w szkole średniej. Ale z listu wynikało, że chcieli mnie przyjąć i że znowu byli gotowi zapłacić za moje kształcenie - co było miłe z ich strony, ponieważ bez finansowego wsparcia nigdy bym się nie zdecydował. Oni zatem dali mi stypendium, a ja zabrałem się do roboty.

Dzięki Vicowi coś zaczęło mi się wreszcie jarzyć - niczym iluminacje na 4 Lipca - i w końcu odkryłem, jak mądra była Nanny.

Nie było łatwo, ale daliśmy radę. Mieszkaliśmy w jednopokojowym mieszkanku na piętrze i gdy Maggie obsługiwała stoły, ja na rannej zmianie przygotowywałem do wysyłki paczki w UPS. Zaczynałem pracę wcześniej, ona pracowała do późna, i tak przez około dwa lata nie widywaliśmy się zbyt często.

Właśnie na skutek owych usilnych zachęt ze strony Vikiego szybko się przekonałem, że nawet moja babcia z nadmiaru ciekawych historii puszczała mimochodem więcej z nich, niż tak zwani eksperci od literatury czytali w całym swoim życiu. I nie chodzi tylko o to, że lepiej je rozumiała, ona miała także dryg do pomagania innym w tym samym. To, że ktoś coś wie albo tak mu się wydaje, nie oznacza jeszcze, że może to wykładać.

Ukryci sprytnie za fasadą akademickości oraz blichtrzem swoich tytułów moi wykładowcy stanowili w większości grupę sfrustrowanych pismaków, którzy nie umieliby stworzyć świetnej historii, nawet gdyby zależało od tego ich życie. W obliczu braku własnego talentu znajdowali niezdrową satysfakcję w prześladowaniu innych. A ja miałem nadzieję, że może zdołam wywiązywać się ze swoich obowiązków lepiej. Myślałem, że może uda mi się przekazać cudowną moc

Nanny, wykorzystując ostry jak scyzoryk zdrowy rozsądek Papy, i uchronić studentów przed panującym wokół zjadliwym cynizmem.

Przyjąłem więc stanowisko asystenta stażysty na uczelni i prowadziłem zajęcia z angielskiego dla studentów pierwszego i drugiego roku. Czerpałem przyjemność z uczenia oraz kontaktu z młodymi ludźmi. Ba, udało mi się nawet

sprawić, że u kilkorga z nich zapaliło się jakieś światełko. Wszystko, na czym mi zależało, to przybliżyć im moc i cud języka. Ale zakulisowe rozgrywki i wewnętrzne walki na krętej drodze do stałego etatu zaprowadziły mnie na skraj uzależnienia od alkoholu. Jeżeli przyjąć, że pióro jest potężniejsze niż miecz, potrafi ono także być od niego znacznie bardziej krwawe. Zamiast odkrywać i przekazywać sobie w kręgu moich kolegów ów cud, który poznałem dzięki Nanny, siedząc wraz z nią przy kominku, spotkałem jedynie pełnych goryczy ekspertów tkwiących niewzruszenie w swoich wieżach z kości słoniowej, którzy wychylali się z nich jedynie po to, by burzyć inne zamki, nie zaś z chęci ich późniejszego odbudowywania. Liczyło się tylko to, aby zabrać głos. Nawet gdy siał on zniszczenie.

Podczas gdy ja starałem się pomóc tym dzieciakom podążać drogą, na której mogłyby znaleźć prawdy uniwersalne oraz tematy, które wielkie powieści ukazują nam w tak niezapomniany sposób - miłość, nadzieję czy przebaczenie - i być może tym sposobem zachęcić do twórczego ich przetwarzania oraz przelewania na papier, moi koledzy unosili brwi i pytali ex cathedra: „Ok, ale co autor miał na myśli?”. Przypominali mi farmaceutów, którzy mielią pastylki na proszek i badają jego skład, nigdy nie kłopotząc się, aby poczuć działanie leku na sobie samym.

Dając się wciągnąć w tę postmodernistyczną zonglerkę, głęboko się rozczarowałem. Nigdy nie powiedziałem tego Maggie otwarcie, ale ona potrafiła to odczytać. Wiedziała. Po obronie poważnie ze mną porozmawiała. Przewyciężyłem więc w sobie niesmak i powypełniałem ze dwadzieścia podań o pracę do różnych uczelni porzrzucanych na Południu. Przykleiłem znaczki na listach, wrzuciłem je do skrzynki i miałem nadzieję, że gdzie indziej trawa jest bardziej zielona. Po otrzymaniu ostatniej już odpowiedzi zaczynającej się od słów: „Przykro nam poinformować...”, którą przysłano mi z college'u w mojej rodzinnej miejscowości, zrezygnowaliśmy z naszych posad, spakowaliśmy się i wróciliśmy tutaj.

Wirginia jest ładna, ale nie wytrzymuje porównania z Południową Karoliną. Nie zdążyliśmy jeszcze przejść przez drzwi, gdy uświadomiłem sobie, że moja miłość do pracy na roli ma znacznie głębsze korzenie niż te pędy, które zdołałem zapuścić na gruncie akademickim. Gdy powędrowałem wzrokiem po polach, na których spędziłem wiele szczęśliwych dni, wiedziałem już, że będę tęsknił za studentami, żywą wymianą myśli i oznakami, że coś zaczyna im świtać, ale tylko tyle. Cieszyłem się, że wróciłem do domu.

Woda w studni cuchnęła jak stare jaja, z kranów kapało jak podczas chińskich tortur wodnych, a w obu sedesach nieustannie się lało, ale ani razu nie słyszałem,

aby Maggie się skarżyła. Kochała nasz wąski, ogrzewany węglem kominek, werandę z przodu oraz z tyłu domu i dwoje drzwi wejściowych, które zamykały się z trzaskiem i skrzypieniem pomimo oliwienia. Jej dwiema głównymi przyjemnościami było zaś słuchanie lekkiego deszczu dzwoniącego o metalowe dachówki i wpadająca do domu bryza Nanny.

Nigdy tego nie mierzyłem, ale razem z werandami dom miał bez mała czterysta metrów kwadratowych. Był nasz i przez sześćdziesiąt dwa lata panowała w nim miłość.

Czując się, jakbym przesiadając się z rowerka na trzech kółkach, po raz pierwszy wsiał na rower, wskoczyłem na traktor, wciągnąłem nosem powietrze w poszukiwaniu woni nadciągającego deszczu i ryczałem przez całą drogę nad rzekę. Lekcje Papy okazały się skuteczne i wyrwawszy się wreszcie z akademickiej rutyny, zrzucając jarzmo podręcznikowej nudy, przypomniałem sobie, jak to jest być rolnikiem. W ciągu naszego pierwszego roku na farmie sprzedałem sosnowe igliwie zebrane z tysiąca pięciuset akrów zasianej sosny, wydzierżawiłem dwa pięćsetakrowe kawałki pola farmerom na pół etatu z Walterboro, zasiałem ziarno soi na pozostałych pięciuset akrach należącej do nas ziemi - mającej w sumie powierzchnię trzech i pół tysiąca akrów. Przed końcem roku zarobiliśmy zaś nasze pierwsze pieniądze.

Maggie spojrzała na zdjęcie Papy na kominku, musnęła palcami skórę naokoło moich oczu i powiedziała:

- Obaj macie takie same zmarszczki.

Nie miałem nic przeciwko. Lubię patrzeć, jak coś rośnie. To właśnie niedługo potem Maggie klepnęła mnie w ramię i szepnęła:

- Chodźmy popływać.

Pamiętam, jak leżałem nad brzegiem rzeki, czując na piersi głowę mojej żony, spoglądając na krople wody spływające po jej bladej skórze i myśląc sobie, że Bóg musi być w tej chwili zadowolony. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Potem nastąpił poród.

Zakład pogrzebowy zajął się ciałem mojego syna. Podjechaliśmy wraz z Amosem moim truckiem, aby zabrać zimną, metalową trumienkę. Przeszedłem przez wahadłowe drzwi, pochyliłem się, podniosłem ją i wróciłem do wozu, w którym

Amos opuścił tylną klapę. Delikatnie wsunąłem ją na pakę. Podczas gdy Amos dziękował przedsiębiorcy pogrzebowemu, że ten zajął się wszystkim i poczekał kilka dni dłużej, ja wszedłem na tył trucka i objąłem trumnę kolanami, żeby się nie ślizgała.

Amos zamknął tylną klapy, wspiął się do szoferki i wiozł nas przez dwadzieścia minut z powrotem na farmę. Pod rozłożystymi konarami dębu, na skarpie biegnącej ku rzece, obok grobu moich dziadków już wcześniej wykopałem w ziemi dół z naddatkiem na cementową wylewkę. Amos zaparkował trucka, a ja uniosłem skrzynkę z moim synem w środku i podeszliśmy do dołu.

Staliśmy tak przez jakiś czas, po czym Amos odchrząknął i umieściłem mojego syna w głębi otworu. A później Amos podał mi swoją Biblię. Minał już jakiś czas od momentu, gdy do niej zaglądałem. To pewnie było na Boże Narodzenie. Maggie zawsze lubiła czytać fragmenty o narodzeniu Chrystusa.

- W którym miejscu mam czytać? - zapytałem.

- Psalm 139.

Palcem wskazującym otworzyłem opasły tom gdzieś pośrodku. Cienkie kartki marszczyły się, fruwały na wietrze i trudno było mi odnaleźć właściwą stronę. Gdy ją znalazłem, zacząłem czytać słowa psalmu. Przeczytałem tyle, ile zdołałem.

Panie, przenikasz i znasz mnie, Ty wiesz, kiedy siadam i wstaję. Z daleka przenikasz moje zamysły... Gdzież odejdę daleko od Twojego ducha? Gdzie ucieknę od Twego oblicza?... jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę.

Chwilę potem zamilkłem i Amos kontynuował z pamięci.

...Ty bowiem utworzyłeś moje nerki,
Ty utkałeś mnie w łonie mej matki.
...nie tajna Ci moja istota,
kiedy w ukryciu powstawałem...
i w Twojej księdze zostały spisane wszystkie,
dni, które zostały przeznaczone...

Gdy skończył, stał tak z pochyloną głową i splecionymi z przodu rękami. Pojawiła się bryza i powiała nam w plecy. A później głębokim, niskim głosem Amos zaczął śpiewać pieśń Amazing Grace.

Ja milczałem.

Podczas gdy śpiewał, uklęknałem u boku mojego syna i oparłem głowę na trumnie. Pomyślałem o tym wszystkim, co już nigdy nie miało się wydarzyć. Grze w baseball. Jeździe na traktorze. Malowaniu palcem. Wiedziałem, że nie spyta: „Tato, mogę pożyczyć samochód?”. Nie kupi pierwszej pary kowbojskich butów. Nie usłyszę o jego dziewczynach. Nie zobaczę pierwszych niezdarnych kroków. Wędkowania. Nici też i z zakatarzonego nosa. Gry w berka. Pływania.

Babek z piasku. Wakacji. Wszystko, o czym już rozmawialiśmy, rozwiało się jak mgła. Zapadłem się gdzieś w czystą i pustą otchłań.

Śpiew Amosa sprowadził mnie z powrotem na ziemię. Tym bardziej że każdą z sześciu zwrotek śpiewał coraz głośniejsze. Pieśń dobiegła końca, ale Amos nie zamierzał przerywać.

- D.S., nie masz nic przeciwko, abym zaśpiewał jeszcze jedną?

Pokręciłem głową, a on, spoglądając na drugi brzeg rzeki, zaczął ponownie.

Gdy spokój, niczym rzeka, rozleje się na mej drodze, gdy smutki przewalą się jak morskie bałwany...

Od czasu collegeu Amos dwa razy w tygodniu śpiewał w kościelnym chórze. Był pasjonatem historii Kościoła, a zwłaszcza interesowały go okoliczności towarzyszące powstawaniu hymnów. Wiele lat temu, podczas wspólnego spływu rzeką, opowiedział mi historię powstania It Is Weil tuith My Soul, i wciąż ją pamiętam. Tymczasem siedziałem, wpatrując się w metalową trumnę z moim małym synkiem w środku, dzieckiem, którego nie było mi dane poznać, dzieckiem, którego nigdy nie trzymałem na rękach. Wtedy pomyślałem o Horatio G. SpafFordzie.

SpafFord, prawnik z Chicago, wybrał się kiedyś z rodziną w podróż do Europy na wakacje. Widzę go, jak wchodzi wraz z rodziną na parowiec, którym mają podróżować przez Atlantyk. Zostaje jednak pilnie wezwany w sprawach zawodowych. Wysyła więc rodzinę samą, planując spotkać się z nimi w Anglii. Są już niedaleko celu, gdy nadchodzi sztorm, zatapia statek i cała czwórka dzieci SpafFordów tonie, stojąc na pokładzie i trzymając się za ręce. Jego żona, dobra pływaczka, dociera do brzegu i wysyła mu telegram z krótką wiadomością: „Przeżyłam tylko ja”.

Załamany SpafFord wsiada na następny parowiec. Gdy statek dociera do miejsca, gdzie utonęły jego dzieci, kapitan prowadzi go na pokład.

- O, tutaj to się stało - pokazuje i zostawia go samego na pokładzie.

Chciałbym wiedzieć, czy w tamtej chwili przeżył załamanie. Czy padł na kolana? Jak bardzo musiał zapragnąć, niczym Piotruś Pan, wylecieć za burtę? Czy skoczyłby, gdyby nie żona czekająca na brzegu? Jeśli o mnie chodzi, to tamta ciemna woda sięgnęłaby po mnie, wciągając w głąb - skostniałego z zimna. Ale ze SpafFordem jest inaczej. On stoi tam, ociera łzy, wpatruje się w wodę i wraca do kabiny, gdzie pisze hymn.

Kim musi być człowiek, który pisze hymn w miejscu, gdzie na dno poszła czwórka jego dzieci? Kim musi być człowiek, który zabiera się do pisania po śmierci swoich dzieci? Cóż, wiersz wędruje w jego kieszeni, gdy ten wysiada ze

statku w Europie, ktoś kreśli na nim kilka uwag i proszę, oto słyhać go teraz, gdy płynie z ust Amosa.

Lekarze mówią, że dni Maggie na tym świecie „prawdopodobnie” dobiegają już końca. Niech powiedzą mi „tak” albo „nie”, niech tylko nie mówią „prawdopodobnie”. Z drugiej strony, gdyby nie to „prawdopodobnie” oraz gdyby nie obraz Maggie leżącej tam bezwładnie i krwawiącej, to ja również spocząłbym w tym dole, prosząc Amosa, aby zaśpiewał dla nas obu.

Skończył pieśń z twarzą pokrytą potem oraz łzami. Mój syn leżał w grobie. Amos chwycił za łopatę. - Zaczekaj - powiedziałem.

Wróciłem do trucka, zabrałem Huckleberry ego z przedniego siedzenia i wziąłem go pod pachę. Doprowadziłem do porządku, wyprostowałem mu czerwoną kokardkę zawiązaną wokół szyi, a potem uklęknałem przy dole i położyłem misia na wieku trumny. Postarałem się, aby pierwsza łopata ziemi opadła wolno. Delikatnie. Cicho.

Rzeka obmywała brzeg. Była spokojna i ciemna. Amos otarł twarz, nałożył okulary przeciwsłoneczne i poszedł do trucka. W ponadtrzydziestostopniowym upale czułem na plecach pot i zimne dreszcze.

Spojrzałem na swoje ręce. Mój wzrok wędrował wzdłuż sieci zmarszczek, odcisków i żył, które biegły od dłoni poprzez nadgarstek ku przedramieniu, gdzie po raz pierwszy dostrzegłem drobiny zakrzepłej krwi przyklejone do mieszków włosowych. Były ciemne, wyschły na skorupę i przemieszały się z piegami - efektem oddziaływania promieni słonecznych. To była krew Maggie. Nabrałem w dłoń ziemi i ścisnąłem ją mocno, przesypując przez palce niczym piasek w klepsydrze. Była wilgotna, gruboziarnista i pachnąca.

Potem o pogrzebie opowiedziałem Maggie. Musiałem.

Podczas gdy wracałem do domu, szczyty łodyg kukurydzy delikatnie gładziły moje ręce i nogi, prawie jak żałobnicy. Po drodze wtarłem sobie w ramię ziemię z grobu mego syna, używając jej jak proszku do czyszczenia, aż zdarta skóra stała się czysta. Stara krew zniknęła, a na jej miejscu pojawiła się nowa.

Rozdział piąty

Amfiteatr w Digger, wybudowany jakieś sześć lat temu, stanowi jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic Południowej Karoliny. Znajduje się piętnaście kilometrów od mojego domu w zupełnej głuszy. Wznosi się pośród sosen niczym tuba wybudowana z twardego drewna. Obejmuje obszar około trzech akrów, z czego większość zajmują miejsca parkingowe. Ktokolwiek go stworzył, był zdecydowanie bardziej zainteresowany jakością akustyki niż przestrzenią dla publiczności. W trakcie budowy, szumu związanego z otwarciem i nawet teraz, nieprzerwanie od tamtego czasu, ofiarodawca pozostaje anonimowy.

Amfiteatr wykorzystuje się ze trzy razy do roku. Przez resztę czasu po prostu tam jest. Występowali na nim Garth Brooks, George Strait, Randy Travis, Vince Gill i James Taylor. W większości wykonawcy muzyki country i bluegrass. Ci, którzy grywają unplugged. Gościliśmy też jednak i inne nazwiska. Choćby George'a Winstona. Pewnego razu wpadł nawet Bruce Springsteen. Wystąpił tylko z gitarą. Poszliśmy z Maggie go zobaczyć.

Kraży wiele legend na temat tego, kto postawił ten teatr. Jakaś gruba ryba z Charlestonu - mówili jedni - mająca więcej pieniędzy niż rozumu. Rozwódka z Nowego Jorku, która wściekła się na swojego męża - dodawali inni. Ekscentryk z Kalifornii - twierdzili pozostali - do którego rodziny należała ta ziemia. Krótko mówiąc, odpowiedź na to pytanie zależy od osoby, z którą się rozmawia. Ja poznałem prawdę pewnej nocy parę lat temu.

Jechałem do domu około drugiej nad ranem i przysiągłbym, że usłyszałem dźwięk dud. Zatrzymałem wóz i pod-kradłem się przez las na szczyt wzniesienia. Nie było wątpliwości. Jakiś człowiek o szerokich barach stał pośrodku amfiteatru ubrany w kilt i grał. Usiadłem i słuchałem przez około pół godziny. W końcu ciekawość wzięła nade mną górę i znalazłem się na scenie obok prawie gołego faceta. Gdy znalazłem się już w zasięgu jego wzroku, poprawił sobie kilt i uścisnął mi rękę. Ucieliśmy sobie pogawędkę i właśnie tam gość uznał, że mnie polubił. Jego pełne nazwisko, jak się dowiedziałem, brzmiało Bryce Kai MacGregor. Nosi kilt wtedy, gdy grywa na dudach. Ale po jakichś sześciu, ośmiu piwach tartanowa spódniczka przestaje być obowiązkowa. Facet ma ognistorude włosy oraz piegi i wygląda jak skrzyżowanie górnika z trollem - słowem: jedna wielka płatanina sprężystych mięśni. Brzydki nie jest, chociaż mógłby bardziej o siebie zadbać. No i te jego przeszywające zielone oczy.

Na północ od miasta, gdzie teren robi się bardziej pagórkowaty, znajduje się jego dom - kino dla zmotoryzowanych. Chociaż zostało zamknięte już ponad piętnaście lat temu, Bryce jest w nim regularnym widzom w każdy piątkowy

wieczór i ogląda wszystko, na co przyjdzie mu ochota. Na Srebrnym Ekranie, który właściwie jest bardziej biały niż srebrny i większy niż trzy ekrany razem wzięte, w jego lewym rogu widnieje pokaźna dziura, przez którą wleciał raz myszołów. Na jego nieszczęście zaklinował się i zawisł tam, w panice trzepocząc skrzydłami. Bryce wspiał się na ekran i sprzątnął ptaka z dwururki kaliber dwanaście. Zielony beret, nie ma co. Po prostu przystawił lufę do głowy i pociągnął za spust. „To było usuwanie myszołowa”, rzekł i otworzył sobie kolejne piwo.

Jego zwyczajowy sposób na spędzanie kończącego się popołudnia to siedzenie na pace swojego trucka, picie piwa i oglądanie w samotności tych samych starych filmów. Posiada setki filmów na szpulach, a jego ulubionymi są westerny z Johnem Wayne'em. Zazwyczaj w kinie dla zmotoryzowanych widzów siada na przednim siedzeniu i zawiesza głośnik na szybie swojego samochodu. Ale szyba w trucku Bryce'a jest rozbita. Zresztą nie można na przednim siedzeniu także ustawić lodówki turystycznej, parkuje więc swój wóz tyłem do ekranu i rozkłada krzeselko turystyczne na pace.

Większość głośników na parkingu jest popsuta i zwisa na poszarpanych przewodach, Bryce puszcza zatem film, a następnie jeździ wokoło w poszukiwaniu jakiegoś, który byłby sprawny. Gdy już taki znajdzie, przykleja go taśmą klejącą do burty paki albo do uchwyty lodówki. Zajmuje mu to często trochę czasu, ponieważ Bryce jest zwykle tak pijany, że nie pamięta, gdzie ostatnio znalazł głośnik, który działał. W poszukiwaniu głośników wpada na większość słupów, na których są one zawieszane, lub tylko je wywraca, co stanowi pewien problem, biorąc pod uwagę zewnętrzny wygląd jego wozu.

Tym akurat Bryce się nie przejmuje, ponieważ z rzadka bywa w mieście, nawet po produkty spożywcze. Większość zakupów robi teraz w sieci, co wydaje się dziwne, gdy o tym pomyśleć. Choć zazwyczaj jest pijany, potrafi odnaleźć komputer, gdy go potrzebuje, i bez problemu go uruchamia. W ciągu jakichś dwóch dni biały samochód dostawczy zostawia przy bramie pół tuzina, a czasem więcej, skrzynek. Jedynym odstępstwem od zasady, aby unikać miasta, są sytuacje, gdy kończy mu się piwo, a jego nowa dostawa wciąż nie dotarła.

Niektórzy myślą, że Bryce to buntownik lub kolejny świrus wypalony przez Wietnam. Nie jest buntownikiem. Inny od reszty, owszem, żyje w swoim własnym świecie, ale buntownikiem przestał być już wiele lat temu. Nie ma nikogo. Rodziny. Zony. Dzieci. Chcąc oddać jego sytuację, najlepiej posłużyć się słownikowym znaczeniem słowa „samotny”. O ile mi wiadomo, porzucił szkołę średnią, skłamał co do swego wieku i został wysłany na statku w egzotyczną podróż do Wietnamu.

Przydzielili go do jednostki sił specjalnych i, jak się w końcu dowiedziałem, raczej nie narzekał na brak roboty. Na dnie jego szafy znajduje się pojemnik na naboje kalibru pięćdziesiąt milimetrów, w którym trzyma wszystkie swoje medale. Wszystkie siedemnaście. Wyjął je i pokazał mi pewnego wieczoru, gdy oglądaliśmy Zielone berety z Johnem Wayneem. Natychmiast mi wyjaśnił, że pięć z nich nie jest jego. Należą do kumpla, który nie wrócił. A to oznacza, że Bryce odznaczony został dwunastoma. Dwunastoma medalami. Wszystkich barw: purpurowej, brązowej, srebrnej. Ale głównie purpurowej. Jak większość chłopaków, wrócił do domu inny i od tamtej pory już taki pozostał - żyjąc samotnie w towarzystwie piwa, dud i swoich filmów - oraz funduszu powierniczego.

Tak więc co jakiś czas od tamtej nocy w amfiteatrze zaglądam, czy wszystko u niego w porządku. Przemykam ścieżką prowadzącą na teren parkingu jego kina i znajduję tam Bryce'a, jak stoi. W centralnym miejscu, z przodu. Z gołym tyłkiem, jedynie w butach. I dmie, aż mu świeceki stają w oczach. Pijany jak bela. Wygrywa zaś zwykle Amazing Grace, A Hundred Bottles of Beer on the Wall albo capstrzyk.

Kończymy zazwyczaj na wspólnym oglądaniu filmów. Pijemy piwo i siedzimy w otaczającej ciszy, a jeżeli uda się nam odnaleźć działający głośnik, słuchamy trzasków wydobywających się ze skrzynki pomiędzy nami. Słaba jakość dźwięku wydaje się Bryce'owi nie przeszkadzać. Zna bowiem na pamięć prawie każde słowo w każdym filmie.

Krótko po tym dniu, w którym Maggie wpadła na mnie na werandzie przed domem, przystawiając mi do nosa różowy wskaźnik, wspięliśmy się na szczyt wzgórza, aby zapukać do drzwi przyczepy Bryce'a, ponieważ uznaliśmy, że chciałby się o tym dowiedzieć. Od momentu gdy po raz pierwszy przedstawiłem go Maggie, Bryce darzył ją szczególną sympatią. Sądzę, że po okresie intensywnego zabijania ujmuje go wszystko to, co czułe i pełne życia.

Ramię w ramię zapukaliśmy i do naszych uszu zaczęły docierać przekleństwa oraz inne odgłosy z drogi, którą Bryce przemierzał pomiędzy pustymi puszkami po piwie, aby otworzyć drzwi. Przywitał nas, mając na sobie jedynie buty i słomkowy kapelusz. Gdy zobaczył Maggie, wolno sięgnął za drzwi i chwycił oprawiony w ramkę plakat z Johnem Wayneem, aby zasłonić się od pępka do kolan.

Szturchnąłem Maggie, a ta pochyliła się i stojąc na palcach, wyszeptała Bryce'owi do ucha: „Dylan będzie tatusiem”.

Zajęło to chwilę, zanim do niego dotarło, ale gdy już dotarło, rozszerzone już i tak źrenice Bryce'a zrobiły się tak wielkie jak denka butelek po piwie. Wzrok

biegał mu od lewa do prawa, nagle uniósł palec i powoli zatrzaskał drzwi. Chcąc jednak uznać Bryce'a za przyjaciela, trzeba znaleźć w sobie wolę, aby godzić się na parę jego dziwactw.

Dobiegający zza drzwi hałas informował nas tymczasem, że Bryce zaczął demolować swoją przyczepę w poszukiwaniu jakichś spodni. Po paru minutach stanął w drzwiach, mając tym razem na sobie poźółkły i porozciągany podkoszulek, pełniący obecnie rolę szortów. Przecisnął się z butami przez otwory w rękawach, podciągnął całość nad biodra i spiął paskiem, aby mu wszystko nie zleciało. Otwór na głowę zwisał w dół pomiędzy kolanami i śmiesznie trzepotał, gdy Bryce szedł.

Bryce podkradł się do Maggie, ukląkł i wolno przystawił ucho do jej brzucha niczym kasiarz. Następnie objął ją w pasie ramionami i przycisnął się do niej mocniej. Maggie jest bardziej wrażliwa na łaskotki niż ktokolwiek inny i nacisk jego ramion wokół bioder oraz jego ucha na brzuch wprowadził ją w chichot. Przez śmiech Maggie Bryce nie mógł usłyszeć tego, co zamierzał, ścisnął zatem mocniej. Akcja i reakcja wzmagaly się i pół minuty później Maggie tak mocno się śmiała i tak bardzo wierciła, że Bryce po prostu podniósł ją z ziemi i zarzucił sobie na ramię niczym marynarski worek, kontynuując nasłuch, podczas gdy ona majtała nogami i zanosila się od śmiechu.

- Bryce Kai MacGregor! - odezwała się, klepiąc go po plecach.

Bryce postawił Maggie z powrotem na ziemię, pokiwał głową jak gdyby na znak potwierdzenia, że w środku rzeczywiście znajdowało się dziecko, i ponownie uniósł swój palec wskazujący. Zniknął wewnątrz przyczepy, aby pojawić się znowu po trzydziestu sekundach z piwem i dwoma brudnymi kubkami ze styropianu. Po otwarciu zatyczki nalał pół łyeczka do kubka Maggie, pełen łyk do mojego, sobie zachowując całą resztę.

W cieniu ekranu kinowego uniósł puszkę, my stuknęliśmy naszymi styropianami w jego aluminium i całą trójką wznieśliśmy toast za naszego syna. Odstawiliśmy kubki i skierowaliśmy się w stronę ogrodzenia, gdy Bryce krzyknął za nami:

- Maggie, jaki jest twój ulubiony film?

Wszystkie prawdziwe dziewczyny z Południa mają tylko jeden ulubiony film i wszystkie oglądały go z dziesięć tysięcy razy. Wrośnięty jest w ich osobowość niczym ściętna oraz żyły i gdyby przysłuchać się dostatecznie uważnie, można by usłyszeć, jak szepczą dialogi z całych scen w czasie snu. Gdy idzie o edukację, Scarlett O'Hara stanowi dla nich autorytet w równym stopniu co Biblia. O ile nie większy.

Maggs dygnęła pod wyobrażoną suknią i zatrzepotała rzęsami. Podkreślając swój przepiękny południowy akcent, odparła:

- Czemu pan pyta, panie Butler?

Bryce spojrział na mnie, prosząc wzrokiem o wyjaśnienie, ale ja wzruszyłem tylko ramionami:

- Radź sobie sam, stary.

Podrapał się po głowie i wkrótce potem, gdy w końcu za-jarzył, wyraz zwycięstwa pojawił się na jego twarzy.

Parę dni później kurier z UPS zostawił na naszej werandzie dwa ponadwymiarowe pudła, informując nas, że zostały dostarczone bezpośrednio od producenta - takiego, który specjalizuje się w meblach kolonialnych.

Spojrzałem na pudła i pomyślałem, czy aby Maggs nie zrobiła w sieci jakichś zakupów w związku ze zbliżającym się porodem, ale ona odczytała wyraz mojej twarzy i powiedziała:

- Nie patrz na mnie. Nie mam z tym nic wspólnego.

Przecieliśmy tekturę i naszym oczom ukazał się owinięty ośmioma warstwami dmuchanej folii ręcznie wykonany i ręcznie zabejcowany fotel bujany, a do kompletu kołyska do bujania nogą. Nie znalazłszy w środku żadnej wiadomości i chcąc się upewnić, czy przesyłka rzeczywiście była dla nas, zadzwoniliśmy do właściciela wytwórni. Powiedział nam, że jakiś człowiek, który zdecydowanie nie pochodził z południowej Georgii, zadzwonił do niego i zapytał, czy jego firma nie podjęłaby się produkcji mebli dla pewnej damy z Południa, która miała zostać matką i miała już łóżeczko dla dziecka, ale niewiele więcej.

Właściciel odrzekł: „Proszę pana, możemy wyprodukować prawie wszystko, jeżeli tylko otrzymamy jakąś sugestię, co to ma być”. Następnego dnia dotarła do nich przesyłka ekspresowa z kasetą wideo.

Czy trudno zgadnąć, co się na niej znajdowało? Napisana odręcznie na żółtej samoprzylepnej fiszce instrukcja brzmiała: „Zróbcie notatki i umeblujcie kobiecie pokój dla dziecka bez łóżeczka”. Klient zapłacił im podwójnie, aby przyspieszyć produkcję i dostawę, a więc chłopcy w fabryce zaczęli spędzać przerwy na lunch, oglądając film na kasecie i dyskutując nad szkicami fotela i kołyski dla Maggs.

Maggie postanowiła podziękować Brycebwi, nie wprawiając go w zakłopotanie, przygotowała więc dla niego pieczeń z dodatkiem sosu, marchewki oraz ziemniaków i kupiła mu ciasto cytrynowe, by zaspokoić jego pociąg do słodczy. Napisała też liścik, zostawiła posiłek przed jego drzwiami wejściowymi i następne dwa dni spędziła, kołysząc się w fotelu i bujając kołyskę dużym palcem u nogi.

Na trzeci dzień w nocy poczekałem, aż uśnie, a potem podniosłem ją i ułożyłem obok siebie. Gdy obudziłem się następnego ranka, leżała wciąż obok, ale w ciągu nocy zdołała jakoś wyciągnąć fotel oraz kołyskę z pokoju dziecięcego i ustawić je przy naszym łóżku.

Rozdział szósty

Pomimo upału opuściłem rękawy koszuli, wszedłem do klasy, która znajdowała się na drugim piętrze, pootwierałem okna, uporządkowałem ławki, by stały w równych rzędach, i starłem tablicę. Wkrótce przyczłapali uczniowie, rozejrzeli się za miejscami do siedzenia i wybrali te, które odpowiadały im najbardziej. W pomieszczeniu panowało gorąco i bliskość powiewów powietrza decydowała o miejscach pierwszej klasy.

Rozległ się drugi dzwonek, a ja odchrząknąłem:

- Dzień dobry.

Twarze bez wyrazu skierowały się ponownie w moją stronę. Panowała przytłaczająca cisza, ale sygnał pozawerbalny nie pozostawiał wątpliwości. W tej ciszy dało się bowiem usłyszeć: „Posłuchaj, facet, nam też nie uśmiecha się tu siedzieć, zrobmy więc, co mamy zrobić, i nie przedłużajmy”.

Pozwoliłem, aby minęło jeszcze parę minut, sądząc, że ich bojownicze natury przez ten czas się ujawnią, ale tak się nie stało. Odchrząknąłem raz jeszcze. Wziąłem dziennik i spojrzałem na pierwsze imię:

- Alan Scruggs? - Tutaj.

W czasie pierwszego roku mojej pracy dydaktycznej przyzwyczailem się identyfikować studentów za pomocą miejsc, które zajmowali na sali wykładowej, aż do momentu gdy poznałem to, co sobą reprezentowali, oraz ich osobowości.

Gdy Alan powiedział: „Tutaj”, w umyśle zanotowałem sobie: Drugi rząd od okna. Środek sali. Czyta książkę.

- Moment, a ja? Spojrzałem znad dziennika.

- Czyli kto?

- Marvin Johnson! - Mówiący odchylił się na krześle, - j wypada przed S, nie? Ujawnienie się klasowego kłowna nigdy nie trwa zbyt długo.

- Ale ja zwykle nie zaczynam od początku.

- A, to przeprosił. - Rozejrzał się po innych uczniach. - Ta tylko mowie. Myślałem, że się coś pomyliło. - Mój nowy kumpel uśmiechnął się, pokazując cały garnitur białych zębów.

Wróciłem do dziennika.

- Russell Dixon Jr? -Jest.

Głęboki głos dobiegł z mojej lewej strony. Pod oknem, środkowy rząd. Duże, szerokie bary. Przechylony na bok. Patrzy przez okno. Nigdy prosto na mnie.

- Eugene Banks? - Uh-huh.

Po lewej obok okna. Druga ławka za Głębokim Głosem. Patrzy przez okno. On również nie patrzy w moim kierunku.

- To dopiero był entuzjazm, prawda? Marvin Johnson?

- No - odparł mój zaprzyjaźniony ekspert od alfabetu. Pierwsza ławka w środkowym rzędzie. Podoba mu się. Uśmiechnięty. Duże uszy. Dresowe spodnie. Wysoki i wysportowany. Buty w nieładzie.

Uderzyło mnie, jak inny był nasz odbiór tego pomieszczenia - dla mnie, bez klimatyzacji, dla niego, miejsce, gdzie można było siedzieć w spodniach od dresu.

- Wyglądasz, jakbyś właśnie wygramolił się łóżka. Nie jest ci za gorąco?

- Komu, mnie? E... - Zamachał ręką. - To noszę. Proste. - Dzieciak był chodzącą pozą, twardym orzechem do zgryzienia - albo tak mu się tylko wydawało.

- Amanda Lovett?

- Tak, proszę pana. Jesteśmy oboje. - Słodki, delikatny głos dobiegł spod okna. Pomiędzy Uh-Huh i Głębokim Głosem.

- Oboje?

Poklepała się delikatnie po brzuchu.

- Joshua David.

Przyznaję, że nie jestem dumny z tego, jak potem zareagowałem. Chodzi o to, że nie poparłem wyraźnie jej moralnej postawy. Zareagowałem tak, zanim to do mnie dotarło, ale dość szybko naprawiłem swój błąd.

- Joshua David?

- Tak, proszę pana - odezwała się ponownie, trzymając dłoń na brzuchu.

- Cóż - powiedziałem, orientując się w końcu w sytuacji - proszę dopilnować, aby młody człowiek nie spóźnił się na zajęcia.

Na jej twarzy pojawił się jeszcze większy uśmiech, który uwydatnił jej dołeczki na policzkach.

- Tak, proszę pana.

Śmiech przemknął przez salę. Ktoś pod oknem odezwał się: „Tak, proszę pana” tym prześmiewczym tonem, w którym dzieciaki są tak dobre. Uniosłem wzrok i czekałem, aż ucichnie.

- Kaitlin Jones?

- Koy - z prawego rogu tyłu sali dobiegł cichy głos.

Spojrzałem w kierunku młodej kobiety, której twarz niemal w całości zasłonięta była przez kombinację okularów przeciwsłonecznych oraz długich włosów.

- Koy?

- K-o-y.

- Bez tych okularów widziałbym cię lepiej. Uśmiechnęła się.

- Pewnie tak. - Nawet nie kiwnęła palcem. Uh-Huh, Głęboki Głos oraz Pierwsza-ławka-pośrodku zaśmiali się, ale ja odpuściłem. Pierwszy dzień to nie była dobra pora na wytyczanie granic. Zakończyłem sprawdzanie listy obecności, zapamiętałem różnice, zdecydowałem się na przydomki i oparłem tyłem o biurko. I oto stałem znowu przed klasą. Wmanewrowany w to przez Maggs oraz Amosa.

- Nazywam się Dylan Styles. Marvin przerwał mi.

- A czy pan jest doktor, psorze? - Jestem.

- To powinniśmy mówić do pana doktor.

W pamięci przejrzałem swój schemat, gdzie kto siedzi, chociaż znałem już jego imię.

- Marvin, moi studenci mówili do mnie: panie Styles, profesorze Styles, profesorze albo doktorze Styles. Co ci się podoba najbardziej?

Moje pytanie zaskoczyło go. Gdy przekonał się, że nie żartuję, odpowiedział rzeczowo:

- Profesor.

- W porządku - przerwałem. - Moja żona... - nie najlepszy sposób na rozpoczęcie - mówi... do mnie Dylan, ale dyrekcja szkoły zwykle nie lubi, gdy uczniowie i nauczyciele przechodzą na ty. A zatem cała reszta może coś sobie wybrać z przywołanego przed chwilą zestawu. To jest kurs angielskiego oznaczony numerem 202. Słowem: badania literackie i kompozycja. Jeżeli źle trafiliście, możecie teraz wyjść, a jeżeli nie chcecie czuć się zakłopotani, po prostu nie wracajcie już po zakończeniu zajęć. Sądzę również, że jeżeli nie chcecie uczestniczyć w zajęciach, to też możecie wyjść.

Głos z końca sali pod oknem przerwał mi. Jego właściciel nosił dredy aż do ramion, a gdy mijał moje biurko, wchodząc do sali, uderzył mnie silny zapach papierosów i czegoś jeszcze. Może goździków. Cokolwiek to było, była tego spora ilość. Jego oczy były szkliste, a białka wyglądały jak dwie mapy drogowe.

- A komu by tu się chciało siedzieć, panie psorze? To może wszyscy się zmywajmy?

Fala śmiechu przewaliła się przez salę. Rasta przybił pione z Uh-Huh, a potem klepnął Głęboki Głos w udo. Raz jeszcze przebiegłem w myślach listę uczniów oraz ich miejsca.

- Rozumiem, B.B. Ale fakty są takie, że przez to „nie-chce-mi-się-tu-siedzieć” wylądowaliście na tych zajęciach już po raz drugi. Czy naprawdę zamierzacie

kolejny raz popełnić ten błąd? - Mierzając wzrokiem klasę, zapytałem: - Znajdzie się ktoś taki?

Cisza zastąpiła śmiech. Spoglądając na ich napięte twarze, pomyślałem: „Może za ostro na początek”. Z przeciwległego końca na prawo dobiegł mnie głos.

- Uhm. Też racja.

Przypomniałem sobie listę obecności i zajmowane miejsca. Charlene Grey.

Ktoś ze środka sali zapytał:

- Psorze, to pana dziadek był ten farmer, z którym każdy chciał zagadać w sklepie z narzędziami? Ten, co to postawił wszystkie wieże? Chyba mówili na niego Papa Styles.

- Cóż, wielu farmerów pasuje do tego opisu, ale owszem, zwracałem się do mojego dziadka Papa, a on z wieloma ludźmi się przyjaźnił, znał się na paszach i nasionach i miał smykałkę do wież.

Marvin oparł się na krzesło i skinał głową gdzieś w przestrzeń.

- Ej, Dylan, mam pytanko. Po co wysłali wnuczka budowniczego wież do uczenia nas, jak pisać? To znaczy - spojrzał przez jedno ramię, a potem przez drugie, rozglądając się za wsparciem reszty, i wskazał w moim kierunku - na profesora to ty raczej nie wyglądasz. Skąd ci przyszło do głowy, że możesz nas czegokolwiek nauczyć?

W klasie zrobiło się naprawdę cicho, jak gdyby ktoś nacisnął niewidzialny przycisk z napisem „pauza”. Po trzech minutach przedłużająca się cisza osiągnęła swoje apogeum.

Nie to mnie uderzyło, że zadał takie pytanie. Poza okularami w złotych oprawkach, które nakładałem do czytania, wyglądałem jak ktoś, kto powinien raczej jeździć na traktorze, niż prowadzić lekcje angielskiego - krótko przycięte jasne włosy, koszula typu Oxford, wranglery i kowbojskie buty. Nie, to było szczere pytanie. Może mógł je jakoś inaczej sformułować, ale było szczere. Właściwie to sam je sobie zadawałem. Ale zaskoczyło mnie to, że starczyło mu ikry, żeby je wypowiedzieć.

- Bo ja wiem. Może byłem pod ręką. Pan Winter mógłby pewnie odpowiedzieć na to pytanie. - Traciłem grunt pod nogami. - Cóż, angielski, w katalogu kursów numer 20...

Marvin znowu mi przerwał:

- Ale ja nie pytam pana Wintera, tylko pana, profesorze. Uśmieшки i ściszony śmiech rozeszły się po sali. Marvin przyciął się na swoim krzesle. Był gotów do skoku, w centrum uwagi - kochał to.

Podszedłem do jego ławki i stanąłem przed nią. Czubki moich butów stykały się z czubkami jego. Szczerze mówiąc, nie potrafiłem się skoncentrować, aby odezwać się w taki sposób, w jaki bym sobie tego życzył. Ciałem znajdowałem się w klasie, ale sercem przy łóżku Maggie.

Wzięłem głęboki oddech:

- Marvin, nie obchodzi mnie, czy pretendujesz do tytułu klasowego błazna. - Zatoczyłem ręką po klasie. - Nie wydaje mi się, abyś musiał obawiać się sporej konkurencji. Obchodzi mnie natomiast to, czy zaliczysz mój przedmiot. Twoja umiejętność rozśmieszania wszystkich ma drugorzędne znaczenie wobec umiejętności poprawnego myślenia, a zwłaszcza wobec postępów w sztuce pisania. Rozumiemy się?

Pochyliłem się do przodu, oparłem ręce na jego ławce i zbliżyłem twarz na jakieś pół metra od jego twarzy.

Marvin skinął lekko głową i spuścił wzrok. Powiedziałem mu „sprawdzam” i wszyscy to widzieli. Równocześnie go ośmieszyłem, czego nikomu bym nie życzył. Po raz pierwszy w ciągu tej godziny nie zaszeleścił żaden papier, nikt nie próbował mnie przegadać i nikt już nie patrzył przez okno.

Odpuściłem.

Cofnąłem się, wróciłem do swojego biurka i oparłem się o nie, ponieważ bardzo tego potrzebowałem. Wygłosiłem następnie kilka oficjalnych komunikatów i wspomniałem o programie kursu. Wszyscy podążali za mną. Osiągnąłem swój cel. Wystarczy jak na jeden dzień.

Wstęp zabrał mi co najwyżej cztery minuty. Gdy skończyłem, powiedziałem:

- Tu jest tak gorąco, że nie da się myśleć. - Zebrałem swoje papiery i zacząłem się pakować. - Do wtorku. Przejrzyjcie program kursu i na następny raz przeczytajcie to, co przewiduje plan. Ja nie wiem jeszcze, co to jest, bo nie ja to pisałem.

Uczniowie ustawili się w kolejce do drzwi, zerkali jeden na drugiego i, szepcząc coś, wychodzili.

„Ciekawe. To, co trwało jakieś dziesięć minut, zanim rozpoczęła się lekcja, zabrało teraz trzydzieści sekund. To już coś”, powiedziałem do siebie.

Jedyną osobą, która zatrzymała się przy moim biurku, była Amanda Lovett. Oparła dłoń na brzuchu.

- Czy to pan profesor był w zeszłym tygodniu w szpitalu i siedział obok pacjentki w śpiączce na trzecim piętrze? Takiej ładnej, młodej kobiety, hm... pani Maggie?

Gdy po raz pierwszy uczyłem się prowadzić samochód, zawsze zastanawiałem się, co by to było, gdyby włączyć nagle wsteczny bieg, jadąc autostradą z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Tak, to ja.

Amanda staranie dobierała słowa. Ani na chwilę nie spuściła ze mnie wzroku.

- Pracuję na nocną zmianę w naszym szpitalu jako pomoc pielęgniarska. Ja... miałam wtedy dyżur, gdy oboje, to znaczy cała wasza trójka przyjechała na izbę przyjęć. - Skubała zamek plecaka. - Bardzo mi przykro, panie profesorze. Pomagam opiekować się pańską żoną. Zmieniam jej pościel, myję ją i tak dalej - Amanda przerwała. - Mam nadzieję, że nie będzie pan się gniewał, ale gdy pana nie ma, mówię do niej. Pomyślałam sobie, że ja chciałabym, żeby ktoś ze mną rozmawiał, gdybym... gdybym to ja tam leżała.

Teraz już wiedziałem, jak musiał czuć się cesarz bez szat.

- Profesorze? - zapytała, spoglądając na mnie przez okulary, z twarzą o pół metra od mojej. Spostrzegłem jej skórę tuż pod oczami. Była delikatna, bez zmarszczek, pokryta drobnymi kropelkami potu. Przykuwała moją uwagę. Dostrzegalem tam piękno. - Bardzo mi przykro z powodu pana syna... oraz żony. - Zrzuciła swój plecak na ramię i wyszła.

A ja stałem tam nadal. Nagi. Pocieszałem się jedynie tym, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co zrobiła. Wiedziałem o tym, patrząc jej w oczy.

Wychodząc, zatrzymała się jeszcze w drzwiach, obróciła się i powiedziała:

- Profesorze, jeżeli pan nie chce, nie będę już z nią rozmawiała. Może nie powinnam o to pytać. Pomyślałam sobie tylko, że...

- Nie - przerwałem jej, przerzucając papiery - rozmawiaj z nią... kiedy chcesz. Proszę.

Pokiwała głową. Gdy się oddalała, zauważyłem, że ma na sobie tę koszulę, którą przymierzała kiedyś Maggie w sklepie z odzieżą ciążową. Usiadłem przy biurku, spoglądając przez okno i zupełnie niczego nie czując.

Rozdział siódmy

Niewielu o tym wie, ale Bryce MacGregor jest prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem w Digger. Jego tata coś wynalazł, jakąś część do spinania wagonów kolejowych, która przyniosła całej rodzinie furę pieniędzy. Może i nie jest to kopalnia złota, ale Bryce mówi, że każdy pociąg, który powstał w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, zaopatrzone jest w coś takiego. Po zsumowaniu daje to więc niezłą sumkę. Bryce otrzymuje raz w miesiącu czek z tytułu należnych praw. Czasami nawet częściej niż raz w miesiącu.

Trzy lata temu odwiedziłem go w jego przyczepie i widziałem stertę porzucanych kopert. Jedna z nich była otwarta i jej zawartość leżała na podłodze. Był to czek na dwadzieścia siedem tysięcy dolarów. Bryce zauważył, że spoglądam w tamtym kierunku, i powiedział:

- Weź go sobie. Możesz go sobie wziąć. Na większości suma jest podobna. Czasami trochę większa. Czasami mniejsza.

Parę minut później urwał mu się film. O jedno piwo za dużo.

Nie mogłem znaleźć poduszki, złożyłem więc razem parę bluz i oparłem na nich jego głowę. Chrapał siarczyście i kąpiel raczej nie wchodziła w rachubę, otworzyłem więc kilka okien i nawet nie zamknąłem za sobą drzwi. I tak nikt tam nie przychodził. Przeciąg zaś mógł mu wyjść tylko na dobre.

Nie sądzę, aby Bryce kiedykolwiek przypomniał sobie tamten wieczór, ale ja pamiętałem. Na podłodze znajdowało się ponad ćwierć miliona dolarów w czekach wystawionych na jego nazwisko. Zostawiłem ten, który dawał mi Bryce, razem z całą resztą, tam gdzie leżały - na podłodze. Nie potrzebowałem jego pieniędzy, a sekret funduszu powierniczego Bryce'a był u mnie całkowicie bezpieczny. Ale nie chciałem, aby czuł się z tego powodu zbyt pewnie. Wielu jest łasych na pieniądze, w małych miasteczkach lub gdzie indziej, i ci mogliby obrabować Bryce'a z zamkniętymi oczami.

Pomyślałem więc sobie o nim kilka tygodni później, orząc fragment mego pola. Co też ten prawie nagi pijak, prawdopodobnie najbogatszy człowiek w Południowej Karolinie, robił, mieszkając w przyczepie nieopodal kina dla zmotoryzowanych, które zamknięto jeszcze na początku lat siedemdziesiątych? Powiedziałem do siebie: „Tak po prostu nie może być. To się może naprawdę źle skończyć, jeżeli ktoś nie zacznie się o niego troszczyć”. Poszedłem więc pod ekran i pozbierałem wszystkie te koperty. Bryce kąpał się raz w tygodniu i upewniłem się, że wypadnie to akurat tego dnia. Gdy więc już pachniał przyzwoicie, załadowaliśmy się do mojego trucka i cała nasza trójka - Bryce,

Blue i ja - ruszyła do Charlestonu, by porozmawiać z człowiekiem, który według słów Bryce'a sprawował pieczę nad jego funduszem powierniczym.

Człowiek ten nazywał się John Caglestock. Kościsty i mały, o różowych policzkach, z okrągłymi okularami osadzonymi na czubku perkatego nosa. Pod względem prawnym nie sprawował właściwie kontroli nad funduszem, ale dokładał starań, aby należało to do jego codziennych priorytetów. Jego firma otrzymywała całkiem niezłą prowizję za prowadzenie spraw Bryce'a, który potrafił jednak być stanowczy, jeżeli tylko chciał. Wszystko, co Bryce powiedział, pan Caglestock wykonywał.

Po naszym spotkaniu, w znacznej mierze dzięki temu, jak Bryce wypowiadała się na mój temat, pan Caglestock zaczął robić to, co powiedziałem ja. Bryce nazywał mnie swoim bratem i tamten człowiek wyciągnął jakieś papiery, które miałem podpisać. Powiedziałem mu, że nie jestem niczym bratem i niczego nie podpiszę, ale Bryce kazał mi to zrobić. Dzięki temu Bryce nie musiał już więcej „ruszać tu swojego tyłka”.

Przeczytałem więc, załapałem, o co tam chodzi, i podpisałem. Od tej chwili firma musiała wykonywać każdą transakcję przy moim udziale. Taka była wola Bryce'a. Zasadniczo więc nie mogłem wydać ani grosza z jego pieniędzy na swoje własne potrzeby, ale mogłem patrzeć im na ręce, przyglądając się, gdzie je inwestują. Bryce uważał, że tak będzie dobrze.

Mniej więcej raz w miesiącu pan Caglestock dzwonił do mnie i odbywaliśmy bardzo grzeczną rozmowę, podczas której akceptowałem każdą operację, której chciał dokonać, lub nie wyrażałem na nią zgody. Im więcej czasu spędzałem z Bryceem, tym bardziej docierało do mnie, że pomimo swojego wyglądu pijaczyny zdarzały mu się momenty trzeźwego myślenia, gdy wiedział, co robi. Wydaje mi się, że był zupełnie świadomy tego dnia, kiedy zabrałem go do Charlestonu.

W ciągu trzech lat od tamtego spotkania z panem Caglestockiem Bryce dorobił się góry pieniędzy. Więcej niż podwoił swój stan posiadania. Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że bardziej dzięki rynkowi oraz analizom i radom pana Caglestocka niż mojemu wkładowi. Facet znał się na swojej branży i bardzo dużo mnie nauczył.

Pewnego dnia Maggie zapytała mnie, czy Bryce sporządził testament, a ja odpowiedziałem, że nie wiem. Podjąłem pewne kroki, aby się tego dowiedzieć, i okazało się, że nie.

I nie miał nikogo, komu mógłby cokolwiek przekazać. Martwiło nas to, wybrałem się zatem pewnego popołudnia do jego przyczepy i zapytałem go:

- Bryce, gdybyś miał jutro umrzeć, kogo chciałbyś na swoim pogrzebie?

Bez zmrużenia oka odpowiedział: - Trębacza sygnalistę.

Zbyttno nam tym nie pomógł. Komu więc przekazać czterdzieści albo pięćdziesiąt milionów dolarów, gdy facet, do którego należą, nie daje ci żadnych wskazówek? Uznaliśmy, że nie mając żadnego prawa, by zabawiać się w Boga, możemy zrobić to, z czego nie wywiązuje się państwo. Skontaktowaliśmy się zatem z panem Caglestockiem, aby sporządził testament Bryce'a, w którym cały ten kram przekazany zostanie dzieciom żołnierzy z jego oddziału w Wietnamie. Większość z nich nigdy nie poznała swoich ojców, ale znał ich Bryce. Trzymał ich identyfikatory w pojemniku na amunicję. Około piętnastu.

Dlaczego więc robiłem to wszystko, nie chcąc pieniędzy? Pewnie dlatego, że Bryce nie mógł, a w każdym razie tego nie zrobił, ja zaś nie chciałem, aby został wykorzystany przez bandę prawników z Charlestonu, którzy uznawali, że nie jest w stanie zajmować się swoimi sprawami. A ponieważ jego stan posiadania się podwoił, nie mogli mi już niczego zarzucić. A poza tym, dzięki Caglestockowi i mnie, zarobili spore pieniądze. Nie jestem pewien, czy nawet Bryce wiedział, jak głęboko ingerowałem w jego fundusze. To dziwne. Caglestock dzwoni do mnie, przelewamy dwa lub trzy miliony dolarów z jednego pakietu akcji lub funduszu na inny, podczas gdy mnie samemu trudno jest wskrobać na podatek od nieruchomości. Bryce zarabia więcej pieniędzy z procentu ze swoich lokat w ciągu jednego tygodnia, a czasami nawet dnia, niż ja przez cały rok.

Zeszłej nocy przewaliło się przez Digger tornado. Porwało kilka domów, rozebrało je na kawałki i porzrzucało szczątki na przestrzeni wielu mil. Ja sam tego nie słyszałem, ale ci, co słyszeli, mówili, że miało dźwięk porządnie rozpędzonego pociągu towarowego. Gdy po telefonie upewniłem się, że szpital nie znalazł się na jego drodze, chciałem obejrzeć zniszczenia, wsiałem więc do wozu i ruszyłem przez miasto. Po jednej stronie drogi wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak poprzedniej nocy. Po drugiej stronie rozpościerał się taki widok, jakby Bóg sięgnął po dwumilową brzytwę i przyłożył ją do twarzy ziemi. Pewien człowiek zbudził się na dźwięk telefonu sąsiada, który poinformował go, że jego traktor leży do góry kołami na grządce pomidorów ponad milę od miejsca, w którym właściciel zaparkował go poprzedniego wieczoru. Byli też tacy, którzy nie obudzili się w ogóle. Było ich troje.

Po wykonaniu swoich codziennych obowiązków na farmie, doprowadzeniu do porządku podwórka, a potem siebie samego, pojechałem do Bryce'a. Zanim wjechałem na szczyt wzgórza obok wielkiego ekranu, było już późne popołudnie. Bryce stał ubrany w kilt i buty wojskowe, z dudami w jednym ręku i piwem w drugim.

- Dzień dobry, Dylan - powiedział z uśmiechem. Jego biała, przepastna klatka piersiowa świeciła w popołudniowym słońcu. Już dawno przestał nosić zegarek i czasami, jeśli noc ciągnęła się długo, ciągnął się również dzień.

- Dobry - Blue podbiegł, aby go powąchać i się przywitać. - Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, jak sobie radzisz po burzy. Wszystko na swoim miejscu?

- W porządku - odpowiedział z doskonałym szkockim akcentem.

Spoglądając dookoła, zauważyłem, że jeden z ekranów, których już nie używał, został rozdarty z góry na dół. Płótno, które przymocowane było wcześniej do sklejki, trzepotało teraz na wietrze, odsłaniając pokiereszowane drewno, rozłupane pośrodku aż do samego dołu.

- Ale to nie wygląda zbyt dobrze - wskazałem.

- No - powiedział Bryce w przerwie pomiędzy łykami. - Nic nie szkodzi. Jeden wystarczy. - Rzucił pustą już puszkę na ziemię i poszedł w kierunku przyczepy. Wrócił, niosąc spawarkę. Ku mojemu zdziwieniu przeszedł z jednego parkingu na drugi i stanął przy drewnianej obudowie u podstawy rozdartego ekranu. Rozpalił lampę spawalniczą, wyregulował płomień i przystawił go do drewnianej konstrukcji. Po kilku sekundach pojawiły się płomienie. Po kilku minutach pochwycił je wiatr, podsycając ogień, który dosięgnął ekranu. Zarówno ekran, jak i podtrzymująca go sklejka rozbłysły niczym film w projektorze.

Bryce poszedł z powrotem do przyczepy i wrócił do mnie już bez spawarki, ale za to z piwem w obydwu rękach. Podał mi jedno i oglądaliśmy, jak ekran spala się aż do samej ziemi. Bryce uniósł piwo ponad głowę i powiedział:

- Za kino.

Było już dobrze po zmroku, gdy zapaliłem silnik trucka. Minąłem amfiteatr. Wszędzie panował spokój. Zaparkowałem, cofając, a Blue odetchnął z ulgą i położył się z tyłu. Wyłączyłem silnik i siedziałem w ciszy.

Pewnego wieczoru, po przedstawieniu, położyliśmy się z Maggie do łóżka. Wciąż słysząc w uszach dzwonienie, byliśmy zbyt podekscytowani, by zasnąć. Pograżona w ciemnościach i duchocie letniej nocy, jak to w Południowej Karolinie, zapytała mnie, dlaczego nic nie mówię, a ja powiedziałem jej, o czym myślę.

- Gdy patrzę na tych ludzi na scenie, czasami myślę o tym małym doboszu*. Stojącym tam, składającym swój dar.

* Mały dobosz (ang. The Little Drummer Boy) - popularna piosenka bożonarodzeniowa, nawiązująca do legendy, wedle której pewien mały chłopiec, nie mając Jezusowi nic do ofiarowania, zagrał Mu na swym bębnieku.

Wszystko to, co posiada. Dokładnie w tym miejscu, u stóp Króla. Zastanawiam się, jak to w tym momencie było. Czy panowała tam cisza, nie licząc dźwięku bębenka? Czy zwierzęta stukały kopytami, przeżuwając siano? W którym miejscu znajdował się Józef? Czy Jezus pogrążony był we śnie, zanim się uśmiechnął? I ten uśmiech. Co wtedy czuł? Gdybym... gdybym tylko mógł z głębi swej duszy, jak ten mały dobosz, wydobyć coś takiego, a potem przerwać na moment i poczuć, że jest to - cokolwiek by to było - doskonały wyraz aktu ofiarowania.

Skinąłem wtedy przez okno w kierunku amfiteatru:

- Ci ludzie, gdy stoją przed światem, tuż zanim ucichnie gwar, wiedzą, że robią dokładnie to, do czego zostali stworzeni. Widać to na ich twarzach. Ich dar zostaje doceniony. Wiedzą, co to znaczy żyć. Jak to jest. Ta chwila, gdy następuje przebudzenie publiczności i Król się uśmiecha, jest życiem. Czasami myślę, jak by to było, gdybym zagrał dla Króla na moim bębnie... Czy dobosz stał niczym Pavarotti, zwiesiwszy z balkonu partyturę, i czy przerwał nagle, przysłuchując się samemu sobie? Czy uchwycił ten moment, czy też minął on niezauważony?

Pomyślałem, że Maggie zacznie się śmiać, a może mnie pouczać. Ale nie ona. Gdy skończyłem, zanurzyła w moich włosach swoje palce, objęła mnie ramieniem i nogą i przyłgnęła do mnie piersią.

- Czy kiedykolwiek czułeś coś takiego? Kiedykolwiek?

- Myślę, że tak.

- Kiedy?

Spojrzałem w górę na wentylator, zahipnotyzowany złudzeniem ruchu wstecz w rezultacie szybko obracających się łopat. - Może raz lub dwa, prowadząc zajęcia. Trudno to wytłumaczyć.

Kilka nocy później Maggie spakowała do papierowej torby kolację, zawiązała mi na oczach opaskę, zaprowadziła do auta i ruszyła.

- Gdzie my jedziemy? - zapytałem. Kontynuowała jazdę bez słowa i po kwadransie ostrych zakrętów i jazdy na skrót przybyliśmy na miejsce. Zaparkowała, chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do bramy, przy której zagrzechotała kluczami i otworzyła coś, co wyglądało jak kłódka. Puszczając luźno łańcuch, napała na skrzypiące ogrodzenie, a następnie poprowadziła mnie jakieś sto metrów aż do szeregu schodów. Na ich szczycie wyczułem stopami, że powierzchnia zmieniała się z betonowej w jakąś dziurawą, być może drewnianą. Podeszliśmy jeszcze trochę wyżej, po czym przyłożyła mi palec do ust. Stałem w ciszy. W głuchej ciszy.

Usłyszałem, jak szura, oddalając się i schodząc po schodach. A potem, gdy tak stałem, zastanawiając się, o co u licha tutaj chodzi, zaczęła krzyczeć wniebogłosy.

- Łuuuuu! Bis! Bis! Bis! Łuuuuu!

Tak się wystraszyłem, że zerwałem bandanę i dotarło do mnie ni mniej, ni więcej, tylko że stoję na scenie amfiteatru, a Maggie biega tam i z powrotem pomiędzy rzędami siedzeń, trzymając świecę, machając rękami w powietrzu i wrzeszcząc jak szalona. Pośród siedzeń poustawiała tekturowe postaci ludzkie, w sumie około piętnastu, z których każda trzymała płonąca świecę. Wrzeszczała i wydzierając się przez dziesięć minut, tańcząc w koło, jakby trafiła na żyłę złota albo przyszła obejrzeć występ swojego idola. Zabrało mi również z dziesięć minut, zanim zdołałem ją zatrzymać.

Gdy już ją w końcu uspokoilem, usiedliśmy w drugim rzędzie, oparliśmy stopy na siedzeniach w pierwszym, zaczęliśmy jeść kanapki z indykiem i oglądać przedstawienie, które odbywało się tylko w naszej wyobraźni. Skończyłem swoją kanapkę i pochylając się, aby pocałować Maggie, zauważyłem, że w kącikach ust ma rozsmarowaną musztardę. Nadal czuję jej smak.

Mogła sprawić, abym odczuł, że się ośmieszyłem, a nawet wygłupiłem, błędząc w obłokach. Ale tego nie zrobiła. Zabrała mnie w tamto miejsce, postawiła na scenie, a następnie zachowywała się jak moja własna prywatna publiczność bez względu na to, jak głupio się z tym czuła.

A teraz siedziałem tu w świetle księżycy i spoglądałem zamglonym wzrokiem w dół na amfiteatr. Otworzyłem drzwi trucka, zszedłem po zboczu wzniesienia i przeskoczyłem ogrodzenie. Poszedłem wzdłuż środkowego przejścia i wspiąłem się na scenę. Światło księżycy odbijało się od krawędzi na oparciach krzesełek niczym dziesięć tysięcy świec, ale z moich ust nie popłynął żaden dźwięk. Wiedziałem, że tak się nie stanie. Popłynąć mogły tylko łzy. Położyłem się na deskach i ukryłem przed potworami, które podsycaly moje wątpliwości.

Rozdział ósmy

Wydział anglistyki collegeu w Digger określił tytuł mojego kursu jako „badania literackie i kompozycja,” mając nadzieję, że tym właśnie zajmą się studenci. Oznaczało to, że już od pierwszego dnia mieli się zastanawiać i pracować nad pracą semestralną. Oznaczało to również, że każdy, kto czekałby z tym na ostatnią chwilę, miał skończyć, powtarzając przedmiot po raz trzeci. Sądzę, że większość z nich była tego świadoma. Program zajęć przewidywał cotygodniowe, czasami codzienne sprawdziany, ale zasadnicze znaczenie dla oceny końcowej miała jedna praca na koniec semestru.

Mając to na uwadze, postanowiłem, że każde kolejne trzecie zajęcia będą dobrowolne. Drugiego dnia powiedziałem im zatem:

- Najważniejszym aspektem waszej pracy nie jest jej temat - istnieją tysiące interesujących tematów. Najważniejsze jest pytanie, które stawiacie. Sformułujecie je niejasno, to otrzymacie niejasną odpowiedź. Zadając konkretne pytanie, można otrzymać konkretną odpowiedź. Ja oczekuję od was konkretnych pytań oraz konkretnych odpowiedzi. Jeżeli więc będziecie mieli jakiegokolwiek wątpliwości co do jakości swojego pytania, na przykład: „Czy jest ono ścisłe?“, to lepiej przychodźcie w czwartki.

Naprawdę zamierzałem szukać z nimi odpowiedzi na stawiane pytania, ale przede wszystkim chciałem się po prostu przekonać, kto się pojawi, jeżeli pozostawię im wybór.

Nikt nie przyszedł.

Oznaczało to jedno z dwojga. Albo wszyscy zdołali sformułować właściwe pytania, albo zupełnie im na tym nie zależało. Dowodem na to miały być ich prace, o czym mieliśmy się przekonać, w miarę jak zbliżało się Boże Narodzenie.

Razem z Blue przybyliśmy do szpitala około czwartej po południu. Weszliśmy do pokoju Maggie. Jej wyszczotkowane włosy świadczyły o tym, że była tu Amanda. Wokół Maggie słońce roztoczyło pełen spokoju blask. Brak napięcia mięśni jej twarzy pozwalał mi sądzić, że była z tego zadowolona. Świadoma, choć nieświadoma, pogrążona w spokoju, ale spokoju pozbawiona, wypoczęta, choć zmęczona, śpiąca, ale czuwająca.

Chciałem ją obudzić. Potrząsnąć za ramię, zobaczyć, jak się przeciąga i ziewa, wyciąga ręce, by się przytulić, upija łyk kawy, a później chciałem pójść do stodoły albo zsunąć się po brzegu rzeki i oglądać okonie oraz leszcze burzące wodę albo leśne kaczki świszczące nad głową. Usiadłem obok Maggie, pocałowałem ją w policzek, a ona w ogóle się nie poruszyła.

Lekarze mówią, że jej mózg wykazuje „aktywność typową dla osób w jej stanie”, cokolwiek miałyby to oznaczać. Mówią: „Możemy tylko czekać”. Czasami szok ma na człowieka niewytłumaczalny wpływ.

Mam z tym problem. Jeżeli możemy wysłać człowieka na Księżyc, rozszczepić atom, przełożyć serce z jednej osoby do drugiej, wyleczyć polio albo wybudować stupełtrowy budynek, powinniśmy być również w stanie obudzić moją żonę. W jednej chwili była świadoma i płakała, sięgając po naszego syna. A zaraz potem zaczęła wymiotować i pograżyła się we śnie. Nie potrafię sobie tego wyjaśnić.

Siedziałem obok Maggie w świetle zachodzącego słońca. Blue ułożył się na kocyku, który ktoś zostawił w rogu pokoju. Ten sam ktoś napełnił wodą stojącą obok miskę.

Dosłownie kilka dni po porodzie mój przyjaciel pan Thentwhistle wysłał pielęgniarkę, aby przekazała mi, że zamierza zadzwonić do opieki nad zwierzętami, aby usunęła to „brudne psisko”.

- Proszę pani - powiedziałem grzecznie, pokazując na Blue. - Próbowałem mu to wytłumaczyć, ale mnie nie słucha. Łazi wszędzie za tą dziewczyną.

Wyszła i doniosła administratorowi, który zadzwonił do opieki nad zwierzętami. W naszym hrabstwie jest to stanowisko sprawowane ochotniczo i tak się akurat składa, że sprawowane jest przez tatę Amosa, pana Cartera. Gdy pan Carter dowiedział się, o jakiego psa chodzi, powiązał jedno z drugim i powiedział:

- Przykro mi, proszę pana, ale kobieta może potrzebować tego psa. Lepiej zostawić go w spokoju.

W ciszy sączyłem kawę i trzymałem Maggie za rękę.

Nie należała raczej do osób, które uwielbiają być dotykane, ale bardzo lubiła, gdy masowałem jej stopy. W szafce przy łóżku trzymała jakiś krem nawilżający, który dostała w jednym z tych obezwładniających zmysły sklepów w centrum handlowym. No, w takim, co to pełno w nim różnych kremów, świeczek i całego tego puszystego badziewia, które leży potem bezużytecznie w szafce z lekarstwami. Niezbyt podobał mi się ten zapach, ale podobał się Maggie. Mówiła, że pachnie jak kapryfolium. Na etykiecie napisane zaś było: „masło do ciała”.

Z jakiegoś powodu mam nie najlepszy węch. To znaczy, czuję zapach gardenii albo smażonego bekonu lub tych perfum Maggie, które nazywają się Eternity, ale generalnie nie czuję wokoło wszystkich tych zapachów tak jak ona. Maggie wychwytuje każdy zapach. Gdy jesteśmy w centrum handlowym i

zatrzymujemy się przy perfumerii, potrafi z zamkniętymi oczami rozpoznać osiem różnych zapachów. Tymczasem dla mnie one wszystkie pachną tak samo.

Mimo to w zeszłym tygodniu przyniosłem z domu ten krem i włożyłem go do jej szafki przy łóżku. Teraz otworzyłem szufladę, wyjąłem go, przesunąłem krzesło na koniec łóżka, delikatnie zsunąłem jej skarpety i zacząłem wcierać. Zaczynając od pięt, wzdłuż łuku podbicia, pomiędzy palcami i w końcu w skórę łydek.

Maggie ma piękne stopy. Jej palce są niewielkie, pokryte odciskami i jakby wyrzeźbione. Kiedyś żartowałem z niej, że ma wymienne palce, ponieważ wszystkie są tego samego rozmiaru. Stopy są silne, wyprofilowane, ma przy tym szczupłe pęciny i mocne łydki. Można by powiedzieć - stopy do pracy. Jest urodzoną biegaczką - ma znacznie lepszą technikę kroku niż moja - i czasami biegamy razem nad brzegiem rzeki. Ale to jej drugie w kolejności hobby. Pierwszą pasją jest ogród. Znacznie bardziej woli kopać w ziemi, niż biegać.

Początkowo nie było nam łatwo przywyknąć do szpitalnej codzienności. Czasami wyglądaliśmy jak dwoje dzieci na niekończącej się pierwszej randce, a znowu kiedy indziej jak Papa i Nanny po pięćdziesięciu latach małżeństwa. Czasami siedziałem tam, mówiąc do niej. Czasami nic nie mówiłem. Czasami masaż zastępował rozmowę. A czasami nie wiedziałem po prostu, co jeszcze mógłbym powiedzieć.

Zdarzało się, że gdy wchodziłem do jej pokoju, czoło Maggie wyglądało na mocno napięte. Dzisiaj pomiędzy jej oczami pojawiła się zmarszczka, zacząłem więc masować jej stopy i zniknęła. Kto to wie, co pacjenci w śpiączce porabiają lub myślą po drugiej stronie powiek? Nie znam się na tym, ale gdy czasami wchodziłem do pokoju, mógłbym przysiąc, że Maggie była przytomna, nawet jeżeli jej oczy pozostawały zamknięte i wyglądała na śpiącą. Widać to było po jej twarzy. Zdarzało się, że po dłoniach, ale najczęściej była to twarz. Ale bywało także i tak, że wyglądała na śpiącą, a ja wiedziałem, że rzeczywiście spała. Całe jej ciało wyglądało na odprężone. Siedząc u stóp łóżka, masowałem jeszcze przez chwilę nogi Maggie, a ona zapadała się w sen. O nie, nigdy nie powiedziałem jej o pogrzebie.

O dziewiątej rozległ się dźwięk dzwonka aparatu na przegubie pielęgniarki przechodzącej korytarzem i obudziłem się z głową leżącą obok głowy Maggie. Otarłem ślinę i siedziałem tam w ciemnościach jeszcze przez parę minut, z twarzą owiewaną oczyszczającą mocą jej oddechu. Księżyc zawisł w pełni, a kilka chmur przysłaniało gwiazdy, ale było raczej pogodnie i wietrznie. Słodka serenada pod gwiazdami stanu Południowa Karolina. Gdybyśmy byli wówczas w domu, leżelibyśmy na werandzie przed domem owinięci kocem. Tymczasem

okryłem jej ramiona kołdrą, sprawdziłem, czy aby na pewno skarpety zakrywają jej pięty, położyłem otwarty krem na szafce obok łóżka i chwyciwszy za klamkę, zamknąłem za sobą drzwi.

Wychodząc z pokoju Maggie, zauważyłem, że Amanda przykleiła do framugi drzwi kartkę z wiadomością. „Profesorze, proszę przyjść na kazanie taty, dziś wieczór o 7:30. Zajmę panu miejsce. Amanda”.

Ściągnąłem kartkę, przeczytałem raz jeszcze i pomyślałem sobie: Życie dziecka pastora. Pewnie zawsze w centrum, gdy tylko otwierają się drzwi kościoła.

Razem z Blue wymknęliśmy się przez hol, a gruba, stara pielęgniarzka skinęła w moim kierunku głową, gdy wychodziłem. Spojrzała znad swoich okularów do czytania, zmierzyła mnie wzrokiem z góry do dołu i wróciła do lektury.

Srebrne łańcuszki po obu stronach jej okularów podkreśliły jej kwadratową szczękę i podwójny podbródek niczym dzwonek zawieszony na szyi krowy. Blue i ja zesliśmy po schodach i opuściliśmy szpital przez izbę przyjęć. Krótco potem uruchomiłem auto. Odjechaliśmy, a ja cisnąłem przez okno zmiętą kartkę od Amandy.

O dziewiątej trzydzieści skręciłem za ostatni róg w drodze do domu i w polu mojego widzenia pojawił się zielonoświątkowy kościół pastora Johna. Zbudowany został w 1952 roku. Od tego momentu niedzielny poranek stał się porą wyjątkowego spektaklu z udziałem lokalnej społeczności. Można by nawet rzec, swego rodzaju rewią. Oto bowiem zanim rozlegnie się dźwięk dzwonów o dziesiątej trzydzieści, kobiety różnych kształtów, rozmiarów i koloru skóry z towarzyszeniem eskorty swoich rodzin walą środkiem autostrady w drodze na swoje miejsce.

I te kapelusze. Hm... co za bogactwo urodzaju. Nigdy nie widzieliście tylu kapeluszy naraz. Mówią, że czasami pastor John przerywa w środku kazania, aby zwrócić uwagę na jakiś nowy lub piękny kapelusz. Kobiety to kochają. Kochają również jego kazania, które zgodnie z krążącą o nim opinią pełne są ognia i siarki. Ludzie twierdzą, że mówi tak, jak jest, i za to go lubią.

Kościół stanowi niezłą mieszankę ras i rozmiarów, a jeżeli ktoś przejeżdża podczas śpiewów, ich brzmienie może wprawić w drgania samochodowe szyby. Nawet zimą, gdy główne drzwi pozostają zamknięte. Dobrze, że wieża jest wysoka i solidnie zbudowana; w przeciwnym razie mogłaby się od tego zawalić. Klaskanie, śpiewy, a nawet jakieś tańce. To wszystko można tam znaleźć.

Dzisiejszy wieczór, jak każdy środowy, nie stanowił wyjątku. Parking pod kościołem był więc pełny. Gdy już znalazłem miejsce, okazało się, że

zaparkowałem naprzeciw forda crown victoria należącego do Amosa. Z jego radia dobywały się skrzeczące głosy i wezwania.

- 712 do bazy.

- Baza do 712. Słucham cię 712.

- A, mam tutaj... - Osiemnastokółowiec wyładowany sosnowymi balami przemknął obok mojej bocznej szyby, przez co ominęła mnie reszta tego niezrozumiałego bełkotu. Gdy Amos uzyskał nominację na zastępcę szeryfa, powiedział mi: „D.S., jeżeli nie nauczę się abecadła tej nowomowy, posadzą mój T-Y-Ł-E-K na posterunku i będę zapuszkowany”. Całymi tygodniami uczył się więc z fiszek, które trzymał w kieszeni koszuli.

Stróże prawa zdecydowanie posługują się swoim własnym językiem. Myślę, że to dobrze. Gdybym znalazł się pod słupem telefonicznym leżącym na dachu mojego auta z nogami opartymi o sekcję silnika, nie potrzebowałbym zastępcy szeryfa o kwiecistym języku. Potrzebowałbym kogoś, kto potrafiłby przedostać się przez to g-ó-w-n-o i zawieźć mój t-y-ł-e-k do sz-p-i-t-a-l-a. I to n-a-t-y-ch-m-i-a-s-t. Amos mówi, że w znacznej mierze dlatego nie mógłbym zostać stróżem prawa. Pewnie ma rację. Ja przekazałbym raczej na posterunek obraz sytuacji niż zwięzłą informację, co należy zrobić. Widzę kolory, a nie strukturę.

Sądząc po trzaskach w radiu, był to nudny wieczór. Najwidoczniej większość mieszkańców znajdowała się właśnie w kościele, ponieważ każde miejsce parkingowe było zajęte. Nawet na kawałku gołej ziemi obok. Zostawiłem swojego trucka na poboczu i wślizgnąłem się przez boczne drzwi, gdzie od razu wpadłem na woźnego kościelnego w trójrzę-dowym garniturze. Starszego, siwego dżentelmena, dobrze po siedemdziesiątce. Uśmiechnął się od ucha do ucha i przytrzymał mi drzwi, gdy przez nie przechodziłem. Nigdy nie widziałem tyłu zębów. I to jakich równych! Można by posłużyć się nimi jako linijką.

Stałem tam w dzinsach, sfatygowanych butach i flanelowej koszuli, którą szybko starałem się doprowadzić do porządku. Strzygę się dość krótko, włosy zatem nigdy nie stanowią zbytniego problemu. Nawet gdy są w nieładzie, nie wyglądają na bardzo rozczochrane.

Przy wejściu było ciepło i pusto, nie licząc pana Szeroki Uśmiech i mnie. Zapytał, czy jestem gościem, i przysłała mi do głowy myśl, aby skłamać, ale na widok kościelnego przedsiönka zwięzzonego wieżą mojego dziadka uznałem, że w takim miejscu nie wypada. Skinąłem głową, unikając jego wzroku.

Przez szybę w drzwiach prowadzących do środka świątyni mogłem dostrzec pastora Johna, przechadzającego się tam i z powrotem w purpurowej szacie z mocno podniszczoną książką w prawym ręku. Postarzał się i posiwiał, odkąd widziałem go po raz ostatni. Woźny delikatnie otworzył drzwi i wszedł do

środku. Tłum trzystu do czterystu osób tłoczył się ramię przy ramieniu, wypełniając ławki, a rzędy przybyłych w ostatniej chwili korzystały z rozkładanych krzesełek ustawionych w przejściu oraz wokół tylnych ławek. Nie spodobałoby się to inspekcji przeciwpożarowej.

Owalne prezbiterium rozciągało się przede mną w półkolu. Na jednym z jego końców znajdował się pulpit. Tam właśnie krążył pastor John. Za nim stały organy oraz jakieś czterdzieści do pięćdziesięciu osób w jednolitych strojach, którzy skandowali: „Amen” i „Umm-hmm”. Rozmiar ławek musiał chyba być dopasowany do małych Oompa Loompów z fabryki czekolady Willy ego Wonki, ponieważ były niewielkie, ale najwidoczniej nikomu to nie przeszkadzało. Ławki zaopatrzone były w wyściełane siedzenia, ale zrezygnowałem z nich, aby zyskać więcej miejsca dla ramion.

Zanim uświadomiłem sobie, co on robi, woźny wcisnął się w sam środek głównego przejścia z zamiarem poprowadzenia mnie na czoło nawy, gdzie - a to ci niespodzianka - obok pustego miejsca siedziała Amanda. Próbowałem go powstrzymać. Niby że się zakrztusiłem i pomyślałem nawet, aby wlepić wzrok w sufit, pogwizdując nieco, ale Amanda obróciła się, zobaczyła mnie i zaczęła się przesuwając, aby zrobić więcej miejsca. Poszedłem więc za nią przy wtórze szeptów, które zaczęły rozchodzić się wokół mnie niczym fala uderzeniowa z rejonu epicentrum.

Gdy woźny dotarł do przedniego rzędu, obrócił się, rozłożył rękę, ukazując wnętrze dłoni, i pokiwał głową. Cały czas się uśmiechał. Cholera, ale ma tych zębów. W koszuli, która zaczynała kleić mi się do pleców, wcisnąłem się na siedzenie.

Amanda uśmiechnęła się i szepnęła:

- Witam, profesorze, pomyślałam, że może pan przyjdzie - i założyła sobie ręce na brzuchu.

Spuściłem wzrok i nie powiedziałem ani słowa. Wpatrując się w wykładzinę, zauważyłem, że zsunęła buty i nietrudno było zgadnąć dlaczego. Jej stopy mocno napuchły. Uniosłem wzrok, a pastor John przerwał w połowie zdania, zamachał rękami i przycisnął do ust palec wskazujący prawej ręki.

Gdy zebrani przycichli i przestali mówić o mnie za moimi plecami, odezwał się:

- Do wiadomości tych, którzy go nie znają - właśnie dołączył do nas doktor Dylan Styles. Jak powszechnie wiadomo, wszyscy modlimy się za jego żonę, Maggie, już od wielu tygodni i nadal będziemy to robić.

Ktoś za mną potwierdził:

- Zgadza się.

Ktoś w drugim końcu nawy zamruczał:

- Ummm-hummm - a z miejsca obok po lewej dobiegło: - Amen.

Idąc w kierunku przeciwległego końca podestu, pastor dodał:

- Pamiętajcie, proszę, żeby pozdrowić profesora Stylesa, gdy już skończę - po czym uśmiechnął się i spojrzał na mnie, a potem przeniósł wzrok z powrotem na wiernych: - Ale dopiero jak skończę.

Kierując się zaś ponownie do mnie, z twarzą pokrytą potem, jakby ktoś odkręcił kurek, rzekł:

- Witamy cię, synu.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale nie powiedział. Nie wypadając z rytmu, podjął wątek w miejscu, gdzie przerwał, i kontynuował go, uderzając palcem w Biblię rozłożoną na pulpicie. Sądząc po tym, co mówił, oraz po reakcji zebranych przerwał kazanie w momencie, gdy jego dynamika wzrastała. Po upływie kolejnych dziesięciu minut, gdy zdołał wprowadzić już wszystkich w stan niezłej ekscytacji, zakończył i usiadł w dużym, szerokim, bogato zdobionym krześle, tuż obok chóru.

Odezwały się organy, a moje pachy zrobiły się mokre od potu. W środku było jak w mojej klasie: naprawdę gorąco. Wiele kobiet systematycznie wachlowało się kawałkami papieru w rytm łopat wentylatorów umieszczonych pod sufitem i mieszających tylko upały. Kapało mi z czoła, które stale ocierałem rękawami koszuli. Wkrótce muzyka się skończyła, zapadła cisza, nie licząc szelestu szat chóru. Wtedy zobaczyłem, jak woźni prowadzą jego członków do barierki. To zaś oznaczało tylko jedno. Komunię. Chórzyści podeszli i uklękli jednocześnie. Po wysłuchaniu modlitwy pastora Johna o godne przyjęcie ciała Pańskiego jego asystent skierował się wzdłuż rzędu postaci w purpurze i umieszczał w ich czarnych dłoniach opłatki.

- Ciało Chrystusa. Chleb nieba - mówił.

Gdy zdołali już przełknąć, pastor John ruszył z wielkim, srebrnym kielichem. Posuwał się systematycznie wzdłuż przejścia.

- Bracie Michaelu, krew Chrystusa. Siostró Anno, kielich zbawienia.

Gdy skończył, chór powstał jednocześnie i wrócił na swoje miejsca, gdzie kołysząc się rytmicznie niczym wachlarze kobiet, zaczął cicho nucić. Pomyślałem wówczas, że jak moje pole kukurydzy, tak i to miejsce jest w ciągłym ruchu.

A potem, nie wiadomo skąd, pojawił się obok mnie pan Szeroki Uśmiech. Obrócił się, wyciągnął rękę i otwartą dłonią wskazał kierunek. Zwróciłem wzrok prosto przed siebie, udając, że go nie zauważam.

Amanda szepnęła:

- W porządku, profesorze. Nie jesteśmy katolikami. Może pan do nas dołączyć.

Wierni z rzędu naprzeciwko gromadzili się i odchodzili od barierki na lewo ode mnie. Pan Szeroki Uśmiech otwartą dłonią po raz drugi wskazał, co powinienem zrobić, a ja zmarszczyłem czoło. Wtedy odezwał się pastor John, machając w stronę organów, które milczały, i skierował twarz w stronę balkonu. Nie patrząc na nikogo w szczególności, a jednocześnie obejmując wzrokiem każdego, powiedział:

- Wszyscy wiecie, co czuję w tym momencie. - Jego dłoń przesuwiała się po poręczy. - Zanim tutaj podejście, przypomnijcie sobie, co na was czeka. - Mówił wyraźnie i dobitnie, uważnie i precyzyjnie dobierając słowa. Przerwał, przełożył kielich z jednej ręki do drugiej, wyciągnął chusteczkę i wytarł sobie nią czoło oraz policzki. - Wszyscy musicie wybierać. Możecie podnieść się z siedzenia, podążyć za osobą przed wami, przejść się środkiem nawy, spojrzeć krytycznym okiem na czyjeś najlepsze niedzielne ubranie, które ten założył akurat w środowy wieczór, potem pomyśleć sobie, jak bardzo jesteście głodni i gdzie, kiedy oraz co zamierzacie zjeść, gdy już stąd wyjdziecie, a następnie uklęknąć, pochylić głowę, posilić się nieco i łyknąć sobie, po czym wrócić na miejsce, myśląc, że opłatek był zwietrzały, a wino tanie. - Pastor John ponownie otarł sobie czoło, składając i rozkładając na nowo chusteczkę. - Albo - przełożył kielich do drugiej ręki - możecie zwlec się ze swojego siedzenia, podejść do tej barierki... - głos chóru wzrastał się - schylić się, przytrzymać się tych popękanych drewnianych palików, paść na kolana w geście szukania pociechy - głos pastora wzniósł się ponad murmurando chóru - wyciągnąć ręce, delikatnie ująć w nie Jego ciało, położyć sobie na języku, poczuć je, przełknąć i doświadczyć głodu, który budzi się w waszych ciałach. A potem możecie chwycić ten kielich - pastor John uniósł naczynie obiema rękami ponad głowę, a jego silne ramiona naprężyły się pod komżą - zadrzeć, upić namiętnie, poczuć żar oraz drażniący zapach, poczuć na łokciach ukłucie drzazg z barierki, pochylić się bardziej, a później spojrzeć na ten krzyż - nie oglądając się, pastor wskazał za siebie. - Możecie sięgnąć i oprzeć swoje drżące ręce na stopach pokrytych odciskami nasiąkniętymi krwią, poczuć czerwony, śliski płyn ściekający po waszych palcach pod paskiem zegarka na przegubie i zbierający się w spękaniach na łokciu. Możecie oprzeć czoło na Jego skórze, przyjrzeć się topornym, zardzewiałym gwoździom, drzeniu i napięciu Jego ramion i nóg, wsunąć dłoń do rany w boku, zauważyć zeschniętą krew na Jego twarzy, ciernie przebijające skórę, poczuć zapach octu, wyczuć pod palcami żywe mięso na Jego

plecach i usłyszeć rżenie wydobywające się wraz z Jego oddechem - pastor John zaciągnął się powietrzem głęboko i długo. Nastąpiła chwila ciszy.

- A na koniec - mówił z wyraźnym wzruszeniem w głosie - możecie unieść głowę i poczuć oddech Boga. I w tej właśnie chwili jeżeli się na to zdecydujecie, możecie ujrzeć swoje własne odbicie. Ze wszystkimi waszymi krostami, pryszczami, skazami i bliznami. A tam właśnie, pomiędzy nimi, znajdują się demony. Ale wy, spożywając Jego ciało, nabierając do ust i przełykając wino, możecie je odegnąć. - Chór śpiewał coraz głośniejsze. Głos pastora był zaś już spokojny, pod kontrolą, kojący i wibrujący zarazem. - Ludzie - znów przerwał, ukląkł, oparł ręce na balustradzie, trzymając kielich w obu dłoniach, i zwrócił się twarzą do wiernych: - Właśnie tutaj możecie przegnać demony, które karmią wasze wątpliwości, wasz gniew, gorycz i wasz brak wiary. - Później prawie szeptem dodał: - Każdego z nich do końca.

Powstał i otarł sobie czoło. W kościele panowała absolutna cisza.

- Bracia i siostry - uderzył w mocne tony - zadaniem demona jest was zabić. Zadrzeć na śmierć. Ograbić was ze wszystkiego, co nie jest bolesne. Przy tej barierze otrzymujecie więcej, niż dajecie. Gdy odbieracie, co zostało wam zrabowane. Gdy zabijacie to, co zabija was. A potem, po przegnaniu i zgładzeniu demonów powracacie - skinął na ławki i składane krzeselka - pokryci krwią, ale nietknięci, inni, ale tacy sami, odmienieni, choć tacy jak przedtem... Gdzie indziej, ale w tym samym miejscu. Niczym żywe pole bitwy.

I po raz kolejny nastąpiła pauza.

- Ludzie, są tutaj ci, którzy ranią. Każdy z nas ma szafę, w której trzyma i karmi swoje demony. Szafy jednych są większe, innych mniejsze, ale wszystkie pękają w szwach. Wiecie, co znajduje się w moich. Już wam o tym opowiadałem. To, czego wam nie powiedziałem, znajduje się w moich aktach. Nie jest to tajemnicą. Możecie sobie o tym poczytać.

Rzuciłem okiem na Amandę. Blask spokoju bił z jej twarzy, gdy spoglądała na swojego ojca.

- Ludzie - kontynuował tymczasem pastor John - ta przestrzeń pomiędzy waszymi ławkami a ołtarzem, pomiędzy czerwoną, aksamitną poduszką na siedzeniu a tą barierką. Nieważne, czy to dziesięć metrów, czy milion kilometrów, bo nie chodzi tu o odległość. Chodzi o to, gdzie się znajdujemy. - Spokojnie obrócił się, podszedł do końca balustrady i czekał.

Murmurando nie ustawało. Pan Szeroki Uśmiech położył mi rękę na ramieniu. Ludzie obok Amandy stali i czekali. Wstałem.

Zrobiłem trzy kroki i ukląknąłem. Albo raczej: padłem na kolana. Gdyby barierka znajdowała się znacznie dalej, nie jestem pewien, czy zdołałbym do niej

dotrzeć. Amanda uklękła obok mnie. Spojrzałem prosto przed siebie i postępowalem tak jak ona, wyciągając ręce z dłońmi ułożonymi jedna pod drugą. Pomocnik pastora delikatnie umieścił mały biały opłatek na mojej ręce. Przyjąłem go. Jeżeli coś powiedział, to tego nie usłyszałem. Amanda zrobiła tak samo i natychmiast położyła go sobie na języku, po czym zamknęła usta. Ja trzymałem swój z daleka, przyglądając się, a następnie również umieściłem go sobie na języku. Był chropowaty, ale połknąłem go. Wydaje mi się, że zaburczało mi w brzuchu, ponieważ kątem oka zauważyłem uśmiech na twarzy Amandy.

Po chwili w zupełnej ciszy pojawił się pastor John z kielichem, który zbliżył do moich warg.

- Dylan, to jest krew Chrystusa, która za ciebie została wylana. Przyjmij to na pamiątkę Tego, który umarł na krzyżu. - Przystawił zimny srebrny kielich do moich ust.

Upiłem łyk.

Język i gardło płonęły mi, gdy zmusiłem się do przełknięcia płynu, który trafił w końcu do żołądka.

Następnie pastor John przesunął się w kierunku Amandy:

- Dziecko, to jest Jezus. - Położył dłoń na jej czole i modlił się cicho.

Gdy otworzyłem oczy, przy barierce nie było już nikogo poza mną. Nie wiem, jak długo tam byłem, ale gdy się odwróciłem, wszyscy już siedzieli na swoich miejscach i jakieś czterysta par oczu wpatrywało się prosto we mnie. Podniosłem się szybko i opadłem na ławkę z głuchym odgłosem, który wprowadził mnie w zawstydzenie.

Amanda siedziała z zamkniętymi oczami. Milcząca. Aż do tej pory nie widziałem Amosa. Kątem lewego oka zauważyłem go siedzącego na końcu rzędu naprzeciwko mnie z uwagą skoncentrowaną na pastorze. Jego mundur wyróżniał go, a światło odbijało się od odznaki zastępcy szeryfa. Dało się zauważyć brak pasa i kolta.

O dwudziestej drugiej czterdzieści siedem pastor John odmówił końcową modlitwę i przy śpiewie chóru wierni zaczęli opuszczać swoje miejsca. Kilka osób skierowało się w stronę drzwi, ale większość zmierzała ku mnie. Znalazłem się w centrum uwagi i w zasięgu rąk kilkuset ludzi. Po jakichś ośmiu lub dziesięciu minutach uratował mnie Amos. Objął ramieniem i poprowadził w kierunku bocznych drzwi.

- Psorze - odezwał się ze swoim wiejskim akcentem - a może by tak hamburgera?

- Nie - przerwałem. - Nie jestem głodny.

- Akurat, doktorku.

- Co? - powiedziałem, spoglądając na Amosa.

- Parę minut temu, słyszałem to dobrze, twój brzuch mówił, że umierasz z głodu i potrzebujesz grubego, soczystego, ociekającego tłuszczem cheeseburgera z bekonem, dodatkowymi piklami i odrobiną sekretnego sosu Amosa na talerzu.

- Nie... zacząłem grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyków. - Dzięki. - Zostawiłem Amosa stojącego razem z trzema setkami ludzi, którzy usłyszeli przed chwilą, jakie robi cheeseburgery. Zapaściłem silnik mojego trucka, zauważyłem kolejny wyciek z rury wydechowej, wrzuciłem bieg i odjechałem do domu.

Gdy znalazłem się na podjeździe, okrążyłem dom i zaparkowałem z tyłu na trawie, następnie podszedłem do werandy z tyłu i popchnąłem drzwi, za którymi zastałem zapach Maggie, co tylko pobudziło i tak napiętą do granic strunę samotności. Nie mogąc znieść pustego wnętrza, sięgnąłem po koc na werandzie przed domem, poszedłem na pole kukurydzy, położyłem się razem z Blue na ziemi i nazwałem swoje demony.

Rozdział dziewiąty

Gdy się obudziłem, słońce właśnie zaczynało wznosić się ponad linię drzew. Było zimno, drzałem, a Pinky ryła w ziemi przy moich nogach. Pojawiła się pod naszymi drzwiami jakieś dwa lata temu. Spojrzałem wtedy na nią i pomyślałem, że przez trzy miesiące nie będziemy musieli martwić się o bekon na śniadanie, ale Maggs wskazała na mnie palcem, mówiąc:

- Dylanie Styles, jeżeli zastrzelisz tę świnkę, przez miesiąc będziesz spał na kanapie.

Pinky wylądowała zatem w swojej własnej zagrodzie w stodole, z dwoma pełnymi posiłkami w ciągu dnia. Maggs namalowała nawet nad drzwiami imię „Pinky” jasnoczerwonymi literami. Karmię ją karmą dla psów lub ziarnem kukurydzy, a czasami mieszanką jednego i drugiego, ale i tak jadłaby wszystko poza padliną - a w niektórych przypadkach nawet i tę podjada. Gdy pojawiła się u nas po raz pierwszy, mogła ważyć czterdzieści kilogramów i potrzebowała gruntownej kąpieli oraz badania weterynaryjnego. Obecnie waży nieco ponad sto pięćdziesiąt i przyzwyczajona jest do cotygodniowego potraktowania wodą z węża ogrodniczego.

Nigdy nie zrozumieć, jak ktoś tak piękny i czuły może kochać coś tak brzydkiego. Ale nie ma wątpliwości, że świnka odwzajemnia jej miłość. Mnie to cholerstwo nienawidzi, robi mi na buty, gdy tylko ma okazję, ale moją żonę wprost uwielbia. Nikt nie słyszał jeszcze takiego chrząkania i kwiczenia, jak wówczas gdy Maggie drapie Pinky po uszach i brzuchu. Pinky turla się wtedy i rozwała, a potem ociera o jej ogrodniczki. A Maggie nie ma nic przeciwko temu. Bywa, że Maggs kuca pośrodku chlewu, a Pinky z zakręconym w górę ogonkiem wypycha swoim nosem z rogu wszystkie prosięta i podsuwa je Maggie, która czochra każde, aż zaczyna ono kwiczeć z rozkoszy. Co jakiś czas Pinky przystawia nos do ręki Maggie, otrzymuje drapano pomiędzy uszami, a następnie podsuwa jej kolejnego prosiaczka. Po pół godzinie Maggie wylania się ze stodoły i przez cały dzień sama pachnie jak prosię. Pewnego ranka zeszłego lata doprowadziła się do takiego stanu, że ją musiałem potraktować wodą z węża ogrodowego. Nie miała nic przeciwko temu. Tylko się śmiała, pokwikuując niczym Pinky.

Maggie kochała farmę. Wszystko, co się na niej znajdowało, od trzeszczącej podłogi po skrzypiące drzwi. Popękaną farbę, werandę przed domem, huśtawkę zbudowaną przez Papę, zapach siana w stodole, kwitnienie bawełny latem, dębowy lasek pomiędzy farmą a brzegiem rzeki, dąb, który rozrastał się przed stodołą - o pniu większym niż szoferka mojego tracka - studnię artezyjską z jej

pachnącą siarkowodorem wodą, kukurydzę, która falowała, gdy buszował w niej wiatr. Jednak to kukurydzę kochała chyba najbardziej. Każdego wieczoru, gdy znad rzeki zrywał się wiatr, znikwała na werandzie przed domem z filiżanką ziołowej herbaty i stała tak, oglądając fale wznoszące się i opadające pośród kukurydzianych łodyg. A w księżycowe letnie noce, gdy nie mogła zasnąć albo gdy obudził ją Blue, szczekając na jelenia, chwytając koc, wychodziła na palcach przed dom i siadała na schodach w blasku księżyca, który rozszczepiał się pomiędzy rzędami łodyg i rozświetlał piaszczystą ziemię pod spodem. Kiedy nadchodził dzień, znajdowałem ją śpiącą z plecami opartymi o kolumnę na ostatnim stopniu schodów. Uchyliłem drzwi na werandę, Blue unosił głowę z jej kolan, a Maggie bez słowa otwierała oczy, uśmiechała się, odrzucała koc, a następnie z chichotem zbiegała ze schodów, niczym dziecko wybiegające z kościoła po niedzielnej mszy. Ścigaliśmy się wówczas pomiędzy rzędami kukurydzy przez całą drogę nad brzeg rzeki, gdzie z urwiska wskakiwała do głębokiej, ciemnej wody. Blue i ja podążaliśmy za nią niczym bohaterowie reklamówki telewizyjnej Mountain Dew.

Kukurydza była również jednym z jej ulubionych dań. Lubiała ją ucieraną. Po pływaniu obcinała dziesięć do piętnastu kolb, zanosila je do kuchni, wkładała do miksera i po chwili pojawiała się, wyglądając, jak gdyby ktoś właśnie otworzył do niej ogień z kukurydzianego puree.

Gdy kończyłem pracę doktorską, wchodziła do pokoju późnym wieczorem, cicho podsuwała mi miskę lodów czekoladowych lub kawę albo cokolwiek innego, co mogło pomóc mi w pisaniu. Wyczuwając czasami moją frustrację i wiedząc, że byłem bliski rzucenia tego wszystkiego w cholerę, chwytala mnie za rękę, ciągnęła na werandę, sadzała na huśtawkę i prosiła, abym głęboko oddychał i pooglądał sobie falujące łany kukurydzy. Pół godziny później dostawałem kolanem kuksańca w tyłek i słyszałem, że mam wracać do pisania.

Brakuje mi tego.

Gdy uniosłem głowę, Pinky przestała ryć w ziemi, zastrzygła uszami i kichnęła, pokrywając mnie świńskimi glutami. Ze sterczącym ogonem pognęła z powrotem do stodoły krokiem a la Charlie Chaplin. Nie mam pojęcia, jak zdołała się w ogóle stamtąd wydostać, ale wydaje mi się, że odpowiedzi może dostarczyć nowe ogrodzenie.

Podniosłem się z ziemi i wytarłem sobie twarz oraz ubranie. Było zimne i mokre.

W stodole Pinky zebrała wokół siebie swoje maleństwa, które nie były już wcale takie małe, i starała się trzymać mnie na dystans. Rozrzuciłem trochę kukurydzy i spróbowałem podejść bliżej, ale odgrodziła mnie od nich swoim

ciałem, a następnie narobiła mi na buty. Zgarnąłem kukurydzę na jedno miejsce, odwiesiłem wiadro, zaryglowałem drzwi do stodoły i skierowałem się w kierunku werandy.

- Świnie! - warknąłem.

Będąc już w domu, zaparzyłem sobie dzbanek kawy i spędziłem pół godziny na przeglądaniu swoich notatek dotyczących nowych uczniów, próbując zestawić sobie ich wygląd zewnętrzny oraz profil psychologiczny z imionami. Miało się to okazać skuteczne tylko wówczas, gdy dzieciaki usiądą na tych samych miejscach, ale większość tak robi, ponieważ ludzie są niewolnikami własnych przyzwyczajzeń. Weźmy na przykład kościół. Weszliście kiedyś po raz pierwszy do jakiegoś kościoła, siadając na ławce, na której zazwyczaj siada ktoś inny? No, to spróbujcie. Na pewno się dowiecie, czyja to ławka.

Byłem w klasie dopiero od paru minut, gdy do środka weszła Amanda i uśmiechnęła się. Potem rzuciła okiem na moje przedramię i uniosła brwi:

- Profesorze, co się stało z pana ręką?

Szybko opuściłem podciągnięty rękaw i zakryłem strupy oraz zaschniętą na przedramieniu ropę, w duchu klnąc na siebie, że je odsłoniłem.

- Mała potyczka z wielką świnią - skłamałem. Domyśliła się, że ukrywałem coś więcej niż tylko skaleczenia na rękę.

- Proszę pamiętać, abym to panu oczyściła w szpitalu. Nie chce pan chyba, żeby wdała się infekcja. Już to widziałam. Więc nic pan nie traci.

Usiadła, a ja włożyłem rękę do kieszeni. Przedpołudniowe słońce przebijało przez gałęzie magnolii i wkrótce dość mocno rozgrzało pomieszczenie. Ustawiłem wentylatory na „lekki podmuch”, ale słońce przekonało mnie do przełączenia na „wicher”, aby naprawdę przewietrzyć salę.

Gdy wchodził Marvin, przywitałem go:

- Dzień dobry.

- Dobry, dobry - odparł. Widocznie jednak nie za dobry. Słyszałem, jak wymamrotał pod nosem: - Gorąco tu jak w tyłku u węża podczas rui.

Za Marvinem wszedł Russell, mówiąc:

- Dzień dobry, psorze - usiadł, przetaił sobie oczy, otarł czoło ręcznikiem i spojrzał przez okno.

Koy wślizgnęła się i usiadła cicho prawie na końcu sali. Tak daleko, że ledwo ją było widać.

Podszedłem do jej miejsca w środkowym rzędzie i stanąłem przy pustej ławce.

- Dzień dobry, Ciemne Okulary.

Koy uśmiechnęła się półgębkiem, spojrzała znad oprawek, ukazała mi biel swoich oczu i powiedziała szeptem:

- Dzień dobry.

A następnie zasłoniła oczy, przyłożyła dłoń do czoła i kontynuowała lekturę.

Policzyłem obecnych, przypomniałem sobie, kto jest kto, obróciłem się w ich stronę i usiadłem na blacie swojego biurka, dyndając nogami. Przeczuwając, że jest to postawa, która jest wstępem do czegoś niemiłego, wszyscy umilkli i spojrzeli na mnie niepewnie.

- Proszę, wyciągamy karteczki i...

Rozległ się jęk.

- Co tak stękacie? Mówiłem przecież, że będzie sprawdzian.

Russell odwrócił się do Amandy, na ławce której leżała już kartka i ołówek, mówiąc:

- Czy możesz mi dać jakąś kartkę?

Marvin zrobił to samo. Eugene i Alan mieli własny papier.

Wszystkie moje sprawdziany składały się z dziesięciu pytań. Zebrane razem - a w ciągu semestru mogło być ich nieco ponad dwadzieścia - stanowiły tylko 10% oceny końcowej, jeden lub dwa można więc było sobie odpuścić. W dodatku jeżeli student obecny był na każdym, tak czy owak dodawałem mu 10% do jego oceny na koniec. Nikt z nich o tym nie wiedział, ale działało. Wiedza, że będzie sprawdzian, i fakt, iż nie chcieli go oblać, stanowiły sposób na to, aby uczniowie tacy jak Marvin czytali, a przynajmniej zapoznali się z tym, czym w przeciwnym razie nie zawracaliby sobie głowy.

- Pytanie numer jeden - powiedziałem, gdy moi studenci pochyłili się nad ławkami i przyłożyli długopisy do papieru. - Jak się nazywasz?

Wszyscy zaczęli się śmiać, a Marvin powiedział:

- Zawsze wiedziałem, że pana lubię, psorze.

- Pytanie numer dwa. Skąd pochodzisz?

Marvin uśmiechnął się i oblizał wargi. Amanda szybko zapisała odpowiedź i spojrzała na mnie gotowa na kolejne pytanie. Koy pisała, nie patrząc na nikogo. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Russell oparł nogi na ławce obok.

- Pytanie numer trzy. Jaki jest twój ulubiony kolor?

Marvin, dla którego stawałem się kimś ważnym, ponieważ zaczął dostrzegać szansę na znakomitą ocenę z tego sprawdzianu, zachęcał mnie wyraźnie:

- No, dalej, psorze.

- Pytanie numer cztery. Dlaczego?

- Co? - jego twarz nagle stężała. - Jak to: „dlaczego?”.

Połowa klasy pisała bez komentarzy. Marvin czekał na wyjaśnienia, powtórzyłem więc pytanie:

- Dlaczego twój ulubiony kolor jest twoim ulubionym kolorem?

Potrząsnął głową.

- Ale na to nie ma dobrej odpowiedzi. Jak chce pan to ocenić?

Russell, Eugene, Alan, B.B., M&M i Jimbo, wszyscy czekali, co ja na to. Inni pisali z werwą.

- Możecie pisać, co chcecie i jak dużo chcecie - powiedziałem.

Marvin spuścił głowę i mrucał pod nosem:

- Skąd mam wiedzieć, dlaczego jakiś kolor jest moim ulubionym? Bo jest.

- Pytanie numer pięć.

Ręka Marvina wystrzeliła w górę.

- Zaraz, jeszcze nie skończyłem.

- Możesz wrócić do tego później. - Spoglądając znowu na klasę, kontynuowałem. - W czym jesteś dobry/dobra?

- Pytanie numer sześć. Dlaczego?

Marvin upuścił ołówek i spojrział na mnie ze wstrętem.

- No nie, psorze.

- Pytanie numer siedem. Ilu masz braci, ile siostr? - W sali naprawdę zaczęło robić się gorąco. Przedpołudniowe słońce stawało się południowym i wentylatory dmuchały teraz gorącym powietrzem.

- Ósme. Ile masz lat? Znowu odezwał się Marvin.

- Nie wolno zadawać takich pytań.

- Marvin - odparłem z uśmiechem - to nie jest rozmowa kwalifikacyjna. Po prostu odpowiedz na pytanie.

Paru z nich się zaśmiało, a Marvin się naburmuszył.

- Dziewiąte i dziesiąte. Opowiedz mi swoją historię. Macie na to resztę czasu.

Marvin podniósł rękę.

- Tak, Marvin?

- O co chodzi z tym „opowiedz mi swoją historię”? To może zabrać sporo czasu.

- Napisz tyle, ile możesz. Powiedz to, co byś chciał, żebym o tobie wiedział.

Znowu podniósł rękę.

- Zabierz się do pisania, Marvin.

- Ale psorze - zaprotestował.

Spojrzałem na niego. Wysoki. Dobrze zbudowany. Wyglądał na wysportowanego. Pewnie dość szybki. Słyszałem, że jest bocznym obrońcą w drużynie futbolowej.

- Marvin, jak szybki jesteś?

- Nie rozumie.

- Jak szybko możesz przebiec czterdziestkę? Przekrzywił głowę i zatoczył oczami okrąg, jak gdyby

próbował dociec, czy aby nie było to pytanie podchwytliwe. Następnie odezwał się: - Cztery i cztery dziesiąte.

- Nieźle - powiedziałem. - To może byś ruszył mózgiem i ręką tak szybko, jak przebierasz nogami?

Marvin rozluźnił się, uśmiechnął i zabrał do pisania.

Rozdział dziesiąty

Właśnie zakończyłem porządki w stodole i czymś strasznie śmierdziałem. Stałem więc pod prysznicem, wdychając parę, gdy Amos wspiał się po schodach na werandę. Usłyszałem skrzypienie zawiasów, trzaśnięcie drzwiami, a następnie jego głos:

- D.S., gotowy jesteś?

- Gotowy? - zapytałem, wystawiając głowę zza winkla.

- Ivory, człowieku, posmarujże to jakimś kremem z filtrem. - Zobaczył mnie, gdy przechodziłem obok drzwi owinięty ręcznikiem i z powrotem nałożył na nos okulary przeciwsłoneczne. - Ta biel mnie oślepia. Musisz odsłonić kawałek skóry, trochę opalenizny tu i tam ci nie zaszkodzi.

Moi przodkowie byli Szkotami. Przybyli do Stanów, przejechali przez Południową Karolinę, następnie Tennessee i zatrzymali się w Teksasie. Można by pomyśleć, że gorące teksańskie słońce powinno było przynieść trochę opalenizny, ale nie przyniosło. Zbyt wiele lat spędzonych na wyżynach, jak sądzę. Nigdy się nie opaliłem, ale poparzyć, owszem, tysiące razy.

Amos zasłonił sobie oczy, a potem, jakby był u siebie, sprawdził stan mojej lodówki, która okazała się jednak pusta.

- Nigdy nie kupujesz niczego do jedzenia? Uschniesz.

- W spiżarni są PB&J2 i tuńczyk - spokojnie powiedziałem zza drzwi.

Amos pomyszkował po kuchni, zagrzechotał jakimiś talerzami i sztucami, a później krzyknął:

- Dość mam już tego czekania. Gazu, chłopcze! Wciągnąłem przez głowę podkoszulek i powiedziałem:

- Amos, nie mam pojęcia, po co przyszedłeś, ale coś mi się wydaje, że to mi się nie spodoba. A ostatni raz, gdy tak się zachowywałeś, skończyłem, stojąc przed klasą dzieciaków z collegeu, od czego przez cały czas próbuję się wykręcić. Nie powinieneś być teraz w pracy albo co?

- Ivory, Ivory, Ivory - mamrotał Amos, nie unosząc wzroku znad czterech kromek chleba, które smarował właśnie masłem orzechowym. Dla Amosa PB&J to nie była tylko przekąska, to było wydarzenie kulinarne. Za dużo masła - byłoby trudne do przełknięcia. Za dużo marmolady - byłoby za słodkie. Za dużo jednego oraz drugiego - nie byłoby czuć smaku chleba. Amos nie lubił chleba żytniego. Tylko białe pieczywo. Takie, jakim zwykle karmi się kaczki lub wykorzystuje się jako przynętę na ryby.

Sądząc po gibkich mchach nożem i sposobie smarowania chleba masłem, mogłem wnioskować, że był w dobrym humorze. Nie byłem tylko pewien

dłaczego. Amos był niezłym dowcipnisiem, gdy byliśmy młodszy, ale kiedy zaczął pracę w biurze szeryfa, bardzo spoważniał. Ryzyko zawodowe, jak sądzę. Niech przestępcy zobaczą w tobie człowieka, który okazuje uczucia i emocje, a już mają cię na widelcu albo lądujesz gdzieś w rowie, przytrzymując ręką poważną ranę po strzelaninie.

Nie, to mu się raczej nie zdarzało. Niemniej to był Amos, jakiego znałem. To był także Amos, którego mi brakowało.

PB&J (peanut butter andjam sandwich) - kanapka z masłem orzechowym i dżemem, popularna przekąska w USA i Kanadzie.

W przeszłości, gdy zapuszczał taaakie długie włosy, zwykle wpadaliśmy w tarapaty. Tak było, zanim dostał odznakę.

- Amos - zacząłem - kiedy ostatni raz wpadliśmy w tarapaty?

- Dziś wieczór - powiedział, wykonując po kuchni rodzaj tańca zjedną kanapką w ręce i drugą w ustach. Ubrany był w szorty z obciętych džinsów, znoszoną i sfatygowaną baseballówkę John Deer, pager, postrzępiony podkoszulek z napisem „Protected by Kimber” i nie miał na sobie obuwia. Mogło to oznaczać tylko jedno.

Kierunek: rzeka.

Gdy Amos i ja mieliśmy odpowiednio po dwanaście i jedenaście lat, zbudowaliśmy tratwę. Cały poprzedni miesiąc spędziliśmy wówczas, czytając Robinsona Crusoe, i byliśmy już w połowie Przygód Hucka, poczuliśmy więc zew przygody. Budowa tratwy zajęła nam prawie miesiąc, ale nasza była wykonana dużo zmyślniej niż ta Crusoe. Wycięliśmy kilka cedrów wyrastających z wody, tak że upadając, trafiały do niej z powrotem. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego stary Rob nie pomyślał o tym, zanim ściał to duże drzewo rosnące tak daleko od oceanu. Wiedzieliśmy już o tym, dochodząc do momentu, kiedy je rąbał: „Nigdy nie zdoła dostać się z tym do wody” - mówiłem, a Amos dodawał: „No, jak on zamierza to tam dociągnąć? Przecież tego się nie da ruszyć”. Mieliśmy rację. Robowi nigdy nie udało się spuścić tratwy na wodę.

Przycięliśmy górne gałęzie i szczepiliśmy ze sobą dwanaście cedrowych pni, każdy około stopy średnicy, następnie spławiliśmy całość z prądem do głównego nurtu rzeki, a tam, na płytkiej wodzie, wszystko ze sobą powiązaliśmy. Większość roboty wykonaliśmy na wodzie, przetykając pokład około trzydziestoma mniejszymi żerdziami. Potem potraktowaliśmy je papierem ściernym, aby uzyskać niemal płaską podłogę przylegającą dość ściśle do cedrowych pni. Wyszła z tego całkiem niezła tratwa. Przynajmniej według Papy.

Na pokładzie o wymiarach cztery na cztery metry wykonaliśmy nadbudówkę, w której obaj mogliśmy nocować. Wstawiliśmy nawet do środka piecyk do palenia drewnem. Planowaliśmy spływ aż do Zatoki Meksykańskiej, ale okazało się, że nasza rzeka do niej nie wpada. Co za niefart.

Całość ważyła chyba z tonę, a gdy była już zupełnie gotowa i nasiąkła wodą, pewnie i więcej. Drewno cedrowe jest dość ciężkie z natury. Potrzebuje wody o głębokości jakichś dwudziestu centymetrów, aby mogło dryfować. Kierowaliśmy się w dół rzeki, płynąc w ciągu dnia i najdalej jak się dało nocą, a potem podczepiając się do barek zmierzających na północ po ładunek soi, kukurydzy lub czegośkolwiek, z czym farmerzy próbowali dotrzeć do linii kolejowej w Brunswick.

W ciągu lata zdołaliśmy poznać większość kapitanów barek regularnie pływających po rzece. Dryfowaliśmy z prądem dzień lub dwa, łowiliśmy ryby, jedliśmy, co udało się złapać, zapalaliśmy fajkę, jak robili to Rob i Huck, a gdy zaczynało się nam kręcić w głowie, szliśmy spać. Potem - gdy nadchodziło niedzielne popołudnie - zarzucaliśmy linę i podczepialiśmy się do barki, która holowała nas na północ. Pokonanie drogi powrotnej, która wcześniej zabierała nam prawie dwa lub trzy dni, trwało pięć godzin.

Trzeba jednak zaznaczyć, że podczas naszego spływu w dół rzeki cumowaliśmy i wędkowaliśmy przez kilka godzin, a czasami przez cały dzień, w zależności od tego, czy i gdzie brały ryby. Potem zwykle dryfowaliśmy dalej, zanim znowu nie zachciało się nam powędkować. Bywały chwile, że myśleliśmy, by dać sobie spokój z tymi spływami, ale po całej robocie, jaką wykonaliśmy, po prostu było nam żal. Zbyt dużo w to zainwestowaliśmy. A poza tym kapitanowie barek czuli się samotni i cieszyli się, mając z kim pogadać, my zaś cieszyliśmy się, że nie musimy wiosłować, aby płynąć tym czymś w górę rzeki.

Spróbowaliśmy raz. Po około piętnastokilometrowym spływie w dół rzeki i noclegu postanowiliśmy powiosłować, aby pokonać drogę powrotną. Nic z tego. Może gdybyśmy byli tak zdesperowani jak Crusoe? Dziwne są powody, dla których coś przychodzi nam do głowy, podczas gdy coś innego nie.

Później, jakieś piętnaście lat temu, znalazłem stary czterdziestokonny silnik Evinrude, który należał do Papy. Tyle czasu pracowałem i bawiłem się w stodole, i nie wiedziałem, że tam jest. Zabraliśmy go z Amosem do niewielkiego warsztatu Bobby'ego. Ten majstrował przy nim tydzień, wymieniając to i owo, i wkrótce zdołał zamienić silnik w prychającego rumaka. Bobby pomógł nam także zamontować stalową platformę. Przyśrubowaliśmy ją głęboko do bali, przytwierdzając motor do tylnej części tratwy. Tego dnia Digger weszło do

nieba. Kilka dwudziestolitrowych kanistrów z paliwem i mogliśmy przemierzać drogę powrotną z trzydniowego spływu na terkoczącym silniku. Tak naprawdę nie miało to jednak większego wpływu na nasze wycieczki. Czasami płynęliśmy na silniku jakieś dziesięć mil w górę rzeki, a następnie po prostu dryfowaliśmy z powrotem. Motor był fajnym dodatkiem, ale tratwę zbudowaliśmy jednak po to, by dryfowała.

Spływ rzeką jest niczym skomplikowany taniec. Trzeba go w najlepszym razie tańczyć z dużą uwagą. Jeżeli ktoś uczestniczył w takim spływie, wie, co mam na myśli. Postępy są powolne i dokonują się w ciszy, ale nic nie można na to poradzić. Nikt nie może kontrolować rzeki.

Podczas spływu trzeba zawierzyć czemuś większemu niż sobie samemu i lepiej pogodzić się z faktem ciągłego przebywania gdzieś pomiędzy, ponieważ rzeki nie interesuje punkt docelowy, tylko sam proces. Gdyby było inaczej, wszystkie rzeki biegłyby prosto.

Rzeka ma swój własny rytm i można do niego tańczyć lub nie. Nie ma znaczenia, czy jest się mężczyzną, czy kobietą, ponieważ to rzeka prowadzi, a jeżeli zgubi się ów rytm, to tylko z własnej winy, ponieważ ona dla nikogo go nie zmieni. Chcecie popływać? Pływajcie. Chcecie się zdrzemnąć? Spijcie. Chcecie powędkować? Wędkujcie. Chcecie przyśpieszyć? Niedobrze. Chcecie zwolnić? Będzie trudno. Rzeka zna jedną prędkość, nie zatrzyma się i na nas nie poczeka. A jeżeli nie zacznie padać, nie będzie nas także poganiać.

Dawno temu Amos i ja zawarliśmy z rzeką układ. My zbudowaliśmy tratwę, spuściliśmy ją na wodę i nigdy nie narzekaliśmy. Deszcz nie deszcz, słońce nie słońce, wiatr nie wiatr, upał, zimno, nurt szybki, nurt wolny, wilgoć, susza. Naprawdę było nam to obojętne. Byliśmy po prostu chłopakami z radością podążającymi, dokądkolwiek zaprowadziła nas rzeka. A rzeka dbała tylko o to, abyśmy podążali w tym samym kierunku co ona oraz abyśmy nie potonęli, ponieważ nie chciała naszej śmierci.

Rzeki nie chcą śmierci, dlatego płyną. Można jednak utonąć, opaść aż na samo dno i leżeć tam przez parę dni, puchnąć, pęczniejąc niczym balon. Można nawet pójść na dno razem z jakimś drzewem oraz leszczem i okoniem skubiącym nam nos, ale w końcu rzeka i tak uniesie nas i wyrzuci na brzeg. Wypluje niczym Jonasza. Nie odbędziemy podróży. Nie podążymy tam gdzie ona. Tak, rzeki dają życie, a umarli nie tańczą.

Podczas naszej dziewiczej wyprawy, trzydniowego spływu, czytaliśmy Przygody Hucka, na przemian każdy rozdział. Naszą ulubioną sceną była ta, gdy Huck siedzi na tratwie, zastanawiając się, czy uratować Jima, czy nie. „No i dobrze, niech pójdę do piekła”, stało się wtedy naszym mottem.

Dla nas tratwa była bezpiecznym i spokojnym miejscem. Gdy ja czytałem, Amos leżał wyciągnięty, słuchał i próbował palić fajkę. Kaszlał i krztusił się, trochę jak łódź motorowa z silnikiem Evinrude, ale w końcu załapał i chyba zaczęło mu to sprawiać przyjemność. Ja z kolei zabrałem się za tytoń Red Man. Za każdym razem gdy wkładałem to świństwo do ust, nie mogłem przestać go przeżuwać. Dlaczego u licha wciąż próbowałem to robić - nie wiem. Może z potrzeby samoudręczenia. Myślałem, że jeżeli Josey Wales i John Wayne mogli żuć tytoń, to mogę i ja. Jedyna różnica polegała na tym, że moje życie nie było filmem. Było prawdziwe i ujawniało wszystko to, czego w filmach nie pokazywano, jak choćby przechylenie głowy daleko za burtę.

Mój taniec z rzeką nigdy nie był zbyt poetycki. Amosowi udawało się to znacznie lepiej.

Wskoczyłem w jakieś szorty i chwyciłem scyzoryk Case Traper, który należał wcześniej do Papy, ten z żółtą rękojeścią i podwójnym ostrzem.

Amos ponownie się wtrącił:

- Rusz się, chłopcze, zawsze muszę na ciebie czekać. Zatrzasnęliśmy frontowe drzwi i ruszyliśmy w kierunku stodoły, gdzie przy wejściu przywitała nas Pinky, próbując mnie powalić, jak to się robi w futbolu. Miała nade mną przewagę jakichś sześćdziesięciu kilo. Amos zaśmiał się, gdy ją odganiałem.

- Zabieraj się stąd, starucho.

- To dopiero złośliwa świnią - powiedział Amos, podczas gdy Pinky chrząkała, biegnąc trwożnie wokół swoich młodych.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo. Ta świnią to antychryst - rzuciłem zeżłony.

Evinrude wisiał na niewielkim haku, który wykonałem lata temu. Chociaż nie używaliśmy go od paru lat, co jakiś czas uruchamiałem go, aby po prostu posłuchać jego dźwięku. Załadowaliśmy silnik na taczka - właściwie był to wózek na gnój, ale nazwaliśmy go taczka - i zabraliśmy parę kanistrów z paliwem. Dwa to było sporo jak na jednonocny spływ.

Robiło się ciemno, ale ścieżka wzdłuż rzędów kukurydzy była wystarczająco wyraźna. Blask księżycy mienił się na piasku i cienie podążały za nami poprzez wysoką trawę i jeszcze wyższe łodygi kukurydzy. Blue podskakiwał, podążając obok.

- Co ci się stało w rękę? - zapytał Amos, pchając taczka i wskazując głową w stronę mojego ramienia. - Piękny przypadek.

- A, nic wielkiego, po prostu, hm... przenosiłem coś w stodole i Pinky wbiegła mi pod nogi. Złe upadłem i tyle.

- Powinieneś zawieźć to coś do rzeźni w Smithfield. Poradziłbym ci zrobić z niej kielbasę, gdyby nie była taka silna.

- Masz rację - zgodziłem się.

Po kilkuset metrach dotarliśmy do brzegu rzeki i do zagłębienia, w którym ukryliśmy tratwę. Poziom rzeki był wysoki z powodu pełni księżyca i wyprowadzenie jej na wodę - jak się zdawało - powinno być łatwe. Uprzątnęliśmy gałęzie, które albo spadły na nią, albo my je tam ułożyliśmy, ale wydawało się, że nie było ich tam tyle ile ostatnim razem.

- Chyba ktoś był na naszej tratwie - stwierdziłem z przekonaniem. - Było mniej kamuflażu.

Amos pokiwał głową i spojrział w jej kierunku.

- Czasami dobrze jest pobyć na niej samemu.

- Kiedy tu byłeś? - zapytałem.

- Ze cztery tygodnie temu. Miałem już dość siedzenia... tam... Czuję się bezradny, kiedy tak się przyglądałem, jak trzymasz Maggs za rękę.

- Hm...

Amos uniósł silnik i załadował paliwo do nadbudówki. Uszczelniliśmy ją podczas budowy, była więc w całkiem niezłym stanie i pozostała sucha. Nawet zapalki się paliły. Co mogło się przydać, gdy już wyruszymy. Ogień pomógł utrzymać na dystans komary, a ten kraniec bagien Salkehatchie obfitował w spore okazy.

Chwyciłem za drąg do odbijania, wskoczyłem na pokład i odepchnąłem tratwę od brzegu.

Wpadliśmy na jakieś stare cedry i Amos odezwał się:

- D.S., rdzewiejesz.

Naparłem mocniej i Amos, który stał wyprostowany, stracił równowagę i omal nie wpadł do wody.

- D.S., zamoczysz mi strzelbę, a wówczas spiorę cię na kwaśne jabłko. I to tu na tej tratwie pośrodku rzeki.

Zaśmiałem się.

- Aż tak to nie zardzewiałem. Może i mógłbyś mi wtłuc, ale musiałbyś najpierw mnie złapać, panie pączek.

Tak naprawdę to Amos był całkiem sprawny. Przybyło mu trochę kilogramów od czasu szkoły średniej - może z dziesięć - ale w większości były to mięśnie. Od tamtych lat włosy na czubku głowy zaczęły mu się przerzedzać. Zaczął więc ją golić. Mówił, że dzięki temu było mu chłodniej. A poza tym mniej zachodu. Chociaż nigdy mu tego nie mówiłem, Amos jest bardzo przystojnym facetem i potrafi niezłe o sobie zadbać. Około czterech dni w tygodniu spędza na siłowni.

Przy tej fryzurze i umięśnieniu w blasku księżyca wyglądał jak niższa, bardziej przysadzista i ciemniejsza wersja Mr. Muscle'a z reklamy środka czystości. Dobrze, że byliśmy w tej samej drużynie.

- Posłuchaj no, chuderlaku, jestem cięższy tylko o pięć kilo od mojej wagi zawodniczej. A ty? Musiałeś pewnie zjechać ze dwadzieścia? - zmierzył mnie od stóp do głów.

- Ważę siedemdziesiąt - powiedziałem.

- Tak myślałem. Jesteś prawie dwanaście kilo poniżej swojej wagi zawodniczej.

- No tak, ale nadal byś mnie nie dogonił - powiedziałem, śmiejąc się i spoglądając na nurt rzeki.

- Ale gdy cię już dogonię - powiedział Amos, wyciągając prawe ramię - dostaniesz się w łapy strongmana z Karoliny.

- Ebony - odparłem z uśmiechem - chyba się trochę starzejesz. Już nie ta siła w rękach.

Zrobił dwa kroki do przodu, pochwycił mnie za nogi i pociągnął. Wszystko nie trwało dłużej niż półtorej sekundy. Przeleciałem kilka metrów w powietrzu, a następnie zanurkowałem głęboko pod powierzchnię wody. Podpłynąłem z powrotem do tratwy i wspiąłem się na pokład, co robiłem już setki razy. Wyjąłem koszulę i spojrzałem na Amosa. Stał przy palu do odbijania od brzegu, uśmiechając się serdecznie. Dobrze było znowu wrócić na tratwę.

Dryfowaliśmy przez kilka godzin, nie mówiąc zbyt dużo. Około trzeciej nad ranem Amos spojrzał znad swojej fajki i przerwał ciszę.

- Czy myślisz o tym, o czym ja myślę, że ty myślisz? Wiedziałem, o co pytał. Z tego powodu ściągnął mnie nad rzekę. Amos starał się wyczuć mój puls, ale powiedzenie tego otwarcie byłoby zbyt bolesne. Potrzebowaliśmy do tego rzeki oraz paru godzin pośród cieni w blasku księżyca, aby dotrzeć do miejsca, w którym mógł mnie o to zapytać, i abym ja dotarł tam, gdzie mogłem mu odpowiedzieć. Spojrzałem ze swojego miejsca na przedzie tratwy.

- Jeżeli Maggs przebywa już w niebie, kołyszając naszego syna, śmiejąc się razem z Nanny i Papą oraz resztą naszej rodziny, i jeśli spogląda teraz na mnie, to już nie wróci, a ja będę żył kolejnych sześćdziesiąt lat. - Potrząsnąłem głową.

- Tylko że nie wiem, jak przetrwam wszystkie te lata bez niej.

Dryfowaliśmy w ciszy, wsłuchując się w plusk i chlupot fal obmywających cedrowe bale. Rozległo się pohukiwanie sowy i w powietrzu wyczułem woń palącego się węgla drzewnego potraktowanego obficie płynem do rozpałki. Amos stał na szczycie platformy do spuszczenia tratwy na wodę usytuowanej na

tylko, a jego pot połykiwał w świetle księżyca. Mijały minuty, podczas których żaden z nas nie odezwał się ani słowem.

Mój puls musiał być trudno wyczuwalny, ponieważ Amos przycisnął mnie raz jeszcze.

- Co ci daje siłę?

Opryskałem sobie twarz wodą i osuszyłem oczy.

- Myśl o przebudzeniu Maggie. O jej dłoni bez wsparcia mojej dłoni. O niej bez mnie, wpatrującej się w tę samą przyszłość, która rozpościera się przede mną.

Blue spał obok mnie, strzygąc uszami co jakiś czas. Płynęliśmy prawdopodobnie jeszcze z sześć lub siedem kilometrów, podczas gdy Amos bez słowa, metodycznie sterował tratwą. Noc była ciepła, zanurzyłem więc głowę w wodzie, której pozwoliłem ściekać i obmywać moją szyję oraz tors. Amos zapalił fajkę i w błysku płomienia zapalki zobaczyłem łzy płynące mu po policzkach. O świcie zdrzemnęliśmy się, a potem zaczęliśmy łowić. Złapaliśmy kilka leszczy, jednego lub dwa okonie i w okolicach południa zjedliśmy lunch. O zmierzchu zapuściliśmy silnik i z terkotem ruszyliśmy w drogę powrotną do domu, przybywając na miejsce około północy.

Wszedłem na werandę i wskazałem na siatkę.

- Zabierz ryby, nie jestem zbyt głodny.

Amos pokiwał głową, wyglądając, jak gdyby chciał coś powiedzieć, a potem uniósł w powietrze prawy palec wskazujący. Otworzył bagażnik swojego radiowozu, wyciągnął kartonowe pudełko wielkości metr na metr i postawił je na werandzie.

- Maggie trafiła na to w sklepie ze starociami w Walterboro. Była bardzo podekscytowana. Trzymała to u mnie w domu, żebyś tego nie znalazł. Wydaje mi się, że chciała ci to dać pierwszego dnia zajęć. Po tym jak, hm... no, nie bardzo wiedziałem, co z tym zrobić. No, to masz - Amos spojrzał ponad kukurydzą w kierunku rzeki. - Chyba nie zdołała dołączyć wiadomości.

Odwrócił się, gdyż łzy zaczęły spływać po jego kwadratowej szczęce. Pokiwał głową i powiedział cicho, jak gdyby pole kukurydzy mogło wzmocnić głos.

- Pomyśl - odezwał się, wyciągając rękę i unosząc nieco trzy palce - w gruncie rzeczy wszystko, co nam zostało, wszystko, co może być dane człowiekowi, to wiara... oraz nadzieja... i miłość. - Spojrzał na te swoje trzy palce. - I zobaczysz, że nam się uda. Całej naszej trójce.

Odprowadziłem go wzrokiem, gdy przecinał polną drogę, zmierzając w stronę swojego podjazdu. Zapaliłem wszystkie światła, wziąłem prysznic, owinąłem się

ręcznikiem i stanąłem pośrodku pokoju, przyglądając się pudełku. Po godzinie usiadłem na podłodze i ściągnąłem brązowy papier pakowy. W środku znajdował się owinięty w przybrudzoną ścierkę, obciągnięty skórzaną membraną bębenek i dwie ręcznie wykonane pałeczki.

Płakałem jak dziecko przez całą drogę do szpitala.

Rozdział jedenasty

Uważam się za nauczyciela, który gra fair. Nie wymagam od swoich uczniów niczego, czego nie wymagałbym od siebie samego. Czymś takim byłoby wskoczyć do zimnej wody, nie zamoczywszy wcześniej palca. Amos to zupełnie inna para kaloszy. Na zewnątrz mógłby być mróz, a powierzchnia wody mogłaby pokryć się warstwą lodu, ale co tam: „No, dalej - mówiłby - wskakuj. Dasz radę. Rozgrzejesz się”. Ale to nie w moim stylu. Zwłaszcza wtedy, gdy mogę zmarznąć.

Lubię oswoić się z czymś, zanim w to wejdę. Potrzebuję czasu, aby to coś przetrawić, a wtedy mogę zmierzyć się prawie ze wszystkim. Ale niech nikt nie każe mi czegoś doświadczać, a następnie z kroplami potu wciąż jeszcze ściekającymi po mojej twarzy niech nie prosi, abym mu to przeanalizował. Nie wiem, co mam myśleć, jeżeli nie mam czasu, aby spojrzeć w swoje lusterko wsteczne.

Władze wydziału anglistyki wyznaczyły trzy zadania, wokół których miały toczyć się moje zajęcia, ale tak naprawdę ważne było dla nich tylko ostatnie - praca pisemna stanowiąca rezultat badań literackich. Ta właśnie praca stanowiła dla moich studentów przepustkę, dzięki której mogli opuścić to miejsce. Podczas gdy zadanie zaliczeniowe musiało spełniać pewne wymagania co do objętości oraz stylu, ocena dwóch pierwszych pozostawała wyłącznie w osobistej gestii nauczyciela, co oznaczało, że mogłem stosować wymagania według własnego uznania.

Uznałem więc, że moi studenci potrzebują najpierw zamoczyć nogi, rozgrzać silniki, poczuć się pewnie, a ja muszę ich poznać. Należało wyznaczyć im podstawę, na której mogliby oprzeć swój własny styl literacki i uzyskać w ten sposób punkt wyjścia będący kryterium odniesienia dla dwóch pozostałych prac. Chciałem poznać potencjał każdego z nich. Dowiedzieć się, kto stanął na wysokości zadania, a kto nie. Pierwsza praca miała stanowić punkt odniesienia, do którego porównam kolejne dwie prace. Miałem także sprawić, by zachowali swoją szczerłość.

Ich pierwszym zadaniem stał się esej o tematyce autobiograficznej. Coś odpowiednio łatwego. Każdy bowiem natychmiast okazuje się w tej dziedzinie ekspertem. Nie są do tego potrzebne żadne badania. Jedyne warunki: szczerłość i dobre poczucie humoru.

Większą część sobotniego popołudnia spędziłem w szpitalu, czytając Maggie otrzymane eseje. Tematy były różne. Od balu na zakończenie szkoły poprzez

wypadki samochodowe aż po letnie noce z opalonymi dziewczynami o bujnym biuście. Cieszyłem się, że dostałem od nich prawdziwe i szczerze teksty.

Marvin napisał o swoim meczu futbolowym, który rozegrał na koniec szkoły średniej. Mistrzostwa stanowe. Wszyscy czołowi zawodnicy roku. Marvin nie był mistrzem języka angielskiego, ale potrafił przekazać swoje poczucie humoru. Pisał tak, jak mówił, co stanowi, według mnie, dobry punkt wyjścia. Dobry początek rodzi nadzieję. A ja ją w nim pokładałem.

Amanda pisała o dorastaniu w Digger, o swoim ojcu i jego przeszłości. Napisała o pragnieniu zostania pielęgniarką paliatywną. Napisała też o swej ciąży. Jej styl sprowadzał się do przekazu informacji, podobnie jak jej sposób wysławiania się. Esej Amandy zawierał wszystko, czego czytelnik chciałby się o niej dowiedzieć na trzech stronach. Poza jednym szczegółem.

Alan pisał o swoim pierwszym samochodzie, chevrolecie camaro rocznik 1969. Kupił go na złomowisku i przez dwa lata trzymał ustawionego na ceglówkach. Dosłownie rozłożył go na części, wymontowując raz na jakiś czas po jednej i zamieniając ją na nową. Nowy lakier, wyposażenie wnętrza, blacharka, silnik, biegi, cała skrzynia biegów. Wszystko nowe, wykonane przez niego, przebudowane albo zrobione na zamówienie. Można było odnieść wrażenie, że to jakiś eksponat wystawowy i Alan dostarczył mi na to dowód. Dyplom dla „Zdobywcy Pierwszego Miejsca na Wystawie Klasycznych Modeli Samochodów w Walterboro” widniał przypięty do ostatniej strony wypracowania. Styl Alana był chropawy, a jego zdolności literackie ubogie, jednakże również on zdołał przekazać swą myśl. A sądząc po śladach korektora, poświęcił na to sporo czasu i pracy. W pewien sposób widać było wyraźnie, że Alan świadomy był konieczności rozłożenia swojego pisania na części i rekonstrukcji od nowa, tak jak w przypadku jego pierwszego samochodu. W nim również pokładałem nadzieję.

Eugene napisał o swoich doświadczeniach z zeszłorocznego festiwalu Freak-Nik w Atlancie. Zdał sprawę z czterech dni spędzonych w barach, z ekscesów na tylnym siedzeniu oldsmobile'a, z fatalnej niestrawności, której się nabawił. Jego wypracowanie stanowiło w gruncie rzeczy osobisty dziennik czterodniowej balangi: alkohol, kobiety, obskurny hotel. Nie pominął żadnego szczegółu. Nawet niewielkiego urządzenia obok łóżka, które za ni mniej, ni więcej jak cztery ćwierćdolarówki umożliwiło podjęcie fatalnego wyboru. Praca Eugene'a potwierdziła to, co przypuszczałem: oto bawidamek, któremu tylko jedno w głowie. Potwierdziła jeszcze jedno, czego również się spodziewałem: był to bystry gość, który poza kolejnymi dziewczynami oraz miłym spędzaniem czasu musiał także angażować swój intelekt w coś jeszcze. Eugene stanowił typ

przedsiębiorcy, a jego praca, z czego nie zdawał sobie sprawy, stanowiła tego ilustrację. Miał wyjątkową zdolność panowania nad szczegółami, przekształcania sytuacji trudnej w bardziej korzystną i znajdowania właściwych słów w odpowiednim momencie. Nie musiałem pokładać w nim nadziei. Wiedziałem, że uda mu się stąd wydostać, a tylko na tym mu zależało.

Koy, ukryta za okularami słonecznymi oraz długimi włosami, milcząca na tyłach sali, przyniosła jeden akapit. Zapowiedziałem wyraźnie, że mają być trzy strony. Nie rozumiem, dlaczego studenci to robią. Jeżeli polecenie brzmi: trzy strony, to przynajmniej należałoby spróbować. Jeżeli chce się wziąć udział w wyścigu, to należy przynajmniej rozpocząć go na linii startu. W swoim jednym akapicie Koy próbowała ukryć się na tej samej zasadzie, na jakiej jej oczy skrywały się za okularami słonecznymi. Problem polegał jednak na tym, że jej biegłość w posługiwaniu się piórem stanowiła równie efektywną kryjówkę co okulary. Jak na ironię, skuteczność w trzymaniu czytelnika na dystans ujawniała nietuzinkowe zdolności pisarskie Koy. Zaskoczyła mnie jej biegłość językowa. Chciałem pokładać w niej nadzieję, ale nie potrafiłem określić, przed czym albo dlaczego starała się ukrywać.

Reszta prac była podobna co do zawartych w nich pomysłów. Większość z nich w sposób suchy przekazywała informacje; uczniowie dali mi to, czego, według nich, chciałem, bez wątpienia mając nadzieję, że w zamian ja dam im to, czego chcą oni: piątkę.

Ostatnia praca na stercie należała do Russella. Nie spodziewałem się po nim wiele, choć poznałem już parę jego powiedzonek, a nawet się nimi bawiłem. Russell był utalentowanym sportowcem, chodzącym adonisem, i szkoła do niczego nie była mu potrzebna, ponieważ nie była dla niego przepustką. Jego szansą był futbol. Chociaż był dopiero na drugim roku, chodziły pogłoski, że już interesują się nim łowcy talentów. Dla jego akademickiej przyszłości mogło to oznaczać tylko jedno: może i mógł przejść do następnego etapu w systemie szkolnictwa wyższego, ale nie zamierzał kończyć studiów czteroletnich. Przyszłość, według Russella, nie zakładała konieczności uczestnictwa w moich zajęciach. Przynajmniej na razie. Gdyby rozwalił sobie kolano, wówczas co innego.

Uzupełniłem swój kubek kawą i oparłem nogi na końcu łóżka Maggs, kołysząc się wolno do rytmu dobiegającego od strony monitora. Przez okno wpadł podmuch wiatru, który wcześniej oczyścił parking. Zapowiadano najcięższą zimę od dwudziestu lat. Maggie lubiła mroźne zimy. Jedną z rzeczy, których brakowało jej w Wirginii, był śnieg. Ja lubiłem patrzeć, jak pada, ale nie

przepadałem za nim, bo przyklejał się do butów, zalegał w zaspach lub topniał. Z Maggs było inaczej. Ona kochała być cała w śniegu.

Sięgnąłem po pracę Russella i zacząłem czytać. Ku mojemu zaskoczeniu tryskała szczerością. Szczerość sączyła się jej wszystkimi porami, aż bulgotała. A przecież Russell nie musiał być szczery. Po co miałby być szczery? Szczerość oznaczała, że może okazać się słaby. A okazać słabość to tyle, co pokazać, że można go było dotknąć, nawet zranić. Gracze w futbol, pnąc się w górę, nie mogli pozwolić sobie na okazywanie tego, co mogłem wyczytać z pierwszego akapitu jego pracy. Albo przynajmniej tak mi się zdawało. Wystarczyło, że wczytałem się w dwie pierwsze strony i poczułem potrzebę zaoferowania Russellowi swoich przeprosin. Źle go oceniłem. Niczego nie ukrywał.

Napisał o rodzinie i jednym zeszłorocznym meczu. Mama i tata przyjechali z Roanoke, zameldowali się w hotelu, pojechali na mecz i stali w deszczu, oglądając syna grającego w futbol. Tamtej nocy tata Russella złapał przeziębienie. Następnego dnia wszyscy wrócili do domu na Święto Dziękczynienia. Napisał o tym, jak jego ojciec przez całe życie pracował na kolei. Wiele razy przerywał wątek sportowy, aby zatrzymać się na chwilach spędzonych z tatą na grze w piłkę, na wędkowaniu. Pisał o zwrocie „Yes sir” oraz po prostu o byciu razem.

Nie jestem pewien, czy Russell zdawał sobie sprawę z tego, w jakiej mierze to się wyrażało, ale jego praca ewidentnie pokazywała, że pomiędzy nim a jego tatą istniało coś, czego pomiędzy większością ojców i synów nie ma: przyjaźń. Bez popadania w banał, tych dwu gości naprawdę się kochało. Po Święcie Dziękczynienia w Roanoke tata Russella zapadł na zapalenie płuc i zmarł w szpitalu dwa dni później.

Uderzyły mnie dwie sprawy. Pierwsza, że nie mogłem tego ocenić. Była to jedna z tych rzadkich prac, które wymykały się możliwości oceny. Druga, że Russella i jego tatę ewidentnie łączyła czułość, intymność i zaufanie. Prawdopodobnie przytulali się wzajemnie na dobranoc. Jego opis śmierci ojca był wyraźny i wiarygodny: brzmienie kaszlu, kolor wydzieliny, pomarszczona twarz ojca, strach w oczach mamy, ostatni raz, gdy go pocałował.

Odłożyłem esej, sięgnąłem po kubek z kawą i wpatrywałem się w chmury przepływające za oknem. Russell przelał na papier swoje serce. Całe swoje wielkie serce. Russell, na którego niesłusznie nałożyłem stereotypowy obraz futbolisty o szerokich barach, głębokim głosie i spojrzeniu pozbawionym zainteresowania i kierującym się zawsze w stronę okna, zrobił to, czego nie zrobił nikt inny z grupy moich studentów. Zdołał mnie poruszyć.

Rozdział dwunasty

Obudziłem się na krześle obok Maggie, gdzie powietrze pachniało niczym woń magnolii. Promienie porannego niedzielnego słońca odbijały się od jej twarzy, która odzyskała swój kolor.

Amanda wsunęła głowę do środka i odezwała się:

- Dzień dobry, profesorze. Napije się pan soku pomarańczowego?

Skinąłem głową i otarłem z oczu resztki snu.

- Dzięki.

Wróciła, postawiła sok na stole, skontrolowała Maggie kroplówkę oraz zmierzyła jej na przedramieniu ciśnienie, a potem, wychodząc z pokoju, pogłaskała Blue pomiędzy uszami. Wróciła około dziesiątej, niosąc parę antyseptycznych gazowych tamponów. Wskazała w kierunku mojej ręki.

- Przetnę to, profesorze, zanim wda się zakażenie. Spojrzałem na ramię i opuściłem rękaw.

- Nie, dzięki. Nic mi nie będzie.

- Profesorze, gdybym miała jakieś problemy z moim esejem, liczyłabym, że mi pan pomoże. Tak samo jest i w tym przypadku, tylko że na odwrót. - Skinęła na moje ramię. - Cokolwiek się tutaj wydarzyło, dawno minęło. Proszę się już nie obawiać.

Przysunęła sobie krzesło do mojego i podwinęła mi rękaw. Amanda wykonywała swoje obowiązki w milczeniu i szybko. Przetarła mi ranę wodą utlenioną, oczyściła dokładnie z brudu, a następnie połała całość jakąś brązową substancją, która szczypała tak bardzo, że prawie zacząłem przeklinać.

- Profesorze - Amanda badała moje ramię, co jakiś czas przykładając doń nasączony jodyną wacik. - Tata prowadzi dzisiaj po południu nad rzeką uroczystość chrztu. Jest pan zaproszony. Będzie tam pana przyjaciel z biura szeryfa. Tata poprosił go, aby pomógł starszym osobom dotrzeć nad rzekę.

- Myślisz, że sam nie dam rady?

- Nie, proszę pana. Pomyślałam tylko, że może zechce pan przyjść. Jest zawsze fajnie. Dużo jedzenia - uśmiechnęła się.

- Jak tam małe? - skinąłem głową, wskazując w kierunku brzucha.

- Zdrowe i rośnie - powiedziała z uśmiechem. - Jem wszystko, co nie ucieka na drzewo, a czasami nawet i to. - Przez cały czas zajmowała się moją raną.

- Rozmawiasz z Bogiem w kościele u taty? - zapytałem otwarcie.

Amanda nawet nie mrugnęła okiem.

- Rozmawiam z Bogiem prawie wszędzie i prawie zawsze - zamyśliła się przez chwilę. - I owszem, jednym z tych miejsc jest kościół taty. - Trochę

nieświadomie zabawiała się kosmykiem włosów. - A czy pan czasami rozmawia z Bogiem, profesorze?

- Nie. Nie, odkąd przestał mnie słuchać.

Pozbierała brudne tampony oraz antyseptyczną gazę i ruszyła w stronę drzwi.

- To do zobaczenia nad rzeką, poniżej kościoła taty o drugiej. Zobaczy pan samochody.

Zniknęła za drzwiami.

- Amanda?

Ponownie wystawiła buzię zza framugi.

- Tak, proszę pana?

- Myślisz, że przydałaby mi się kąpiel w rzece?

- Nie, proszę pana. Pomyślałam tylko, że może zechce pan przyjść. Przychodzi mnóstwo ludzi. A jeżeli nie próbował pan kurczaka pani Baxter, to znaczy, że w ogóle nie próbował pan jeszcze pieczonego kurczaka.

- Myślisz, że potrzebuję oczyszczenia? Podeszła do wezglowia łóżka.

- Profesorze, nie chodzi tylko o pana. Każdy potrzebuje się czasami oczyścić.

- A jeżeli zabraknie wody?

Zawinęła Maggie kosmyk włosów za lewe ucho.

- Woda nie stanowi tutaj problemu, profesorze. Kąpiel nie jest konieczna do tego, by się oczyścić.

Amanda wyszła z pokoju, a ja ułożyłem swoją głowę obok dłoni Maggie i zasnąłem.

Rozdział trzynasty

Jeżdżę starym pick-upem, ponieważ go rozumiem. To proste. Nie rozumiem samochodów, które po każdym stu pięćdziesięciu tysiącach kilometrów nie wymagają - jak ja to nazywam - dostrojenia. Jaki typ wozu mam na myśli? Z samoregulacją zapłonu i napakowany elektroniką. Ja wyznaję się na głowicy rozdzielacza zapłonu, gaźniku, ośmiu cylindrach, pasku rozrzędu i na tym, jak zmienić olej. Gdy się poznaliśmy, Maggie miała zagraniczny wóz, którym musieliśmy się opiekować przez całe studia. Krótco po obronie zdechł i sprzedaliśmy go za trzysta dolarów sprzedawcy części na złomowisku. Ale gdy po raz pierwszy zmieniałem w nim olej, samo znalezienie filtra zajęło mi większą część dnia. A nawet gdy już go znalazłem, musiałbym chyba być z gumy, aby go dosięgnąć. Ludzka ręka nie jest przystosowana do takich rzeczy. Moje auto zrobione jest w taki sposób, aby zwykli ludzie, tacy jak ja, mogli sami zmienić olej co kilkanaście tysięcy kilometrów. Auto Maggie skonstruowano tak, że musiałem zapłacić mechanikowi dwadzieścia osiem dolarów, aby odnalazł i odkręcił filtr narzędziem, za które zapłacił dziewięćdziesiąt osiem dolarów.

Mój wóz to chevy C-10, rocznik 1972, prawdopodobnie najlepszy samochód, jaki Chevrolet kiedykolwiek wyprodukował. Ma długą pakę, częściowo przerdzewiała, siedzenie poprute w wielu miejscach i zużywa dużo oleju. Wygląda na mocno zużyty, ponieważ taki jest.

Jeżeli coś w nim stuka, zatrzymuję się, reguluję zapłon, aby dopasować poziom podawanego paliwa, i jadę dalej. Czasami o poranku mój samochód potrzebuje paru minut. Ale ja także. Cóż w tym złego? Przekręcam kluczyk w stacyjce, dodaję trochę gazu, auto krztusi się, pluje, rzezi i po paru chwilach powraca do życia, przynajmniej jeszcze ten jeden raz.

Gdy ja przebędę już swoje trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, poddam się. Nie będzie żadnego kaszlu, odpluwania i rżenia. Dobiję do brzegu i zostanę już na nim zupełnie niczyj.

Zdarza się, że zastanawiam się nad remontem mojego chevy. Może nowe wnętrze, nowy lakier, przegląd silnika? A potem myślę: „Nie, nie będę tego robił. Taki ma więcej charakteru”.

Gdyby Maggie miała wybór, wolałaby nie wsiadać do mojego trucka. Delikatnie mówiąc. Śmieje się ze mnie za każdym razem, gdy do niego wsiadam. „Nie mogę uwierzyć - mówi wtedy - że naprawdę trzymasz to coś, Dylanie Styles. Wygląda żałośnie. A ty wyglądasz w nim jak bohaterowie serialu

Sanford and Son. Potrzebujesz jeszcze jakichś mebli, aby wystawały ci z paki z tyłu, i możesz kręcić swój własny sitcom".

Staralem się jej wytłumaczyć, że Red Foxx jeździł fordem, ale dla niej nie miało to znaczenia. Kiwała tylko głową, mówiąc: „Wyszłam za mężczyznę zakochanego w aucie, które ma tyle samo lat co ja. Chyba powinnam się cieszyć. Przynajmniej to nie inna kobieta".

Samochód typu pick-up pasuje do sposobu funkcjonowania mojego mózgu. Mogę wrzucić mu na tył różne rzeczy i zapomnieć o nich do czasu, aż będę ich potrzebował. Lubię charakterystyczny chrobot rozrusznika, gdy uruchamiam silnik. Lubię odgłos jego zamykanych drzwi. Szczęk opuszczanej klapy bagażnika. Lubię dźwięk, gdy motor pracuje na luzie. Zabawę kierownicą. Ręczny zamek. Lubię jego klakson, ponieważ jest głośny. Lubię, jak mój wóz poskrzypuje, gdy go prowadzę. Lubię to, jak mi ufa, wykonując polecenia zmiany biegów, i to, że nakrętka od baku nie jest przymocowana i można ją całkowicie odkręcić. No i lubię to, jak się go prowadzi.

Niektórym podoba się „zapach nowości" w samochodzie. Mnie podoba się zapach starości. Potu. Brudu. Oleju. Spalin po przejściu przez katalizator. Siana. Karmy dla świń. I zapach kwitnienia, cokolwiek by to było, gdy jadę z opuszczoną szybą w oknie. Niech to wszystko wpada do środka. A rankiem ścieram rosę z siedzenia. Samochody - jestem o tym przekonany - przejmują zapach swojego otoczenia.

W maju, gdy kwitną gardenie Maggie, parkuję tak blisko, że gałęzie wchodzą przez okno do środka, a ich kwitnienie rozlewa się po siedzeniach i desce rozdzielczej. Następnego ranka wsiadam i czuję ich wszechobecny zapach. Kto by tam wolał zapach nowego samochodu, gdy można wdychać woń jej gardenii?

Okolo drugiej w niedzielę wsiadłem do trucka, czując się niebezpiecznie głodny. Z Blue w środku włączyłem silnik i wyjechaliśmy wolno z przyszpitalnego parkingu. Opuściłem szybę, wystawiłem ramię na podmuchy gorącego wiatru i sunąłem dłonią po falach powietrza opływającego przedni zderzak. Nowo założony opatrunek był gruby, nieporęczny i czułem pod nim pulsowanie ręki.

Sznur samochodów ciągnął się drogą na przestrzeni jakiegoś kilometra, zanim w polu widzenia pojawił się kościół. Pokonałem zakręt przed ostatnią prostą, która przecina polną drogę biegnącą przed moim domem, i zobaczyłem rzekę. Wolno minąłem budynek kościelny i ujrzałem sznur ludzi skierowanych w jej stronę. W białych szatach kobiety, w szortach mężczyźni. Prawdopodobnie ze dwieście osób. Nie widziałem Amosa, ale sądziłem, że jest już w wodzie. Dostrzegłem pastora Johna trzymającego za rękę Amandę, gdy przekraczali

korzeń dębu. Jej druga dłoń podtrzymywała mocno okrągły brzuch z dzieckiem w środku.

Zatrzymując się pod dębami, zgasilem silnik i wsłuchiwałem się w późne, letnie świerszcze. Leniwy, psychodeliczny, letni odgłos, który każdego wprowadziłby w szaleństwo albo głęboką letnią drzemkę. Blue zaskowyczał, wystawił głowę zza tylnego miejsca szoferki i spojrzał na mnie. Zwlekałem, siedząc i pocąc się w środku, wciąż z zapiętymi pasami.

- W porządku, ale tylko rzucimy okiem.

Prześlizgnęliśmy się przez dęby i usiedliśmy na mchu na południe od strony ludzi nad rzeką. Nad jej brzegiem, dokładnie w linii prostej od kościoła, ustawionych było dziesięć lub piętnaście stołów piknikowych, pokrytych kraciastymi obrusami i talerzami z pieczonym kurczakiem, ziemniakami, sałatką coleslaw i czymś, co pachniało jak placek brzoskwiniowy. Byłem głodny.

Nieco bliżej rzeki jakiś ojciec przykucnął obok syna stojącego w szortach sięgających mu do kostek i wymawiającego swoje imię. Prawdopodobnie ze trzydzieści osób stało po pas w wodzie w kole wokół pastora Johna. Ten w swoich ramionach trzymał jakąś krzyczącą kobietę z uniesionymi rękami. Zanurzył ją trzy razy, a ona za każdym razem, gdy wynurzała się na powierzchnię, krzyczała niewyraźnie: „Alleluja!”. Po trzecim wynurzeniu pastor John zaprowadził ją do Amosa, który pomógł jej wyjść z wody i podał ręcznik.

Była niższa, ale cięższa od Amosa. Objęła go i pocałowała w policzek, ze łzami spływającymi jej po twarzy, a następnie objęła tak ze trzydzieści innych osób, które musiały chyba należeć do rodziny lub być jej przyjaciółmi. Ci ludzie naprawdę lubili się wzajemnie. Pastor John nadal zanurzał przybyłych, a Amos stał obok z szerokim uśmiechem na twarzy i gotowością udzielenia pomocy. Jednych pastor zanurzał raz. Innych dwa razy. Jeszcze innych trzy. Pewnego mężczyznę zanurzył cztery razy. Ten, jak sądzę, naprawdę tego potrzebował. Za czwartym razem pastor John trzymał go pod wodą blisko pół minuty, po czym facet zaczął po prostu machać rękami. Kapłan podniósł go, uściskał i przekazał Amosowi, który podał mu ręcznik i ustawił obok jakiejś kobiety, a ta ujęła go wygodnie pod ramię.

Zanurzenie całej trzydziestki zabrało niewiele ponad godzinę, ponieważ pastor John był w tym dobry. Myślę, że sprawiało mu to również przyjemność. I robił to tak, aby i pozostali mieli z tego zabawę. Za każdym razem, gdy ujmował czyjąś dłoń, znajdował jakiś fragment z niechlubnej przeszłości danego mężczyzny lub kobiety i odnosił go do reszty zebranych. Zawsze kończył krzepiącymi słowami o tym, jak to owa osoba zdołała podnieść się z upadku i

zawierzyć. Gdy kończył swoją przemowę, członkowie zgromadzenia klaskali i wznosili w górę ramiona, a on ponownie zaczynał zanurzać.

Nie bawił się w konwenanse. Pastor John pryskał wodą na lewo i prawo, mocząc wszystkich dookoła. Na koniec przyszła kolej na dziecko, może dziewięć- albo dziesięcioletnie. Pastor wziął chłopca na ręce i przytulił tak, by mogli trącić się nosami. Gdy dziecko powiedziało, że samo boi się zanurzyć, trzykrotnie zanurzył się wraz z nim. Za ostatnim razem uniósł chłopca wysoko w górę. Jego tata, brodząc, delikatnie odebrał syna od Johna, gdy ten stawiał go z powrotem na brzegu.

Po zakończeniu ceremonii chrztu pastor odmówił modlitwę. Ludzie w wodzie chwycili się za ręce, a ci na brzegu wyciągnęli ramiona i połączyli się z tymi w rzece. John modlił się za tych, których ochrzcił, oraz za tych, którzy powinni zostać ochrzczeni, a następnie poprosił o pobłogosławienie jedzenia.

A potrafił się modlić. I nie było to tylko coś na pokaz, jak gdyby chciał udowodnić, że jest lepszy od tych, pośród których się znajduje. Jego modlitwa była inna. Była osobista, wypowiedzana z mocą i prawdziwa, jakby zwracał się do kogoś szczególnie potrzebującego.

Gdy skończył, wszyscy wyszli na brzeg i szaleńczo rzucili się do stołów. Wszyscy naraz. Jakby na umówiony znak. Kobiety zabrały się do nalewania słodkiej herbaty, podawania talerzy i nakładania na nie gór kurczaków, bułek oraz sałatki coleslaw. Widać było, że robiły to już wcześniej.

W ciągu pięciu minut całe dwie setki osób miały już co jeść, pić i gdzie siedzieć. Gdzieś za sobą usłyszałem trzask łamanego patyka.

- Panie profesorze, przyniosłam panu jedzenie. Opierałem się o dąb, spoglądając poprzez delikatne pędy jednej z ulubionych roślin Maggie, paproci drzewiastej. To taka dziwna roślinka, która wyrasta z pęknięć w korze, przez większość czasu zdrewniała i pomarszczona, ożywa i zazielenia się po pierwszych oznakach deszczu. Wysunąłem nos spośród pędów, a Amanda raz jeszcze zaoferowała mi talerz.

- O, cześć, Amando - poszukałem wzrokiem Blue, który lizał Amandę po kostce. Dzięki, Blue.

- Zdaje się, że powinien pan coś zjeść.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

Na drugim końcu piknikowego stołu usłyszałem:

- Nie wierz mu, Amando. Podaj mu talerz. Zje. Jest już tak głodny, że nie wie, czy to ból brzucha, czy boli go w krzyżu.

Amos pomachał w moim kierunku nogą od kurczaka, a na jego pokrytych tłuszczem ustach pojawił się uśmiech mówiący: „Jem sobie udko kurczaka i bardzo mi smakuje”.

Amanda podała mi talerz wyładowany po trochu wszystkim, co znajdowało się na stołach, a później wręczyła styropianowy kubek pełen herbaty.

- Mam tylko jeden rodzaj, ale mam nadzieję, że będzie panu smakowała.

Talerz ważył pewnie ze dwa kilo, ale go wziąłem. Blue przysiadł obok mnie i zaczął wachać spód naczynia.

- Widziałam, jak pan parkował - powiedziała. - Myślałam, że przyjdzie pan do nas.

- Hm... - nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym rzec. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to rzucić talerz i zniknąć, ale utkwilem na dobre. Amanda zaprowadziła mnie do stołu, sadzając obok swojego ojca, a ja zacząłem dłubać w kurczaku, starając się nie poczuć jego aromatu.

Pastor John nie tracił czasu.

- Czyli jesteś nauczycielem mojej córki, jeśli dobrze rozumiem.

- Zgadza się. Wyciągnął dłoń.

- Dobrze cię widzieć, synu.

- Chyba jeszcze tego nie mówiłem, ale świetnie się pan sprawił na pogrzebie mojego dziadka. Dziękuję.

- Twój dziadek był wspaniałym człowiekiem. Takim, co to raczej robi, niż gada. To zawsze robiło na mnie wrażenie. - Pastor John spojrzął za siebie na wieże kościoła i czekał na moją reakcję.

- Tak, na mnie też - powiedziałem, biorąc do ust kolejny kawałek kurczaka.

- A teraz co do tej nauki. - Nagła zmiana w głosie pastora zaskoczyła mnie. - Amanda spędza ostatnio dużo czasu na zadaniach domowych.

Coś czaiło się w jego uśmiechu. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowałem, była emocjonalna rozmowa z rodzicem mojej uczennicy w miejscu publicznym. Tylko nie dzisiaj.

- Mam nadzieję - powiedziałem, przeżuając. Pastor John uniósł brwi.

- Po co to zadawać mojemu dziecku prace domowe? - Przyłożył jedną dłoń do drugiej i potarł nimi. - Żeby jej mówić, co ma myśleć?

Spojrzenie pastora Johna było badawcze. Powinienem był pobiec do swojego auta przy pierwszej okazji. Sytuacja zaczynała mnie przerastać i już o tym wiedziałem. Kurczak pani Baxter nie smakował już tak samo.

- Nie, proszę pana. Nie mam takiego zamiaru.

Wzrok pastora wędrował po mojej twarzy raz przy zdjętych okularach, to znowu przy nasuniętych na nos lub sponad nich. A potem przysunął swoją twarz do mojej i twardo rzekł:

- No to, synu, jakie są te twoje zamiary?

Może to z głodu. Może ze zmęczenia. Może po prostu mi nie zależało. Bez względu na powód moja odpowiedź była niczym srebrna kula przeciw wampirom. Wystrzeliłem ją, oczekując, że będzie siała zniszczenie. Odsunąłem talerz, otarłem usta i wypaliłem.

- Moim zamiarem, proszę pana, jest pomóc jej myśleć efektywniej. Pomóc jej podawać w wątpliwość to, jak - według niej - dotarła do określonego wniosku. Wyposażyć ją w instrumenty przydatne do prowadzenia rozważań i konstruowania wypowiedzi. Jeżeli mi się to uda, jej pisanstwo szybko nabierze właściwej formy. - Pociągnąłem łyk herbaty, przełknąłem pełny kęs kurczaka i dodałem: - Takie są właśnie moje zamiary.

Ponownie chwyciłem za swój talerz i zagłębiłem się w poszukiwaniu jakiegoś udka. Być może zrobiłem to, aby samemu sobie o tym przypomnieć, bo zanim zdołał otworzyć usta, skinąłem w jego kierunku znalezionym kawałkiem:

- Proszę pana - przerwałem. - Proszę pastora, szczerze mówiąc, nie jestem fanem obszernych wypracowań. Nienawidzę ich oceniać, nie znajduję upodobania w celebrowaniu zaliczeń. Zależy mi na samym procesie rozwoju. Koncentruję się na tym, jak Amanda ma pokonać drogę do celu z punktu, w którym się obecnie znajduje. I nie będę ukrywał, że nie obchodzi mnie, skąd jest i jakie ma cele w życiu. To już jest pana sprawa.

Mój głos odbijający się echem od strony rzeki zaczął mi uświadamiać, że nagle zrobiło się cicho, a wszyscy przysłuchiwali się temu, na ile sobie pozwoliłem. Głód i zmęczenie robią z człowiekiem dziwne rzeczy.

Pastor John oparł się na krześle, zdjął okulary, przetarł je białą chusteczką i spojrzał na mnie oczami bez szkieł. Uśmiechnął się, skinął głową i powiedział coś w rodzaju „uhm”, jak gdyby rozmawiał z kimś, kogo nie mogłem zobaczyć. A potem klepnął mnie w kolano i powiedział:

- No to witamy z powrotem, synu. Powiedz mi, gdy będziesz czegoś potrzebował. - Wstał i położył dłoń na moim ramieniu. - Brakuje mi twojego dziadka, profesorze. Przypominasz mi go. I to w dobry sposób. Myślę, że byłby z tego zadowolony.

Wszyscy od dawna już przestali rozmawiać i przysłuchiwali się nam obu. Nasze głosy brzmiały dość głośno pod tymi dębami.

- Zadawaj mojemu dziecku to, co uznasz za stosowne. Jeżeli nie będzie się z tego wywiązywała tak, jak sobie tego życzysz, i w terminie, daj mi znać. - Klepnął mnie po ramieniu i rozpoczął rundkę, doglądając reszty swojej trzódki.

Amos podniósł się szybko, przyniósł swój talerz i usiadł obok mnie:

- Słuchaj no, mały smarkaczu. Nie sprowadziłem cię tu, żebyś odprawiał te swoje akademickie czary-mary nad moim pastorem. - Uśmiechnął się i wskazał udkiem kurczaka w kierunku mojej twarzy. - Musisz się nauczyć panować nad tonem.

- A co? Powiedziałem coś nie tak? - Pokryty byłem tłuszczem z kurczaka.

- Nie chodzi o to, co powiedziałeś, ale jak to powiedziałeś. I o to, że w ogóle to powiedziałeś. O tym tam „procesie” i „to już pana sprawa”. Powinieneś się posłuchać.

- Amos, to w pięćdziesięciu procentach twoja sprawa, że mam tę robotę. To pozwolisz mi ją teraz wykonywać czy może chcesz mnie zastąpić?

- E tam - Amos przeszedł na swój południowy dialekt. - To twoja brocha, psorze.

- Świetnie, ty więc aresztuj ludzi, a ja będę ich uczył, jak mają myśleć, żebyś nie musiał ich aresztować.

Amos wstał i wysapał:

- Idę po dokładkę. Jedz, co tylko chcesz. Po tej profesorskiej gadce nabrałeś pewnie niezłego apetytu. - Otarł tłuszcz z warg, a następnie odwrócił się i zawołał: - Amando, niech ten chłopak naje się tak, żeby się nie mógł ruszać.

Nie upłynęło jeszcze pół godziny, a Amanda zdołała już podać mi dwa kolejne talerze wyładowane po brzegi. Myślałem, że zaraz mnie rozerwie, i musiałem odpiąć sobie guzik od spodni. Na tym bujanym krześle przybyło mi na pewno ze cztery kilo. Blue także.

Tłum zaczął się przersedzać. Pomogłem zatem Amosowi zrobić porządek i posprzątać ze stołów. Zanieśliśmy je do kościoła i ustawiliśmy pod ścianą w przedsionku. Gdy kierowałem się do samochodu, pastor John podziękował mi za pomoc, a Amanda wręczyła mi jeszcze dwa talerze owinięte celofanem, nabrzmiące od jedzenia. Wydaje mi się, że próbowali mi coś powiedzieć.

Na szczycie pierwszego talerza napisała „Profesor”, drugiego zaś - „Blue”. Razem z talerzami podała mi dzbanek po mleku pełen słodkiej herbaty. Zdołałem już do tej pory wypić jej tyle i tak bardzo chciało mi się sikać, że byłem bliski odmowy. Po zastanowieniu wziąłem go jednak pod pachę i razem z Blue skierowaliśmy się do wozu. Jechałem, aż zniknąłem im z pola widzenia, a następnie zatrzymałem w miejscu, gdzie rzeka biegnie wzdłuż drogi. Wysiadłem,

podbiegłem do brzegu, rozsunąłem rozporek i sikałem przez minutę i pięćdziesiąt pięć sekund, bijąc mój stary rekord.

Wjechałem na podwórko i usłyszałem Pinky, jak chrząka, kwiczy i kopie wewnątrz chlewu. Gdy podałem jej karmę, chrząknęła na mnie, jakby mówiła: „Nie spieszno ci było. Gdzieżeś się podziewał?”.

Noc i świerszcze zastały mnie bujającego się na werandzie przed domem i myślącego o Maggie, zajęciach i o tym, jak nieswojo czułem się teraz we własnym domu. W środku panowała cisza i nie chciało mi się tam wchodzić. Nie byłem w stanie tknąć go palcem i poczułem mrowienie na skórze, jak gdyby pokrywał ją trujący bluszcz. I wówczas mnie to uderzyło. Obca, bezgłośna i niewidzialna przeniknęła do mojego domu, zajęła miejsce Maggie i zaczęła zmieniać wszystko, co dla nas obojga było święte. Gdzie bym się obrócił, ona była tam już wcześniej. Pamięć.

Wbiegłem do środka i przeszukałem dom, ale mogłem jedynie kątem oka uchwycić krawędź jej cienia. Gdy udało mi się w końcu zapędzić ją do kąta w łazience, zatrasnąłem drzwi i wykrzychałem z korytarza: „Pakuj się i wynocha! Nie chcę cię tutaj. Ani dzisiaj, ani kiedykolwiek!”.

Nigdy nie mieszkałem, tym bardziej nigdy nie spałem z inną kobietą i nie zamierzałem tego robić również teraz.

„Maggie - wołałem - wróci do domu! Słyszysz mnie? Mówię, że ona wróci”.

Trzasnąłem drzwiami wejściowymi i razem z Blue poszedłem przez pole kukurydzy w kierunku rzeki.

Rozdział czternasty

Ulotki reklamowe leżały rozsypane wokół skrzynki na listy, gdy następnego popołudnia poszedłem, aby ją otworzyć. Zebrałem je i podniosłem niczym drewno na opał. Na spodzie sterty leżała wyróżniająca się koperta. Rachunek karty kredytowej Visa.

Nienawidziłem tego i już na sam widok wydobywał się ze mnie jęk. Spłacałem ją, odkąd zabrałem Maggie na wycieczkę niespodziankę osiemnaście miesięcy temu. Zawsze chciała zrobić dwie rzeczy: polecieć do Nowego Jorku i zobaczyć pokaz Riverdance*. Tak się akurat złożyło, że w tym czasie grupa Riverdance dawała swój premierowy występ w Nowym Jorku. Pewnego późnego wieczoru, gdy Maggs poszła już spać, zajrzałem więc do internetu i zakończyło się to tym, że zarezerwowałem lot, pokoje hotelowe i bilety.

* **Riverdance - taneczno-wokalny show ukazujący elementy tradycji i kultury celtyckiej.**

Wyłaziłem ze skóry, nie mogąc się doczekać, aby jej o tym powiedzieć, ale udało mi się utrzymać to w tajemnicy przez dwa tygodnie. W owo piątkowe popołudnie, gdy budzik przestał dzwonić, trąciłem ją i powiedziałem:

- Kochanie, pakuj się. Samolot odlatuje za trzy godziny.

Maggie pozostała w łóżku, naciągając z powrotem kołdrę po samą głowę, podczas gdy ja brałem prysznic. Gdy wróciłem, chwyciłem kołdrę u stóp i szarpnąłem.

Ona zaś pociągnęła ją do siebie, mówiąc:

- Dylanie Styles, wiesz, że to jest jedyny dzień, kiedy mogę sobie dłużej pospać. To idź stąd i zostaw mnie w spokoju.

Jej włosy porzucane były po całym łóżku, a na lewym policzku odcisnęła się ślad od poduszki. Po chwili nakryła się raptownie i odwróciła w stronę ściany.

Wyciągnąłem więc z kieszeni bilety na Riverdance i razem z biletami lotniczymi wsunąłem je pod poduszkę, gdzie chowała się jej głowa. W ten sposób zdołałem wyciągnąć ją z łóżka.

Spędziliśmy weekend w Nowym Jorku i obejrzelśmy przedstawienie, siedząc dokładnie pośrodku trzeciego rzędu. Oglądanie twarzy Maggie sprawiło mi równie dużo uciechy co sam występ. Następnego dnia wędrowaliśmy ulicami niczym bohaterowie filmu Głupi i głupszy, przespacerowaliśmy się po Central Parku, zwiedziliśmy Ellis Island, stanęliśmy pod Empire State Building, po czym wjechaliśmy windą na sam szczyt, skąd pomachaliśmy Statui Wolności. Maggie

radowała się każdą chwilą. Tysiąc czterysta sześćdziesiąt dziewięć dolarów później wróciliśmy do domu.

Otworzyłem kopertę i liczba u dołu strony poinformowała mnie, że spłaciłem pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Teraz miałem zapłacić za drugie. Rzuciłem rachunek na podłogę i wrzuciwszy bieg, ruszyłem z miejsca.

Przejechałem obok kościoła pastora Johna, wyjeżdżając na asfaltową drogę i wzniesienie przy pastwisku Johnsona, gdzie minąłem przejazd kolejowy przecinający szosę. Przyjechałem do miasta, właśnie gdy Frank, właściciel sklepu z narzędziami „U Franka”, zawieszał na drzwiach kartkę: „Wracam za dziesięć minut”.

Dziesięć minut to mniej więcej tyle, ile zabiera wypicie filiżanki kawy, przeszedłem więc przez skwer, kupiłem gazetę i usiadłem w rogu kawiarni „U Iry”. Gdy siadałem na swoim miejscu, Amos zauważył mojego trucka i zaparkował swój radiowóz. Wskazał na mnie wykałaczką i wszedł do środka.

- Dzień dobry, Ira - zwrócił się do kobiety smażącej za kontuarem jajecznicę.

- Dobry, słonko. Usiądź sobie przy Panu Milczku, a ja zaraz do was podejde.

Amos wślizgnął się na kanapę naprzeciwko mnie.

- Cześć, stary, co słyhać?

Wskazałem w kierunku sklepu z narzędziami.

- Czekam na Franka, żeby kupić u niego pręty do brony. Amos obejrzał się przez prawe ramię.

- Frank znowu wywiesił to swoje: „Wracam za dziesięć minut”?

- Ta - przeglądałem dział gazety dotyczący finansów.

- Jak tam nasza dziewczyna? - zapytał.

- Bez zmian. Właśnie tam jadę. Jak tylko Pan Wracam-za-dziesięć-minut skończy pomagać pannie White przy rozwiązywaniu jej kolejnego problemu.

- Ach, to nasze miasto. Każdy wie o tobie wszystko.

- Co ty powiesz.

Ira podeszła do naszego stołu i pocałowała Amosa w policzek.

- Co podać, słonko? Amos spojrział na mnie.

- Kocham, jak ona tak do mnie mówi.

A potem spojrział na Irę. - Wezmę trzy mocno ścięte. Nie, cztery. Głodny dzisiaj jestem. Kilka bułeczek i trochę tego dobrego miodu, który George podkrada swojemu sąsiadowi.

Facet w białym podkoszulku przewracający naleśniki krzyknął przez ramię.

- Te ule są moje.

Amos odwrócił się i odkrzyknął:

- Ta, ale pszczoły siadają na jego kwiatkach. George zawołał ponownie:

- Tak powiedział sędziemu. Ja nie mam wpływu na to, gdzie latają moje pszczoły. Przecież nie mogę ich wytresować.

Amos się zaśmiał.

Ira zwróciła się w moim kierunku. Stanowiła integralną część tego miasta i pracowała w tej kawiarni, odkąd pamiętam. W rezultacie czego wszystkich znała i wszystko również o nich wiedziała. Mówiąc coś Irze, równie dobrze można to było ogłosić w CNN, ponieważ światek Digger wkrótce i tak by się o tym dowiedział. Była także najbardziej malowniczą osobą w mieście i wszystko, co miała na sobie, zawsze dobrane było pod kolor. Koszula, spódnica, buty - wszystko tej samej barwy. Wyglądała jak chodzący wzorek koloru. Dzisiaj była to zgaszona zieleń.

- Dzień dobry, Ira - powiedziałem.

- Dzień dobry, słonko. Jak się miewasz, Dylan? - Pochyliła się i dała mi wielkiego, siarczystego całusa w czoło.

- Dobrze. Dziękuję - powiedziałem, wycierając ślad po buziaku.

- Nie wyglądasz dobrze, słonko - odparła. - Wyglądasz, jakby ktoś nasikał ci do płatków śniadaniowych.

Czy wspomniałem już, że Ira była do bólu szczera i że przez dziesięć lat była żoną marynarza?

- Dzięki, Ira. Wezmę tylko bułkę.

- W porządku. Tylko chwilunia, bo muszę jeszcze trochę dorobić.

Amos i ja pogadaliśmy sobie o błahostkach przez jakieś pięć, dziesięć minut, zanim pojawiła się Ira z talerzem z dziesięcioma albo dwunastoma jajkami i z drugim z około tuzinem gorących, parujących bułeczek. Stuknęła talerzami o blat stołu, nałala dwa kolejne kubki gorącej kawy i nie zostawiła rachunku. Spojrzała na mnie.

- Dylan, nie waż się podnieść swojego tyłka z mojej kanapy, nim razem z Panem Łysą Pałą nie zjecie mi tu wszystkiego, co jest na tych talerzach. Rozumiemy się, proszę pana?

- Tak, psze pani - odparłem. - Na naszym stole znajdowało się jedzenia dla pięciu facetów.

Amos uśmiechnął się, podniósł widelec i rozerwał bułeczkę.

- Cóż - odezwał się, wpychając sobie do ust posmarowaną masłem i ociekającą miodem bułkę. - Zeszłej nocy wykonałem taki pościg, jaki pokazują w telewizyjnych filmach o glinach.

- Co się stało? - nałożyłem sobie jajka na pieczywo.

- No, około dziesiątej zatrzymałem faceta za przekroczenie prędkości, a on zdecydował, że nie chce zostać zatrzymany. Prowadził wielkiego,

czterodrzwiowego lexusa. Zanim się zorientowałem, jechaliśmy jakieś 210 na godzinę drogą 1-95. A potem przejechał przez pas zieleni i zaczął ścigać się bocznymi drogami z podobną prędkością. Mac z obsługi naszego garażu mówił dziś rano, że prawie zatarłem silnik, a już na pewno zniszczyłem niezły komplet opon. W każdym razie facet wali tym swoim lexusem tu i tam, a potem kończy pośrodku sadzawki dla kaczek. Szkoda, że nie widziałeś, jak to auto leciało w powietrzu po zderzeniu z belą siana.

Amos wepchnął sobie do ust kolejne jajka.

- Kierowca zdołał wypłynąć z auta i spędził noc w areszcie, ale wóz jest skasowany. Niektórzy ludzie mnie zadziwiają. Oto ja daję facetowi po prostu studolarowy mandat za przekroczenie prędkości, a ten zwiewa i marnuje auto za osiemdziesiąt tysięcy dolarów oraz dzień z życia w areszcie. Nie wspominając już o tym, co sędzia Hand zrobi z nim, gdy wręczone mu swój raport. Dylan, na jakim szalonym świecie żyjemy.

- Co powiedział, gdy wyciągnąłeś go z tej sadzawki?

- Nic. Po prostu stał tam, przyglądając się pluskom i bańkom powietrza wartym niezły szmal. Nawet nie poluzował sobie krawata. Wyglądał do tego jak poważny gość. Skulem go i posadziłem z tyłu radiowozu. Kiedy go zapytałem, dlaczego uciekał, zaczął pyskować i narzekać, jak to policja zawsze się go czepiała. Zapytałem go, czy nie uważa, że sto dziesięć więcej na liczniku to za szybko na drodze o dopuszczalnej prędkości sto na godzinę. I wiesz, co facet powiedział?

- Nie. Co powiedział?

- Powiedział: „Zależy dla kogo”. A ja mu mówię: „Proszę pana, prawo jest takie samo dla każdego. Jest, jakie jest”. Nie spodobało mu się to. Zrobił się milczący. Następnie zaczął mówić coś o swoim adwokacie. W każdym razie siedzi w areszcie, a ja jestem tutaj i jem śniadanie. A ty dlaczego się nie odzywasz?

- Bo jem już piątą bułeczkę.

Amos uśmiechnął się, a miód skapywał mu po brodzie.

- Dobrze są, nie? - Wskazał nożem do masła w kierunku kuchni. - Słodka jest jak placek i gotuje tak, że nie pytaj, ale ta kobieta potrafi zakłąć jak nikt. Myślę, że trzydzieści ileś lat obsługiwania stolików z tym facetem swoje robi.

- Jakbym nie wiedział.

Po czterdziestu pięciu minutach Frank ponownie pojawił się przed swoją witryną, poprawił sobie włosy, przyglądając się odbiciu, ściągnął kartkę i odblokował zasuwę.

Skinąłem głową.

- Frank wrócił.

- Dobra. Muszę iść. Sędzia Hand spodziewa się, że przyjdę. Ja zapłacę. Uściskaj ode mnie Maggie.

- Tak zrobię.

I w tym momencie pojawiły się wyrzuty sumienia. Wyrzuty spowodowane faktem, że przez prawie czterdzieści pięć minut nie pomyślałem o Maggie ani o śmierci mojego syna, ani o tym, że moja żona była w szpitalu warzywem odżywiającym się przez rurkę i oddającym mocz do worka.

Wyrzuty sumienia utkwily mi w żołądku niczym ołów. Wyszedłem przez frontowe drzwi, skręciłem w prawo w zaułek obok kawiarni „U Iry” i zwymiotowałem pięć bułeczek, sześć jajek i dzbanek kawy. Wytarłem sobie usta rękawem koszuli i wsparłem się o ceglany mur. Nadeszła druga fala, jeszcze bardziej opróżniająca mój żołądek. Wytarłem zachlapane końce butów o trawę, pojechałem do szpitala i zapomniałem, po co miałem odwiedzić Franka.

Wślizgnąłem się cicho do pokoju Maggs, a Blue wskoczył na łóżko, opierając swój nos na jej stopach.

- Hej, Maggs - szepnąłem jej do ucha. Oddałbym farmę, aby usłyszeć jej głos.

- Witam, profesorze - szepnęła Amanda, wchodząc do pokoju i przerywając ciszę.

- Cześć.

- Ja tylko na chwilę. - Sprawdziła rurkę pokarmową, a następnie zaczęła się wycofywać na palcach. Gdy już miała zniknąć za framugą drzwi, odwróciła się i cicho powiedziała:

- Profesorze, nie będzie mnie jutro na zajęciach. Mam wizytę u lekarza. Zostawiłam panu wiadomość na sekretarce w domu, myśląc, że może się tutaj nie spotkamy. Do zobaczenia jutro po południu, może.

- W porządku. Dziękuję za informację.

Amanda wyszła i znowu wkradła się cisza. Blue zaskomlał, jak gdyby mówił: „Słuchaj, człowieku, powiedz coś. Ona potrzebuje usłyszeć twój głos”.

Ująłem ją za rękę.

- Maggs, brakuje mi dźwięku twojego głosu. Wtedy to do mnie trafiło. Automatyczna sekretarka.

Podniosłem słuchawkę, wykręciłem numer tak szybko, na ile pozwolił mi telefon z tarczą, odczekałem cztery sygnały, a potem ona odebrała.

- Cześć, tutaj Dylan i Maggie. Niestety nie mogliśmy odebrać telefonu, ale proszę zostawić wiadomość, a my oddzwonimy. Wkrótce. Pozdrawiamy.

Szybko wykręciłem numer raz jeszcze, przytrzymując słuchawkę pomiędzy ramieniem a uchem, wybierając numer jedną ręką, a drugą trzymając dłoń

Maggie. Blue podczołgał się na łóżku, ułożył przednie łapy na moim kolanie i zaczął lizać słuchawkę, skomlać. Po ósmym razie odwiesiłem słuchawkę, otarłem twarz i zapatrzyłem się przez okno.

Rozdział piętnasty

Zakończyłem zajęcia, poprawiałem testy przez prawie godzinę, a następnie spakowałem torbę i się wymknąłem. W drodze przez dziedziniec do samochodu poczułem przyływ ciekawości, podszedłem więc do ogrodzenia. Drużyna futbolowa trenowała na przeciwległym wschodnim krańcu boiska. Zrzuciłem sobie torbę na plecy i przeszedłem przez bramę w kierunku graczy ćwiczących wznawienie. Nie tyle chciałem to zobaczyć, co poczuć ten klimat.

Gdy szedłem, usłyszałem za sobą głos.

- To pan śpiewa, psorze?

Obróciłem się, aby spojrzeć na Russella stojącego nade mną niczym Goliat.

- Kto, ja? Nie, tylko tak, hm... - No, tak, kłamałem. Russell uśmiechnął się.

- To pan śpiewał, psorze. - Jego oczy zrobiły się wielkie i uśmiech przeciął pokrytą trawą oraz potem twarz.

- Właściwie to nie - próbowałem się wykręcić. - Z kim gracie w tym tygodniu?

- Psorze, to śpiewanie było fajne. - Russell uniósł brwi i starał się utrzymać powagę. - Proszę jeszcze zaśpiewać.

- Russell, śpiewanie nie rozwiązuje problemów.

- Mój tato kochał śpiewać. Lubił bluesa i stare hymny. Śpiewał je tak często, że jedne ciągle mu się mieszały z drugimi. W jednej chwili śpiewał o dziewczynie, którą kiedyś znał, a chwile później była to już pieśń o nadchodzącej chwale. - Uśmiech powrócił na twarz Russella, który jeszcze raz uniósł brwi. - A pan jeszcze nie odpowiedział na moje pytanie, psorze. Śpiewałeś pan?

- Russell, mówi się: „Śpiewał pan”.

- W porządku, proszę pana, panie psorze. - Nie należał do tych, co odpuszczają. - Śpiewał pan?

- Tak, śpiewałem - przyznałem, spoglądając na boisko treningowe.

- Tak myślałem. To teraz niech mi pan powie, co to była za piosenka.

Ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, była swobodna rozmowa z Russellem. W klasie to jedno. Poza klasą to co innego. Studenci tego nie odróżniają. Dość szybko zaczną domagać się swobodnych rozmów podczas zajęć. I w tym momencie rozróżnienie: nauczyciel i jego uczniowie przemija z wiatrem. I nie wróci.

- Russell - zebrałem się w sobie. - Śpiewałem piosenkę, którą moja żona, Maggie, zwykła śpiewać naszemu synkowi, zanim się urodził.

- Jak to leci?

- Nie powinieneś być raczej teraz gdzieś tam i naparzać w kogoś? - wskazałem w stronę boiska.

- Psorze, a co z odpowiedzią na moje pytanie? - położył dłoń na moim ramieniu.

Miał zaraźliwy uśmiech. Coś w stylu pastora Johna. Burzy dokładnie każdy mur, który próbuje się budować. Można by wznieść Jerycho, a uśmiech Russella obróciłby jego mury w ruinę.

- Pozwól, że wyjaśnię ci to w ten sposób - powiedziałem, spoglądając na jego rękę na moim ramieniu. - Nie ma takiej siły na tej bożej ziemi, żebym ci śpiewał kołysanki. Wybij se to z głowy. - Zrobiłem krok w stronę ogrodzenia i skrzyżowałem ręce, nie odrywając wzroku od wznowienia, robiąc wrażenie skoncentrowanego na tym, co się dzieje na boisku.

- Profesorze - powiedział swoją najlepszą angielszczyzną. - Nie mówi się: se.

Zaśmiałem się i podszedłem do niego, przekraczając po drodze ruiny muru.

- Psorze, nie śmieje się pan często, ale jak już, to jest to dobry śmiech. Trzeba się śmiać trochę częściej.

O co chodzi z tymi dzieciakami? Paraduje przed nimi prawie obnażony, stąpając po gruzach dzielącego nas muru. Russell ciągnął dalej:

- To jak leci ta kołysanka?

- Nie.

- No, psorze - zaczął gestykulować. - Nie ma potrzeby się tak naburmuszać. Tak sobie po prostu rozmawiamy po przyjacielsku, a pan miał mi właśnie zaśpiewać piosenkę.

- Russell, odejdz. Idź komuś przyłożyć. Zobaczymy się na zajęciach.

- Nie bede tego robił, psorze. Cały dzień piore towarzystwo. Dlatego właśnie tu stoję. Bo jestem w tym niezły, a tamte chłopaki nie. No, dalej. Słyszałem, gdy tu szłem.

- Jak ci idzie praca semestralna? - zapytałem.

- Psorze, niech pan nie zmienia tematu. Nie jesteśmy w szkole. Tu się gra w futbol, rozumie pan. - Russell wykorzystywał ręce do podkreślania tego, co mówił. - Jakby pan nigdy się nie zetknął, to to jest boisko. To jest piłka. To jest murawa. To są ochraniacze, a to jest pot. Szkoła jest tam, a to jest tutaj. Niech jedno i drugie zostanie na swoim miejscu. - Jego uśmiech zrobił się większy. - To zaśpiewa pan czy mam do tego wrócić na zajęciach? Jestem od pana większy i...

- Tak? - podjąłem wyzwanie. - I co? Mogę cię oblać w try miga.

- Czekam. - Przytupywał po trawie swoimi korkami w rozmiarze czternastym.

Za każdym razem, gdy stałem w obecności Russella, rzucało mi się w oczy, jak był duży. Przewyższał mnie pewnie o piętnaście centymetrów, ważył co

najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów i miał bardzo niewielką tkankę tłuszczową. Może osiem procent masy. W naramiennikach był ogromny. Dobrze, że nie musiałem radzić sobie z nim na boisku.

- Jeżeli się nie przyłączysz - zawołał trener ze strużką śliny wymieszanej z tytoniem, sączącą mu się z kącika ust - albo nie staniesz przy linii bocznej, to klękaj.

Usiadłem na nieodległej ławce, a Russell przyklęknął na jedno kolano. Odwrócił się w kierunku rozpoczynającego się wznowienia, jednym uchem nasłuchując trenera, a drugim mnie. Wiedział, jak sprawiać wrażenie, że jest skoncentrowany. Pot wyływał z każdego pora jego skóry, Russell zaś był w swoim żywiole. Upał, ochraniacze, ból. Słowem: raj.

Poddałem się i zacząłem śpiewać.

Zaśpiewałem słodką kołysankę Maggie. Może ja też chciałem jej posłuchać? Początkowo mruczałem nieco tylko głośniejsze od swojego oddechu, ale u Russella nic takiego nie przeszło.

- Psorze - powiedział ze wzrokiem skierowanym na boisko. - Tak się nie liczy. Nie słyszę pana. - Zwinął dłoń w trąbkę i przystawił ją sobie do ucha.

Zaśpiewałem zatem naprawdę, jakbym śpiewał do brzucha Maggie. Skończyłem piosenkę, mrugnąłem, strzepując z powiek wilgotną mgłę, i spojrzałem w kierunku Russella, spodziewając się wyrazów krytyki.

- Psorze - odezwał się, zapinając sobie kask. - Jest pan w porządku. - Przypiął pasek na podbródku i nie spojrzał w moją stronę. - Jest pan w porządku.

Nie wiem, czy odwracał wzrok, ponieważ nie chciał patrzeć na moje wilgotne oczy, czy nie chciał, abym to ja zobaczył jego łzy.

- Do zobaczenia na zajęciach, Russell.

- Na zajęciach - powiedział odwrócony do mnie tyłem.

Usłyszałem kolejny odgłos zapinanego paska na podbródku i Russell wystartował. Ludzie, ale był wielki! Silny również. Czymkolwiek karmili go rodzice, zadziałało. Szkoda gadać, ile kosztowało wykarmienie tego dzieciaka, gdy dorastał.

Oddaliłem się od boiska treningowego. Po chwili energicznie zamknąłem drzwi mojej półciężarówki. Odpaliłem ją i ruszyłem w kierunku szpitala. Gdy przejeżdżałem przez stare tory kolejowe, rzuciłem jeszcze raz okiem na boisko i dojrzałem Russella. Dołączył do wznowienia, stał się z napastnikiem i teraz trzymał w rękach zarówno piłkę, jak i kask atakującego. Ten leżał na plecach, ogłuszony, kręcąc głową, otoczony przez trójkę trenerów.

Jakiś czas później znów przyłapałem się na nuceniu.

Rozdział szesnasty

Zakończyłem zajęcia w samym środku popołudniowego skwaru. Nastął już prawie październik, ale zaduch leniwego lata wciąż wisiał w powietrzu, wygrywając walkę z chłodniejszą bryzą, która mocno zaznaczała swoją obecność wieczorem, ale musiała odtrąbić odwrót w ciągu dnia. Każde zajęcia mogły zakończyć się tym, że kupiłbym klimatyzator okienny. Gdybym tak zrobił, zakładałbym się o mój wóz, że zainstalowanie go w oknie wprowadziłoby zmiany w moim schemacie, gdzie kto siedzi. Wszystkie moje dzieciaki tłoczyłyby się wokół urządzenia - nawet Koy.

W drodze do drzwi Amanda rzuciła okiem na moje ramię, spuściła wzrok i pokręciła głową:

- Proszę lepiej pozwolić mi jeszcze raz to wyczyścić. Wyszła, nie dodając ani słowa więcej.

Opuściłem rękaw, wsadziłem rękę do kieszeni i zacząłem pakować swoją torbę. Gdy wychodziłem, prawie potknąłem się o Koy, która wciąż jeszcze siedziała w ławce. Trzymała dłonie splecione na wysokości ust i wyglądała, jak gdyby chciała coś powiedzieć. Postanowiłem, że pomogę jej zacząć.

- Byłaś milcząca podczas dzisiejszych zajęć.

- Zawsze jestem milcząca.

- To prawda. - Uśmiechnąłem się i czekałem, aby powiedziała coś więcej. Nie zamierzałem tego z niej wyciągać.

- Psorze - podniosła swój plecak z książkami i położyła go sobie na kolanach.

- Dużo piszę i, hm... zastanawiałam się, czy mógłby pan coś dla mnie zrobić. Rzucić na to okiem i powiedzieć, czy uważa pan, że ma to jakąś wartość.

Podszedłem i oparłem się o sąsiednią ławkę:

- Jasne, spojrzę na to, ale nie traktuj mojej opinii jako całkowicie miarodajnej co do tego, czy ma to jakąś wartość, czy też nie. Mogę stwierdzić, że jest świetne, podczas gdy inni będą sądzić, że nie. A mogę też powiedzieć, że to fatalne, gdy tymczasem będzie wręcz odwrotnie. Wyrażam tylko jedną z opinii, a niestety lubię to, co lubię. Wiesz, co mam na myśli?

- No, ze mną też tak jest. - Koy sięgnęła do plecaka i wyjęła z niego wytarty notatnik. Nie wyglądał na nowy. Wręczyła mi go z wahaniem i wyszła z sali.

Kartki były powycierane, postrzępione i zapisane przez nią tysiącami słów. Wsunąłem notatnik do swojej torby i zwróciłem się w stronę wyjścia. Wtedy zobaczyłem Koy stojącą znowu w drzwiach.

Odwracając się wolno, wskazała na zeszyt i powiedziała:

- Profesorze, to... to ja jestem tam w środku. - Spojrzała w drugą stronę, a potem odwróciła się i spojrzała na mnie, stając do mnie przodem. Jej prawa dłoń powędrowała wolno w kierunku twarzy. Zdjęła okulary. Wpatrywały się we mnie piękne zielone oczy. Szmaragdowa niespodzianka.

Dlaczego ktoś tak usilnie stara się ukryć coś tak pięknego? Zrobiła krok do przodu, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Czy może to zostać tylko pomiędzy panem a mną?

- Koy - sięgnąłem do torby i wyciągnąłem z niej notatnik. - Jeżeli pytasz mnie, czy zatrzymam to, co tu przeczytam, dla siebie i czy to zostanie pomiędzy nami, to odpowiedź brzmi: tak. Absolutnie. Ale co do zaufania? Zaufanie to inna sprawa. To kwestia wyboru. Na zaufanie trzeba zapracować. Nie każdy na nie zasługuje. Czy ja jestem godny zaufania? To ty musisz zdecydować. Nie ja. To od ciebie zależy. A gdy prosisz mnie, abym przeczytał twój dziennik, to znaczy, że mi ufasz.

Postała przez chwilę w bezruchu, spuściła wzrok, spojrzała w kierunku korytarza, nałożyła z powrotem okulary, pociągnęła za plecak, a następnie podeszła do mnie, wyrwała mi z rąk notatnik i wyszła bez słowa.

Może zachowałem się zbyt szorstko. Może nie. Kto to wie? Ja nie: większość ludzi, ze mną włącznie, najbardziej odsłania się w swoich dziennikach. Przelewamy do nich wszystko. Czasami dziennik staje się jedynym słuchaczem, który słucha, lub przynajmniej jedynym, któremu chcemy coś powiedzieć. Mówimy zatem, aż nasza ręka nie jest już w stanie dłużej pisać, a potem milkniemy, zasypiamy albo idziemy na zajęcia lub wracamy do pracy czy do czegośkolwiek innego, od czego wcześniej uciekaliśmy.

Wróciłem do domu, pokrzątałem się przy domu, a następnie postanowiłem pojechać do szpitala, gdy przybyła już wieczorna zmiana. Zaskoczyło mnie więc, że zamiast tego znalazłem się skulony na mojej huśtawce zawieszanej na werandzie przed domem, oglądając promienie zachodzącego słońca oświetlające wąsy kukurydzy. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałem, był widok fal, które wywoływał wiatr, pędząc przez rzędy kukurydzy.

Mrużąc oczy przed porannym słońcem, zobaczyłem, że na podłodze pode mną leży dziennik Koy z położoną na nim karteczką. „Profesorze, nie chciałam pana budzić. Przepraszam za wczoraj. Proszę przeczytać. Koy”.

Zaparzyłem pewną ilość kawy Maxwell House, wróciłem na huśtawkę z dymiącym kubkiem, pokonałem impuls, aby pojechać do szpitala, i zacząłem od pierwszej strony.

Do południa zdołałem przeczytać wszystko. W większości była to poezja i scenki rodzajowe. Epizody z jej życia. Bez początku. Bez końca. Ujęcia bez osadzenia w szerszym kontekście.

Gdy już skończyłem, miałem tylko jedno pytanie: dlaczego na miłość boską ta dziewczyna znalazła się na moim kursie? Koy była dobra. Nie chodzi mi o to, że „miała dobry styl”, a nawet że „panowała nad językiem”. Koy miała talent. I to spory.

Gdy siedziałem wtedy na mojej werandzie i trzymałem w ręku duszę i serce tej dziewczyny, przychodziły mi do głowy tylko dwie realne możliwości. Albo była utalentowanym typem geniusza, na którym nie poznał się system edukacji, typ Billa Gatesa literatury, albo coś się jej przydarzyło. Coś gwałtownego i nagłego odebrało jej wrażliwość, dając w zamian postawę lodowatej królowej oraz okulary przeciwsłoneczne.

To, co trzymałem w ręku, przypominało mi o uczuciu, którego w szkole sam wiele razy doznawałem, ale później już rzadko. Było to połączenie podziwu i niedowierzania, które miałem na lekcjach muzyki u pani Edward, gdy uczyłem się o Mozarcie. Teraz było tak z Koy. Jak ktoś tak młody mógł stworzyć coś tak wspaniałego i dojrzałego?

Odłożyłem notatnik i upiłem łyk kawy, która zdążyła już przez ten czas zrobić się zimna. Była okropna. Maggie uwielbiała zimną kawę. Zwykła nalewać sobie kubek z rana, zostawiać go na kilka godzin, a następnie sięgać po niego przed lunchem. Rodzaj kofeinowego kopa w południe. Nigdy tego nie rozgryzłem. Dlaczego ktoś celowo miałby pić zimną kawę, skoro mogła być gorąca? Powąchałem brzeg raz jeszcze, uświadomiłem sobie, że stała tam przez ponad trzy godziny, zbliżyłem ją do ust i pociągnąłem łyk z ciekawością.

Zimne fusy zawirowały wokół języka i spłynęły mi po gardle. Poczułem inny smak i raz jeszcze lodowata fala samotności uderzyła mną o werandę.

Termometr na zewnątrz wskazywał trzydzieści siedem stopni Celsjusza i ani jedna chmura nie pojawiła się na czystym błękitnym niebie. Przeszedłem przez szpitalne drzwi ubrany w czarny T-shirt z długim rękawem, z Blue przy nogach. Wszystko pogrążone było w ciszy. Maggie leżała w swoim pokoju, poważna Śpiąca Królewna. Ktoś niedawno wyszczotkował jej włosy i pomalował paznokcie u rąk. Odkryłem jej stopy, by sprawdzić, czy nie są zmarznięte, i zobaczyłem, że ta sama osoba pomalowała jej również paznokcie u stóp.

Maggie zawsze spała w skarpetach. Nienawidziła marznąć w stopy. Bez skarpet opierała je o moje plecy albo brzuch, w zależności od boku, na którym akurat spałem. Blue polizał jej nogi, otarł swój zimny nos o jej palce u rąk, powąchał włosy i położył się u stóp łóżka.

Maggie wyglądała tak, jakby spała. Jej widok nie odzwierciedlał ponurych wypowiedzi pana doktora dotyczących „nieodwracalnego uszkodzenia” i „braku szans na wybudzenie”. Minęliśmy próg pięćdziesięcioprocentowy i byliśmy już wyraźnie na etapie dwudziestopięcioprocentowego prawdopodobieństwa powrotu do zdrowia. Kilka dni temu pokręcił głową i powiedział: „Dylan, jestem po prostu szczerzy. Przygotuj się”.

Ale ona nie wyglądała tak, jak wynikałoby z jej karty chorobowej. Wyglądała jak moja żona w sobotni rano. Wyglądała tak, jakby miała się za chwilę obudzić i popłynąć ze mną w dół rzeki. Wszedłem do pokoju, wyjąłem jej kartę z ramki u stóp łóżka, przeczytałem nieczytelne uwagi lekarza, otworzyłem okno, cisnąłem nią najdalej jak mogłem i obserwowałem, jak opada na taflę sadzawki trzy piętra niżej. Okna pokoi, w których znajdują się warzywa, nie są okratowane. Niewielkie jest bowiem ryzyko, że mogą wyskoczyć.

Pocałowałem ją w czoło. Była ciepła. Pachniała jak Maggie.

- Hej, Maggs, to ja - wyszeptałem i usiadłem.

Nie poruszyła się. Nie oczekiwałem tego. Po prostu zawsze w naszym wspólnym życiu, gdy szepnąłem: „Hej, Maggs”, całowałem ją w czoło i stawiałem jej kubek z kawą na stoliku obok łóżka. Wówczas budziła się, odwracała na bok, kładła głowę na moim kolanie, wzdychała głęboko i mówiła: „Co chcesz dzisiaj robić?”.

Maggie była dość dużym śpiochem. Czasami mogłem wstać w środku nocy, a jej ręka opierała się o czoło, jak gdyby myślała o czymś lub czegoś zapomniała. Cokolwiek to było, marszczyło jej skórę pomiędzy oczami nad nosem. Pochylałem się, układałem jej rękę wzdłuż boku, całowałem ją delikatnie i przykładałem jej do czoła swoją dłoń. Rozluźniała się. Skóra łagodniała, stawała się miękka i zmarszczka znikła. Gdy nie budziłem się, a ona spędzała większość nocy z ową napiętą zmarszczką, po przebudzeniu jej kark stawał się nieznośnie obolały. Wiedziałem, że była to jedynie oznaka jej głębi. Maggie to prosta złożoność. Paradoks. Sens pomiędzy skrajnościami.

Ułożyłem swoją głowę obok głowy Maggie i oddychałem. Po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu pozwoliła mi dzielić jej poduszkę. Chciałem czuć jej zapach. Słyszeć oddech. Słuchać szelestu stóp szurających pod kołdrą. Chciałem być z moją żoną.

Nie mam na myśli spraw erotycznych. Bóg jedyny wie, że mógłbym. Jestem mężczyzną. To jest moja żona. Kocham ją. Ale po porodzie, krwotoku, widoku krwi oraz tym, co musieli zrobić lekarze, nawet gdyby obudziła się w tej chwili, musiały minąć miesiące, zanim stałoby się to możliwe. Jest także i aspekt emocjonalny. Maggie jest silna, ale nie aż tak silna.

Nie, ja mam na myśli ową słodycz, która pojawia się, gdy otwierasz oczy i uświadamiasz sobie w delikatnym świetle dnia o brzasku, że twoja żona przysunęła swoją twarz do twojej i że oddychasz teraz powietrzem, którym ona oddycha. Ową słodycz, która pojawia się, gdy sobie to uświadamiasz, a następnie zamykasz oczy i czujesz ten łagodny podmuch jej oddechu muskający twoje rzęsy. Słodycz, która pojawia się, gdy po tym, jak już odczujesz ten łagodny podmuch, zapadasz w sen, a wasze oddechy dzielić będą to samo powietrze.

Mniej więcej gdy zapadł już zmrok, dużo później po tym, jak mój żołądek zaczął wydawać groźne pomruki, w drzwiach pojawiła się ciągnąca wózek Amanda.

Blue spojrzał z poziomu podłogi i zastrzygł uszami.

- Witam pana profesora, witam panią Maggie, witam cię, Blue - zatrzymała się obok mnie, chwyciła moją lewą rękę i zaczęła mi podciągać rękaw od podkoszulki. Skrzywiłem się i pociągnąłem do siebie, ale nic z tego, jeśli chodzi o Amandę. - Profesorze, jeżeli nie da mi pan tej ręki, zawołam tu doktora, kilku naprawdę dużych pielęgniarzy oraz pana przyjaciela z biura szeryfa. Możemy zatem zrobić to albo prosto i przyjemnie, albo inaczej.

Wyciągnąłem ramię.

Koszulka przywarła mi do rany. Ropa i surowica przesiąkły przez materiał, tworząc złowróżbne kręgi. Amanda ujęła mnie za nadgarstek i zaczęła metodycznie obcinać i odrywać kawałki tkaniny. Chyba po trzecim razie zdałem sobie sprawę, jak bardzo to bolało. Rana na moim ramieniu była głęboka do żywego mięsa.

Gdy się krzywiłem, Amanda zwróciła się do Maggie:

- Proszę się nie obawiać, proszę pani. Dobrze zaopiekuję się tą raną, zanim dotrze pani tam, gdzie się wybiera. Przynajmniej dopóki jesteśmy w tym szpitalu. Nie mogę natomiast ręczyć za niego poza szpitalem, ale tutaj dobrze się nim zajmę. Musimy wyleczyć mu to ramię. Bo o ile wiem, nie jest zbyt dobry w opiekowaniu się sobą samym. - Spojrzała na mnie. - Nie przestaje grzebać w tej ranie, jakby próbował się czegoś pozbyć. - Ponownie odwróciła się w stronę Maggie. - A zatem byłoby nam wszystkim łatwiej znaleźć wyjście z tej sytuacji, gdyby pani po prostu zrobiła coś i zbudziła się, zanim to ramię będzie w takim stanie, że nie będzie już można z niego więcej korzystać.

Skończyła bandażowanie ręki, wyciągnęła dłoń i powiedziała:

- Proszę to połknąć.

Wkrótce później zasnąłem. Około drugiej nad ranem Amos klepnął mnie w ramię i usłyszałem:

- D. S., chodźmy napić się jakiejś kawy.

Blue lizał mnie po kostce, gdy przecierałem sobie oczy i pozbywałem się śliny na podbródku. Czułem się jak półprzytomny, ale cokolwiek podała mi Amanda, zadziałało. Pocałowałem Maggs i przyłożyłem dłoń do jej czoła.

- Do zobaczenia jutro. Dzięki, że podzieliłaś się ze mną swoją poduszką. Obiecuję ci, że jeżeli się obudzisz, już nigdy nie będziesz musiała tego robić.

Amos i ja wyszliśmy ze szpitala i przeszliśmy na drugą stronę ulicy do całodobowego baru. Kiedyś sprzedawali tu gofry, ale już dawno zamknęli ten interes. Teraz szyld nad drzwiami głosił „Bar «U Ala», Otwarte 24 godziny”. Jeszcze się tak nie zdarzyło, abym tu przyszedł i nie zastał Ala przy grillu. Kiedy ten facet spał? Nie miałem pojęcia.

Usiedliśmy z Amosem i zamówiliśmy kawę, a ja złożyłem jeszcze zamówienie na potrójną jajecznicę.

- Co u niej?

- Bez zmian.

- O co chodzi z tą twoją ręką?

- Hm?

- Pytam, co z nią wyprawiasz.

- A... Po prostu zapaprałem ją przy pracy na pastwisku. -Twoja pielęgniarka mówi co innego.

- Tak? A co ona wie? Nie było jej przy tym.

- Mówi, że za każdym razem, gdy cię widzi, jest gorzej, a teraz próbujesz to ukrywać. Dlatego właśnie tak to zabandażowała. Żebyś tego nie pogarszał.

- Amos, jest trzecia nad ranem. Czy możemy porozmawiać o czymś innym?

- Jak zajęcia? - powiedział tym samym tonem. Spojrzałem na niego:

- Nie powinieneś być teraz w domu i spać albo pracować, albo co?

- Jestem w pracy.

- Czy aby nie płacę ci za ten czas z moich podatków? - Jak zajęcia?

- Nie przestaniesz, prawda?

- Nie, gdy chodzi o ciebie - Amos uśmiechnął się, a jego białe zęby zaśniły w bladym świetle baru.

Przetarłem oczy.

- To pewnie jeszcze jedna dobra rzecz.

- Rozgryzłeś już to?

- Rozgryzłem co?

- Amandę.

- Amos, mógłbyś przestać mówić szyfrem? Mineły już trzy godziny, odkąd skończyła mi się zdolność rozumienia go.

- Czy rozgryzłeś już Amandę Lovett?

- A co tu jest do rozgryzania? W pierwszym rzędzie na moich zajęciach siedzi atrakcyjna, miła, ciężarna córka pastora, która do tego okazuje się pielęgniarką mojej żony. Tak, zdołałem to rozgryźć całkiem nieźle.

- Tak? A doszedłeś już do tego, jak ta atrakcyjna, miła, słodka, niezamężna córka kaznodziei w ogóle zaszła w ciążę?

- Nie. Nie poświęcałem temu zbyt dużo czasu. Przetarłem oczy i zapatrzyłem się przez okno.

- Amos, proszę cię, przejdź do sedna. Czymkolwiek jest.

- Sześć miesięcy temu Amanda Lovett została porwana, wywieziona dziesięć kilometrów od miasta i przywiązana do drzewa głęboko na odludziu Salkehatchie. Następnie została zgwałcona przez co najmniej dwóch mężczyzn. Może więcej. Sześć dni później porzucili ją na trawniku jej taty. Chcesz, abym opisał ci szczegóły?

Obraz był wystarczająco wyrazisty.

- Nie, wyobrażam sobie.

- Ta dziewczyna, ta sama dziewczyna, która bandażuje ci ramię, szczotkuje włosy twojej żonie, zostawia ręcznik dla Blue i przynosi ci rano sok pomarańczowy, została pobita i porzucona. Miała zginąć. Została także zapłodniona. - Amos wyprostował się na siedzeniu. - To małe miasto i wieści szybko się rozchodzą, ale wy, Stylesowie, wykazujecie tendencję, aby koncentrować się na sobie. Zawsze tak mieliście. No więc - Amos pokazał na mnie swoją wykałaczką - chcesz usłyszeć odpowiedź na swoje następne pytanie?

- Tak.

- Cóż. - Przesunął językiem wykałaczkę na drugi koniec ust. - Mógłbym ci powiedzieć, ale musisz usłyszeć to od niej samej. Zapytaj ją kiedyś.

- Amos, przyprowadziłeś mnie w te piękne okoliczności przyrody, aby mi to powiedzieć.

- No.

- Dlaczego?

- Bo powinno do ciebie dotrzeć, że są na tym świecie ludzie, których żywot jest równie ciężki jak twój. Życie nie jest sprawiedliwe. Witamy na ziemi.

- Dzięki. Teraz, gdy to wiem, czuję się dużo lepiej.

Zapłaciłem za kawę oraz jajka i razem z Blue zostawiliśmy Amosa rozmawiającego z Alem. Gdy odpalałem auto, Garth śpiewał w duecie z Martina, ale wyłączyłem radio i jechałem do domu w ciszy, nie licząc rytmicznego dźwięku gwoźdźnia w oponie uderzającego o asfalt.

Rozdział siedemnasty

W piątek wieczór rozgrywano najważniejszy według Marana mecz roku. Był to „Pojedynek”. Każda szkoła posiadała swoją nemezis, a dla Digs był to South Carolina Junior College.

Blue i ja podeszliśmy do ogrodzenia obok bieżni i stanęliśmy równolegle do linii bramkowej. Trybuny pełne były dzieciaków, a ponieważ niektórzy robią się nerwowi na widok psów, założyłem Blue smycz. Spojrzał na mnie tak, jakbym postradał rozum.

- Przykro mi. Tylko na godzinę albo coś koło tego.

Oparłem się o ogrodzenie i spojrzałem w górę na zegar. Rozgrywano третią kwartę i dzięki przyłożeniu Digs prowadziło z SCJC 27 do 20. Z tego, co usłyszałem podczas rozmów w szkole, mocnymi punktami Digs była szybkość i niezły rozgrywający, a SCJC - napastnik o nazwisku Thum-per. Obie drużyny były dobre w obronie.

Obrona Digger była na swoim miejscu, a Russell stał na przeciwległym końcu jako obrońca środka linii. SCJC dostali piłkę i ich rozgrywający skierował się na lewo - w stronę tej części boiska, gdzie znajdował się Russell. Ten minął napastnika pierwszej linii i stał się z rozgrywającym, co mogło zostać uznane za zdobycie kolejnej linii, gdyby rozgrywający nie wypuścił piłki.

Gracze przemierzali się ze sobą, starając się podnieść tę elipsoidalną pikę ze świńskiej skóry. Trybuny ponownie eksplodowały falą ramion oraz hałasem wypełnionych monetami butelek po mleku. Wynurzając się z kotła, Marvin zaczął biec z piłką w moim kierunku. Jego ręce i stopy tworzyły rozmazaną plamę. Gdy mnie mijał, jego twarz stanowiła kompozycję dziąseł, zębów i czystej radości. Przekroczył linię bramkową dwanaście jardów przed najbliższym zawodnikiem, przygwoździł piłkę i wykonał jakiś taniec, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Następnie Russell uniósł go i obaj, jak również reszta obrony, pomaszrowali w kierunku ławki przy wyniku 33 do 20.

Mówiłem coś do siebie na temat szybkich stóp, gdy usłyszałem:

- Hej tam, profesorze.

Nie musiałem się oglądać. Zdradzało ją uwodzicielskie brzmienie głosu. Obróciłem się i powiedziałem:

- Co? Dziś wieczór żadnych okularów przeciwsłonecznych?

Koy sięgnęła i zsunęła swoje okulary z ich miejsca na szczycie głowy. - A teraz jak? - zapytała.

- Dużo lepiej. Prawie cię nie poznałem.

Digs rozpoczęli grę i zdobyli przewagę dwudziestu dwóch jardów.

- Co pan tutaj robi? - zapytała Koy.
- Oglądam mecz - powiedziałem, wskazując na boisko.
- Czy większość ludzi nie robi tego raczej z trybun?
- No tak, ale pomyślałem, że to może być za dużo dla Blue. Wiesz, cały ten hałas.
- O - odezwała się z wyrazem niedowierzania na twarzy. Uklęła i pogłaskała Blue po głowie. - Jaka jest pana historia, profesorze?
- O jaką historię ci chodzi? - zapytałem.
- O pana historię. Dlaczego taki przystojny, porządny facet jak pan uczy grupę takich nieudaczników jak ta nasza?
- Uważasz, że jesteście nieudacznikami?
- No, niech pan przestanie, profesorze. Wszyscy jesteśmy tu dorośli.
- Cóż, uczyłem trochę już wcześniej, miałem przerwę, pracując na farmie, i pojawiła się możliwość prowadzenia tu zajęć, obejrzałem szkołę, napisałem podanie i przyjęli mnie.
- Coś to nie tak, jak słyszałam.
- Coś to nie tak?
- Nie, to nie tak - powiedziała, starając się najlepiej, jak potrafiła, naśladować mój styl. - Ja słyszałam, że został pan znaleziony na wpół martwy na polu kukurydzy przez pana kumpla, tego zastępcę szeryfa, którego widziałam gdzieś tutaj dziś wieczór. - Przechyliła głowę, patrząc ponad boiskiem, i uniosła palec do ust. - No, wie pan, ten facet, co nosi duży pistolet i wygląda niczego sobie. W każdym razie pana żona wiedziała, że potrafi pan uczyć, a on, że żaden z pana farmer. A zatem oboje zapisali pana i wpakowali do klasy z całą naszą paczką nieudaczników.
- Pokiwałem głową.
- W porządku, teraz gdy znasz już większość mojej historii, jaka jest twoja?
- Koy zdjęła okulary z nosa i umieściła je sobie z powrotem na szczycie głowy.
- Profesorze, zabawiam się pana kosztem. Odstaje pan tu od reszty jak jakieś dziwadło. Pewnie jedyny biały w tej śmierdzącej dziurze. - Machnęła ręką w kierunku tłumu. - Pomyślałam, że może przyda się panu przyjacielska pogawędka.
- I to jest przyjacielska pogawędka? - powiedziałem, uśmiechając się.
- O, powinien mnie pan posłuchać, gdy nie jestem przyjacielska. Jej prawa dłoń zabawiała się kolczykiem.
- Spasuję. Wolę opcję przyjacielską.

- Dobrze. - Przysunęła się, stykając ze mną ramieniem, i oparła sobie podbródek na rękach nad ogrodzeniem. - A więc o co chodzi? Po co pan tu przyszedł?

- Lubię futbol. Chciałem zobaczyć, czy Russell i Marvin rzeczywiście są tak dobrzy, jak Marvin stale mi opowiada, że są.

- Proszę mi wierzyć, że są jeszcze lepsi. Tam na górze, w tej budce - wskazała na kabinę prasową ponad trybunami - jest około szesnastu łowców talentów. Faceci na dachu nad nimi to dziennikarze, którzy relacjonują mecz. Wykopali ich z kabiny dla prasy, aby zrobić miejsce dla tych wszystkich poszukiwaczy talentów.

Przebiegałem wzrokiem po szczycie stadionu i myślałem o przyszłości Russella i Marvina. Za trzy lata ich życie, ich styl życia mogły być zupełnie inne. Odwróciłem się ponownie w stronę Koy.

- Moja historia jest prosta, Koy. Razem z żoną wróciliśmy tutaj po zakończeniu studiów. Nie mogłem znaleźć pracy jako nauczyciel, zabrałem się więc do tego, co znałem z dzieciństwa - do pracy na farmie. Ale jak to trafnie ujęłaś, kiepski ze mnie farmer. Przynajmniej na razie. A zatem z wielu powodów moja żona z niewielką pomocą mojego przyjaciela Amosa napisała mi podanie o stanowisko prowadzącego te zajęcia. I oto jestem.

- Niech mi pan powie coś, czego nie wiem, profesorze.

- Dobrze.

SCJC zdobywali pole przy czwartej i siódmej próbie. Mieli piłkę na czterdziestym jardzie po stronie Digs. Piłkę dostał Thumper, który pochylił głowę oraz bark i zapędził się jedenaście jardów dalej. Podczas wprowadzenia piłki do gry Marvin wbiegł ze swojej pozycji tylnego obrońcy dla wsparcia, ale jak to bywa z wieloma tylnymi obrońcami o szybkich nogach i braku ochoty do trykania się głowami, podjął próbę starcia barkiem i przechwycenia piłki. Prawdopodobnie podpatrzył to u Diona, który rzeczywiście potrafił to wykonać. Gdy Thumper przedarł się przez Marvina i zdobył kolejne siedem jardów, ten podniósł się, odpiął pasek przy kasku i skierował się w stronę linii bocznej. Pewnie potrzebował chwili oddechu. Russell zaś, któremu przerwa nie była potrzebna, stanął w młynie, czekając na kolejne wprowadzenie piłki do gry.

- Koy - spojrzałem na nią - nie traktujesz zajęć poważnie, świadczy o tym twoje pisanstwo. To, co jest w twoim dzienniku, jest znacznie lepsze od tego, co dajesz z siebie na zajęciach. Skąd ta różnica?

Zamrugła i zatrzepotała rzęsami.

- Ponieważ szkoła nic dla mnie nie znaczy.

- W porządku - pokiwałem głową - ale masz talent. I go marnujesz.

- Taak, ale...

- Ale co? - zapytałem.

Oparła głowę na górnej barierce ogrodzenia, a jej wzrok powędrował poprzez boisko.

- Profesorze, przysięgam, czasami nie wydaje się pan zbyt bystry, gdy chodzi o ludzi. Nie rozumie pan? Proszę się rozejrzeć. To jest Digger, Południowa Karolina. Nigdy się stąd nie wyrwę. Utkwiłam w tym szambie i pan to wie. Jak pan myśli, dlaczego to miejsce nazywa się Digger?

- Nazywa się Digger, ponieważ można się zakopać albo odkopać, tkwiąc w dziurze. - Przerwałem. - A wyrwanie się stąd jest dla ciebie kwestią wyboru. Ale to się nie zdarzy, jeżeli nadal będziesz mi prezentowała połowiczne prace i połowiczne zaangażowanie. Nie tak piszesz w swoim dzienniku.

Koy odwróciła wzrok i ponownie zasłoniła oczy okularami przeciwsłonecznymi.

- No cóż... Jestem na etapie kopania, w porządku. - Odsunęła się od ogrodzenia. - Do zobaczenia, profesorze.

Odeszła tą samą drogą, którą przyszła: samotnie i z dala od trybun.

Do końca meczu zostały dwie minuty. Thumper przebiegł już ponad dwieście jardów, ale nie wydaje mi się, aby większość tego dystansu pokonał po tej stronie boiska, gdzie znajdował się Russell. Digs wciąż prowadzili dziesięcioma punktami i sprawiali niezłe wrażenie. Ale wiele może się wydarzyć w ciągu dwóch minut.

SCJC wprowadzili piłkę do gry. Rozgrywający zrobił siedem kroków i wykopał piłkę głęboko w kierunku przeciwległej linii bocznej. Marvin znajdował się na pozycji krycia i wykonał skok w dobrze obliczonym czasie. Przejął piłkę na dziesiątym jardzie, zrobił kilka kroków w poprzek boiska, skierował się z powrotem do linii bocznej, gdzie jeden z tylnych obrońców wykonał kilka dobrych bloków i oczyścił teren. Thumper ściał do kąta i właśnie miał natrzeć na Marvina, gdy Russell powalił go na ziemię. Marvin wykonał jeszcze trzy kroki i już go nie było. Dziewięćdziesiąt jardów.

Mniej więcej na dziesiątym jardzie zaczął swój taniec. Tańczył przez całą drogę w kierunku pola punktowego i rzucił piłkę pomiędzy słupami bramki. Sędzia zamachał flagą, dając znak do wybuchu radości, ale Marvin nie zwracał na to uwagi. Tańczył przez cały czas w drodze do linii bocznej, gdzie każdy z graczy i trenerów przybił mu piątkę lub poklepał po kasku. Podszedł do ławki, wskoczył na nią, uniósł ramiona w kierunku tłumu i zainicjował falę. Ludzie podskakiwali i zewsząd sypały się drobniaki z butelek. Wiedziałem, że w poniedziałek można ich będzie nazbierać pełne garście.

Rozdział osiemnasty

Moje drzwi wejściowe trzasnęły i Amos wpadł do salonu, gdzie siedziałem w ciemnościach, nasłuchując echa głosu Maggie. Nastąpiła połowa listopada, wiatry znad Kanady sprowadziły arktyczny front i temperatura spadła do minus pięciu stopni Celsjusza. Nie wyznaję się zbyt dobrze w prawidłowościach pogodowych, ale front arktyczny czy nie, było tak zimno, że tyłek przymarzał. Według prognozy pogody temperatura miała spaść o kolejne dwa albo i trzy stopnie jeszcze przed nadejściem nocy.

Obok mnie leżała para starych ogrodniczek Carharta, woderów oraz moja lampa. Amos nie powiedział ani słowa. Zajrzał tylko zza winkła, zobaczył mnie, pokiwał głową i odwrócił się w kierunku drzwi. Zabrałem swoje rzeczy i wrzuciłem je na tył jego wozu. Gdy przesuwalem dłonie nad wylotem nawiewu ciepłego powietrza, pomyślałem o jednym. Nadeszła zima i Maggie by się to podobało.

Wróciłem jeszcze do Blue i uniosłem rękę, czyniąc w ten sposób znak zakazu. Położył się na sofie, wypuścił z siebie głęboki oddech i nie spojrzął na mnie. Nie odzywał się do mnie.

- Nie dzisiaj - powiedziałem. - Nie chcę, żeby coś ci się stało. - Zaskomlał i wsunął swój mokry nos pod jasiek.

Gdy przybyliśmy, parking Willarda był już wypełniony, zapchany ciasno truckami, kontenerami dla psów, pomarańczowymi odbłaskowymi kamizelkami, baseballówkami reklamującymi sprzęt rolniczy, woderami, tytoniem do żucia, ogrodniczkami firmy Carhart i kubkami na kawę, które teraz używane były jako spluwaczki. Termometr pana Willarda zawieszony na dystrybutorze paliwa wskazywał minus sześć stopni, co spowodowane było prawdopodobnie chłodzącą nieco siłą wiatru.

Parę dni temu Amos powiedział, że kupił swojemu tacie parę ocieplanych woderów na tę porę roku. Amos zaparkował forda expedition obok starego forda swojego ojca, który podszedł do niego, przebiegając palcami po elastycznych szelkach:

- Moose, są świetne. To najlepsze wodery, jakie kiedykolwiek miałem.
- Cieszę się, że ci się podobają.

Pan Carter położył dłoń na ramieniu Amosa i obydwaj skierowali się przede mną w stronę sklepu pana Willarda. Ten zobaczył, że nadchodzimy, i otworzył drzwi z uśmiechem. Następnie powiesił kartkę z napisem „Zamknięte” na klamce do podciągania szyby na środku okna.

Jego dzbanek z kawą zrobił się prawie pusty, po tym jak ja i Amos napełniliśmy nasze kubki i zdezelowany zielony termos, który wyglądał, jak gdyby potoczył się o jeden raz za dużo na pace czyjegoś pick-upa. Będąc z powrotem na zewnątrz, pan Carter zabębnił w bok pustej puszki po kawie Maxwell House, koncentrując na sobie uwagę, a następnie wspiał się na dach kontenera dla psów ustawionego na pace swego wozu. Zasunął sobie zamek błyskawiczny przy kombinezonie, podniósł kołnierz, włożył ręce do kieszeni i rozpoczął.

- Siemana. Podejdźcie no wszyscy bliżej. Tak lepiej. - Było tak zimno, że jego głos produkował parę. - Za zimno jest, żeby krzyczeć. I Jim, nie stój zbyt blisko mojego oddechu.

Nie chcę, żebyś znowu nam zszedł. Nie chcę słyszeć żadnych twoich usprawiedliwień, gdy przybędziemy już do Salk.

Pan Carter uśmiechnął się, Jim zaszurał butami, a wszyscy zaczęli się śmiać. Jim Biggins, który jest tak twardy jak sugeruje jego imię o brzmieniu podobnym do słowa „łom”, jest właścicielem złomowiska, ale gdy nadchodzi zima, zaopatruje większość Digger, a nawet część Charlestonu, w drewno na opał. Od siedmiu lat nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby zabrakło mu drewna, a zatem także i ludziskom w Digger. Sprzedaje je tanio i wielu już zapewnił ciepło, gdy odcięto im gaz.

Kilka lat wcześniej właśnie wrócił z podwójnej zmiany w pracy, ponieważ na kanale z prognozą pogody zapowiedziano, że Południową Karolinę czekają ostre mrozy. Gdy tylko dotarł do domu, założył swój kombinezon i wybrał się z nami, by polować na szopa. Gdy dotarliśmy na bagna, Jim nie mógł już po prostu dłużej walczyć ze snem. Żadna ilość kawy nie mogła tego zmienić. Mniej więcej wtedy, gdy psy otoczyły szopa, Jim opadł z sił i zasnął u podnóża starego cyprysu, skulony niczym dziecko.

Jim mierzy około metr dziewięćdziesiąt, nosi z sobą ze sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi i jest najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nie było żadnej możliwości, abyśmy wytaszczyli go z tych bagien. Tak więc pan Carter i reszta chłopców kontynuowała polowanie, podczas gdy Amos i ja wystawaliśmy tam przez kilka godzin, umożliwiając Jimowi drzemkę. Rozpaliliśmy ognisko i sączyliśmy kawę, a gdy Jim się obudził, wstał, pokręcił głową i przeprosił. Opuściliśmy Salk jakąś godzinę przed świtem. Od tamtego czasu nigdy nie pozwala mi płacić za drewno na opał i nigdy mi go nie zabrakło. Każdego roku jakoś po prostu się pojawia.

Górując nad wszystkimi z miejsca na tyle swego pick-upa, pan Carter zwracał się do zgromadzenia niczym prezes zarządu na dorocznym zebraniu akcjonariuszy.

- Chciałbym powitać wszystkich na pierwszym w tym roku polowaniu na szopa. - Wbił wzrok w pełnię księżyca i bezchmurne niebo. - Wygląda na to, że trafiła się nam dobra noc.

Polowanie na szopa jest w Digger religią, czymś przekazywanym z ojca na syna. Ojciec Amosa od lat posiadał najlepsze w całym stanie psy do polowań na szopa. Był zdobywcą pierwszych lub drugich miejsc w Wielkich Łowach na Szopa okręgu Salkehatchie na przestrzeni dwunastu z piętnastu ostatnich lat i polowanie ma we krwi. Na dworze wiatr może wiać z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, łamiąc wierzchołki drzew, ale gdy nadejdzie pierwszy mróz w roku, pan Carter pakuje swoich pięć lub sześć najlepszych psów gończych i kieruje się do sklepu Willarda.

Udział bierze się wyłącznie na zaproszenie, a pan Carter jest wymagający. Jeżeli zostało się zaproszonym, lepiej nie zawieść i lepiej być gotowym na piętnastokilometrowy albo i dłuższy marsz.

Pan Carter szczyci się psami, które potrafią polować przez całą noc i w ciągu następnego dnia. Jego psiarnia to prawdziwe przedsięwzięcie. Dwanaście boksów z psami wyrasta półtora metra nad ziemią. Każdy pies ma swój własny, z automatycznym podajnikiem wody oraz miską jedzenia. Raz w miesiącu pan Carter jeździ do hurtowni zaopatrzeniowej Wal-Mart i ładuje na swojego pick-upa osiem albo i dziesięć trzydziestokilogramowych worków z karmą. Dwanaście psów może zjeść mnóstwo karmy. Zresztą, tej góry żarcia również się pozbywa. Każdego ranka pan Carter odkręca więc swój ciśnieniowy spryskiwacz i zmywa wszystko z cementowej powierzchni do miejsca, gdzie się to zbiera, a tam ładuje łajno łopatą do wiadra i wyrzuca do dziury, którą wykopuje koparką. W ciągu piętnastu lat zdążył już nieźle przekopać całe swoje pastwisko, ale trawa na jego farmie jest za to najbardziej zielona w Digger.

Przez prawie dwadzieścia lat stracił tylko jednego psa z powodu ukąszenia przez węża, ponieważ tresuje je, aby trzymały się od gadów z daleka. Na wiosnę czeka zatem, aż zrobi się cieplej, i łapie grzechotnika lub mokasyna, które przecinają drogę albo pełzają gdzieś wzdłuż brzegu. Zawiązuje im otwory gębowe taśmą, a następnie umieszcza zarówno węża, jak i psa w zamkniętej przestrzeni i zakłada psu elektryczną obrozę. Nie chodzi mi o taką obrozę, którą można dostać dla domowych psiaków w supermarkecie, aby łaskotała je, skłaniając do myślenia, że nie powinny obwąchiwać węży. Jego obrozę rzeczywiście robią to, co mówią ich reklamy. Rażą prądem. Nie są okrutne, ale

prąd jest wystarczająco silny, aby wyprostować psu jego wszystkie cztery nogi i postawić go na baczność. Pan Carter nazywa to terapią szokową. Straszyl kiedyś, gdy byliśmy dziećmi, że założy taką Amosowi i mnie, jeżeli uzna to za wskazane. W rezultacie nie opowiadaliśmy mu o wszystkich problemach, w które się pakowaliśmy.

Z psem i węzem w jednym miejscu, pozwalał psu robić to, co ten robi z natury. Obwąchiwać. Ale za każdym razem, gdy pies zbliżył się lub powąchał węża, pan Carter raził go prądem za pomocą obroży. „Patrzcie”, zwykł wtedy mawiać. Pies przemierzał przestrzeń w tę i z powrotem, spoglądając na węża kątem oka. Ten zwijał się w kłębek i w ciszy przyglądał się psu, żałując pewnie, że ma szczęki skrepowane taśmą. Pies, nie zdając sobie sprawy z tego, że to, co wyglądało na linę w rogu jego boks, chce go zabić, podchodził, wachał i próbował umieścić sobie węża pomiędzy zębami. Mniej więcej w chwili, gdy zęby psa dotykały jego skóry, pan Carter wciskał duży czerwony guzik pośrodku trzymanego w ręku pilota na dwie baterie. Pies wydobywał z siebie skowyt, wyskakiwał w powietrze przynajmniej na metr, - wyprężał wszystkie cztery łapy i wracał do przeciwległego narożnika swojego boks, skomlać i postanawiając już nigdy więcej nie obwąchiwać węża. I tym sposobem zostawał wyleczony z ciekawości.

Pewnego roku jeden gość z Charlestonu zadzwonił do pana Cartera i dał mu naprawdę upartego psa o imieniu Gus. Gus był, i nadal jest, zezowaty i głupi jak but. Z relacji pana Cartera wynikało, że poprzedni właściciel psa miał już dosyć użerania się z nim. Aby wyleczyć go z głupoty, pan Carter złapał półtorametrowego grzechotnika diamentowego i włożył go do boks razem z Gusem. Głupi Gus natychmiast ruszył, aby go obwąchać, a pan Carter trzy razy włączył napięcie. W końcu Gus pojął, o co chodzi. Obroża prawie go zabiła, ale Gus nadal żyje i nigdy nie został ukąszony przez węża.

Pan Carter kopnął w kontener, aby uciszyć jednego ze swoich psów, i obrócił się, ponownie zwracając do zebranych.

- Cieszę się, że wszyscy daliście radę. John Stotton powiadomił mnie, że nie będzie mógł przybyć dzisiejszej nocy, bo Emma nie czuje się najlepiej, ale obiecał, że dołączy w ciągu weekendu. Pastor John udziela ślubu w Charlestonie. I - spojrzał na Amosa - synu, o kim to ja zapomniałem?

- O Samie - szepnął Amos.

- A, tak, Sam Revel powiedział, że musi wyjechać w interesach do Kolumbii. Wszyscy przesyłają przeprosiny. Butch Walker i jego chłopcy dali mi znać, że kilka ich mlecznych krów zerwało się z uwięzi, ale jeżeli będą mogli się do nas dołączyć, stanie się to niebawem.

Każdego roku rywalizujemy o to, kto z nas dorobi się najlepszego urządzenia będącego źródłem światła. Powstała wokół tego - jak by to powiedzieć - cała nauka. Należy uwzględnić trzy rzeczy: ciężar, trwałość oraz światłość mierzona w kandelach. John Billingsly zdobył zeszłoroczną nagrodę bycia poklepanym po plecach za swoją Q[^]beam o mocy miliona kandel przytwierdzoną do piersi, zasilaną plecakiem wypełnionym czterema litowymi bateriami pozyskanymi z laptopów Apple'a. John zajmuje się handlem komputerami i wieść niesie, iż groził, że zwiększy swoją tegoroczną wydajność do dwóch milionów kandel. John nie zna słowa przesada. Jest tubylcem, który wymienia komputer co trzy miesiące, bez względu na to, czy tego potrzebuje, czy też nie, a z tyłu za jego toaletą pełno jest komputerowych czasopism, które dotyczą najnowszych technologii informatycznych. Do niektórych z nich to nawet sam pisuje. Wielu uczniów z Digger skorzystało już z jego „używanych” modeli. W każdym razie, gdy wysiadł ze swojego wozu przed polowaniem na szopa, wyglądał jak chodząca latarnia morska.

Pan Carter przesunął się na przód kontenera, przyjrzał się tłumowi i wskazał na Johna Billingsly.

- Myślę, że możemy bez większych problemów zgodzić się co do tego, kto zostaje tegorocznym zdobywcą nagrody poklepania po plecach w kategorii oświetlenie. John, znowu przeszedłeś siebie samego.

John uśmiechnął się od ucha do ucha i czterech lub pięciu facetów poklepało go po plecach.

- Każdy z problemami ze wzrokiem niech zatem trzyma się blisko Johna. Ale uważajcie: wygląda jak chodzący reflektor na lotnisku, uwaga więc na samoloty szukające miejsca do lądowania, gdzieś poza Salk.

Gdy śmiech już ucichł, pan Carter kontynuował:

- Panowie, prawie od trzech lat nie polowaliśmy na południowym krańcu Salk, myślę więc, że dzisiejszej nocy wybierzemy się w tym właśnie kierunku. Są przeciwni?

Autorytet pana Cartera nigdy nie jest kwestionowany. To jest jego przedstawienie i każdy o tym wie. Nikt się nie odezwał.

- Dobrze. A teraz, Jimmy - zwrócił się do mężczyzny w sfatygowanych zielonych ogrodniczkach Carhart - wciąż trzymasz jeszcze tą wyleniała sukę, Sally?

- Tak jest - odpowiedział Jimmy.

- No to w porządku. Wydaje się, że nieźle jej się współpracuje razem z Badgerem, to wypuścimy tę dwójkę do przodu. Wszyscy wiecie, że pierwszy złapany szop w tym roku jest szopem treningowym. Nie stanowi trofeum. A

więc każdy, kto nie czuje się pewnie na żołądku, powinien się cofnąć, gdy dotrzemy już do tego drzewa. Zgadzą się? - Pan Carter skrzyżował ręce i opuścił głowę, jakby przebiegał w myślach jakąś listę. - CB jest na kanale siódmym, a jeżeli będą gdzieś kłopoty z odbiorem, przenosimy się na czternastkę. Każdy ma partnera?

Ktoś z towarzystwa stojący z tyłu podniósł rękę.

- Nie, proszę pana.

- W porządku, Frank, ja też nie mam. Będiesz ze mną. Ktoś jeszcze?

Nikt się nie odezwał. Po czym pan Carter przeskoczył z kontenera na klapę wozu i w biegu wylądował na ziemi. Szesnaście silników samochodowych uruchomionych zostało w tym samym momencie pośród chmury białych spalin, dławienia się i strzałów z tłumików. Stary ford pana Cartera wolno wiódł całą procesję poza parking.

Scenka mogłaby zostać wykorzystana do niezłej reklamy. Reprezentowanych tam było około piętnastu modeli i roczników najlepszych osiągnięć Forda i Chevy w klasie samochodów truck, wszystkie zaś o różnym stopniu zużycia. Potrzebowaliśmy jeszcze tylko piosenki Boba Segera, Alana Jacksona albo George'a Straita i nadawalibyśmy się świetnie na pokaz w przerwie jakiegoś meczu w poniedziałkowy wieczór.

Scenerią naszej reklamy stała się teraz droga stanowa numer 42, zanim przybyliśmy do McSweeney Fork, skręciliśmy w South Salk Road i przejechaliśmy siedem kilometrów do Gunter's Hole, gdzie zwolniliśmy pod ogromnymi gałęziami dębów wytyczających granicę mokradeł.

W rejonie Digger Salkehatchie to miejsce mityczne. Wszyscy znają te historie. Złoto konfederatów. Zagubieni kochankowie. Indianie. Niemieccy szpiedzy z II wojny światowej. Wietnamscy partyzanci. Ośmiometrowe aligatory. Wystarczy sobie o czymś pomyśleć, a to zapewne tam jest. Gdzieś pod wolno toczącymi się ciemnymi wodami, czter-dziestometrowymi cyprysami, zwisającym mchem i odorem z nad bagien dzieje się każda historia, jaka kojarzy się ze światem moczarów. Jeżeli da się o niej pomyśleć, pewnie została już tutaj zmitologizowana.

Każdy myśliwy biorący udział w polowaniu na szopa ma obowiązek spełnić dwa warunki: posiadać radio oraz partnera, po to aby - gdy ktoś się zgubi - mógł przynajmniej pogadać z ludźmi z zewnątrz i nie czuł się osamotniony. Zdarza się to mniej więcej raz do roku. Rzadko ktoś spędza na bagnach całą noc, ale często wydostaje się na zewnątrz jakieś piętnaście lub dwadzieścia kilometrów od miejsca, gdzie wszedł. Same moczary to sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych terenu, który zupełnie niczym się od siebie nie różni. Trudno ustanowić tu

punkty orientacyjne. Nie ma takiego, co to by „znał” te bagna, nie jest nim nawet pan Carter. Całkiem nieźle zna się na obrzeżach, tak jak i większość z nas, ale świadomi jesteśmy naszych ograniczeń. Amos i ja jesteśmy w tym tak samo dobrzy jak wszyscy inni. Nakopaliśmy się już sporo konfederackiego złota w czasach naszego dzieciństwa, a nawet zbudowaliśmy w konarach cedrów kilka fortów, takich jak na filmie Szwajcarska rodzina Robinsonów, ale i my wiemy, jak znikome jest nasze doświadczenie i gdzie się zaczyna strefa panowania bagien.

I jeszcze jedna rzecz. Gdy słońce zachodzi nad Salk, „ciemność” nabiera zupełnie nowego znaczenia. Niebo na zewnątrz może być czyste i pełne gwiazd, ale wystarczy jeden krok wewnątrz granicy bagien, pod sklepieniem z koron drzew, a zaczyna się już zupełnie inna bajka. Nie ma znaczenia, jak dobrze zna się określony fragment mokradeł. Gdy zapada zmrok, wówczas człowiek kręci się w kółko, próbuje znaleźć drogę powrotną, ale sprawy nie wyglądają najlepiej. I to bez względu na to, jak dobrze oznaczyło się szlak pomarańczową taśmą ratunkową albo czymkolwiek innym. Po prostu ciemność wzbudza w nas wątpliwości.

Przy Gunters Hole pan Carter pootwierał drzwiczki od kontenerów, pozwalając Badgerowi i Sally wystrzelić jak z katapulty ponad klapą trucka. Oba psy pomknęły susami w ciemność. Staliśmy na zewnątrz i w zimnie, z włączonymi silnikami, szurając nogami, nasłuchując pojedynczych poszczekiwań niczym odgłosów sonaru łodzi podwodnych zanikających stopniowo po kilkuset metrach. Rozmowy ucichły. W razie potrzeby zakomunikowania czegoś używało się rąk albo w najgorszym razie szeptu.

Pan Carter nie toleruje rozmów, w czasie gdy nasłuchuje Badgera. Zróznicowane odgłosy trudniejsze są do uchwycenia w miarę oddalania się psa od granicy bagien. Po kilku minutach nie byłem w stanie rozróżnić żadnych słyszalnych różnic w szczekaniu Badgera, a tymczasem na twarzy pana Cartera zaznaczało się coś na kształt uśmiechu. Już dawno temu nauczyłem się tego, że jego twarz mogła powiedzieć mi znacznie więcej niż szczekanie Badgera.

Chwilę po tym jak zmiana wyrazu twarzy pana Cartera przybrała postać pełnego uśmiechu, Badger wpadł w szaleńcze ujadanie psa myśliwskiego - zupełnie inny rodzaj szczekania. Brzmiało to jak coś pomiędzy śmiercią a ekstazą. Tym samym przesyłał panu Carterowi wieść, że jego nos znalazł to, za czym węszył. Pan Carter natomiast trzymał rękę na kontenerze i gdy zaczęło się ujadanie Badgera, otworzył drugie drzwiczki i pięć psów rozpląnęło się po moczarach niczym czworonożne duchy. Jedyнным śladem po psach było

ogłuszające szczekanie podczas ich pościgu. Wszyscy myśliwi wyłączyli reflektory swoich aut i włączyli oświetlenie myśliwskie.

Pan Carter spojrzał na mnie i powiedział:

- D. S., weź mój winchester.

Tak zrobiłem. Jako dzieci razem z Amosem zastrzeliliśmy z tuzin szopów, ponad sto wiewiórek i tysiące aluminiowych puszek winchesterem model 61 pana Cartera. Znałem tę strzelbę.

Pojedynek szopa z psem to brutalne spotkanie i szop zwykle wygrywa, jeżeli nie jest się ostrożnym. Wtedy właśnie wkracza pan Carter. Widział już wiele ślepych psów po walce z szopem i bardzo nie lubi, gdy jego pies zostaje ranny. Nawet jeżeli jest to Gus. Chwytając pełną dłoń psich smyczy, pan Carter natychmiast ruszył za psami na bagna, głośno przy tym chlupocząc.

Porośnięta mchem trawa była zamarznęta i krucha, a grunt pokrywała cienka warstwa lodu. Amos i ja podążaliśmy za nim, jak i cała reszta, i wślizgnęliśmy się na bagna, na których znajdowało się teraz siedem psów, przynajmniej jeden szop oraz około siedem milionów kandeli sztucznego oświetlenia, w znacznej mierze dzięki Johnowi Billingsly i reszcie zakonu górników węgla kamiennego. Oświetliliśmy to miejsce pod baldachimem z drzew niczym pas startowy. Gdziekolwiek się spojrzęło, było jasno jak w dzień. Tam gdzie nie patrzyliśmy, rozciągała się otchłań.

Jeszcze jedno na temat Salk: nie stąpa się tam, gdzie się wcześniej nie spojrzęło. Podążaliśmy za panem Carterem, który pomimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat poruszał się całkiem nieźle. Gdy szczekanie zrobiło się głośniejsze, przyśpieszył. Po dwudziestu dwóch minutach zbliżyliśmy się do drzewa, a pan Carter prawie że biegł. Lód i czarna woda pryskały we wszystkie strony.

Dotarłszy, od razu wziął Badgera na smycz i podał Sal-ly Jimmy'emu, ponieważ gdyby nie uwiązał Badgera, reszta psów nigdy nie miałyby okazji do walki z tym szopem. Może Gus, ale młode psy nie miały szans. Badger robi się wredny, gdy idzie o szopy, i nigdy nie dzieli się walką z innymi psami. Jeżeli znajdzie szopa, tylko on może z nim walczyć. Reszta niech znajdzie sobie inne zwierzę.

Przywiązawszy więc Badgera, cofnęliśmy się i rozpoczęliśmy nasz laserowy pokaz na koronach drzew nad nami, podczas gdy Gus i cztery młodsze psy stały u podstawy drzewa, szczekając. Można by pomyśleć, że wypatrzenie szopa na drzewie to nic trudnego. Trzeba po prostu poświecić i roz-świetlić parę pomarańczowo-żółtych oczu. Ale stare szopy, jeśli są głupie, nie stają się starymi szopami w Salkehatchie. Po kilku minutach Amos dostrzegł dziurę w koronie,

przez którą prześwitywał księżyc. Rzadki widok. Jeszcze rzadsze było to, że prześwitywał przez srebrnoszarą sierść. Szop znajdował się na wysokości trzydziestu do czterdziestu metrów, usadowiony na krótkiej cedrowej gałęzi, sprawiając wrażenie na poły wystraszonego, na poły wygodnie ulokowanego.

Amos odwrócił się do mnie, spojrział, jak gdyby chciał zadać mi pytanie, a następnie wyciągnął dłoń, w którą wsunąłem model 61 jego ojca. Na komendę pana Cartera wszyscy myśliwi wyłączyli swoje światła, poza jednym. Jego własnym. On oświetlał, a Amos strzelał. Skuteczny duet. Amos trafił szopa dokładnie tam, gdzie zamierzał - w lewy zad - a ten zaczął spadać.

Można by pomyśleć, że ranny szop, który właśnie spadł z wysokości jakichś dwudziestu czy trzydziestu metrów z uchodzącym z niego powietrzem, prawdopodobnie cierpi z powodu złamanych kilku żeber, może nawet ma wstrząśnienie mózgu, więc z szeroko otwartymi z przerażenia oczami, mając przed sobą sześć lub osiem psów myśliwskich rasy bluetick, odwróci się na plecy i podda albo po prostu będzie leżał i umrze na zawał. Nic z tych rzeczy. Szop uderza o ziemię, odbija się od niej na wysokość półtora do dwóch metrów, rzuca się na pierwsze trzy psy, które ma w zasięgu wzroku, i paru z nich dobiera się do oczu. Młode psy odnoszą zwykle rany, ponieważ zbliżają nos zbyt blisko zasięgu szopa.

Tak, spotykamy się, ściskamy sobie ręce, poklepujemy po plecach, sącymy kawę, wkładamy wodery, zawieszamy sobie wokół szyi pełen asortyment lamp, docieramy do bagien, wypuszczamy wszystkie psy, wędrujemy do podnóża dwustuletnich cyprysów, ale to, co czai się przez cały czas gdzieś w naszych głowach, to nie lampy, psy czy pościg ani nawet ewentualne zagubienie się na bagnach, tylko szop i to, co robi, gdy spadnie na ziemię.

Jakkolwiek się do tego podejdzie, jeżeli psy zapędzą szopa na drzewo, istnieje spore prawdopodobieństwo, że szop tanio skóry nie sprzeda. Zdumiewa mnie to, co dzieje się pomiędzy szopem, który ucieka, a psem gończym, którego praca polega na tym, aby nie pozwolić mu uciec. Natura przeciwko naturze. Pies rasy bluetick ma najlepszego nosa na całej planecie, ale szop należy do tych wyjątkowych zwierząt, które myją swoje jedzenie i potrafią wspinać się na drzewa wyżej niż czarodziejska fasola Jacka. Musiałem podarować sobie wiele drzew cyprysowych, będąc pewnym, że znajduje się na nich idealny okaz szopa. Po prostu nie byliśmy w stanie go dojrzeć. Cóż, sprawne szopy wykazują tendencję do przetrwania.

Ten zaś szop odbił się od pięciu czy sześciu gałęzi w czasie drogi na dół i spadł z hukiem. Gdy uderzył o ziemię, odbił się, zasyczał, obnażył zęby, zamachnął się, opadł znowu i wystrzelił w kierunku Gusa, którego zezowate

spojrzenie na ułamek sekundy stało się prawidłowe. Uniknął tym samym zamachu, przysiadł na zadzie, wyskoczył i zakleszczył szczęki na głowie szopa, doznając jednak sporego rozcięcia na szyi.

I po walce.

Każdy z pary młodszych psów chwycił za tylną łapę i zaczął żuć. Pozostałe dwa dorwały się do korpusu. Szop, na wpół martwy po upadku, w ćwierci za sprawą postrzału Amosa i w jednej ósmej od zwartych szczęk Gusa, wykorzystał ostatnią jedną ósmą i zamachnął się jeszcze jeden ostatni raz na psy znajdujące się najbliżej. Oba otrzymały porządne cięcie przez nos, a Jake głębokie cięcie w pobliżu prawego oka. Pan Carter obserwował to w milczeniu, ale z gotowymi wnioskami, notując wszystko w pamięci i rozważając przyszłą tresurę.

Gus zanurzył się w błocie i wyciągnął obie przednie łapy na tym, co zostało z szopa, który już od dawna nie oddychał. Jego zakleszczone szczęki nie zmieniły pozycji, odkąd je tam zatopił. Pan Carter nakazał Gusowi: „puść”, co Gus wykonał i szop leżał teraz nieruchomy pośrodku kręgu złożonego z psów, ludzi oraz splamionych krwią kawałków lodu, pływających po powierzchni wody. Pan Carter delikatnie szturchnął szopa w oko lufą swojej strzelby, aby przekonać się, czy nie zamruga. Gdyby tak się stało, pociągnąłby za spust.

W powietrzu unosił się zapach omszałego torfu, szopa i psów. Przez ponad dwadzieścia lat polowań na szopa ani razu nie odwróciłem wzroku. Ale dzisiejszej nocy widok krwi, mięsa i zwłok to było za dużo. Odrobina krwi przysła mi na twarz i spływała po policzku. Otarłem ją i badałem ją palcami. Była czerwona, ciepła i klejąca. Zimne powietrze szybko ją ścinało, powodując, że zasychała na mojej twarzy niczym farba. Wsiąkała w bruzdy na mojej dłoni i zmarszczki na nadgarstku. Gdy ocierałem sobie twarz po raz drugi, uchwyciłem jej woń.

- Idziesz, brachu? - zapytał Amos.

- Tak, moment.

Amos wyciągnął z kieszeni chusteczkę, zanurzył ją w bagnie i powiedział:

- Masz, to ci pomoże.

Woda była zimna, czysta i pachniała cyprysowymi korzeniami. Przetarłem sobie twarz chusteczką Amosa, a potem przykleknąłem, aby zanurzyć ją w wodach Salk i wypłukać.

- Zatrzymaj ją - powiedział, kiwając głową. Zanurzyłem i wypłukałem ją jeszcze dwa razy. Krople skapywały mi z twarzy i marszczyły wodę wokół moich nóg, gdy w niej kucałem. Zamknąłem oczy i zadrzałem, gdy pojawił się chłód. Zanurzyłem ręce i opryskałem twarz. Woda spływała mi po policzkach i

wzdłuż szyi. Część zaś skapywała z powrotem do bagna. Wstałem, wydychając wielki biały kłęb zimnego powietrza i wytarłem sobie twarz rękawem.

Gdy rozejrzałem się wokoło, pan Carter i cała procesja byli już prawie poza zasięgiem wzroku, a John Billingsly zamykał tyły. Pośród bagien Salk i unoszącego się wokół nas zapachu bagiennej wody, słodkawego od krwi szopa oraz psiego potu, Amos odezwał się cicho:

- Hej, brachu, dobrze się czujesz?

Księżyc świecił teraz wysoko i jasno, odbijając się od powierzchni wody niczym reflektor. Spojrzałem w dół, zobaczyłem swoje ciemne, zniekształcone odbicie i powiedziałem:

- Lekarz zwrócił się do Maggie, że może zacząć przec. Parła i odliczała. Mniej więcej za trzecim razem pojawiła się główka dziecka. Nie cała, tyle tylko, że widziałem jej wierzchołek. A potem twarz lekarza stała się biała. Jego oczy zrobiły się wielkie jak półdolarówki i polecił pielęgniarce, aby poszła po jakieś urządzenie. Maggie - mówiłem dalej - patrzyła na mnie umęczonymi oczami. Staralem się ją pocieszyć, ale nie miałem pojęcia, co się dzieje. Lekarz powiedział jej, aby nie przestawała przec, a potem nałożył jakieś urządzenie zasysające na głowę mojego syna. Minutę lub dwie później wyskoczyła jego główka. Była cała poraniona i sina. Maggie nie mogła tego zobaczyć, ale mogła zobaczyć moją twarz. Nie wiem, co wyrażała, ale cokolwiek to było, pewnie nie tego oczekiwała. W tym momencie dwie pielęgniarki odepchnęły mnie na bok i zaczęły uciskać jej brzuch, starając się na siłę wydostać dziecko na zewnątrz. Trzymałem głowę Maggie w moich ramionach. Była zmęczona. Naprawdę zmęczona. Pielęgniarki kontynuowały ucisk, a lekarz wyrzucał z siebie polecenia. Wszędzie biegali ludzie. Usłyszałem głośny plusk i chlupot, po czym lekarz podał mojego syna pielęgniarce. - Przerwałem na krótko. - Szarpał się z pepowiną, która nadal znajdowała się wewnątrz. Z Maggie wciąż wyływała krew. Morze krwi. Po chwili Maggie zamknęła oczy i zrobiła się bezwładna.

Rozległo się gdzieś szczekanie psa, któremu odpowiedziało inne, nieco dalej na północ.

- Na stole przy ścianie - opowiadałem dalej - pielęgniarce i lekarze próbowali coś zrobić z naszym synem, wentylując jego klatkę piersiową i nakładając mu maskę tlenową na usta. Jego ciało było sine i bezwładne. Oczy Maggie znowu się otworzyły, spojrzała na niego, zobaczyła, jaki jest siny i... zaczęła płakać. Potem jej twarz zrobiła się biała, wywróciła oczami i wyrzuciła z siebie całą zawartość żołądka. Wtedy po raz ostatni widziałem jej oczy otwarte.

Amos poruszył się niespokojnie, a jego wargi drżały, gdy stopy pograżały się w trzęsawisku.

- Do sali wpadł lekarz, zawiązując sobie jedną z tych masek, i odepchnął mnie mocno. Osunąłem się w kącie, leżąc w krwi Maggie. Inny z lekarzy wstrzyknął jej coś w ramię. Jeszcze inny starał się zahamować krwotok. Czuję się otepiał. Jej ciśnienie spadło. A później usłyszałem trzask elektrody respiratora i lekarzy krzyczących: „Gotowe!”. Ręce mojego syna poleciały prosto w górę. Jego ciało szarpnęło się, a następnie zrobiło się nieruchome i bezwładne. Lekarz prowadzący poród zszywał Maggs jak szalony. Po kilku minutach lekarze ściągnęli maski i spojrzeli na zegar. Zawinęli dziecko w kocyk. Nikt nawet się nie zatroszczył, aby wytrzeć tę białą substancję. Nie dali mi go do potrzymania. Nie zaproponowali mi tego, a ja nie pomyślałem, aby poprosić. - Musiałem zaczerpnąć mocniej powietrza. - Stan Maggie nieco się ustabilizował. Podniosłem się i zauważyłem swoje ręce. Były zeszywniałe i lepkie, tak jak i moja twarz. Pochyliłem się nad Maggie. We włosach miała wymiociny. Złapałem za ręcznik i wytarłem jej twarz, policzki i okolice uszu. Ułożyłem jej głowę na poduszce i zaczesłem włosy za uszy. Lekarz po prostu przez cały czas obserwował jej monitor.

Światło zupełnie już zniknęło, pozwalając, aby powróciła ciemność. I ta zupełnie nas otoczyła. Wysiliłem wzrok w poszukiwaniu jakiegokolwiek błysku światła, ale niczego nie dostrzegłem. Noc zrobiła się gęstsza, korony drzew pochyliły się, a ja poczułem się samotny.

- Gdzieś około dwunastej następnej nocy straciłem przytomność. Obudziłem się w łóżku obok Maggie. Pielęgniarka powiedziała, że jakiś wielki, łysy zastępca szeryfa, który przez dwa dni przebywał na korytarzu, podniósł mnie i ułożył na łóżku obok mojej żony. Lekarze powiedzieli, że Maggie utraciła około połowy krwi. Główka mojego syna miała czternaście centymetrów średnicy, a jego brzuszek osiemnaście. Ważył pięć kilo jedenaście deko. Resztę chyba znasz.

Staliśmy tam przez jakiś czas. Nie wiem jak długo, ale wystarczająco długo, aby bardzo zmarznąć.

W końcu Amos uniósł rękę i wystawił trzy palce. Z uniesionym podbródkiem drżącymi wargami wyszeptał:

- A ta trójka pozostanie. Pokiwałem głową i wyszliśmy poza Salk.

Amos i ja pojechaliśmy do domu z nawiewem powietrza ustawionym na „gorąco”. Elektroniczny termometr w jego lusterku wstecznym pokazywał minus osiem stopni, a kawa w moim termosie zrobiła się letnia i smakowała jak aluminium.

Wjeżdżając na podjazd, zapytał:

- Powinienem się o ciebie martwić? Pokręciłem głową.

- Na pewno? Przytaknąłem.

- Hej - Amos położył dłoń na moim ramieniu.- Uściskaj ją ode mnie.

Zatrzasnąłem drzwi, wszedłem po schodach i posłuchałem, jak opony jego wozu zachręściły na żwirowym podjeździe.

Rozdział dziewiętnasty

- Profesorze?

Uniosłem głowę i oślepił mnie blask słońca. Woń moczu, chloroxu i zapach Maggie dość szybko dotarły do mojego nosa, przypominając mi, czym pachniało moje życie. Przez zamglone, wyschnięte oczy rozpoznałem Amandę, która siedziała obok mnie i odwiązywała mi bandaż na ramieniu.

- Dzień dobry - wyszeptwała. - Przepraszam, że pana budzę, ale za godzinę zaczynają się zajęcia, sprawozdania z badań mają być oddane do dzisiaj i pomyślałam, że może zechce pan coś zjeść. - Wskazała na stół za mną. Znajdowały się na nim gorące jajka, kielbaski i tosty. - Ale wcześniej założę nowy opatrunek.

- Dzięki. Czuję się lepiej. Amanda zdjęła gazę i zbadła ramię.

- I wygląda też lepiej - przyjrzała mi się podejrzliwie. - Myślę, że zostawimy to zabandażowane jeszcze przez tydzień. Na wszelki wypadek.

Pokiwałem głową.

Uniosła palec, jakby miała właśnie coś powiedzieć; jej czoło zmarszczyło się, jak gdyby mocno nad czymś się zastanawiała. Następnie znowu wskazała na jedzenie. Blue zjadł już swoją porcję.

- To jest jedzenie z miejscowej kantyny, a więc nic specjalnego - dodała. - Ale jest ciepłe, a to już coś.

- Dzięki - powiedziałem, odwracając się i marząc o szczoteczce do zębów.

- Profesorze - musnęła moje ramię. - Może po tym pozostać blizna - na całe życie. Bardzo się pan o to postarał. Powiedziałam o tym lekarzowi i on mówi, że albo musi pan to zostawić w spokoju, albo przyzwycząić się do przebywania pomiędzy ludźmi z długim rękawem.

- Co jeszcze powiedział lekarz? - zapytałem, spoglądając na bandaż i filtrując nosem unoszące się w powietrzu opary betadyny.

Amanda zawahała się.

- Powiedział, że powinien pan przestać trzeć skórę na ramieniu i mam mu powiedzieć, jeżeli będzie pan to robił.

Pokiwałem głową i spojrzałem z powrotem na Maggie. Nie patrząc na Amandę, zagadnąłem:

- Amos opowiedział mi o twoim porwaniu. - Przerwałem. - Nie wiedziałem. - Spojrzałem na nią: - Przykro mi.

Bez zmrużenia oka powiedziała:

- Mnie także. - A potem zaśmiała się. - Przykro mi każdego dnia.

- Dlaczego? - zapytałem. - Z powodu dziecka?

- Nie! Nie, na Boga. - Przekrzywiła głowę i poklepała się po brzuchu, a jej brwi się ściągnęły. - To nie jego wina, profesorze. On nie miał z tym nic wspólnego. Dwa złe uczynki nie dają jednego dobrego. - Jeszcze bardziej przechyliła głowę, jak gdyby nie potrafiła zrozumieć wyrazu mojej twarzy. -Zal mi tych facetów, kimkolwiek i gdziekolwiek są. Mogą nawet nigdy się ze mną nie zetknąć, ani z moim tatą lub nawet z Dużym Amosem, chociaż mam nadzieję, że on ich schwyta, ale tak czy inaczej, w tym życiu lub w następnym, przyjdzie na nich czas. Bóg wie. A odpowiadając na pana następne pytanie, nie, nie nienawidzę ich. I na pewno nie nienawidzę tego małego chłopca, o tu.

- Ale... - nie wiedziałem, jak o to zapytać.

- Ale co? - Uśmiechnęła się. - Tak, profesorze, jeżeli chce pan wiedzieć. Proszę pamiętać, że staram się być pielęgniarką. Zrobili, co tylko mogli, aby zapobiec mojemu zajściu w ciążę, ale moje ciało nie wiedziało o tym, że nie mam zajść w ciążę. Zanim przywieźli mnie do szpitala, moje ciało zrobiło już to, do czego zostało stworzone.

Chciałem jej zadać następne pytanie, ale nie musiałem.

- Nie, profesorze. To nigdy nie wchodziło w rachubę. I to nie z powodu mojego taty albo wiary lub czegoś takiego. Z tej strony nie było żadnych nacisków. Sama podjęłam decyzję. I nie, nie mam żadnych z tych dziwnych chęci, aby zostać jedną z samotnych matek, o których czyta się w prasie. Nie pragnę stać się elementem statystyki. A przynajmniej tej. Wcześniej miałam nadzieję, że stanie się to w sposób bardziej tradycyjny. - Ponownie się uśmiechnęła. - Wie pan: ślub, biała suknia, przystojny mężczyzna, a potem dzieci i te sprawy. Ale... - wzruszyła ramionami - muszę na to poczekać. On gdzieś tam jest. Musi nas po prostu znaleźć.

Podeszła do łóżka i musnęła stopy Maggie.

- Czy mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie? - powiedziałem.

- Jasne. To ja ciągle gadam.

- Nie wydajesz się szalona.

- Profesorze, to jest stwierdzenie, nie pytanie. Uśmiechnąłem się.

- No tak. A więc dlaczego? Dlaczego nie stoisz tam na trawniku przed budynkiem, wymachując pięściami w stronę nieba?

Amanda pokręciła głową.

- Profesorze, Bóg wie, jak się czuję. Mówię Mu o tym przez cały czas. - Uniosła brwi, a przez jej twarz przemknął uśmiech. - Jak mogłabym inaczej radzić sobie z tym tak długo? _ Spojrzała przez okno.

- Przez kilka tygodni zachowywałam się jak wściekła. Kłóciliśmy się. Dużo wrzeszczałam. Ale co dobrego może to przynieść? Krzykiem nie przestanę być

w ciąży, nie schwytam tych dwóch facetów i nie dostanę z powrotem tego, co utraciłam. Może mówi przeze mnie mój tata, ale myślę, że jeżeli Bóg mógłby wybierać, wolałby, abyśmy krzyczyli i kłócili się z Nim, niż pozostali milczący. - Amanda, stojąc, oparła sobie rękę na biodrze. - A teraz czas wziąć swój krzyż i dalej iść przez życie. Chociaż - uśmiechnęła się szelmowsko - pozostaję otwarta na różne możliwości.

Milczała przez chwilę, a następnie uniosła w górę palec wskazujący.

- Profesorze, nie zapytał pan o to, ale powiem panu... przynajmniej tego jestem pewna. Jeżeli Bóg jest tym, kim mówi, że jest, to jest wystarczająco wielki, aby poradzić sobie z moimi gromami i wściekłością - ponownie przerwała - oraz wszystkimi moimi pytaniami.

Wziąłem ją za rękę i nie odzywałem się. Amanda ponownie dotknęła stopy Maggie, odwróciła się i skierowała do drzwi:

- Profesorze? - powiedziała.

- Tak - spojrzałem na nią.

- Mówię pewnie więcej, niż powinnam, ale jeżeli pan pyta - uśmiechnęła się znowu, ręką dotykając drzwi i opierając się na nodze ugiętej w kolanie. - Naprawdę chcę powiedzieć to, że mówię tylko o sobie. Wiem, że inni ludzie również przechodzą ciężki czas, ale zapytał pan, to odpowiedziałam.

Usłyszałem szuranie, a gdy spojrzałem w górę, już jej nie było. Blue polizał mnie po kolanie, a talerz z gorącymi jajkami? kiełbaskami i tostami zaczął pachnieć naprawdę ładnie. Zasobnik z substancjami odżywczymi dla Maggie był już w połowie pusty, a więc w ten sposób jedliśmy oboje. W milczeniu.

Kilka minut przed dziewiątą pocałowałem ją w czoło, upewniłem się, że ma założone skarpety, złożyłem koc Blue i ruszyłem do szkoły. Idąc korytarzem, poczułem, jak gruby bandaż założyła mi Amanda. Wyglądał jak dopasowana do ramienia policyjna pałka. Sądząc po rozmiarze i grubości bandaża, samo jego rozcięcie zajęłoby mi z pół godziny.

Rozdział dwudziesty

W czasie Świąta Dziękczynienia byłem sam. Siadywałem więc na werandzie przed domem, węsząc za indykiem. Ale nie było żadnego, tylko pusty kominek gdzieś na południe od mojego bujanego fotela. Na moich kolanach spoczywały szkice prac studentów. Zostawili je w skrzynce przed siedemnastą poprzedniego dnia. Miałem nadzieję, że dokonam ich oceny w ciągu tej czterodniowej przerwy i oddam w nadchodzącym tygodniu. Zostałyby więc trzy tygodnie semestru na napisanie ich na nowo oraz wprowadzenie poprawek.

Prowadząc zajęcia z siedmioma moimi poprzednimi grupami, wymyśliłem sposób na czytanie prac. Pomyślałem, że pomaga to uczynić cały proces bardziej sprawiedliwym. Gdy zatem zaczynałem czytać pracę, nie patrzyłem na nazwisko jej autora, aż do momentu gdy już ją oceniłem. Czytałem także każdą z nich dwa razy. To pomagało mi zachować uczciwość. Czasami gdy znam temat, który podejmuje któryś z moich studentów, wówczas wiem, czyją pracę czytam, ale w większości przypadków nie mam o tym pojęcia.

Kołysząc się do rytmu kukurydzy falującej na polu, skupiłem się na czterech wyjątkowych pracach. Nie wyróżniał ich marny poziom, lecz to, że były naprawdę dobre. Bardzo dobre. A nawet znakomite.

Po ponownej lekturze nadal robiły na mnie wrażenie, ale miałem pewne podejrzenia. Spojrzałem na nazwiska autorów. Niemożliwe. Tylko nie w tym roku, nie oni, nie w najbliższym czasie. Skończyłem czytać po raz drugi resztę prac i spędziłem niedzielę oraz poniedziałek, starając się to wszystko przemyśleć.

Odpowiedź była prosta, ale właśnie na tym polegał problem. Czy mam przesłuchać czwórkę studentów w sprawie ich prac, oskarżyć ich o plagiat i mieć nadzieję, że się do tego przyznają? Cóż, jestem nauczycielem, to jest moja praca. Przypuszczam, że są winni. Nie, ja wiem, że są winni. Nie ma co do tego wątpliwości. Już po nich. Nic na to nie poradzę. Regulamin szkoły.

Ale to nie takie proste.

Niektórzy studenci uważają, że nauczyciel opłacany jest z ich chesnego i w konsekwencji jest im coś winien. To tak jakby pojawianie się na zajęciach było czymś godnym pochwały, a spełnianie warunków - czymś dobrowolnym. Nie wszyscy tacy są. Miewam i takich, co to chciałoby się ich odkryć. Jako że to właśnie w istocie robią nauczyciele. Odkrywamy lub odsłaniamy naszych podopiecznych.

Spędziłem weekend, zastanawiając się nad czwórką moich kłamczuchów. Nawet nie starali się tego ukryć. Wewnętrzny głos podpowiadał mi jednak, że

nierzadko studenci podają nauczyciela do sądu za tego rodzaju oskarżenia. Zdarzają się takie przypadki.

Szczerze mówiąc, słyszałem w sobie dwa głosy. Jeden z nich mówił: Po prostu oddaj je. I zapomnij o tym. Tak naprawdę cię to nie obchodzi. Oszukują tylko samych siebie. To ich przyszłość. Dostyc masz własnych problemów. Drugi zaś pierwszemu przeczył: Zaraz, co ty robisz?.

Drugi z głosów był tym wymagającym. A ja myślałem sobie: Hej, jestem tylko kimś z zewnątrz. Te dzieciaki już więcej mnie nie zobaczą. Chcą tylko otrzymać ocenę, a ja chcę tylko wydostać się stąd i zapłacić rachunki. Wiedziałem przy tym, że to niezupełnie była prawda.

Siedziałem na werandzie, kołyszając się na fotelu, czytając i upewniając się. Nie było to zbyt trudne. Miałem przed sobą po prostu cztery prace i cztery losy podane mi na srebrnej tacy.

Studenci wypełnili salę, a ja rozdałem prace. Wszystkie poza czterema. Spojrzałem na ich autorów i powiedziałem do nich:

- Wasze wypracowania są naprawdę dobre. Właściwie to są znakomite. Niech wasza czwórka zostanie po zajęciach. Chciałbym z wami porozmawiać.

To wystarczyło, aby pozostali milczący aż do końca zajęć. Żaden z nich nie wydobył z siebie nawet słowa. Marvin przygryzał sobie wargę, Russell spoglądał przez okno, a umysły Eugene'a oraz Alana zdawały się pracować na pełnych obrotach.

Zajęcia się zakończyły, reszta klasy opróżniła salę, a moja czwórka plagiatorów siedziała przede mną, mamrocząc coś niewyraźnie. Próbowali pozbyć się dyskomfortu.

Powiedziałem:

- Wasze prace, panowie, są świetne i dlatego tu siedzicie. Chcę, abyście mi o nich opowiedzieli.

Marvin odezwał się:

- A nie da nam ich pan z powrotem? :

- Nie, na razie nie. Chcę wam najpierw zadać tylko kilka pytań.

Trzymałem wszystkie prace w rękę i nerwowo, choć wolno, tasowałem je niczym talię kart.

- Przyjdzie na to czas. A teraz - dodałem - zaczniemy od ciebie, Eugene.

Eugene był inteligentny. Miał poczucie humoru, ale miał także w sobie ciekawość i zwykle wiele wnosił do moich zajęć. Lubilem go. Inni ewidentnie go szanowali, ponieważ słuchali tego, co miał do powiedzenia.

Eugene odrzucił głowę do tyłu, zapadł się na swoim krześle i przybrał wobec mnie pozę najgłębszego zaangażowania, która mówiła: No dobra, ale nie zrobiłem przecież nic złego.

- Eugene, opowiedz mi o swojej pracy. Jestem pod jej wrażeniem. Jest naprawdę niezła. Po prostu opowiedz mi o niej.

- Upłynęło już trochę czasu, odkąd to napisałem. Wyleciało mi już z mózgowicy. A o co konkretnie panu biega?

Przeszedł na slang, aby ukryć zakłopotanie. Wiedziałem o tym, ponieważ potrafił wysławiać się niczym oksfordczyk, gdy przyszła mu na to ochota.

- No, powiedz mi po prostu, skąd wzięłeś taki pomysł?

- Nie pamiętam, ale pytałem pana kilka tygodni temu, czy mogę pisać o tych dwóch wierszach, i okazało się, że mogę.

- Pamiętam. W porządku. To może zacznijmy tak: przedstaw mi tezę, którą tam stawiasz.

Cisza.

- Cóż... a do jakich doszedłeś wniosków?

- Nie wiem. To było dawno, kiedy ją pisałem. - Za każdym razem, gdy usta Eugene'a poruszały się, podążały za nimi ręce. Ożywiły się jeszcze bardziej, gdy zadawałem mu kolejne pytania.

Inni zaczęli czuć się nieswojo, zmagając się z odpowiedziami, gdyby i im przyszło odpowiedzieć na takie same pytania.

- Cóż... to powiedz mi, jakie wiersze wykorzystałeś? Podaj mi tytuły.

- Nie pamiętam, ale jeden jest o okręcie, a ten drugi o...

- Kto je napisał?

- Dickinson, hm... Emily.

- Dobrze. A dlaczego właśnie te wiersze? Cisza.

- W porządku, zastanów się nad tym. Wrócimy do tego. Eugene odetchnął, ale nie był to oddech ulgi. Rozglądał się po sali i zauważyłem, że odezwała się w nim natura spryciarza. Zastanawiał się, jak by tu zawrzeć jakiś układ.

Zwróciłem się do Marvinina:

- ... Wiedziałem już o nim parę rzeczy. Był najwyżej notowanym nabytkiem na pierwszym roku, jaki kiedykolwiek został przyjęty do Digs. Miał pewnie wziąć udział w drafcie już pod koniec drugiego roku. Jeżeli nic mu się nie przydarzy, przed nim pewnie cała droga w górę. Poza futbolem miał także świetne poczucie humoru, zawsze mnie bawił i cieszyłem się, że mam go w grupie.

Jakieś sześć tygodni temu, w połowie mojego wykładu, Marvin gadał z każdym, kto tylko chciał go słuchać. Przerwałem w połowie zdania, spojrzałem mu prosto w oczy i odezwałem się tonem, którego jeszcze wcześniej nie słyszał:

- Marvin, jaka jest najważniejsza cecha, którą muszą posiadać wszyscy najlepsi obrońcy, aby grać w NFL?

Bardzo szybko zrobiło się cicho jakby makiem zasiał. Marvin zaśmiał się, odchylił głowę do tyłu i powiedział:

- Szybkie nogi. Trzeba mieć szybkie nogi.

Rozejrzał się po sali, najwyraźniej dumny, w oczekiwaniu na poparcie swoich słów, które jak wiedział, były prawdą. Eugene przybił mu piątkę. Marvin przechylił się na krześle.

- Nie - zaprzeczyłem - jest mnóstwo gości, którzy potrafią przebiec czterdzieści jardów w 4,3 sekundy, ale nie grają w NFL. To nie szybkie nogi.

Marvin wyprostował się na krześle.

Zwróciłem się do grupy i zapytałem:

- Pomoże ktoś Marvinowi? Jaka jest najważniejsza cecha, którą muszą posiadać wszyscy najlepsi obrońcy, aby grać w NFL?

W sali zrobiło się cicho. Po chwili usłyszałem: „sprawne ręce”, „gabaryty”, „żeby lubić wchodzić w zwarcie”, „dobry wzrok”.

- Nie - zaprzeczyłem ponownie. - Nic z tych rzeczy. Spojrzałem z powrotem na Marvina. On spojrzał na mnie, nieco się przygarbił i odezwał dość cicho:

- Muszą słuchać.

- Zgadza się, Marvin. Dion Sanders był jednym z najlepszych, którzy kiedykolwiek grali w futbol, nie dlatego, że przebiegał czterdzieści jardów w 4,2 sekundy, ale dlatego, że wiedział, jak słuchać. Marvin, chcę, abyś słuchał na moich zajęciach. Jest pomiędzy nami układ?

Od tamtego czasu Marvin słuchał więcej, niż mówił. Zadał nawet parę pytań. A teraz patrzyłem na niego, ale nawet nie dał mi szansy, abym zadał mu pytanie.

Pokazał na swoją pracę:

- Psorze Styles, ja napisałem swoją prackę.

- W porządku, wobec tego opowiedz mi o niej. Jaką stawiasz w niej tezę?

- Wyleciało mi, ale to ja żem ją napisał.

Tak jak Eugene, posługiwał się slangiem, aby zatuszować to, czego zatuszować nie mógł.

- Dobrze, tutaj, na pierwszej stronie - otworzyłem jego pracę i pokazałem na pierwszy akapit - piszesz o pociągu do nekromancji. Co to jest pociąg do nekromancji?

- Pociąg gdzie?

- Pociąg do ne-kro-man-cji. Piszesz o tym dokładnie w tym zdaniu, które, jak sądzę, jest stawianą przez ciebie tezą.

Marvin miotał się, potrząsając głową i burcząc coś pod nosem, a w końcu skurczył się w sobie.

- Dobrze, to może tutaj - pokazałem ponownie. - Piszesz o filozofii Arystotelesa. To dość rozległy temat, porozmawiajmy więc tylko o jego metafizyce.

- Meta czym? - głos Marvinina zrobił się piskliwy.

- Me-ta-fi-zy-ce.

Cisza. Pozostała trójka znieruchomiła. Wentylatory pracowały intensywnie, a mimo to zauważyłem, że serce waliło mi mocno. Jeszcze trochę, a reszta je usłyszy. Czyjeś stopy zaszurały po zakurzonej podłodze.

- Psorze Styles, ja żem napisał moją prace, tylko że mi to teraz wyleciało. Ale ja żem ją napisał.

- W porządku. To zacznijmy od początku. Jaką stawiasz w niej tezę?

Cisza.

- Do jakich doszedłeś wniosków? Cisza.

- Jaki jest jej tytuł? Martwa cisza.

- Dobrze, ty pomyśl, a ja przejdę do Alana.

Alan zawsze pojawiał się na zajęciach wcześniej. Zawsze odrabiał zadanie domowe. Nigdy nie sprawiał problemów. Zadawał dość dobre pytania i nigdy nie zabierał głosu bez potrzeby. A nawet podnosił rękę. Włosy splecione miał w jakieś dziesięć warkoczy i po skończeniu szkoły chciał wyjechać, aby pracować razem ze swoim bratem. Lubiłem go. Robił wrażenie trudnego w obyciu, ale i szczerego.

Praca Alana była jedyną z całej czwórki, która rzuciła mi się w oczy jako nieco się od nich różniąca. Nie było takiej możliwości, aby to on ją napisał - zbyt poprawny język - ale mierzyłem, że przynajmniej sam ją przepisał.

- Alan, opowiedz mi o tym, co napisałeś.

Przeszedł natychmiast do istoty swojej pracy, naświetlając mi jej główne punkty. Trzy minuty później skończył i oparł ręce o blat ławki. Jego oczy zdawały się mówić do mnie, że nie czuje się winny, ale i niekoniecznie niewinny.

- W porządku, co oznacza to słowo? - Był to jakiś naukowy termin i nie mogłem sobie przypomnieć, jak się je literuje. Nie miałem pojęcia, co oznaczało. On także.

- Dobrze, jaki jest związek pomiędzy głównymi punktami twojej pracy?

Cisza.

- No, dobrze. Skąd wzięłeś te informacje?

- Z książki.

- Cóż, nie powołujesz się na nią, to skąd mam wiedzieć, jakie jest źródło. Ewidentnie przeprowadziłeś tu porządne badania. Posługujesz się dobrym językiem, nie wiem tylko, skąd zaczerpnąłeś stawiane przez siebie tezy.

Alan musiał mieć spore zaległości ze szkoły podstawowej, ponieważ jego umiejętności w zakresie posługiwania się językiem angielskim w piśmie były okropne. Sądząc po jego dwóch poprzednich esejach, wiedziałem, że za żadne skarby akurat z tego nie mógłby napisać ani jednego słowa. Poza swoim podpisem.

Gdy pierwszy raz czytałem jego pracę, szybko zauważyłem, że dał mi to, co według niego chciałem otrzymać. Nie zdawał sobie jednak sprawy, tak jak żaden z nich, że do każdego podejść z ich punktu widzenia, nie ze swojego. Tego nie wiedzieli. I oczywiście nie chcieli wiedzieć. Być może była to moja wina. Być może był to też powód, że nasza piątka nie znajdowała się już w gabinecie pana Wintera.

- Dobrze, co znaczy to zdanie? Przeczytałem, a następnie spojrzałem na niego.

- No, to znaczy, że to, o czym mówiom jes tylko w kosmosie, a jak to zmienszać resztom, to sie wtedy pojawia ten efekt.

Alan nie był w ciemni bity. Miał głowę na karku i znał temat. Rozumiał, co tam było napisane; tylko że nigdy nie potrafiłby powiedzieć tego w taki sposób, w jaki zostało to napisane.

- To dlaczego nie powiesz mi tego, tak, jak jest tutaj napisane?

Alan zrobił wielkie oczy i wskazał w kierunku swojej pracy.

- Tak lepiej wyglonda. A inaczej dałby mi pan niższy stopień, jak jusz pan zrobił z tamtymi pracami.

- No, jeżeli tak, to kto tak uważa? Nie wiem, ponieważ nikomu tego nie przypisujesz.

- Ja tak uważam.

- No, ale sposób, w jaki to teraz wyjaśniłeś, i to, jak o tym napisałeś, to dwie zupełnie różne sprawy.

Alan milczał i zmarszczył czoło.

- W porządku, zatrzymaj się nad tym przez chwilę, a ja teraz przejdę do Russella.

Na tym etapie naszych zajęć Russell stał się moim faworytem. Wiem, że nie powinienem nikogo faworyzować, a przynajmniej tego okazywać. Ale był typem lidera. Widać to było w każdym calu. Był wygadany, miły, zabawny, ciekawy, zainteresowany zajęciami i aż do dzisiaj wydawało mi się, że mnie lubi.

- Opowiedz mi o swoim eseju, Russell. Zdążył już zapoznać się z porządkiem wydarzeń. -No, jest o telewizji i wpływie, jaki ma na dzieciaki. - Świetnie, a coś więcej.

Russell pomyślał, a potem dodał:

- No, moja stora pomogła mi trochę w badaniach.

- W porządku. Mówiłem ci, żebyś poprosił kogoś o pomoc, jeżeli będzie ci potrzebna. Powiedz mi coś więcej o twojej pracy.

Cisza. Eugene i Marvin mieli już tego prawie dosyć, wspierając się wzajemnie w swoich postawach. Eugene obwieścił:

- Napisałem moją pracę już dawno temu, ale napisałem ją sam.

- W porządku, gdy Russell będzie się zastanawiał, zaczniemy od nowa. Eugene, opowiedz mi o swojej pracy.

Raz jeszcze przeszedłem przez wszystkie pytania. Owszem, bardziej się niepokoiłem i bardziej obawiałem. Przegrywałem, a przynajmniej zmierzałem donikąd, co oznaczało porażkę. Z wolna więc zaczynałem tracić kontrolę nad emocjami.

W końcu odłożyłem prace.

- Słuchajcie, czy ktokolwiek w tej sali ma mi cokolwiek do powiedzenia? Cokolwiek?

Panowała grobowa cisza. Zacząłem od początku.

- Eugene. Opowiedz mi o tych dwóch wierszach. Jakiego typu analizę przeprowadziłeś?

Cisza. Ale ich przekaz pozawerbalny aż krzyczał i zaczęło zarysowywać się ich porozumienie. Miałem wrażenie, iż zaczęli sobie uświadamiać, że jeżeli wszyscy wspólnie wystąpią przeciwko mnie, będą mieli większe szanse, aby się z tego wywinąć, niż gdyby się tylko osłaniali.

Eugene odezwał się szyderczo:

- Psorze Styles, to było jakiś czas temu, a więc nie przypominam sobie w tej chwili, ale to ja napisałem swoją pracę. -Wycelował palcem w stronę mojej twarzy. - To ja napisałem moją pracę. - Zaśmiał się sztucznie, oparł na krześle i przybrał niedbałą pozę, jak gdyby było to jego ostatnie słowo.

Jeszcze raz zwróciłem się do Marvina:

- Marvin, porozmawiajmy o twojej pracy. Skąd wzięłeś ten pomysł?

Marvin zapadł się w siebie, potrząsnął głową z niesmakiem, ponownie coś burknął i zaczął patrzeć przez okno.

- Alan, czy możesz mi jakoś wytłumaczyć, dlaczego języki i kompozycja tej pracy są inne niż w twoich dwóch poprzednich? Cisza.

- Russell.

Odłożyłem papiery na biurko, a ich wzrok podążał za mną. Wyjrzałem przez okno, następnie popatrzyłem na nich i zapytałem raz jeszcze:

- Czy ktokolwiek w tej sali ma mi cokolwiek do powiedzenia?

Wiedzieli. Wiedziałem, że wiedzą. A wiedzieli też, że ja wiem, że oni wiedzą. Pat.

Popatrzyłem na każdego z nich, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu podniosłem papiery z biurka i rzuciłem:

- Chłopaki, wiecie, jak ja to nazywam.

Nikt nie pozwolił sobie, aby jego wzrok napotkał mój. -Wiecie, jak nazywa to uczelnia. Nadal cisza.

- Eugene, jak ty to określasz? Eugene wyprostował się na krześle:

- Psorze Styles, nie wiem, ale ja napisałem mojom prace. Potrzebne mi jest zaliczenie z tych zajęć do ukończenia studiów. I wiem, że ja to pisałem.

Eugene wyciągał w ten sposób rękę. Chciał zawrzeć układ.

Spojrzałem na Marvina.

- Marvin, a jak ty to nazywasz? - Ja napisałem mojom prace.

- Alan, a ty?

- Ja... ja napisałem swoją na kompie. Zwróciłem się następnie do Russella.

- Russell, ty także tego nie nazwiesz?

Bezruch. Ani słowa. Wstrzymany oddech. Oni mieli swoje porozumienie, a ja nie miałem niczego. Mogli wygrać i wiedzieli o tym, a przynajmniej uważali to za możliwe. Jeżeli wszyscy będą siedzieć cicho, mają mnie.

Odłożyłem prace z powrotem na swoje biurko, spojrzałem ponownie na Russella, pomyślałem, czy powinienem wykorzystać jedyną kartę, którą posiadałem. Odezwałem się bardzo cicho:

- Russell... to powiedz, jak by to nazwał twój tata? Pokręcił głową, zamknął oczy i powiedział:

- O nie, człowieku, dlaczego musisz posuwać się tak daleko? - Przetarł sobie twarz swoją dużą dłonią, znowu zamknął oczy i spojrzał na swoje kolana. Jego masywne ramiona zapadły się, wziął głęboki oddech, klatka piersiowa rozszerzyła się, skurczyła i spojrzał mi prosto w oczy. - Nazwałby to oszustwem.

Szach. Mat.

Z Marvina i Eugene'a powietrze uszło jak z balonów. Alan siedział spokojnie. Pokiwałem głową.

- Dziękuję. Ja też tak to nazywam.

Usiadłem na biurku, dyndając nogami, a oni siedzieli przygarbieni na swoich krzeselkach, spoglądając na mnie. Tykały długie sekundy.

Ponownie zwróciłem się do Russella:

- Powinieneś wiedzieć, zanim przejdę dalej, że właśnie pokazałeś mi więcej szczerości i uczciwości, niż widziałem od dłuższego czasu. Nie szanuję tego, co mi przyniosłeś, ale to, co przed chwilą powiedziałeś, cóż... dziękuję ci.

Wolno obróciłem się w stronę Alana.

- Alan, więc jak ty to nazywasz?

Westchnął, uniósł brwi. Odezwał się cicho. Jego głos był teraz potulny, szczerzy i uległy.

- Oszustwo.

Zwróciłem się do Marvinina, który zapadł się głęboko na swoim krześle. Nie mógł uwierzyć, że Russell właśnie się poddał.

- Marvinin?

- Oszustwo.

Jego spojrzenie bez przerwy omijało moje.

- Eugene - zwróciłem się do kolejnego z nich.

- Oszustwo - potrząsnął głową z niedowierzaniem. Ale za tą fasadą jego oczy wyrażały ulgę. Gotowy był ponieść konsekwencje, ale wiedziałem, że wciąż chciałby iść na układ.

Podążając dalej, wiedziałem, że zanim podejmę jakiegokolwiek działanie, muszę uzyskać przyznanie się. Pełne i jasne. Problem z grą, w którą właśnie zacząłem grać, polegał na tym, że nie miałem pojęcia, co zrobić z poszczególnymi aspektami całej sprawy. Według regulaminu szkoły było to natychmiastowe wydalenie.

Natychmiastowe wydalenie. W swojej głowie rozważałem za i przeciw. Nie chodzi o to, iż uważałem, że polityka szkoły nie była uczciwa czy nie była sprawiedliwa, tylko że wydawało się to bezsensowne, aby nauczyciel kontraktowy miał tak dużą władzę nad przyszłością danej osoby. Z drugiej strony, posiadałem taką władzę jedynie dzięki temu, że ich czwórka mi na to pozwoliła. Gdybym zrobił to, czego się ode mnie oczekiwało, Marvinin i Russell utraciliby swoje sportowe stypendia, Alan nigdy nie zostałby tym pierwszym w rodzinie z wykształceniem akademickim, a Eugene na zawsze pozostałby o jedno zaliczenie od zakończenia studiów.

W tym momencie jedna połowa mnie dałaby im te zaliczenia i odkręciła wszystko. Druga połowa zaś wierzyła, że najlepsze, co mogłem dla nich zrobić, to kazać im pomaszerować do gabinetu pana Wintera. Ale gdybym umyśl od tego ręce, co by to przyniosło? Nienawiść? Być może.

Odwróciłem się więc do nich i powiedziałem:

- Tak z ciekawości, jeżeli wy bylibyście mną, co byście zrobili?

Skłonny do układów odezwał się pierwszy, zanim ktokolwiek inny zdążył wszystko schrzanić:

- Po prostu pozwoliłbym wprowadzić poprawki. To znaczy, no, wie pan. - Eugene uniósł ręce i z dłońmi w górze jego oczy zrobiły się naprawdę wielkie.

- No - dorzucił Marvin.

- Mogę to zrobić - pokiwałem głową. - Jasne. Ale co z prawdziwym problemem, którym jest kwestia szacunku? -Zamachałem przed nimi papierami. - To, co mi daliście, obraża mnie. Myśleliście, że możecie mi to wcisnąć. Myśleliście również, że możecie się lenić i załatwić sprawę, nic nie robiąc. To mi uwłacza. I nie zamierzam przejść nad tym do porządku dziennego. A więc nie wprowadzicie tak po prostu „poprawek”.

Marvin, dostrzegając swoją szansę, odezwał się, okazując jak do tej pory maksimum dobrej woli:

- Ale... zawsze daje nam pan do zrozumienia, że nie jesteśmy w stanie nic dla pana napisać. Czujemy się tak, jakby to, co piszemy, nie było dość dobre.

Przed „dość” wydał usta, a ja obróciłem się gwałtownie w jego kierunku:

- Marvin, tylko nie wnoś na moje zajęcia tej postawy ofiary. Zostawałem po zajęciach, pomagałem ci wprowadzać zmiany do twoich esejów, przychodziłem tutaj codziennie i uczyłem cię z szacunkiem. Chętnie porównałbym moje zajęcia z jakimikolwiek innymi, na które chodzisz. Traktuję cię tak, jak sam chciałbym być traktowany, i ty o tym wiesz. Nie chcę więc słyszeć żadnych żalów, jak to przeze mnie czuleś, że nie potrafisz niczego dla mnie napisać. Zrobiłeś się leniwy. I to wszystko.

- Ale naśmiewał się pan ze mnie - powiedział Marvin.

- Naśmiewałem się z ciebie? Kiedy?

- Kiedyś wszedłem w spodniach od dresu, a pan zaczął się ze mnie śmiać.

- A co ja takiego powiedziałem? Nie mogłem sobie tego przypomnieć.

- Nie pamiętam dokładnie - odparł. - Powiedział pan chyba, że wyglądam, jakbym dopiero co wstał z łóżka, czy coś takiego.

Wtedy coś mi zaświtało. Miał słuszość. Powiedziałem tak. Choć rzeczywiście wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka. Pomyślałem przez chwilę.

- Masz rację, Marvin. Rzeczywiście tak powiedziałem i jeżeli uraziło to twoje uczucia, przepraszam, ale moja gruboskórność nie usprawiedliwia tego. - Uniosłem jego pracę. - Marvin, widziałem cię, jak grasz w futbol. Zabierasz się do roboty i kroczysz po boisku jak mężczyzna. To zacznij zachowywać się jak mężczyzna na moich zajęciach.

Zwróciłem się z powrotem do Eugene'a.

- Nie mogę tak po prostu pozwolić ci „wprowadzić poprawki”.

Eugene wiedział, że mam rację. Miał właściwe poczucie tego, co dobre i co złe. Wszyscy z nich mieli. Marvin znowu przybrał swoją pozę. -To znaczy się, że już pan podjął decyzję, zgadza się -Nie, nie podjąłem. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

- Już pan się zdecydował.

Nie jestem Freudem, ale Marvin ewidentnie potrzebował kogoś, kto w niego uwierzy, a teraz sprawdzał mnie.

- Słuchajcie, zanim cokolwiek z tym dalej zrobię, wszyscy powinniście wiedzieć, co o was myślę. Bez względu na to, kto wygra, czy będzie remis, powinniście wiedzieć, co myślę.

Spojrzałem na Eugene'a.

- Eugene, jesteś bystry, inni oglądają się na ciebie, słuchają tego, co mówisz, i szanują to, co masz do powiedzenia. Cieszę się, że uczestniczysz w moich zajęciach. Zadajesz dobre pytania.

Zwróciłem się do Marvina.

- Marvin, masz świetne poczucie humoru. Potrafisz mnie rozśmieszyć, łatwo nawiązujesz relacje i lubię cię słuchać. Lubię także patrzeć, jak grasz w futbol. Masz prawdziwy talent od Boga. Możesz nawet osiągnąć to, na co zasługujesz.

- Alan, jesteś zawsze punktualny, zadajesz dobre pytania i wnosisz do moich zajęć równie dużo co inni. A to wiele znaczy. Ponadto twoi koledzy mówią, że potrafisz zbudować lub naprawić prawie wszystko. Zresztą, o ile wiem, już do tej pory zdołałeś zbudować cztery samochody niemal od zera. To także talent.

Następnie spojrzałem na Russella.

- Russell, ludzie cię lubią, oglądają się na ciebie, słuchają cię i będą za tobą podążać, ponieważ jesteś urodzonym przywódcą. Mam dla ciebie mnóstwo szacunku. Ale nie za to, co mi dałeś, lecz za to, co mi powiedziałeś. I nie potrzebujesz, abym ci to mówił: każdy idiota widzi, że jeżeli będziesz zdrowy, twoja kariera sportowa będzie trwać znacznie dłużej niż college.

Zrobiłem ruch ręką, obejmując ich wszystkich.

- Powinniście to, chłopaki, wiedzieć. Niedobrze mi się robi, gdy pomyślę, że oddaliście mi takie prace, spodziewaliście się, że to u mnie przejdzie i że nadal oczekujecie, że będę was traktował z szacunkiem. Zamilkłem.

Minęło sporo czasu, nim dodałem:

- Układ jest taki. Naprawdę nie wiem w tym momencie, co zrobię, ale wy macie wybór. Możecie pójść tym korytarzem, powiedzieć mojemu szefowi, panu Winterowi, że wasz profesor niesłusznie oskarżył was o plagiat i przyprowadzić go na zajęcia w czwartek. Albo możecie napisać przeprosiny, stwierdzając, że popełniliście plagiat, oszustwo, okazaliście mi brak szacunku i że jest wam

przykro. Macie dwa sposoby, aby wrócić na moje zajęcia: przyprowadzić ze sobą pana Wintera lub przynieść pisemne przeprosiny. To wszystko.

Wstałem z biurka, obróciłem się tyłem i zebrałem swoje rzeczy. Oni zsunęli się ze swoich krzesełek i bez słowa wyszli.

Pojechałem do domu, w głowie mi huczało, gdy zastanawiałem się, co mogłem zrobić inaczej. Czy byłem dla nich zbyt łagodny? Zbyt wymagający? Co z tego dzisiaj zapamiętają?

Biłem się z myślami.

O dziewiątej trzydzieści zadzwonił telefon. Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że zadzwoni. I potrzebowałem tego.

- Tak?

- No... hm... Profesorze Styles, tu Russell.

- Witam cię, Russell.

- Hm... Psorze... Chciałem tylko zadzwonić i powiedzieć panu, że przepraszam za to, co zrobiłem. Okazałem panu brak szacunku i naprawdę mi przykro. - Wziął głęboki oddech. - Chciałem tylko to panu powiedzieć.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem w tym momencie o Charliem Buckecie oddającym Willy emu Wonce Wieczną Mordoklejkę, którą mu ukradł. Gdy położył ją na biurku, Wonka wysunął swoją rękę, położył ją na Mordoklejkę i powiedział: „Tak świeci dobry czyn w świecie zepsutym”. Zawsze podobał mi się ten fragment.

- Dziękuję, Russell. - Starłem się ukryć emocje. - Nie zdecydowałem jeszcze, co zrobię.

- Jasne, psze pana, cóż... Chciałem tylko, żeby pan wiedział, że jest mi przykro.

- Do zobaczenia w czwartek.

- Jasne, psze pana.

Odłożyłem słuchawkę. Wiedziałem, że Russell mieszkał w akademiku dla sportowców, a to oznaczało, że Marvin nie mógł mieszkać od niego zbyt daleko. Zastanawiałem się, kiedy usłyszę Marvina. Telefon zadzwonił dwie minuty później.

- Halo?

- Hm, mmmm... czy to profesor Styles?

- Przy telefonie.

- Psorze Styles, mówi Marvin.

- Witam, Marvin.

- Ta... no, chciałem tylko zadzwonić i przeprosić za brak uszanowania i potraktowanie pana tak, jak potraktowałem.

Marvin był przestraszony. Był także szczery. Nie słyszałem tego w jego głosie do tej pory.

- Doceniam to, Marvin.

Byłem szorstki. Chciałem, żeby się pocił i żeby się martwił. Chciałem, aby wszyscy się martwili. Poczuli wagę sprawy, aż do ostatniej minuty. Czy to źle? A co jest gorsze? Sprawić, aby poczuli w pełni wagę tego, co zrobili, czy aby nie poczuli jej wcale?

- Do zobaczenia w czwartek - dodałem po chwili.

- Tak jes, psze pana.

Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że tych dwóch zadzwoni. Eugene i Alan byli dobrymi chłopcami, ale Marvin i Russell posiadali serce - przynajmniej było ono inne. To, iż zadzwonili, oznaczało, że wiedzą, co narobili. Dobrze, że wiedzieli. Oznaczało to także, że się martwili. Uważałem, że to również dobrze.

Nadszedł czwartek i moja czwórka przyszła na zajęcia wcześniej. Mniej więcej razem. Każdy położył ładnie napisany liścik na moim biurku. Nie przeczytałem ich, tylko umieściłem za okładką dziennika i czekałem w milczeniu na początek zajęć.

Sądząc po twarzach tych czterech, dwa dni niepewności zrobiły swoje.

Zajęcia przebiegły bez specjalnych wydarzeń, inni studenci wyszli, a ja zamknąłem drzwi. Oni zaś siedzieli przede mną w napięciu. Wyprostowani. Wyczekujący. Skupieni i przestraszeni. Z rękami splecionymi przed sobą wyglądali bardzo potulnie. Przybrałem odpowiedni ton, wolno przeczytałem każdy list i odłożyłem wszystkie obok siebie, gdy skończyłem.

- W porządku. Układ jest taki. Regulamin szkoły przewiduje, abym zaniósł te dowody do dziekana, po czym zostajecie przez niego natychmiast wydalenii z uczelni.

Zebrani stężeli, a ich twarze zrobiły się blade.

- Ale nie zrobię tego.

Twarze wszystkich czterech rozluźniły się.

- A ponieważ nie zamierzam tego zrobić, oto, co wy możecie zrobić. Każdy z was napisze nowy esej. Plagiat a uczciwość, czy można zachować to drugie, robiąc to pierwsze? Najwyższa ocena, jakiej możecie oczekiwać, to dostateczny.- Uniosłem brwi. - Jeżeli napiszecie więc pracę na piątkę, dostaniecie trójkę. Napiszecie na trójkę, dostaniecie jedynkę. Takie są moje warunki. Możecie je przyjąć lub nie.

Eugene był pierwszym, który się odezwał. Pokiwał głową i spojrzał na pozostałych.

- Pościeliliśmy swoje łóżko, to teraz musimy się na nim wyspać. Tak jest sprawiedliwie.

Marvin powiedział:

- Cóż, nie dam rady napisać pracy na piątkę, to równie dobrze mogę zrezygnować od razu.

- Marvin, zrobisz, co zechcesz - powiedziałem. - Ale jest i druga część układu: wszyscy musicie go zaakceptować. Jeżeli jeden z was odmówi, idę do dziekana.

Wszyscy popatrzyli na Marvina, a zwłaszcza Russell. Pochylił głowę.

- Napiszę ten esej.

- Alan? - zapytałem. - Brzmi uczciwie.

- Russell?

- Tak jest, psze pana, dla mnie w porzo. Całkiem w porzo. Marvin odezwał się:

- Na kiedy pan to chce?

- Dam wam tyle czasu, ile będzie trzeba.

- O, to najgorzej, jak może być. - Wyrzucił ręce do góry. - To na kiedy?

- Cóż, wiem, że w ten weekend gracie, chłopaki, ważny mecz na Florydzie, nie wydaje mi się więc, abyście mieli dużo czasu pomiędzy dzisiejszym dniem a poniedziałkiem. - Spojrzałem na kalendarz na biurku. - Dzisiaj jest czwartek. Chcę to mieć za tydzień. Jeżeli nie wystarczy czasu, to przynieście tyle, ile napiszecie, i pogadamy o przedłużeniu terminu. Wierzcie lub nie, ale ja pamiętam, jak to jest grać w futbol i studiować.

Russell odezwał się:

- Grał pan w futbol, psorze?

- Grałem.

- Na jakiej pozycji?

- Biegacz i - tu spojrzałem na Marvina - obrońca. Zaśmiał się.

- Marvin, widziałem, jak grasz. Jesteś szybki. Bardzo szybki. Może nawet wystarczająco szybki. Ale miałem coś, co ty jeszcze musisz rozwinąć.

- Ta... wiem - powiedział, wyciągając ręce - myślenie. Muszę kpij myśleć.

Russell jeszcze ze mną nie skończył:

- Co się stało?

- Kontuzja.

- Ciężka?

- Wystarczająco ciężka - powiedziałem. - Jeżeli chciałem dalej chodzić, musiałem rzucić grę. Taki miałem wybór.

- Strasznie trudna sprawa - wtrącił Marvin.

- Takie jest życie, Marvin. Jest, jak jest. - Zebrałem papiery. - Chłopaki, macie tydzień. I nie chcę, abyście szukali tym razem jakiegokolwiek pomocy. Oczekuję niezależnego myślenia.

Sięgnęli po swoje książki i podnieśli się, nie wiedząc, co powiedzieć.

Marvin odezwał się pierwszy. Wyciągnął rękę.

- Dzięki, psorze Styles.

Jego dłoń wyrażała podziękowanie dwa razy mocniej niż jego usta.

- Musicie coś wiedzieć - spojrzałem na Marvina i na Russella. - Wy dwaj macie coś, czego ja nigdy nie miałem. Macie pełne pole do popisu, aby robić to, co robicie dobrze - grać w futbol. Ja zmierzałem w tym kierunku, ale nigdy mi SIC nie udało. Wy możecie. Jeżeli kiedykolwiek usłyszę, że znowu robicie coś takiego, wyciągnę te dowody, pójdę do gabinetu dziekana i będzie po was. A wy dwaj, Eugene i Alan, to samo dotyczy was. Jeżeli kiedykolwiek usłyszę, że któryś z was pakuje się w jakieś tarapaty... kiedykolwiek... to będzie to pierwsza rzecz, która się znajdzie na biurku dziekana. Będzie to rodzaj akt kryminalnych, o których wiem tylko ja, i będzie się to za wami ciągnęło, aż nie opuścicie tego miejsca. Wchodzicie w to? Przytaknęli.

Marvin spojrzał w kierunku drzwi, a następnie pokręcił głową.

- To oznacza, że muszę uporządkować swoje sprawy. Eugene zrobił krok w moim kierunku, wyciągnął rękę i powiedział:

- Dzięki, psorze Styles.

Marvin był następny. Wyciągnął ponownie swoją rękę i uśmiechnął się od ucha do ucha. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale nienawidził sytuacji konfliktowych:

- Doceniam pana gest, psorze Styles.

- Do czwartku, Marvin. Następny, Alan.

- Tak, dzięki, psorze Styles.

- Do czwartku, Alan, i... bardzo proszę.

W końcu Russell. Oddychał znacznie swobodniej, a jego ramiona się rozluźniły. Ciężar myśli, że nie będzie musiał mówić swojej mamie, dlaczego utracił stypendium i został wyrzucony z uczelni, spadł mu z serca. Jego oczy były wilgotne. Stał nade mną.

- Dzięki, psorze Styles. To dla mnie naprawdę bardzo ważne. Wielkie dzięki.

Jego wielka łapa owinęła się dwa razy wokół mojej dłoni. Mógłby ją zmiażdżyć, gdyby zechciał.

- Proszę bardzo, Russell. Obrócił się do wyjścia.

- I naprawdę myślę to, co powiedziałem, Russell.

Pokiwał głową i wyszedł, zanim łza zdążyła popłynąć mu z kącika oka.

Na korytarzu czekał Marvin.

- Joł, psorze Styles. Czy nadal mam szansę zaliczyć pana zajęcia?

- To zależy od ciebie, Marvin. Matematycznie to możliwe. Ale gdybym był tobą, to pomyślałbym trochę nad tym esejem. Pomyśl o tym w ten sposób: właśnie przejąłeś podanie, ale pomiędzy tobą a linią punktową jest całe boisko.

- Rozumiem, psze pana.

Uśmiechnął się, najlepiej jak potrafił przybrał pozę w stylu trenera Heismana i zniknął w korytarzu.

Wyszli z budynku, a słabe echo moich niecodziennych dokonań odbijało się od ścian sali. Zrobiłem, co tylko mogłem, i Maggie byłaby ze mnie dumna, ale czułem się pusty, a nie przepełniony. Sądzę, że dlatego, że nasze dokonania mają znaczenie tylko wtedy, gdy dzieli się je z kimś drugim.

Było późno, gdy dotarłem do domu. Wszedłem do naszej sypialni, zsunąłem buty i pozostawiłem je pośrodku podłogi, gdzie nie powinno ich być. Blue wskoczył na łóżko i wsunął nos pod poduszkę Maggie, podczas gdy ja myłem zęby.

Włączając światło, dostrzegłem błysk buteleczki z perfumami Maggie. Była wciśnięta za mój krem do golenia na półce łazienkowego lustra. Wziąłem flakon z półki, niemal nabożnie niczym wodę święconą, zgasilem światło i poszedłem do łóżka. Ustawiłem go na stoliku nocnym, zdjąłem nakrętkę, ułożyłem głowę na poduszce i zamknąłem oczy, a potem wdychałem zapach.

Rozdział dwudziesty pierwszy

We wtorkowy poranek obudziło mnie słońce i z jakiejś przyczyny zrobiłem coś, czego nie robiłem od czasu porodu. Wszedłem do pokoju dziecinnego. Nie wiem dlaczego. Do tej pory nie miałem ku temu powodu, ale ten poranek był inny. Sięgnąłem do łóżeczka po rękawicę baseballową i piłkę futbolową. Wcisnąłem obie rzeczy pod pachę i wyszedłem z domu na pole.

Kukurydza w znacznej mierze już uschła i zaczęły nad nią dominować chwasty. Do świąt Bożego Narodzenia pozostało kilka tygodni i moje zbiory od dawna przedstawiały stan beznadziejny. W połowie drogi przez pole wystraszyłem jelenia, który parsknął na mnie i przemknął na drugą stronę. Dotarłem na cmentarz i stałem w ciszy. Pnącza wistarii przypełzły od strony grobu Nanny i zaczęły się rozrastać na granitowej płycie nagrobka mojego syna. Nie pamiętałem swojego ojca, ale to nie znaczyło, że właściwie każdego dnia mojego życia nie miałbym ochoty poćwiczyć z nim chwytania piłki. Czasami gdy Maggs poszła już spać, wykradałem się w ciszę nocy ze swoją rękawicą i robiłem to sam.

Moim ulubionym filmem jest Baseballista z Robertem Redfordem. Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Po prostu coś w nim jest. I owszem, oglądałem go już kilka razy. Mag-gie stroi sobie - czy raczej stroiła - ze mnie żarty, gdy włączam odtwarzacz wideo i siadam po raz któryś z rzędu, aby obejrzeć sobie ostatnią scenę ze sztucznymi ogniami, serię iskier i mój ulubiony fragment, ostatnie dwie sekundy. Robert Redford ze swoim synem znajdują się na polu pośród pszenicy i rzucają do siebie piłkę raz za razem, podczas gdy Glenn Close stoi w bezruchu obok. Lubię tę scenę, ponieważ baseball jest być może czymś więcej niż tylko grą. Może futbol również. Może jedno i drugie stanowi więź, która łączy ojca z synem, zanim nie oddalą ich od siebie dojrzewanie i bunt.

Spoglądając w dół na grób, włożyłem piłkę do rękawicy i ułożyłem je na nagrobku mojego syna. Termometr przy domu pokazywał, że było zimno, ale ja tego nie czułem.

Później tego popołudnia zakończyłem zajęcia i wszyscy opuścili salę. Obróciłem się, a Koy wciąż siedziała na swoim miejscu. Okulary zasłaniały jej oczy i skrywały twarz. Nie było jej na zajęciach od dwóch tygodni - od czasu spotkania na meczu - i wiedziała, że powinna przedstawić jakieś usprawiedliwienie. Żadnego usprawiedliwienia i pięć nieobecności. Szkoła wymagała ode mnie, abym nie dał zaliczenia nikomu, kto będzie nieobecny trzy i więcej razy bez ważnego usprawiedliwienia. Wyraz jej twarzy sugerował, że

Koy albo coś kombinuje, albo nie wie, co powiedzieć lub jak zacząć. Prawdopodobnie zaś chodziło o wszystko po trochu.

Przerwałem ciszę.

- Cześć, Koy. Byłaś dzisiaj jakaś milcząca.

- Psorze - zaczęła - nie mam usprawiedliwienia za ostatnie dwie nieobecności.

- Koy - powiedziałem, wychodząc zza biurka i opierając się o nie z przodu.

Założyłem sobie ręce jedna na drugą. - Dlaczego nie masz?

- Bo nie dają usprawiedliwień tam, gdzie byłem.

- Dlaczego?

- Bo nie. - Popatrzyła przez okno.

- Koy, nie pomagasz mi w ten sposób. - Pochyliłem się w przód. - Czy możesz mi powiedzieć, gdzie byłaś?

- Tak.

- Tak? - powiedziałem cicho.

Koy wstała. Była ubrana dość... hm... oryginalnie: długi, luźny dżinsowy fartuch, golf i buty z cholewami. Nosila zwykle obcisłe, jaskrawe ubrania, które odsłaniały więcej, niż zakrywały. Nic wyzywającego, ale raczej atrakcyjną, skąpą odzież, która mówiła może więcej, niż Koy zamierzała wyrazić. Wyszła na środek sali i zwiesiła głowę. To też było jak na nią niezwykle. Stała bezpośrednio przede mną, z twarzą około pół metra od mojej. Zdejmując lewą ręką okulary, wyciągnęła do przodu prawą dłoń i otworzyła ją. Rozprostowała palce, a w jej dłoni spoczywał zmięty i przepocony kawałek papieru.

Rozwinąłem go i przeczytałem w myśli nazwę firmy. „Klinika Ginekologii Hillcrest”. Wzdłuż dolnej krawędzi, napisana długopisem, widniała kwota - „265,00 dolarów. Zapłacono gotówką”.

Bezwładnie oparłem się o biurko. Papier ciążył mi i chciałem go odłożyć. Moja ręka zrobiła się gorąca i spojrzałem na Koy. Miała czerwone oczy, przekrwione na obrzeżach. Przez kilka minut staliśmy tak w ciszy. Nie tłumaczyła nic, a ja nie pytałem.

Upłynęło sporo czasu, nim szepnąłem:

- Dobrze się czujesz?

Pokiwała głową, rozmazała sobie łzy na policzkach, zakryła oczy okularami i wyszła z sali. Jedynym dźwiękiem było klapanie i skrzypienie obcasów na starej, drewnianej podłodze.

Podszedłem do okna i patrzyłem, jak otwiera drzwi swojego samochodu i włącza silnik. Odjechała, a ja usiadłem obok okna, zmagając się z ciężarem tego rachunku.

Rozdział dwudziesty drugi

Noszę kowbojskie buty prawie cały czas. Są mną samym. Nie, nie są to najbardziej wygodne buty, jakie kiedykolwiek wykonano, ale coś w nich jest. Jeżeli ktoś kiedyś spróbował, zrozumie. Dorastałem, oglądając z Papą filmy z Johnem Wayneem, a więc moją pierwszą parą butów były Dingo. Gdy już z nich wyrosłem, Papa pokrył je sreberkiem i używał jako oparcia pod książki kucharskie Nanny. Są teraz w kuchni.

W chwili obecnej posiadam sześć par, a nawet siedem, jeżeli liczyć buty do pracy w stodole. Maggie nie znosi żadnej z nich. Toleruje tylko jedną parę czarnych Tony Lamasów wykonanych z byczej skóry odmiany Brahma. Niezłe się prezentują. Ona mi je zresztą kupiła. Pozostałe to miszmasz tego, co mogłem znaleźć na wyprzedazach. Są stare i schodzone i większość z nich wymaga nowych zelówek. Gdyby tylko mogła, Maggie wszystkie by powyrzucała albo użyła w charakterze doniczek dla swoich roślin. Wolałaby, żebym nosił ładniejsze „wyjściowe półbuty”, gdy idę do ludzi, poszedłem więc na kompromis i pokazałem jej Tony Lamasy, które od jakiegoś czasu miałem na oku.

Maggs potrafi podgrzać atmosferę, gdy tylko chce. Gdy ma już mnie dosyć albo popada z mojego powodu we frustrację, zwykle wraca temat butów. „Dylan Styles - powiada Wówczas - nie jesteś Johnem Wayneem. To nie jest ranczo, a ty nie jesteś kowbojem”. Następnie opiera sobie rękę na biodrze i mamrocze do siebie: „Poślubiłam faceta z reklamy Marlboro”.

Gdybym wrócił do domu, wyglądając jak model z okładki magazynu „GQ1” albo model stylu Polo lub Johnston Murphy, Maggs sprawdziłaby pewnie, czy wszystko w porządku z moją głową. To, że but pasuje, nie oznacza, że się go nosi. Trzeba zadać sobie pytanie, czy chce się go nosić.

To samo dotyczy dżinsów. Ja chodzę we wranglerach. Tych z naszywką na prawej tylnej kieszeni. Maggie ich nie znosi. Ona lubi lewisy. Powtarzam jej, że lewisy szyte są dla osób o niskiej talii i rachitycznej budowie ciała. Wranglery zaś robione są dla prawdziwych ludzi o prawdziwej budowie ciała, dla ludzi, którzy noszą kowbojskie buty.

Pewnego dnia kupiłem Maggie parę takich spodni, wtarłem w nie trochę ziemi, aby wyglądały na znoszone, a następnie wsunąłem je do jej szuflady. Przygotowywała się do pracy w stodole i włożyła je, nie wiedząc o tym. Zapięła i przemaszerowała całą drogę do czajnika z kawą, zanim zaczęła piszczeć. „Dylan Styles! Ty podstępny gadzie. Co to jest?”. A następnie wywróciła się, aż nakryła się nogami, próbując je ściągnąć.

Przekonałem ją, aby je nosiła, ale nie było to łatwe. Teraz zakłada je tylko do czyszczenia chlewu Pinky albo do pracy w ogródku, ale przyłapałem ją pewnego dnia, gdy wybierała się w nich do sklepu. Nic jednak nie powiedziałem, ponieważ gdybym się odezwał, nie byłoby już więcej o tym mowy. Zdjęłaby je od razu i nigdy więcej już nie włożyła. Czasami lepiej siedzieć cicho, gdy ma się rację.

To było jakieś dwa lata temu. Wyglądają teraz na nieźle znoszone, ale myślę, że gdyby była szczerą, co nigdy się nie zdarzy, jeśli chodzi o te dżinsy, to okazałoby się, że je lubi. Mogą nawet być jej ulubioną parą. Według mnie, bardzo jej pasują. Boże, pasują to mało powiedziane. Ale nigdy nie da rai satysfakcji, przyznając mi rację. Śmieszne, jak to działa.

Minał tydzień i moja czwórka plagiatorów wisiała mi swoje eseje. Marvin wszedł do sali pierwszy, usiadł i zaczął dmuchać w dłonie.

- Zimno tu jak na Syberii.

Miał rację. Zima szybko przybrała na sile.

Tuż przed dzwonkiem weszła Koy i cicho usiadła na swoim miejscu. Z okularami na nosie.

Mówiłem o potrzebie nadawania pisarstwu przejrzystości i unikania niechlujstwa, aby do maksimum spożytkować słowa, aby znaleźć złoty środek pomiędzy Hemingwayem a Faulknerem. Słuchali mnie niezbyt uważnie.

Zajęcia się zakończyły, cała czwórka zostawiła swoje prace na moim biurku z uśmiechami od ucha do ucha i wszyscy opuścili salę.

- Koy, mogę cię prosić?

Spojrzała w moim kierunku, zrobiła kilka kroków, a następnie stanęła przy biurku, podczas gdy reszta grupy wyszła z sali.

- Myślałaś, co będziesz robiła po zakończeniu nauki tutaj? Myślałaś może o uzyskaniu dyplomu studiów czteroletnich?

- Trochę - powiedziała, nie dodając nic więcej.

- Cóż, na wypadek gdyby tak było, wybrałem parę twoich prób literackich, kilka zadanych prac i trochę wpisów z twojego dziennika i wysłałem je szefowi Wydziału Anglistyki Spelman College.

- Co pan zrobił? - zażądała wyjaśnień, powoli zdejmując okulary.

- Koy, Spelman to świetna uczelnia. Może okazać się dla ciebie odpowiednia.

- Psorze, to były moje osobiste rzeczy. Myślałam, że powiedział pan, że nikomu ich nie pokaże.

- Masz rację. Tak powiedziałem. Złamałem dane słowo.

- Psorze, dlaczego? Myślałam, że mogę panu zaufać. Koy oparła sobie rękę na biodrze, a jej oczy napełniły się łzami.

- Koy, możesz mi zaufać, że w ciebie wierzę. Wierzę, że posiadasz dar. I jak się okazuje, uważa tak również dziekan Wydziału Anglistyki w Spelmanie. Wyjaśnia to zawartość tej koperty. Spelman udziela każdego roku obiecującym studentom kilku stypendiów pisarskich. Scripps-Howard przekazał im pewną kwotę i wydaje się, że chcą ci trochę z tego dać.

Wzięła ode mnie kopertę i przeczytała list. Dwa razy.

- Czy to jest na serio? - zapytała z niedowierzaniem w oczach.

- Każde słowo - powiedziałem, uśmiechając się.

Koy milczała przez dłuższą chwilę, czytając list ciągle na nowo. A potem, niczym wystrzał z działa, podskoczyła i pocałowała mnie prosto w usta.

- Ups, przepraszam, profesorze. Nie chciałam. Pocałowała mnie w policzek, chwyciła swój plecak i wybiegła z klasy, wrzeszcząc na całe gardło.

Nieco później wbiegła z powrotem do klasy, zrobiła mi wielkiego niedźwiedzia, jeszcze raz pocałowała mnie w policzek i zniknęła. Słyszałem, jak biegnie przez trawnik pod oknem w kierunku grupy dziewcząt tłoczących się wokół automatu z napojami. Po kilku sekundach histerycznej, hałaśliwej przemowy zaczęły skakać naokoło, ścisnąć ją, podając sobie list z rąk do rąk i tańcząc, jak gdyby odkryły skarb gdzieś w Sierra Mądre. Stałem tak przy parapecie i zastanawiałem się, ile już czasu minęło, odkąd przestałem odczuwać potrzebę tańca.

Rozdział dwudziesty trzeci

To był piątek i pozostał już tylko tydzień do końca zajęć. Włożyłem swoje kowbojskie buty, zagwizdałem na Blue, który ścigał właśnie zająca wzdłuż pola kukurydzy, i wskoczyliśmy do trucka. Nie byłem u Bryce'a od paru tygodni. Musiałem złożyć mu wizytę.

Nigdy nie rozmawialiśmy z Bryceem o tym, co stało się u Caglestocka. Nigdy nie poruszaliśmy kwestii związanych z inwestowaniem, pieniędzmi lub czymś w tym rodzaju. Po prostu sprawdzałem, co u niego słychać.

Objechałem miasto, minąłem amfiteatr, przejechałem jeszcze parę kilometrów, skręciłem za róg i zatrzymałem się w bramie do Srebrnego Ekranu, która jak zwykle zamknięta była na łańcuch. Pozostawiłem wóz i wybrałem - jak mnóstwo dzieciaków zrobiło przede mną - drogę pomiędzy drzewami prowadzącą do ogrodzenia.

W piątkowe i sobotnie wieczory miejsce to było niegdyś centrum Digger. Po jednej stronie rozciągała się Sodoma. Po drugiej Gomora. Uniosłem siatkę, razem z Blue prześlizgnęliśmy się pod spodem i dotarliśmy na podjazd przyczepy Bryce'a. Nigdy tego nie zrozumie i nigdy nie będzie to miało dla mnie sensu. Bryce'a stać byłoby na wykupienie całego Digger, a mimo to mieszka w przyczepie. Przynajmniej nikt nie powie, że jest lekkomyślny w wydawaniu pieniędzy.

Na szczycie wzniesienia, zbliżając się do budki z biletami, usłyszałem kogoś bębniącego w coś wewnątrz. Po kilku kolejnych hukach wyłonił się Bryce z młotkiem, śrubokrętem, butelką po płynie do udrażniania rur i akumulatorem.

- Siemanko, Bryce - powiedziałem, cofając się nieco. Bryce rzucił na mnie okiem.

- Dylan - pokiwał głową i poszedł z powrotem do szopy stojącej nieopodal jego przyczepy. Jakiegolwiek powitanie, poza wypowiedzeniem mojego imienia oraz kiwnięciem głową, byłoby z jego strony przesadą.

Właściwie to Bryce był tego dnia ubrany. A to zawsze miło. Za każdym razem, gdy wspinam się na ten podjazd, przygotowany jestem na widok jego nagiej postaci. Niezbyt to ładny obrazek, ale lepiej się na to przygotować. Dzisiaj miał na sobie znoszone szorty z obciętych spodni, podkoszulek, który był kiedyś biały, oraz wojskowe buty. Był bez skarpet i najwyraźniej bez bielizny. Zdradzała to dziura z tyłu jego szortów. Ale należy docenić widoczne postępy. Tym postępowym elementem były buty. Fakt, że były zawiązane i prawie wypastowane, zakrawał na prawdziwy cud.

- Co u ciebie? - zapytałem.

Bryce wszedł do szopy, poszukał czegoś i zaczął miotać ponad swoją głową narzędziami i innymi przedmiotami. - Podaj no mi tę latarkę, doktorku.

Wręczyłem mu lampę, a on zniknął gdzieś głębiej w szopie. Nie wiem, skąd Bryce dowiedział się o moim wykształceniu. Nigdy mu o tym nie mówiłem, a z pewnością nie poruszamy się w tych samych sferach. Myślę, że w ciągu ostatnich ośmiu lat tak naprawdę rozmawiał tylko ze mną, z Maggie oraz panem Caglestockiem. Ale jedno nie ulega wątpliwości: to, że może i jest eksmarines, który po pijaku grywa gdzieś pod gołym niebem na dudach; może i jest, ale wie dużo więcej, niż ludziska spoza kręgu jego prywatnego piekła mogliby przypuszczać. Czasami zastanawiam się, kto tu jest szalony - Bryce czy cała reszta spośród nas.

Wszedł z szopy, trzymając ogromny bezpiecznik i pocąc się obficie.

- Do czego ci to potrzebne? - zapytałem.

Zostawił pozostałe narzędzia, poza butelką po płynie do udrażniania rur, która wsunięta była teraz za jego pas i wyglądała jak kabura.

- Do projektora. - Bryce minął mnie, maszerując idealnym wojskowym krokiem w kierunku budki na projektor.

- Hm, rozumiem. - Bryce miał coś na myśli i żadna rozmowa ze mną, bez względu na jej wagę, nie mogła odciągnąć jego uwagi. - A po co ci wobec tego ten płyn do udrażniania rur?

Bryce zatrzymał się, spojrzął na butelkę zawieszoną na swoim pasku i wydawało się, że dość mocno się nad czymś zastanawia.

- A... to - powiedział i ponownie zaczął maszerować. - Mam w tym benzynę.

- A do czego ta benzyna? Czasami trzeba Bryce'a przycisnąć.

- No - Bryce dotarł do budki na projektor i zaczął wspinać się po schodkach do wnętrza. - Jeżeli bezpiecznik nie zadziała, myślę, że to podpalę.

- O - powiedziałem. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie. - Pot spływał mu po czole. Kapał z dłoni i prawdopodobieństwo porażenia prądem było całkiem spore. - Sam to zrobię.

Widać było, że Bryce nie pił tego dnia. Myślał zbyt trzeźwo. Co miało swoje dobre, ale również i złe strony. Ułatwiało rozmowę, ale zwykle kończyło się jakąś eksplozją, pożarem, albo jednym i drugim. Jeżeli nie dostałby szybko jakiegoś piwa, płomienie były zapewnione.

Bryce wcisnął bezpiecznik do skrzynki na ścianie i uniósł dźwignię przełącznika. Szpula projektora obróciła się i na ekranie pojawił się ledwo widoczny Clint Eastwood. Palił krótkie cygaro i patrzył w kamerę przymrużonymi oczami spod ronda podniszczonego kapelusza.

- Dobry, zły i brzydki - powiedział Bryce, wskazując na ekran. - Szlag to trafił w samym środku, gdy brzydki prowadził Clinta na zatracenie na pustynię. A potem, co za niefart, wysadziło bezpiecznik, no i mnie poniosło. - Bryce splunął. - Trzy dni mi zabrało znalezienie drugiej szpuli, a potem znowu wywaliło bezpiecznik prosto na mnie. To naprawdę się wkurzyłem. - Bryce potarł palcami o uchwyt butelki zwisającej z jego pasa.

- Tak - potwierdziłem. - Wyobrażam sobie.

- Cóż, a może by tak piwko? - zapytał.

- Nie, dzięki - powiedziałem, wyciągając przed siebie rękę. - Jestem w drodze do miasta. Wpadłem tylko, żeby się przywitać.

Bryce spojrział na mnie kątem oka.

- No, jeżeli zmienisz zdanie, to grają dzisiaj Rio Lobo.

Rio Lobo to klasyk z Johnem Wayneem zdecydowanie należący do pierwszej piątki moich ulubionych filmów. Bryce wie o tym. Musiał potrzebować towarzystwa.

- Dzięki - powiedziałem, kiwając głową. - Blue też może wpaść? - z Bryceem nigdy niczego nie można być pewnym.

Spojrzał na Blue, pokiwał potwierdzająco i pomaszerował z powrotem do swojej szopy.

W szpitalu wszystko toczyło się normalnie. Jeżeli można powiedzieć „normalnie” w odniesieniu do szpitala. Ludzie chodzący w białych kitlach wbijający igły innym ludziom, rozcinający ich wzdłuż lub w poprzek i albo wkładający im coś do środka, albo wyjmujący coś na zewnątrz. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Absolutnie popieram szpitale, ale gdy się o tym pomyśli, to... robi się niedobrze. W jakim innym miejscu pozwalamy obcym robić nam to, na co pozwalamy im w szpitalach? Gdzie indziej słowa „opuścić spodnie” lub „zdjąć ubranie” nie budzą perwersyjnych albo seksualnych konotacji, lecz stanowią rutynę? Wszystko, począwszy od robienia nam dziury na czubku głowy lub badania prostaty, poprzez usuwanie zaatakowanego rakiem płuca, aż po wstrzykiwanie silikonu w piersi. Jeżeli Marsjanin przybyłby na Ziemię, miałyby wiele pytań o szpitale.

Blue wszedł ze mną do pokoju Maggie i wskoczył na jej łóżko. Polizał jej twarz i rękę, a następnie zwinął się w kłębek u jej stóp. Przechodziła pielęgniarka, której nie znałem, wsunęła głowę do środka, przeszła wzrokiem Blue i już miała coś powiedzieć, ale spojrziałem na nią wymownie i zniknęła. Nie czepiali się mnie o Blue już od tygodni.

Włosy Maggie były wyszczotkowane, jej pościel i skarpety czyste, żaluzje w oknie odsłonięte do połowy, a pościel Blue było rozłożone i leżało w kącie. Na

stole znajdowało się naczynie z pokruszonym lodem. Nie dla Maggie, oczywiście. Dla mnie, uzależnionego od ssania lodu.

To znowu Amanda. Nic jej nie umknie. Jak taka dziewczyna - prawie w dziewiątym miesiącu ciąży, pracująca na nocną zmianę, z kostkami u nóg opuchniętymi do rozmiarów grejpfruta - robi to wszystko? Nie potrafię zrozumieć.

Siedziałem obok Maggie przez jakąś godzinę i zrelacjonowałem jej bieżące wydarzenia. Opowiedziałem jej, co ostatnio słyshać u Bryce'a, o farmie, zajęciach, a gdy to robiłem, jej oddech przyśpieszył. Jej wargi napinały się, a następnie rozluźniały. Nie był to ciężki lub niespokojny oddech, ale oddech ekscytacji. Powiedziałem jej: „Semestr już się kończy, a college jeszcze mnie nie wyrzucił. Niektórzy moi studenci zaczynają już całkiem nieźle pisać. - Powędrowałem wzrokiem przez drzwi w kierunku dyżurki pielęgniarek. - Amanda zrobiła spore postępy, a ta druga dziewczyna, Koy, ma prawdziwy talent. Urodzona pisarka. Moi futboliści? Cóż, są tacy, jaki byłem ja, gdy chodziłem na takie zajęcia”.

Jej oddech uspokoił się, zadrżał prawy kącik ust i prawy palec wskazujący wyprostował się, a następnie rozluźnił. Blue ułożył głowę na jej nogach, a ja kontynuowałem, trzymając w dłoni jej prawą dłoń: „Przynieśli swoje prace semestralne już prawie dwa tygodnie temu, a zatem będziemy w tym tygodniu zajęci. Dałem im kilka dni wolnego, aby popracowali nad swoim ostatnim zadaniem. Część z nich zasłużyła na to. Inni, cóż...”.

Siedzieliśmy z Maggs w ciszy, a ja obserwowałem jej klatkę piersiową, wznoszącą się i opadającą przy każdym oddechu. Był spokojny, ale głęboki, a jej nozdrza rozszerzały się przy każdym wdechu. Ma piękny nos. Pogłaskałem ją po brzuchu, który jak mówią lekarze, zagoił się, i przysunąłem krzesło do końca łóżka, aby nasmarować jej stopy kremem. Miała wyczyszczone paznokcie. Wymasowałem jej stopy, nałożyłem z powrotem skarpety i wsunąłem moją dłoń pod jej dłoń. Jej prawy palec wskazujący zgiął się ponownie i tym razem nie rozluźnił się. Siedziałem przez kilka minut, przyglądając się temu palcowi. Jej oddech przyśpieszył, a na czole pojawiła się zmarszczka. Po kilku minutach palec zrobił się bezwładny, a oddech zwolnił. Spojrzałem na jej twarz, widząc, że i zmarszczka częściowo ustąpiła.

Ja jestem osobą, która preferuje prysznic, Maggs wręcz przeciwnie. Ma kręcka na punkcie kąpieli w wannie. Jeżeli stać by ją było na tyle gorącej wody, moczyłaby się godzinami, spuszczać wodę i napełniając wannę ponownie wiele razy. Może to cecha kobieca. Poszedłem do łazienki w pokoju Maggs, zamknąłem drzwi, napuściłem trochę ciepłej wody do umywalki, i namoczyłem

ręcznik, aż zrobił się dość ciepły. Następnie ostrożnie, aby nie naruszyć jej wenflonu od kroplówki, cewnika lub płataniny elektronicznych przewodów, zrobiłem Maggie kąpiel. Nie wiem, czy dobrze, czy źle zrobiłem: może po prostu chciałem podotykać swoją żonę. Bez względu na powód, wiem, że gdyby role były odwrócone, chciałbym, aby zrobiła to samo dla mnie. Chciałbym poczuć na sobie dłonie mojej żony. Chciałbym wiedzieć, że tam jest, myśląc o mnie, a jej ręce mogłyby mi to powiedzieć lepiej niż cokolwiek innego, co mogłaby zrobić.

Każdego popołudnia zespół fizjoterapeutów złożony z dwóch pielęgniarek wyglądających tak, jakby miały prowadzić zajęcia z aerobiku, poświęca pół godziny na zginanie i rozciąganie członków Maggie. Coś w rodzaju zajęć z bezwarunkowych ćwiczeń jogi. Ich cel, jak najbardziej słuszny, polega na spowolnieniu nieuniknionej atrofii mięśni u mojej żony.

Ja miałem na celu coś innego. Chciałem po prostu, aby poczuła mój dotyk i wiedziała, że jestem tuż obok, trzymając ją za rękę. „Maggs-szepnąłem, przysuwając nos do jej ucha-możesz obudzić się, gdy tylko tego zechcesz. Nawet jeżeli mnie tu nie będzie. Możesz obudzić się w każdej chwili”.

Wytarłem ją ręcznikiem do sucha, pocałowałem w zmarszczkę na czole, a jej palec objął mój raz jeszcze jakby na znak obietnicy. Pogłaskałem ją po włosach, palec rozluźnił się i razem z Blue wyszliśmy na palcach z pokoju.

Spędziłem popołudnie, pracując na traktorze, który naprawdę potrzebował płynu do udrażniania rur Bryce'a. Nie po to, aby go uruchomić, ale aby go podpalić. Późnym popołudniem przybył bowiem listonosz i zostawił mi miły prezent w postaci wezwania do zapłaty podatku od nieruchomości.

Nadszedł zachód słońca i zastał mnie wracającego wolno znad rzeki na traktorze i ciągnącego przyczepę wyładowaną drewnem. Narąbałem pewną ilość nie dlatego, że Jim Biggins zawiódł z coroczną dostawą, ale dlatego, że spiker od prognozy pogody radził, abyśmy zgromadzili tyle, ile będziemy w stanie znaleźć. Ułożyłem drewno na zewnątrz, wziąłem prysznic, a księżyc przypomniawszy mi o Brysie, więc chwyciłem płaszcz i zabrałem się do wyjścia.

Razem z Blue powędrowaliśmy do ogrodzenia, przeszliśmy pod nim i zastaliśmy Bryce'a siedzącego na krzeselku na widowni i oglądającego Rio Lobo, otoczonego pustymi puszkami po piwie.

- Cześć, doktorku. Siadaj. - Rzucił mi puszkę Old Milwaukee.

Zachichotałem. Myśl, dlaczego na Boga ktoś tak bogaty miałby kupować tak tanie piwo, po prostu nie dawała mi żyć.

Bryce podniósł się, zatoczył nieco, chwycił zardzewiałe krzeselko turystyczne i rozłożył je dla mnie. Ustawił obok swojego, a następnie rzucił mi kolejne piwo, choć miałem jeszcze do wypicia pierwsze.

Film dopiero się zaczynał, Duke, czyli John Wayne, stawiał drinka dwóm żołnierzom Konfederacji właśnie wypuszczonym z więzienia. Bryce uniósł swoje piwo, wymamrotał coś niezrozumiałego, kończąc frazę: „...John!” i wychylił duszkiem wszystko, co zostało w puszcze. Wyrzucił ją za siebie, oderwał kolejną zatyczkę pośród tryskającej piany, a potem rozsiadł się wygodnie z powrotem.

Było zimo. Pewnie jakieś trzy stopnie Celsjusza, a Bryce nie zmienił ubrania od czasu, kiedy odjechałem. Ani nie nałożył na siebie nic więcej, jeżeli już o to chodzi. Wyglądało na to, że był właśnie w trakcie swojego trzeciego sześciopaka, i raczej się nie obijał.

Szpula z filmem kręciła się prawidłowo. Duke dotarł do Blackthorn, wziął udział w karczemnej burdzie i zabrał dziewczynę, która zemdliała. Po odbyciu klasycznej dla Wayne'a przemiany, która nie wymagała wielu słów, była natomiast bogata w język ciała, Duke wraz z połączeniem Francuza i Meksykanina zwanym Frenchy oraz dziewczyną wyruszają za tymi złymi do Rio Lobo. Podczas drogi zatrzymali się na indiańskim cmentarzu, gdzie przyrządzili sobie kolację, wypili, co im zostało z ziołowej nalewki Apaczów, i tak spędzili noc.

Bryce był tam z nimi. Gdy nadszedł czas, aby wymienić szpule, nie był w stanie tego zrobić, a więc wspiałem się na stopnie, zdjąłem pustą, nałożyłem pełną i usiadłem z powrotem na krześle.

Bryce zrobił się sztywny. Zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni. Nie miałbym tyle siły w mięśniach, aby doholować go do jego łóżka, zabrałem więc kilka koców z przyczepy, owinąłem Bryce'a niczym kokon i usiadłem z powrotem na krześle z trzecim piwem. Temperatura jeszcze nieco spadła.

Film skończył się i obudziły mnie miarowe stuki i trzaski końcówki taśmy w kabinie z projektorem. Wyłączyłem więc maszynę i pomyślałem o powrocie do wozu, ale zamiast tego usiadłem z powrotem na swoim krześle i zapatrzyłem się w księżyc. Zdawało mi się, że krążył po dość sporym okręgu, ale w końcu się zatrzymał. Noc była pogodna, mój oddech wyglądał jak dym papierosowy, a zwinięty Blue leżał obok, aby było mu cieplej. Co zaskakujące, Bryce spał cicho. Można by pomyśleć, że taki facet będzie chrapał jak silnik odrzutowca, ale spał dobrze i cicho jak myszka. Kolejna lekcja wyniesiona z Wietnamu, jak sądzę.

- Blue?

Blue zastrzygł uszami. Podrapałem go po głowie i po szyi, a on wsunął mi swoje przednie łapy pod nogę.

- Co ty o tym wszystkim myślisz?

Blue uniósł głowę, spojrzał na mnie, następnie położył mi głowę na udzie i wziął głęboki oddech, kładąc mi na nodze jedną ze swoich łap, jak gdyby chciał mnie zatrzymać.

- Nigdzie nie idę.

Wsunął się z powrotem pod moją nogę, a między łapami usadowił swój nos.

Rozdział dwudziesty czwarty

Dwudziesty trzeci grudnia. Rocznicą naszego ślubu. Wydawało się, że to jakiś inny świat oraz dwoje innych ludzi. Narąbałem sporo drewna na opał, aby kupić Maggs ten brylant.

Nigdy nie poznałem jej mamy, ponieważ jej rodzice rozwiedli się, gdy miała osiem lat, i Maggs nie rozmawiała z nią od ukończenia dwunastu lat. Jej tata to był twardy orzech do zgryzienia. Kochał Maggs i mnie także, jak sądzę, ale zawsze spoglądał na mnie nieufnie. Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek mi zaufał.

Gdy wybrałem się do niego poprosić o jej rękę, usiadł przede mną za swoim biurkiem, w białej koszuli oraz jaskra-woczerwonym krawacie, i powiedział:

- Tak, D.S., możesz ją poślubić. Oczywiście. Ale martwię się o was oboje. Ten świat, tam, jest bezlitosny, a ty nie zdecydowałeś się jeszcze, co będziesz robił. Z czego zamierzasz ją utrzymać? Czasami... - przerwał. - Zastanawiam się, czy masz w sobie wystarczająco dużo ikry.

Dwa lata później umarł.

Za pieniądze zaoszczędzone na rąbaniu drewna kupiłem brylant, a kilka tygodni później wyszukałem starą platynową oprawę na wyprzedaży staroci. Pewien jubiler połączył mi jedno z drugim i włożyłem całość do pudełka.

Jednego wieczoru, późnym latem, poszliśmy z Maggs nad rzekę w świetle księżyca. Było gorąco, ale mnie było zimno i zauważyła, że trochę nie idzie mi rozmowa. Porozmawialiśmy o błahostkach, ale nie było ze mnie pożytku. W końcu w drodze powrotnej przez pole kukurydzy dłonie pocily mi się tak bardzo, że musiałem coś zrobić. Nie wiedziałem, jak zacząć. Jak niezbyt rozgarnięty. Sięgnąłem do kieszeni, chwyciłem ją za rękę, próbowałem coś powiedzieć, ale nie byłem w stanie. A więc po prostu uklęknałem. Właśnie tam, pośrodku pola kukurydzy.

Zachichotała. Otworzyłem pudełko, a ona rozpromieniła się niczym rój światełek.

- Dylanie Styles! - wykrzyknęła. - Skąd to masz? Sam go wybrałeś? Co ty w ogóle robisz?

Delikatnie ująłem raz jeszcze jej dłoń, jakbym chciał ją uspokoić.

Oczy Maggs wypełniły się łzami i pokiwała głową: - Tak.

Wsunąłem pierścionek na jej palec i według mojej wiedzy jedynym momentem, kiedy opuścił on to miejsce, był dzień naszego ślubu. A stało się tak tylko po to, abym mógł go jej ponownie założyć.

Wróciliśmy nad rzekę i usiedliśmy na brzegu, rozmawiając o życiu. Gdzie zamieszkać. Ile będziemy mieć dzieci. Jak będą mieć na imię. Jakie kwiaty zasadzi na podwórku. To była jedna z najszcześniejszych nocy w moim życiu. Następnego ranka, gdy słońce wzeszło nad rzeką, nadal siedzieliśmy na brzegu, rozmawiając.

W końcu poszliśmy z powrotem przez pole kukurydzy i zadzwoniliśmy do Amosa. Powiedział: „Cóż, trwało to już dość długo”.

Pobraliśmy się sześć miesięcy później. Było to dziewięć lat temu, licząc od dzisiaj.

Maggie spała, gdy wszedłem. Blue tracił jej rękę, a następnie zajął swoje miejsce u stóp. Przesunąłem krzeselko na prawą stronę łóżka, tym samym znalazłem się po lewej stronie Maggie. Usiadłem i ująłem jej dłoń, na której spoczywał pierścionek. Był to pierwszy raz, kiedy usiadłem po tej stronie łóżka, od czasu porodu. Nie wiem dlaczego. Nigdy o tym nie myślałem. Po prostu kwestia przyzwyczajenia, jak sądzę.

Delikatnie wsunąłem swoją dłoń pod jej dłoń i zacząłem ją masować. Długi, piękny, szczupły nadgarstek Maggie nie wyglądał odpowiednio owinięty szpitalną opaską. Wyjąłem więc swój scyzoryk, ten z żółtą rączką marki Case, który należał kiedyś do Papy, i odciąłem tę opaskę. Musnąłem jej palce i obracałem pierścionek wokoło jednego z nich, gdy siedzieliśmy tak w ciszy. Obracając go, zauważyłem, że coś było nie tak. Brylant nie mienił się. Ująłem go pod światło, ale wciąż bez blasku. Można było odnieść wrażenie, że brylant stał się martwy. Przesuwając go bliżej, zauważyłem czerwony nalot na górnej i bocznej powierzchni brylantu. Może również i na spodzie.

Zsunąłem pierścionek zaręczynowy z jej palca i przemyłem pod kranem odrobiną ciepłej wody z mydłem. Gdy go myłem, małe drobiny krwi odkleiły się i opadły na dno umywalki. Sięgnąłem do szuflady przy łóżku po jej szczoteczkę do zębów, nałożyłem na nią trochę pasty i zabrałem się do roboty. Następnie przemyłem pierścionek pod wodą, która była tak gorąca, że parzyła. Po wyszczotkowaniu i wypłukaniu wysuszyłem go. Nie było teraz potrzeby obracania go pod światło. Usiadłem przy Maggs, delikatnie ująłem jej dłoń i wsunąłem pierścionek na palec.

- Maggs - delikatnie przyłożyłem swój palec do zmarszczki na jej czole. - Maggie - zmarszczka zniknęła. - Wiem, że dzieje się tam u ciebie w środku bardzo wiele, ale chcę, abys posłuchała mnie przez chwilę. Obudź się dla mnie. Wracajmy do domu. Ty i ja. Wstańmy i chodźmy stąd. Cokolwiek się wydarzyło, już po wszystkim - zamilkłem. - W domu jest tak pusto. Widzisz... - uniosłem rękaw, zerwałem bandaż i przyłożyłem jej dłoń do mojej ręki. Jej palce

oparły się na strupie i bliźnie na moim lewym przedramieniu. Zmarszczka powróciła. - Kochanie, potrzebuję cię... potrzebuję nas oboje.

Położyłem swoją głowę obok jej ręki, pocałowałem ją w palce i zamknąłem oczy.

- Dziecinko, nie mogę pójść tam, gdzie jesteś. Będziesz więc musiała przyjść do mnie.

Rozdział dwudziesty piąty

Dzień Wigilii był zimny, pochmurny i zapowiadało się na śnieg. Było prawdopodobnie nieco poniżej zera, ale kto by tam liczył? Myślę, że chłód wiatru był tego dnia całkiem spory.

Maggie kocha święta Bożego Narodzenia. Zawsze wyrażał to również nasz dom: stroiki, świece, skarpety, zapach choinki. I nigdy nie pozwalała nam wykręcić się sztucznym drzewkiem. W zeszłym roku zawiesiliśmy na choince tyle sznurów lampek, że gdy przyszło ją rozbierać, nie potrafiliśmy tego zrobić. Skończyło się na zdejmowaniu całego przybrania naraz, pozostawieniu siedemnastu sznurów lampek na trzymetrowym drzewku i na holowaniu wszystkiego do asfaltowej drogi, aby móc to stamtąd zabrać. Choinka za trzydzieści cztery dolary oraz oświetlenie warte pięćdziesiąt cztery. Maggie nie zadowalało nic innego.

- Nie można mieć choinki - powiedziała - jeżeli nie zamierza się zawiesić na niej lampek.

- Tak - odparłem - ale, kochanie, my nie ubieramy choinki. Polisa przeciwpożarowa będzie nas kosztowała po pięć dolarów za noc. Licząc od teraz, zanim ją rozbierzemy, wyniesie nas to sto pięćdziesiąt dolarów.

Zaśmiała się, zatrzepotała rękami i powiedziała: ~ Wiem o tym, ale są święta.

To „ale są święta” naprawdę sporo nas kosztowało. A zakupy? Przysięgam, że gdyby Tadž Mahal był na sprzedaż, a Maggie wiedziałaby, że jest ktoś, kto bardzo chce to mieć, wymyśliłaby sposób, jak to zdobyć. Słyszę, jak mówi: „Ale kosztowało tylko 90 milionów. 50% rabatu!”.

W naszym domu zawsze było czysto, ale ja dokładałem wszelkich starań, aby go zabrudzić. Zostawiałem bieliznę na podłodze, deskę klozetową podniesioną, odkręconą zakrętkę od tubki z pastą do zębów, książki tam, gdzie skończyłem je czytać, buty tam, gdzie je zdjąłem, otwarte drzwi do spiżarki. Maggie była inna. Gotowaliśmy kolację, a ona zdążyła już pozmywać i odstawić naczynia, zanim jeszcze skończyliśmy jeść. Kuchnia wyglądała, jakby nigdy nas tam nie było. Czasami w nocy wstawałem z łóżka, żeby pójść do łazienki, i mogło mnie nie być może pół minuty. Gdy wracałem, łóżko było już poprawione.

Dom Papy i Nanny to nic nadzwyczajnego. Gdy pominąć moje romantyczne opisy, to zasadniczo stary dom farmerski ze skrzypiącymi podłogami, wbudowanym wywietrznikiem, powyginanymi sufitami, zardzewiałym dachem oraz czterdziestoma warstwami popekanej i odłóżanej farby. Ale to nie zniechęciło Maggie.

Nasz trawnik przed domem wyglądał, jak gdyby Martha Stewart zatrzymała się tutaj w drodze na południe. Wszędzie rośliny. Kolory? Są kolory. A zapachy? Jeżeli stoi się z wiatrem, prawie że nie czuć Pinky. Maggie ma taką smykałkę do zieleni, że dać jej zeschnięte gałęzie, pół kubka wody, trochę tego tajemniczego soku, który warzy w stodole, trzy dni i czary gotowe! Wszystko kwitnie. Widziałem, jak ta kobieta zabiera się za martwą paproć - mówię o takiej, co to się kruszy, gdy wziąć ją do ręki - a za tydzień trzeba ją dzielić i przesadzać.

Nieobecność Maggie w naszym domu w Boże Narodzenie była bardziej widoczna niż kiedykolwiek indziej. Nie zbudowałem żadnego ogniska i nie zamierzałem tego robić. Nie ma potrzeby podkreślać tego, co jest oczywiste. Na podwórku panował bałagan. Pieniły się chwasty. Dom znajdował się w nieładzie. Z brudnym praniem było, cóż, jak z chwastami. Gdybym nie wiedział dobrze, jak było, powiedziałbym, że w moim domu mieszka jakiś student.

Wiatr bił w metalowe dachówki, a gdzieś na zewnątrz hałasowała Pinky. Blue leżał zwinięty przy kominku.

- Jak nie przestaniesz, to możesz pójść na dwór - powiedziałem.

Położył sobie przednią łapę na nosie i spoglądał na nią kątem oka. Jego ogon pozostawał nieruchomy.

Musiałem pojechać do szpitala, ale dziś było to trudniejsze niż zwykle. Wziąłem prysznic, włożyłem ubrania, które miałem na sobie już wiele razy, i skierowałem się do wyjścia. Blue czekał na mnie przy drzwiach, gdzie spotkaliśmy się, gdy popchnąłem je, otwierając. On wie najlepiej. Razem wsiedliśmy do zimnego trucka i ruszyliśmy w kierunku miasta. Mijając Srebrny Ekran, naturalnie wspomniałem Bryce'a. Chciałem zatrzymać się i wpaść do niego. „Nie, w drodze powrotnej od Maggie”, wymamrotałem do siebie.

Zaparkowaliśmy przy szpitalu, który wyglądał na opuszczony, i skierowałem się do wejścia. Maggie była w swoim pokoju, dokładnie tam, gdzie ją zostawiłem. W powietrzu poczułem perfumy Amandy. Co ona tam robiła, pracowała W Wigilię?

Stanąłem przy łóżku i ująłem Maggie za jej ciepłą, piękną, elegancką dłoń. Tego dnia siedziałem mniej, więcej się Przechadzałem. Albo wyglądałem przez okno, od czasu do czasu coś mówiąc i oglądając się przez ramię. Maggie to rozumie. Nie mogłem usiedzieć spokojnie w domu, Dlaczego tutaj ma być inaczej?

Stojąc przy oknie, usłyszałem za sobą kroki. Amanda robiła się naprawdę duża, a jej chód zamienił się w charakterystyczne szuranie. Nabrała już pełnych kształtów kobiety w zaawansowanej ciąży. Co jest piękne.

Mam doświadczenia z jedną tylko kobietą w ciąży. To znaczy takie doświadczenia, które się naprawdę liczą. I nie powiedziałbym tego wcześniej, ale niewiele znam piękniejszych widoków niż ten mojej ciężarnej żony wychodzącej spod prysznic lub stojącej przed lustrem i pytającej mnie, czy uważam, że jest gruba. Nie było nigdy nic bardziej urzekającego niż obraz mojej żony noszącej mojego syna. Jeżeli ktoś nie kochał nigdy kobiety w ciąży, wówczas tego nie zrozumie, ale jeżeli tak, to będzie wiedział, o czym mówię i że mam rację.

Nie obróciłem się.

- Dzień dobry, Amando.

- Dzień dobry, profesorze. Wesołych świąt. Obejrzałem się i spojrzałem na nią.

- Ładnie wyglądasz. Jakies nowe rozporządzenia co do stroju dla tych, co pracują w dni wolne?

Miała na sobie codzienne ubranie, a nie strój szpitalny, do którego się już przyzwyczailem.

- O, ja dzisiaj nie pracuję. Wpadłam tylko w drodze do mamusi. - Zamilkła. - Mojej babci.

- Rozumiem - powiedziałem, odwracając się ponownie do okna.

- Profesorze, czy ma pan jakieś plany na dzisiaj?

- Posłuchaj, Amando - wyciągnąłem przed siebie rękę. - Nie kombinuj. Blue i ja spędzamy Wigilię tutaj z Maggie. Ostatnio przez twoje intrygi skończyłem dość kiepsko, ośmieszając się przed twoim tatą i całym jego Kościołem.

Nie dzisiaj. Nie ruszam się stąd. Ale dziękuję ci za wszystko, w co chciałaś mnie wrobić - uśmiechnąłem się.

- Profesorze - ripostowała - nie ośmieszył się pan. - Jej oczy zdradzały ekscytację. - Tatuś prosił mnie, abym zaprosiła pana do kościoła. Powiedział, że chciałby, aby przyszedł pan ponownie.

- Tak, żeby mógł dręczyć mnie swoimi kazaniami o siarce, zamiast otworzyć okna i porządnie wywietrzyć? Nie, dzięki. Twój tata jest dobrym kaznodzieją i dobrym człowiekiem, ale ja mówię: stop.

Mój głos złagodniał i odwróciłem się, aby spojrzeć na Maggs.

- Twój tata nie potrzebuje moich wątpliwości w swoim Kościele. A i sam Kościół również.

Wyraz twarzy Amandy mówił, iż dziewczyna zdaje sobie sprawę, że podąża donikąd. Otworzyła szufladę przy łóżku i wyjęła z niej szczotkę. Delikatnie gładziła i czesała włosy Maggie. Gdy to robiła, uderzyło mnie, jak bardzo urosły jej włosy. Pewnie ze dwa lub cztery centymetry.

- Skąd jest ta szczotka?

- O, kupiłam ją. W sklepie z rzeczami za dolara. - Amanda nie odwróciła wzroku.

Poszperałam w kieszeni i wyjąłem z niej garść drobnych banknotów i monet.

- Ile kosztowała?

- Profesorze - Amanda spojrzała prosto na mnie i oparła sobie ręce na biodrach. - Jest Wigilia. Nie płaci się ludziom za prezenty, które się od nich dostaje. - Opuściła głowę i dalej zajmowała się Maggie.

Usiadłem obok łóżka i wsunąłem swoją dłoń pod dłoń Maggie. Amanda skoncentrowała wzrok na mojej Biblii.

- Widzę, że przyniósł pan tu ze sobą coś do czytania. Trochę zakurzone, prawda?

- Ta... tak się dzieje, gdy się tego nie czyta - powiedziałem, patrząc na wypłowiałą okładkę.

- Uhm - stwierdziła tak, jakby miała w zanadrzu jakiś' dalszy komentarz, ale zdecydowała się zatrzymać go dla siebie. Zakończyła czesanie, gdy na zewnątrz rozpadał się śnieg. Ciężkie, grube płatki zaczęły przylegać do szyby.

Siedzieliśmy w ciszy przez parę minut. - Jak sobie radzisz? - zapytałem. - Mam na myśli dziecko i w ogóle. Co mówią lekarze?

- Mówią, że jest duże, a ja jestem mała. Mówią, że powinnam pomyśleć o cesarskim cięciu. To myślę. Nie mam nic przeciwko samej idei. Nie jestem tylko pewna, czy chcę mieć zamek błyskawiczny na brzuchu - wykonała ruch w kierunku swojego brzucha i uśmiechnęła się.

Ja się zaśmiałem. Po raz pierwszy zaśmiałem się w pokoju Maggie. Amanda również. Właściwie to zachichotaliśmy. To przypomniało mi o Maggie.

Na zewnątrz śnieg padał coraz mocniej. Wewnątrz zaległa ciepła i pełna spokoju cisza. Milczenie po prostu odpowiadało całej naszej trójce. Po jakimś' czasie Amanda podniosła się ze swojego krzesła i cicho odsunęła je pod ścianę.

- Proszę uważać na panią Maggie - zwróciła się do mnie, stojąc w drzwiach. - Panie profesorze? - jej spojrzenie badało moją twarz i wwiercało mi się do wnętrza głowy - nie musi pan świętować Bożego Narodzenia, aby rozmawiać z Bogiem.

Pokiwałem głową. Amanda wyszła, a ja i Blue dalej siedzieliśmy z Maggie. Po jakiejś godzinie zadzwoniłem po pielęgniarkę.

- Tak - warknęła przez interkom, jakbym przerwał jej drzemkę.

- Hm... czy wie pani, który fragment Biblii mówi o narodzeniu Jezusa? No wie pani, Maryja, Józef, że „nie było miejsca w gospodzie”, mędrcy...

- Łukasz, rozdział drugi - odpowiedziała natychmiast.

- Dziękuję - powiedziałem, zastanawiając się, skąd ona to wie. Kartkowałem, szukając Ewangelii według św. Łukasza. Dwa razy ominąłem właściwe miejsce, nim trafiłem na rozdział drugi.

Maggie opowiadała mi, że jej tata czytał jej historię o narodzeniu Chrystusa, gdy kładł ją do łóżka w wigilijny wieczór. Unosząc cienkie kartki pod światło, przeczytałem jej tę historię na głos. Gdy skończyłem, kącik jej prawego oka zrobił się wilgotny, ale oddech był wolny i spokojny.

Maggie leżała wygodnie. Przyłożyłem dłoń do jej zaróżowionych policzków i poczułem ciepło jej twarzy. Przez kolejną godzinę razem z Blue siedzieliśmy przy niej w ciszy, oglądając śnieg opadający na dęby i drzewa magnolii. Gdy wstałem w końcu, aby wyrzeć przez okno, śnieg przykrywał już wszystko w zasięgu wzroku.

Była dziesiąta, gdy wyszedłem. Uścisnąłem jej dłoń i pocałowałem delikatnie. Usta Maggie były ciepłe i miękkie. Do pokoju wpływał osobliwy pomarańczowy blask rzucany przez jedyną latarnię na parking.

- Maggie - szepnąłem. - To wszystko... nie jest niczyją winą. Tak po prostu jest. - Potarłem jej nos o swój. - Kocham cię, Maggs... całym sobą.

Razem z Blue przeszliśmy korytarzem pogrążonym w ciszy. Z dyżurki pielęgniarek dobiegało światło. Pielęgniarka z nocnego dyżuru czytała „Enquirer”, sięgając co i rusz do torebki po serowe chrupki.

Gdy szedłem korytarzem, po raz drugi uderzyło mnie to, że rzeczywiście śmiałem się w pokoju Maggs. Śmialiśmy się oboje z Amandą. I dobrze mi to zrobiło. Być może pod całym tym całunem snu i ciężkich powiek Maggie po prostu potrzebowała odgłosu mojego śmiechu. Ostatni raz naprawdę się śmiałem na kilka godzin przed przybyciem na porodówkę - kilka chwil przedtem, zanim grunt usunął mi się spod nóg.

Gdy wychodziłem przez izbę przyjęć, minąłem kontuar, gdzie znajdowało się radio trzaskające odgłosami działań policji i pogotowia. Służyło za centrum kierowania służb ratunkowych. Dostarczało także w pewnym sensie rozrywki dla zgromadzonych w poczekalni. Poprzez zamieszanie w eterze usłyszałem spokojny głos Amosa, który meldował, że znajdował się właśnie na zachód od Johnsons Pasture i zmierzał z kimś do szpitala.

Nie było w tym niczego niezwykłego. W ciągu tygodnia Amos wykonywał prawie tyle samo kursów do szpitala co do aresztu. Zwykłem mawiać więc do niego: „Wiesz, Ebony, jeżeli nie będzie ci się układało w pracy w biurze szeryfa, możesz od razu wskoczyć na miejsce kierowcy karetki pogotowia. Znasz przecież już całą procedurę”.

Nigdy nie uważał, aby było to śmieszne. Proszę bardzo, oto Boże Narodzenie, a on transportuje prawdopodobnie jakiegoś pijanego, który wypił o jednego za dużo podczas świątecznej kolacji, wdał się w bójkę i potrzebuje paru szwów. Gdybym ja był na miejscu Amosa, wpakowałbym skurczybyka do aresztu, owinąłbym mu głowę jakimś bandażem i zostawił, aby to odespał. Ale nie Amos.

Jeżeli znajdował się na zachód od Johnsons Pasture, to oznaczało, że był na drodze 27. I kierując się na wschód, będzie na izbie przyjęć za jakieś dziesięć minut. Nie czułem się na siłach, aby odpowiadać dziś wieczór na te jego wszystkie pytania, minęliśmy więc razem z Blue rozsuwane drzwi i wyszliśmy na chodnik. Gdy zrobiłem krok na zewnątrz, moje nogi poleciały w górę i znalazłem się na ziemi, prawie że łamiąc sobie kość ogonową. Spora warstwa lodu pokrywała bowiem chodnik. Podciągając się na maszcie flagi, rzuciłem mięsem i roztarłem sobie tyłek, mając nadzieję, że nikt nie widział mojego salta. A zwłaszcza pani Chrupka Serowa. Blue stał nieopodal, przyglądając mi się podejrzliwie.

Parking był pusty, gdy uruchomiłem swoją półciązarówkę. Nawet na takim zimnie stara odpaliła bez marudzenia. Im jest starsza, tym więcej spala, ale i tak udało się Chevroletowi to auto. Wskazówka poziomu paliwa skakała na granicy bezpieczeństwa, ale chyba wystarczy, abym dojechał do domu.

Wycofałem spod szpitala, nacisnąłem gaz i tylna część trucka wyskoczyła spode mnie, obracając nas o 180 stopni: „Już drugi raz - szepnąłem do siebie. - Lepiej zwolnij”.

Pięć kilometrów za miastem brnąłem wolno w kierunku zachodnim drogą okręgową numer 27. Na drodze znajdowało się sporo śniegu, a temperatura spadła do minus dwóch stopni. Z obiema rękami na kierownicy, wpatrując się w drogę na wypadek niebezpieczeństwa, błądziłem gdzieś myślami. Czekał na mnie pusty i zimny dom - był przede mną - w którym spędzę białe święta. Za mną, coraz dalej ode mnie, w szpitalu, leżała Maggie. A pośrodku znajdowałem się ja.

Na samotnym pustkowiu.

Nigdzie mi się nie śpieszyło, wcisnąłem więc drażek na wolny bieg i powoli podążałem poprzez pokryte śniegiem pastwiska. Wjechałem na wzgórze, a potem dobiłem do przeciwległego stoku, wykorzystując silnik jako hamulec. Mniej więcej w połowie drogi na dół dotarłem do przejazdu kolejowego, gdzie osiemdziesiąt lat wcześniej chińscy emigranci kładli tory dla kolei Union Pacific.

Śnieg okrywał przednią szybę niczym koc. Włączyłem wycieraczki na tryb „intensywny”, ale wciąż nic nie widziałem. Gdy podskakiwałem na torach,

kątem oka uchwyciłem światło. Jechałem tylko z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę, zwolniłem więc, zatrzymując się po drugiej stronie torów, i opuściłem boczną szybę. Spoglądając w dół

zbocza w kierunku światła, wyteżyłem wzrok poprzez zimną zasłonę bieli, która biła po twarzy. Błysk wyglądał na tylne światła samochodu. Tyle że w tym miejscu nie powinno być żadnych świateł, a tym bardziej samochodu. Myślę, że dlatego właśnie zwróciłem na to uwagę.

Zasuwałem szybę, podczas gdy wiatr wirował wokoło. Na chwilę jednak osłabł i zauważyłem bez żadnych wątpliwości, że to było tylne światło samochodu. Leżał na dnie rowu, a jego tył wystawał jakieś dwa metry nad ziemią. To oznaczało, że samochód, furgonetka czy cokolwiek w tym rodzaju, leżał do góry kołami z maską w rowie. Zaparkowałem na poboczu, nie wyłączając silnika. Wzrok Blue podążał za mną, gdy wychodziłem na zewnątrz, ale trzymał swój nos wciśnięty pod łapę i nie ruszał się z podłogi po stronie pasażera.

Wchodząc w śnieg, postawiłem sobie kołnierz dżinsowej kurtki, przeszedłem przez tory i stanąłem na pasie bezpieczeństwa po stronie drogi w kierunku wschodnim. Tylne światła jarzyły się intensywnie, tworząc wokół samochodu małą aureolę. Na śniegu obok pojazdu leżały jakieś części, które wyglądały jak niebieskie plastikowe koguty policyjne znajdujące się wcześniej na dachu wozu. Przechylając się na bok, zobaczyłem odwrócony do góry nogami lustrzany napis na tyle samochodu: „Biuro Szeryfa Okręgu Colleton”.

Upadłem na tyłek i zjechałem szybko po zboczu rowu. Miałem zamiar zsunąć się w kierunku samochodu, używając obcasów jako hamulców, ale mróz i wiatr zamieniły pokryty śniegiem brzeg rowu w wielką taflę lodu.

Moje zejście było więc szybkie i bolesne. Nie mogłem się zatrzymać, zwolnić ani manewrować w lewo lub prawo. W połowie drogi na dół uderzyłem w niewielki wał, co spowodowało, że moja głowa poleciała do przodu i zacząłem koziółkować niczym ludzka śnieżna kula. Zyskując na prędkości, minąłem auto Amosa i walnąłem głową o zbocze rowu. Plusk wody zaskoczył mnie, ale nie tak bardzo jak jej chłód. Po ułamku sekundy chciałem się już tylko z niej wydostać.

Oparłem się butami o błoto pode mną i chwyciłem się brzegu. Podciągając się na śniegu i zamarzniętej trawie, zarzuciłem stopy na brzeg, napałem i dosięgłem ramy okiennej auta. Spoczywało na krawędzi rowu i każde jego okno było stłuczone. Jeszcze parę centymetrów, a woda zaczęłaby się wlewać do środka. Wciągając się na brzeg, nie miałem czasu myśleć o zimnie, ponieważ wpadłem na ciało, które wydawało się należeć do dużego, nieprzytomnego człowieka, leżącego teraz na śniegu. Gdy spojrzałem na jego twarz, przeraziłem się.

- Amos!

Jego szkliste oczy wpatrywały się we mnie. Był mokry, twarz miał porozbijaną i zakrwawioną. Co dziwne, nie drżał. Nie mówiąc ani słowa, wolno podniósł lewą rękę, pstryknął włącznik swojej latarki i skierował ją w stronę okna dla kierowcy. Światło kołysało się i widziałem, że ciężko było mu zachować przytomność. Na miejscu pasażera znajdowała się pozwijana plątanina długich, ciemnych, mokrych włosów zwisająca w dół. Bez wątpienia pijany imprezowicz lub imprezowiczka Amosa.

- To wszystko dla pijaczyny... - Chwyciłem za latarkę i przedostałem się dookoła na drugą stronę wozu. W tym czasie auto osunęło się parę centymetrów dalej do rowu i woda z wolna zaczęła wpływać do środka, zalewając to, co wcześniej było sufitem. Skierowałem światło na krwawą, nabrzmiałą twarz pasażera. Dostrzegłem, że to kobieta. Miała zamknięte oczy, a jej ręce zwisały bezwładnie poniżej głowy. Odgarniając włosy, wolno pochyliłem się na bok, próbując dojrzeć to, na co patrzyłem.

Amanda.

- Amos! Co do...

Nie wiem, jak długo była nieprzytomna, ale w świetle latarki jej twarz wyglądała na siną i mocno opuchniętą. Szyba po stronie pasażera również była rozbita i drobne fragmenty szkła przecinały jej twarz. Zresztą, wszędzie leżało szkło. Jeżeli jeszcze żyła, musiała natychmiast znaleźć się poza samochodem, ponieważ za kilka minut jej głowa znajdzie się pod wodą. Sięgnąłem do środka, objąłem ją za szyję i zacząłem badać puls. Był wolny i słaby. Ale dało się go wyczuć.

- Amos? - powiedziałem, truchtając z powrotem wokoło auta.

Jego oczy były nadal zamknięte i nie ruszał się. Oddychał wolno, płytko i najwidoczniej sprawiało mu to ból, bo za każdym razem, kiedy próbował wciągnąć powietrze głębiej, na jego twarzy pojawiał się grymas. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że ma złamane dwa lub trzy żebra.

Zaglądając do auta, zobaczyłem, że poduszka powietrzna zwisała bez powietrza, a kierownica wygięta była w miejscu, gdzie trzymał na niej dłoń. Na tylnym siedzeniu znajdowała się zwykle torba, którą zabierał do pracy. Leżała teraz na suficie-podłodze - zanurzona już w wodzie jakieś pięć centymetrów. Wyciągnąłem ją i zajrzałem do środka, gdzie znalazłem kilka szarych podkoszulków. Owinąłem mu jednym z nich głowę i korzystając ze śniegu, ułożyłem ją nieco wyżej.

Amos spojrzał na mnie szklanymi oczami, które uciekały do tyłu pod powieki.

- Hej, stary - powiedziałem, poklepując go po twarzy - zostań ze mną.

Podobnie jak cała jego twarz, mundur Amosa poplamiony był krwią, krwią zaczął nasiąkać także szary podkoszulek.

Na domiar złego zaczynałem odczuwać zimno, a moje palce stawały się sztywne i bezużyteczne.

Chwyciłem za radio na ramieniu Amosa i wcisnąłem guzik nadawania:

- Jest tam kto?... Centrala... Jest tam kto?... Tu Dylan Styles. - Zamknąłem oczy, aby pomyśleć. - Znajduję się przy torach kolejowych w Johnson s Pasture. Amos miał wypadek.

Co to za droga? No dalej, Dylan, myśl.

- Droga okręgowa numer 27 - nadawałem. - Potrzebujemy karetki! Natychmiast. - Odłożyłem radio i ująłem głowę Amosa swoją lewą ręką. - No, dalej, stary, skoncentruj się.

Nadajnik zatrzeszczał:

- Powtórz, Dylan. Tutaj Shireen. Odezwij się, Dylan. Ponownie chwyciłem za mikrofon i wcisnąłem guzik połączenia. Tym razem krzyczałem.

- Shireen, przyślij karetkę. Amos jest ciężko ranny. Razem z nim Amanda Lovett. Tory kolejowe na 27. Shireen, przyślij karetkę.

Shireen powiedziała coś, ale nie usłyszałem, ponieważ byłem zbyt zajęty, ciągnąc za drzwi po stronie pasażera. Zaklinowały się. Delikatnie poklepałem Amandę po policzku.

- Amanda. - Tym razem uderzyłem mocniej. - Amanda, pomoc jest już w drodze. Trzymaj się. Pomoc jest już w drodze.

Żadnej reakcji. Sięgając do szyi, raz jeszcze sprawdziłem jej puls. Nadal można było go wyczuć, ale słabo.

Śnieg nadal padał mocno. Sądząc po widoku samochodu, musieli wiele razy dachować. Potrzebowałem łomu, aby wydostać Amandę na zewnątrz, przeszukałem więc bagażnik, który dyndał otwarty. Wyszarpnąłem z niego lewarek, wsunąłem go w szczelinę drzwi i napałem mocno. Drzwi nadal się nie poruszyły, poruszył się jednak samochód. Zsunął się kolejne parę centymetrów do wody. Napałem mocniej i Amanda zakołysała się w swoich pasach. Jej ręce wciąż bezwładnie zwisały poniżej głowy.

- No, dalej! Otwórzcie się! - Napałem na nie z całej siły. - Proszę, nie róbcie mi tego. - Drzwi strzeliły, odchyliły się kilka centymetrów i znieruchomiały. Gdy napierałem, samochód osunął się o kolejne pół metra do rowu, pociągając mnie ze sobą w dół do wody, w której zimno raz jeszcze odebrało mi oddech. Gdy się wyprostowałem, woda zakrywała już jej rącz. Jeszcze trochę, a pod wodą znajdzie się jej głowa. Odrzuciłem lewarek, wsparłem nogę o bok samochodu i pociągnąłem drzwi gołymi rękami.

Bez rezultatu.

Z narastającym zdenerwowaniem zacząłem walić w drzwi lewarkiem. Ale miałem skostniałe palce, nie czułem stóp i kończyły mi się pomysły oraz czas. Zacząłem zatem machać lewarkiem najmocniej, jak mogłem. Chyba za szóstym razem wyslizgnął mi się z rąk, odbił się od ramy karoserii i pomknął poprzez ciemność, wpadając do wody parę metrów dalej. Przepadł. Znajdowałem się teraz prawie do pasa w wodzie bez niczego, o co mógłbym się oprzeć, bez czucia w stopach i z coraz mniejszą kontrolą nad mięśniami.

Zaglądając z powrotem do auta, widziałem ręce Amandy coraz głębiej zanurzone w wodzie, która sięgała już czubka jej głowy. Nie wiem, czy sprawił to widok Amosa, pokaleczonego i zakrwawionego, widok Amandy, sinej, bezwładnej i nieprzytomnej, myśl o mojej żonie, leżącej tam na łóżku od czterech miesięcy, myśl o moim synu, leżącym w zimnej, ciemnej skrzynce, czy myśl o sobie samym w samym środku tego wszystkiego, ale gdzieś tam załamane się.

Zacząłem cicho i gardłowo. Szybko przyszedł gniew, agresja i wszystko, co we mnie tkwiło. Śnieg zacinał w plecy, odwróciłem się, żeby stawić mu czoła.

- Gdzie jesteś? - Wymachując na śnieg, czułem, że stoję po pierś w lodowatej wodzie. - No, gdzie? Może jesteś w tamtej rzece i patrzysz na chrzest, a może wiesz na ścianie, przyglądając się, jak te kołki podchodzą, aby przyjąć komunię, co? Ty, w każdym z tych strzelistych, porośniętych winem pałaców, wybudowanych z krwawicy tych, co tak Ci ufają, gdzie jesteś teraz? Zostawiłeś Amandę na sześć dni nagą i przywiązaną do drzewa. Zostawiłeś mnie samego w kałuży na posadzce porodówki, a teraz też Cię tu nie ma!

Kopałem wodę i krzyczałem najgłośniej, jak mogłem:

- Dlaczego mi nie odpowiesz?

Wiatr wzmógł się, a śnieg zaczął padać jeszcze mocniej.

- Nie waż się teraz rozłączać! O, nie. Nie teraz, gdy zwróciłeś na mnie uwagę. Chcesz, abym ja zwrócił uwagę na Ciebie? Chcesz, abym w Ciebie uwierzył? Czy tego chcesz? Nic z tego, jeżeli nie zejdziesz tu do tego rowu!

Stałem w wodzie. Moje ubranie zeszywniało, było mokre i pokryte lodem. Oparłem głowę o samochód, oddychając ciężko. W końcu zamknąłem oczy. Śnieg ustał i księżyc pojawił się ponad moim ramieniem, rzucając mój cień na powierzchnię wody pode mną. Nasłuchując własnego rżenia, stałem, słabnąc, bliski załamania, trzymając się ostatkiem sił.

- Panie - szepnąłem. - Potrzebuję Cię teraz. Samochód poruszył się, ześlizgnął nieco, a głowa Amandy częściowo zanurzyła się w wodzie. Otworzyłem oczy.

- Wiem... znów mi nie pomożesz.

Uniosłem głowę Amandy i delikatnie pociągnąłem jej rękę do siebie. Jej oczy zamigotały. Pociągnąłem ją za ramiona, ale nie poruszyła się, a ja nie mogłem sięgnąć ponad jej brzuchem do pasów, aby je odpiąć. Włożyłem rękę do kieszeni, "wyciągnąłem scyzoryk Papy, w końcu udało mi się wysunąć ostrze i po chwili przeciąłem pasy na wysokości jej klatki piersiowej. Pasy na udach jednak wciąż trzymały, sięgnąłem więc w górę, wsunąłem rękę pod spód i pociągnąłem. Wiedziałem, że ryzykuję, ale nie miałem wyboru. Bezwładne ciało Amandy opadło. Jęknęła. Zdołałem wyciągnąć jej rękę i głowę przez okno po stronie pasażera, ale jej brzuch nie przeszedł, był za duży. Wtedy przytuliłem twarz do jej twarzy.

- Amanda? Pomoc już nadchodzi. Pomoc już nadchodzi. Jej oczy otworzyły się i zamknęły.

- Amanda? Amanda? - Delikatnie klepnąłem ją w twarz i spojrzała na mnie, ale jej źrenice krążyły błędnie. - Nie mogę cię wyciągnąć. Musisz mi pomóc. Porusz nogami. No, dalej. Pomóż mi cię wydostać. - Objąłem ją mocniej i szarpnąłem, aż jęknęła. - Pomóż mi, Amando. Proszę cię, pomóż mi.

Klepnąłem ją w twarz raz jeszcze. Tym razem mocniej. Jęknęła, spróbowała poruszyć nogami, zajęczała ponownie, a potem zamknęła oczy i wypuściła z siebie długi oddech.

- O, nie. Tylko znowu nie ty! Nie oddychaj mi tu tak, jakby to miał być twój ostatni oddech. - Zaparłem się nogami w błocie pode mną i pociągnąłem najmocniej, jak byłem w stanie. Przyłożyłem usta do jej ucha: - Amando, nie udzielam ci zgody na śmierć w tym rowie. Słyszysz mnie? Wiem, że tam jesteś. Nie udzielam ci zgody.

Pociągnąłem raz jeszcze.

- Amando, proszę otworzyć oczy. Słyszysz? Mów do mnie. Nie pozwól, żeby to się stało.

Zwisała bezwładna w moich ramionach. Tracąc uchwyt i zsuwając się coraz głębiej do rowu, spróbowałem raz jeszcze. Chwyciłem ją mocno pod pachy i rozkołysałem. Nagle coś ustąpiło.

- Właśnie tak. Właśnie tak.

Krucha konstrukcja Amandy przechodziła przez okno, aż zakleszczyła się znowu na wysokości brzucha. Jęknęła i wtedy uświadomiłem sobie, że jej brzuch jest twardy jak kamień.

- Amando - raz jeszcze szepnąłem jej do ucha - obrócę cię teraz i wyciągnę przez to okno.

Zajączała, ale udało mi się ją obrócić. Wtedy dostrzegłem, że jej sweter zaczepił pewnie o jakiś kawałek szkła, bo rozerwał się i odsłonił brzuch.

Zanurzyłem się w wodzie i uniosłem jej ramiona oraz głowę. Jej oczy ponownie zamigotały. Podniosłem ją, napałem i pociągnąłem jeszcze raz. Wówczas wysunęła się z auta, wpadając do wody. Moje stopy utraciły przyczepność, woda sięgała mi już do ramion oraz szyi, a następnie zacisnęła swoje zimne palce wokół twarzy i głowy. Wciągając mnie jak jakaś wielka ryba, połknęła moją głowę. Wcześniej zdążyłem jeszcze krzyknąć. To była przerażająca, stłumiona eksplozja cierpienia. Słyszałem nad sobą szum wody, czułem na wyciągniętych ramionach ciężar bezwładnego ciała Amandy, ale dzięki lewej ręce wiedziałem, że jej głowa znajduje się nad powierzchnią. Chyba całą wieczność zmagalem się z lodem i wodą, aby utrzymać ją nad swoją głową, walcząc jednocześnie o znalezienie punktu oparcia dla stóp. W przerażeniu mimowolnie wciągnąłem w siebie pełne płuca wody.

W tej chwili moje stopy trafiły na coś stałego. Może skałę albo jakiś korzeń. Nie wiem jak, ale wystrzeliliśmy z wody i wylądowaliśmy na brzegu. Kaszlałem, dyszałem, wołałem o powietrze. Amanda leżała obok, bezwładna, bez życia i bez ruchu.

Podjąłem próbę, aby wyciągnąć ją z rowu, ale była zbyt ciężka. Zdjąłem kurtkę i tylko ją otuliłem, ale ona i tak nie drżała.

Wsuwając rękę pod jej głowę, pochyliłem się i przysunąłem twarz blisko jej twarzy. W świetle księżyca zobaczyłem, że ma otwarte oczy i najzupełniej przytomnie patrzy na mnie. Jej oczy przeraziły mnie.

- Profesorze? - szepnęła.

- Tak... tak. Jestem tu. Tuż obok ciebie.

- Mój syn.

- Nic nie mów. Musimy zabrać cię do szpitala. Karetka jest już w drodze.

Spojrzałem w górę na szczyt rowu, w oczekiwaniu na te światła.

- Profesorze... mój syn. - Amanda zacisnęła zęby. - Zaczyna się.

Spojrzałem w dół, przyłożyłem dłoń do jej brzucha i poczułem skurcz. Jęknęła. - Co, tutaj?

Naraz usłyszałem nadchodzący od strony tyłu samochodu ruch. Spodziewając się Blue, spojrzałem w górę, ale to był Amos, czołgający się w moim kierunku z głową owiniętą podkoszulkiem.

- Amos! - krzyknąłem. - Dostań się na drogę! Zatrzymaj ten ambulans!

- Nie przyjedzie - wyszeptał. - Droga jest zbyt oblodzona. Wysyłają taki z napędem na cztery koła, ale minie dwadzieścia minut, zanim tu dotrze.

- Ale ona rodzi już to dziecko!

Amos spojrzał na mnie, opierając się o brzeg, oddychając ciężko i mówiąc:

- Wiem. - Wróciła mu przytomność. - Siedzieliśmy w kościele, gdy odeszły jej wody. Byliśmy w drodze do szpitala i wpadliśmy na te tory - potrząsnął głową w kierunku drogi. - Zdaje się, że odbieramy chłopaka.

Amos zamknął oczy i oddychał, podczas gdy brzuch Amandy zrobił się znowu miękki. Otworzyła oczy, które uciekły do tyłu, a jej głowa opadła bezwładnie na bok. Prawa strona głowy była przecięta, opuchnięta i mocno krwawiła.

Amos chwycił mnie za ramię prawą ręką i pociągnął do siebie. Jego oczy znajdowały się teraz pięć centymetrów od moich. Przez zaciśnięte i poplamione krwią zęby powiedział:

- Dylan, musisz przyjąć tego chłopca dokładnie w tym miejscu - skrzywił się - D.S., to jest twój czas, twoja chwila. Słyszysz mnie? Ja nie mogę ci pomóc, ale mogę ci mówić, co masz robić.

Rozprostował rękę w stronę Amandy i przysunął się trochę do niej.

- D.S., połóż jej głowę na mojej piersi. Zrobiłem, co mówił.

- W moim bagażniku jest wełniany koc. Owiń ją nim.

Sięgnąłem do otwartego bagażnika i chwyciłem koc. Następnie zdjąłem jej bieliznę, której środek nasiąknął głęboką czerwienią. Potem owinąłem ją w ten koc, najlepiej jak potrafiłem.

- Widzisz główkę? - spytał Amos. Poświeciłem latarką.

- Nie, jeszcze nie.

- Jak częste są skurcze?

- Nie wiem... na minutę najwyżej dwa.

Dokładnie wtedy brzuch Amandy napiął się, jęknęła, a jej bezwładne nogi naprężyły się.

Otwierając oczy, Amos zapytał znowu:

- Teraz?

- Tak.

- I co? Widzisz główkę? Spojrzałem w dół.

- Coś w tym rodzaju. Chyba widzę. - Poświeciłem latarką. - Tak, widzę czubek jego głowy.

- W porządku. - Amos objął Amandę prawym ramieniem na wysokości jej piersi i przytulił do siebie. Mówił jej prosto do ucha: - Amando, dziecko, wiem, że mnie słyszysz. Wiem, że cierpisz. Wiem, że wszystko cię boli, ale tylko ty możesz tego dokonać. Ani Amos, ani Dylan nie mogą tego za ciebie zrobić. Rozumiesz? Nie zareagowała.

- Dobrze, nic nie mów. Ale gdy zaboli... przyj. Brzuch Amandy napiął się, jęknęła głośniejsze, naprężyła nogi i główka dziecka przeszła przez kanał pochwoy.

- Głowa jest już na wierzchu, Amos. - Chwyciłem palcami główkę syna Amandy i dłonie pokrył mi ciepły, śliski, lepki płyn.

Przestało być zimno. Księżyc przedostał się zza pojedynczej chmury, rzucając cień na naszą trójkę i mieniając się na śniegu. Nie potrzebowałem światła latarki, aby zauważyć krew.

- Upewnij się, że pępowina nie owinęła mu się wokół głowy.

- Jak? Czego mam szukać?

- Po prostu przejdź palcami wokoło jego szyi i powiedz mi, czy wyczuwasz pępowinę.

Wsuwając sobie latarkę do ust, rozejrzałem się za pępowiną. Trzymałem główkę dziecka w lewej dłoni, a prawą szukałem pępowiny.

- Nie ma pępowiny - powiedziałem poprzez latarkę.

- Dobra - powiedział Amos. - W porządku, Amando, jeszcze raz. Chłopiec już idzie. Już jest.

Jej brzuch napiął się, wydała z siebie jęk-kaszel i na zewnątrz wydostało się prawe ramię dziecka.

- Amos, mam ramię.

- Delikatnie, doktoru. Amanda oddychała ciężko i jęczała.

- Zrób miejsce na drugą rączkę. Nie bój się użyć swojej ręki. Zrób miejsce. Pociągnij, jeżeli musisz, ale nie dziecko. Wiesz, co mam na myśli. Widziałeś to już wcześniej.

Pokiwałem głową. Przyłożyłem palec do pleców dziecka wsunąłem resztę dłoni pomiędzy nie a Amandę, pociągnąłem delikatnie na zewnątrz i dziecko wysunęło się. Mokre, pokryte śluzem i ciepłe wylądowało w moich rękach. Zbliżając niemowlę do siebie, zauważyłem, że jest sine, bezwładne i ciche.

- Odeszło.

Amanda wydała z siebie długi, głęboki oddech.

- Oddycha?

Przyłożyłem ucho do jego twarzy.

- Nie.

Amanda zajęczała.

- D.S. - Amos podniósł głowę i żyły na jego szyi ukazały się w świetle księżycy. - Pomóż mu zacząć oddychać. - Wyraźnie mnie ponaglał. - Przyłóż usta do jego nosa oraz ust i wpuść do niego powietrze. Cały swój oddech, ale nie na siłę.

Wziąłem syna Amandy w ramiona, przyłożyłem jego usta oraz nos do moich ust i wypuściłem powietrze.

- Co się dzieje? - zapytał Amos.

Ponownie przystawiłem sobie usta dziecka do policzka. - Nic.

- Zrób to jeszcze raz. Zrobiłem.

- Nie pomaga.

- Teraz trzema palcami naciśnij mu klatkę piersiową. Pomyśl, że naciskasz kromkę chleba, ale nie chcesz jej przedziurawić. Tylko trochę ugnieść.

Zrobiłem, jak mówił.

- I co?

- Nic.

W oczach Amosa pojawił się strach i kopnął ziemię pod stopami.

- Klapnij go.

- Co to znaczy „klapnij go”? W co?

- Klapnij dziecko, doktorku! Po prostu klapnij! Dałem klapsa synkowi Amandy. Szarpnął się, wykonał głęboki, gardłowy wdech i wydarł się na całe gardło.

Skapani w świetle księżyca, leżeliśmy, wsłuchując się w płacz nowo narodzonego syna Amandy. Był to, co bardzo prawdopodobne, najpiękniejszy dźwięk, jaki słyszałem w życiu.

Amos pokiwał głową.

- Dobra robota, doktorku. Dobra robota. - Jego głowa opadła z powrotem na śnieg, oczy zamknęły się i wtedy, pośród tego wszystkiego, Amos uśmiechnął się.

Ściągnąłem mu podkoszulek z głowy i ułożyłem dziecko na klatce piersiowej Amosa. Oświetlając latarką brzeg, odnalazłem swój scyzoryk, przeciąłem pępowinę w połowie pomiędzy Amandą a dzieckiem, zawiązałem supeł i owinałem dziecko w pozostałe podkoszulki. Wielka ręka Amosa kołysała je, podczas gdy prawym ramieniem obejmował Amandę.

- Amando - uspokajał ją - chłopiec ma się dobrze. Klęcząc na śniegu pomiędzy jej nogami, spojrzałem w dół i zauważyłem ciemny, lepki płyn.

- Amos, tu jest mnóstwo krwi.

- Ile? - zapytał. Poświeciłem latarką.

- Wygląda jak u Maggie. Zmarszczył czoło.

- Czy możesz zabrać nas do szpitala swoim autem?

- Być może, sprawdzę - wdrapując się na szczyt wzniesienia, odnalazłem mojego trucka z wyłączonym silnikiem. Żadne spaliny nie wydobywały się z rury wydechowej. Był zimny jak trup. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i

wcisnąłem gaz do dechy, ale półciężarówka odmówiła posłuszeństwa i nie chciała już zapalić.

Zsuwając się z powrotem, rzuciłem bezradnie:

- Zgasł.

- Dylan, musisz nas wy dostać na szczyt wzniesienia. Karetka zaraz tutaj będzie.

Delikatnie wziąłem Amandę pod pachy i ciągnąłem ją ku szczytowi wzniesienia. Śnieg pod nią zabarwiał się na czerwono. Zapiernając się piętami, Amos posuwał się w górę. Z trudem, ale jednak. Pomagał sobie prawym ramieniem, a w lewym trzymał dziecko. Głowa Amosa ponownie zaczęła krwawić. Gdy razem z Amandą w końcu dotarliśmy na drogę, usłyszałem niski pomruk silnika i zobaczyłem wspinające się ku nam światła reflektorów. Gdy tak tam leżałem, w kałuży krwi, trzymając jej głowę w ramionach, dwóch ludzi wyskoczyło z trucka i pobiegło w naszym kierunku.

Szybko umieścili Amandę na noszach, owinęli ją dwoma kocami i wsunęli do środka. Jeden z nich odebrał od Amosa dziecko, a następnie pomógł mu stanąć na nogi, podpierając go mocno. Wczołgałem się do samochodu obok Amandy, a jeden z ratowników podał mi dziecko. Drugi z nich jęknął, uniósł Amosa, upychając go do wnętrza. A tam położył go po drugiej stronie Amandy.

Pierwszy z nich spojrzał na mnie i spytał:

- Wiesz, jak ona się nazywa?

Pokiwałem głową i odpowiedziałem, szcękając zębami:

- Amanda Lovett.

Chwilę potem, zanim kierowca zamknął drzwi ambulansu, wskoczył do nas Blue. Mężczyzna pobiegł do przodu trucka i wsiadł do szoferki. Dzięki otwartej szybie pomiędzy kabiną a przedziałem ratunkowym mogliśmy usłyszeć rozmowę przez radio.

Centrala, tu 716.

- Słucham cię, 716.

- Shireen, jesteśmy w drodze z czwórka. Potrzebujemy krwi zgodnej z grupą Amandy Lovett.

- Powiedziałaś Amanda Lovett?

- Potwierdzam - kierowca przerwał. - I Shireen, powiedz im, że potrzebujemy tego bardzo dużo.

Gdy prędkość zaczęła wzrastać, uświadomiłem sobie, że kierowca, kimkolwiek był, zbliżał się do granic możliwości, na które pozwalały śnieg i lód. Przyćmione światło wewnątrz samochodu oświetlało oczy Amosa. Patrzył na

mnie. Nie powiedział ani słowa, ale jego oczy błysnęły w kierunku Amandy, a następnie popatrzył na mnie. Leżała zupełnie bezwładna.

Pokręciłem głową. Jego prawa ręka przysunęła się i ją objęła. Dziecko nie płakało, wciąż trzymałem je na rękach. Miało błyszczącą i puciołowatą buzię i mrugało, to otwierając, to zamykając oczy w bladym świetle. Wydawało się, że jest mu wygodnie i, dzięki podkoszulkowi Amosa, chyba dość sucho. Pokrywała je biaława pasta i wpychało sobie do ust środkowe palce. Mały człowieczek był łysy jak kuła bilardowa.

W ciągu kilku minut dotarliśmy do szpitala. Ambulans zatrzymał się. Ktoś otworzył drzwi, obniżył klapę i pojawiła się kobieta w białym fartuchu. Sięgnęła po dziecko, podałem jej chłopca i zniknęła pośród czekających ludzi.

Dwóch mężczyzn wyciągnęło Amandę. Umieścili jej nosze na łóżku na kółkach i także zniknęli za rozsuwanymi drzwiami. Pastor John i pani Lovett już czekali i pobiegli za nimi.

Przy wejściu na izbę przyjęć było mnóstwo ludzi. Dwóch dużych mężczyzn ubranych w niebieskie kitle wskoczyło do ambulansu, mruknęli: „Raz, dwa, trzy” i przenieśli Amosa na nosze, a następnie energicznie gdzieś go przewieźli, przytrzymując mu ręcznik na głowie i wykrzykując w biegu opis jego stanu.

Trząsałem się tak bardzo, że moja głowa skakała w tył i w przód i nie mogłem zatrzymać szczękania zębami. Dwóch kolejnych pielęgniarzy wspięło się do środka na tyle trucka, każdy chwycił mnie pod pachę i przenieśli mnie na ruchome nosze. Wieźli mnie wzdłuż korytarza obok pomieszczenia, z którego dobywało się mnóstwo pokrzykiwań i światła, w kierunku wykładanego kafelkami pomieszczenia pod strumień gorącego prysznicy.

- Czy da pan radę stać? - zapytał jeden z nich. Pokiwałem głową.

Podnieśli mnie z noszy i postawili na nogach. Byłem zgięty wpół, ze zwisającą głową i ramionami przyciśniętymi do klatki piersiowej. Ciepła para wypełniła mi płuca, a ciepła woda spłynęła po plecach.

Wyprostowałem się.

Jeden z pielęgniarzy zajmował się rozcinaniem mojego ubrania, podczas gdy drugi przygotowywał coś w rodzaju kroplówki oraz maski tlenowej.

- Co boli? - zapytał ten pierwszy.

- N-n-n-nic.

Po pięciu minutach pod ciepłą wodą podniósł wzrok znad mojego pociętego ubrania i zapytał ponownie:

- A teraz coś boli?

- W-w-w-wszystko.

- Dobrze. To dobrze. - Pokiwał głową.

Rozdział dwudziesty szósty

Obudziłem się i spróbowałem poruszyć, ale okazało się to dziwnie bolesne. Bolało mnie wszystko i setki przecięć oraz skaleczeń kłuły mnie w każdy centymetr ciała. W porannym świetle świadomość jednak szybko mi wróciła. Znajdowałem się w pokoju razem z Maggie, obecnie również jako pacjent. Leżąc tak, przypomniałem sobie Papę klęczącego przy Nanny. Jedna szelka od jego ogrodniczek zsunęła mu się z ramienia i opadła pod ciężarem zawieszzonego na nim złamanego serca. W swoich dużych, pokrytych odciskami dłoniach trzymał jej dłonie - kruchość w objęciach siły.

Spojrzałem w kierunku Maggs, zamknąłem oczy i powiedziałem:

- Panie, błagam Cię. Nie zabieraj jej ode mnie.

- Wesołych świąt - usłyszałem od strony stóp swojego łóżka. Spojrzałem w górę i zobaczyłem pielęgniarkę ubraną na biało. Nie była to odpowiedź, na jaką liczyłem.

- Jak się pan czuje?

Zapomniałem, że był to poranek pierwszego dnia Bożego Narodzenia.

- Kiepsko.

- Tego się można było spodziewać.

- Co z innymi?

- Dziecko ma się dobrze. Zastępca szeryfa Carter przeważnie w bandażach. Kilka ran szarpanych głowy, ale mówi, że przeżyje. Amanda Lovett znajduje się na OIOM-ie.

- Będzie żyła?

- Podaliśmy jej sześć jednostek krwi. Ale cokolwiek udało się tam wam dwóm dokonać, to dzięki temu ciągle jest z nami.

Pielęgniarka wyszła, a ja wygrzebałem się z prześcieradeł. Moje buty leżały na podłodze, ale ratownicy rozcięli je poprzedniego wieczoru, były więc bezużyteczne. Maggie spodobałby się ten widok. Odłączyłem sobie kroplówkę, zabrałem jeszcze jeden szpitalny szlafrok z półki obok szafki i narzuciłem go sobie na ramiona. Ciągle było mi zimno, wyciągnąłem więc z szafki kolejny koc i się nim owinąłem. Zrobiłem trzy kroki i wiedziałem już, że potrzebuję jakichś środków przeciwbólowych, i to szybko. Pochylony poszedłem korytarzem, ale pielęgniarka zza kontuaru obiegła go, aby mnie powstrzymać.

- Naprawdę musi pan wrócić do łóżka. Co się stało z pana kroplówką?

Objęła mnie ramieniem, próbując zaprowadzić mnie z powrotem do mojego pokoju. Zatrzymałem się i spojrzałem na nią.

- Amos Carter, gdzie leży zastępca szeryfa Amos Carter?

- Jest na końcu korytarza.

Skierowałem twarz w tym kierunku i powiedziałem:

- Chodźmy do niego.

- Ale proszę pana, on śpi.

- No to muszę obudzić ten jego leniwy tyłek.

Poprowadziła mnie do pokoju Amosa, podpierając kilka razy, gdy się zatoczyłem, i mówiąc drugiej pielęgniarce, aby wezwała lekarza. Gdy wszedłem, Amos leżał na łóżku podłączony do kroplówki podobnej do mojej. Przysunąłem metalowy stołek z otworami w siedzeniu do jego łóżka i spocząłem sobie na nim. Uważając, że zapanowała nade mną, zanim przybędzie lekarz, pielęgniarka zostawiła mnie samego z Amosem. Jego pokój oświetlony był tylko pojedynczą jarzeniówką na suficie. Na łysej głowie wyróżniała się kompozycja szwów. Wyglądało to tak, jakby ktoś zagrał na jego czole w kółko i krzyżyk.

- Amos? - szepnąłem - Amos. Otworzył usta.

- Cześć, stary.

- Jak się czujesz?

- Jakby ktoś mnie wyprał i powiesił, żebym wysechł.

- Coś cię boli?

- W tej chwili nic. - Jego wzrok powędrował w kierunku ramienia. - Dzięki za ten podkoszulek.

- Wyjdiesz z tego? - zapytałem.

- Wyjdę stąd. - Amos zamilkł. - Dylan? - Tak.

- Dobrze się spisałeś zeszłej nocy. Naprawdę dobrze -zakaszłał i zamknął oczy. - Słyszysz, co mówię?

Lekarz stuknął obcasami i wszedł do pokoju. Odstawiłem stołek i wstałem na jego spotkanie.

- Panie Styles, naprawdę musi pan wracać do swojego pokoju. Pana stan nie pozwala na...

- Amanda Lovett - przerwałem mu.

- Co? - powiedział.

- Amanda Lovett. Gdzie ona jest? Zmarszczył czoło i włożył rękę do kieszeni.

- Nie wydaje mi się, aby zamierzał mnie pan posłuchać, prawda?

- Proszę, chcę tylko zobaczyć Amandę Lovett. - Owinąłem się mocniej kocem i uniosłem brwi. - Potrzebuję tylko trzech minut.

- Dylan, przybył pan do nas z temperaturą ciała niewiele ponad trzydzieści stopni Celsjusza. Czy wie pan, jak blisko...

Wyprostowałem się, co okazało się bolesne, i po raz pierwszy spojrzałem mu prosto w oczy. Pomyślał przez chwilę.

- Wróci pan później od razu do łóżka? Pokiwałem głową.

- Mam pana słowo?

- Ma pan.

- Proszę za mną. - Poprowadził mnie korytarzem do wózka inwalidzkiego. -
Może pan przynajmniej usiądzie?

- Dzięki - powiedziałem i ostrożnie usiadłem na wózku.

Przy dźwięku kółek stukających o sterylną posadzkę zawiózł mnie przez korytarz, za róg, i dalej przez kolejny długi korytarz. Wstukał swój numer identyfikacyjny na elektronicznym zamku i pokierował mną przez podwójne drzwi oznaczone wieloma odblaskowymi znakami oraz napisem „OIOM”. Muszę przyznać, że byłem mu wdzięczny za pomoc w poruszaniu się. Na ławeczce przed pokojem Amandy siedziała pani Lovett, z zamkniętymi oczami i głową opartą o ścianę. W środku pastor John klęczał przy łóżku, trzymając dłoń Amandy obiema rękami i opierając głowę na materacu. Wyglądał na śpiącego, ale ja wiedziałem. Czuwał.

Lekarz zbadał mi puls, a następnie zostawił mnie u stóp łóżka. Malutkie, czerwone, błyskające światełko kardiomonitora skakało po ścianie pokoju. Stale naprężający się i rozluźniający rękaw aparatu do mierzenia ciśnienia na jej prawym ramieniu słyszalnie wdychał i wydychał powietrze niczym niewidzialna istota. Amanda miała zamknięte oczy, była blada i wyglądała na wyczerpaną.

Pastor John odezwał się pierwszy.

- Kilka godzin zajęło im zahamowanie krwotoku. -Uniósł głowę i spojrzał na córkę. - Wygląda na to, że ramiona mojego wnuczka były szersze niż przestrzeń, którą

Bóg ofiarował mu, by przyszedł na świat. Wkrótce po twoim przybyciu połowa twojej grupy ustawiła się w kolejce, aby oddać krew. Druga połowa przybyła jakąś godzinę temu. Otarł łzy.

- Zeszłej nocy podali jej sześć jednostek i jeszcze dwie dziś rano. Nie odzyskała przytomności, odkąd tu jest.

Spojrzał na mnie. Jego oczy były przekrwione i głęboko zapadnięte. Sprawiał wrażenie kogoś, kto w każdej chwili może upaść.

Poczłapałem na drugi koniec łóżka, gdzie przysunąłem sobie krzeselko, usiadłem ostrożnie, wsunąłem dłoń pod dłoń Amandy i oparłem ją sobie na kolanie. To była ta sama ręka, która czesała włosy mojej żony, zakładała jej czyste skarpety, malowała paznokcie, zmieniała kroplówkę, kąpała i badała jej puls. Przez kilka minut siedzieliśmy tak w ciszy.

Wiele razy robiłem to samo u Maggie. Tyle tylko, że dłoń Amandy wróciła do życia, objęła moją i tak trwała. Za zamkniętymi powiekami wiedziała, że trzymałem ją za rękę, i w odpowiedzi ujęła moją.

Pastor John uniósł głowę, a jego oczy zrobiły się wielkie i okrągłe. W ich kącikach pojawiły się łzy. Gdy podniosłem wzrok, Amanda spoglądała już na mnie. Widząc otwarte oczy córki oraz blady uśmiech na ustach, pastor John spuścił głowę, a jego ramiona zaczęły się trząść.

- Profesorze? - szepnęła Amanda. - Tak, Amando.

- Słyszałam pana rozmowę z Bogiem zeszłej nocy.

- Tak byś to określiła?

- Tak. - Lekko skinęła głową. - Mówił pan jak Hiob. Do pokoju cicho weszła pani Lovett i stanęła obok męża.

- Nie jestem pewien, czy Hiob używał takiego języka - powiedziałem.

- Z mojego miejsca - kontynuowała, uśmiechając się odrobinę - słyszałam wszystko. - Ponownie zamknęła oczy. - I muszę być z panem szczerą.

- Co masz na myśli? - zapytałem, wiedząc, że jest to przynęta, dzięki której zamierzała powiedzieć mi to, co naprawdę chciała.

- Mylił się pan co do jednego - przyciągnęła mnie za rękę, zbliżając moją twarz na kilka centymetrów do swojej.

- Zeszłej nocy był w tym rowie razem z nami. Tak jak i przez sześć nocy przy mnie, gdy byłam przywiązana do drzewa.

- Przekrzywiła głowę i szepnęła: - Czy myśli pan, że mogłabym przejść przez to wszystko bez Niego?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem aż tak silna, profesorze. Opuściłem głowę i spojrzałem na biel jej dłoni.

- Może.

- Profesorze?

Spojrzałem na nią, akurat gdy łza skapywała mi z twarzy, opadając na rękę.

- Tak, Amando.

- Nie był pan sam w tej kałuży krwi na porodówce. On tam był. We krwi, tak jak i pan. Nigdy nie był pan sam.

Otuliłem się mocniej szpitalnym szlafrokiem i poczłapałem na korytarz w kierunku pastora oraz pani Lovett. Pielęgniarka poinformowała już wszystkich, że Amanda Lovett odzyskała przytomność i poczekalnia przy OIOM-ie eksplodowała burzą uścisków parafian i przyjaciół. Była tam większość moich studentów. Marvin i Russell stali obok drzwi, popijając coca-colę i patrząc na mnie. Opatrunek na wewnętrznej stronie ich łokci prawie doprowadził mnie do

śmiechu. Krew dwóch sportowców płynąca teraz w żyłach Amandy mogła przyspieszyć jej powrót do zdrowia.

W sali zapanowała cisza, gdy przeszedłem przez rozsuwane drzwi. Russell ruszył się pierwszy. Przywitał mnie w drzwiach, rozpostarł ramiona i uściskał mnie, unosząc nad podłogą. Marvin uniósł swoją puszkę coli, pokiwał głową i powiedział:

- Dzień dobry, doktorku! - Jego szeroki uśmiech mówił mi, że dobrze się bawił.

Gdy przybyłem na piętro, gdzie leżała Maggie, moja wierna pielęgniarka czekała już na mnie, a lekarz rozmawiał przez telefon. Wszedłem do pokoju i zastałem Blue zwiniętego w kłębek i śpiącego spokojnie na kocyku. Pod oknem leżała Maggie i wyglądała anielsko. Zdjąłem z siebie koc i położyłem się obok niej.

- Naprawdę nie powinien pan tego robić - powiedziała pośpiesznie pielęgniarka.

- Kobieto - powiedziałem uprzejmie, trzymając żonę w ramionach - idź stąd.

Poszła, a ja po raz pierwszy od czterech miesięcy i trzynastu dni wślizgnąłem się pod kołdrę i usnąłem obok mojej żony. Usypiając, lecz starając się zwalczyć senność i działanie lekarstw, czułem na twarzy ciepły oddech Maggie.

Kilka godzin później obudziłem się w pogodną, ciemną noc. Śnieg nie padał. Nie wiem, jak długo spałem, ale nie przenieśli mnie. A co ważniejsze: nie przenieśli Maggie. Zmienili mi tylko kroplówkę i wpompowali jakieś nowe płyny.

Uniosłem głowę i spojrzałem na Maggie. Przyznaję. Spodziewałem się, że również będzie na mnie spoglądała. Szczerze mówiąc, oczekiwałem, że obudzę się i zobaczę jej oczy szeroko otwarte i tak kryształowo przejrzyste, jak wówczas gdy wieźli ją na porodówkę.

Ale takie nie były. Spała cicho, a pod powiekami jej oczy biegały tam i z powrotem.

Maggie śniła.

Nie do końca jestem pewien skąd, ale gdzieś z głębi, z wnętrza, gdzie skrywane są rany, dokąd trafiają wątpliwości i gdzie nie ma blizn, napłynęły łzy. Nie mogłem się już dłużej powstrzymać, przyłożyłem więc głowę do jej piersi i płakałem mocniej niż kiedykolwiek wcześniej w życiu. Mój szloch spowodował, że przybiegła pielęgniarka. Stała przy łóżku przez kilka sekund, okryła mnie drugim kocem i wyszła.

Rozdział dwudziesty siódmy

Następnego ranka Maggie i ja obudziliśmy się, trzymając się wzajemnie w ramionach. Lub raczej to ja się obudziłem, trzymając w ramionach Maggie. Jeszcze przez chwilę po prostu leżałem z ręką na jej brzuchu. Nie miała wyboru, przeciągałem więc tę chwilę, najdłużej jak mogłem. Ściągnąłem jej skarpety i poczułem zimne stopy oparte na moich. Pierwszy raz dobrowolnie jej na to pozwoliłem. Po chwili usiadłem, okryłem ją swoim kocem, otworzyłem jej szafkę i zacząłem buszować po ubraniach, które leżały tam przez ostatnie cztery miesiące. Przyobleczony w światło wczesnego poranka, zauważyłem, że moje ręce są pocięte, pokryte strupami i obtarte aż do ramion. Zdaje się, że lekarstwa przestały działać. Odłączyłem kroplówkę i podszedłem do krawędzi łóżka.

- Maggs - szepnąłem. - Mam coś do zrobienia. Nie idź nigdzie. - Blue podniósł się ze swojego koca, przeciągnął się i spojrzał na mnie z wyrazem gotowości. Kazałem mu siedzieć, co zrobił. Następnie wyciągnąłem rękę do przodu i dodałem: - Zostań! - Położył się z powrotem, oparł sobie głowę na przedniej łapie i skierował uszy w moim kierunku. - Opiekuj się Maggs. Wróć. - Wstał i spojrzał na nią, ja powiedziałem: - Dobrze - a on wskoczył na łóżko i zwinął się w kłębek u jej stóp.

Wkładając kurtkę, wyszedłem z pokoju Maggie i podążyłem cichym korytarzem. Pielęgniarka czytała „Enquirera i wyjadała serowe chrupki z kolejnej torebki.

- Wesółych świąt - powiedziałem, uświadamiając sobie, że spóźniłem się o cały jeden dzień.

Obróciła kartkę i nawet na mnie nie spojrzała.

- Jeszcze weselszych?

Na końcu korytarza leżała starsza pani, którą przyjęto na oddział z powodu zapalenia płuc. Leżała tam dwa dni i mówiono, że z tego wyjdzie, ale jej płuca były dość zajęte, a więc miała tu jeszcze trochę pobyc. W każdym razie jej pokój wyglądał jak kwaciarnia. Musiała stanowić filar jakiejś społeczności, ponieważ jej obecne otoczenie było niczym kwitnąca dżungla. Wnieśli tam stoliki z kawiarni, tylko po to, aby dać jej jeszcze więcej powierzchni wystawienniczej. Drzwi były otwarte na oścież, przeszedłem więc wzdłuż korytarza i bezgłośnie wszedłem do środka. Starsza pani słodko spała.

Chwyciłem największy bukiet kwiatów, jaki mogłem znaleźć. Była to jakaś tropikalna kompozycja, osobliwa, zważywszy na śnieg za oknami. W tej szklarni, w którą zamienił się jej pokój, nawet nie zauważyłaby różnicy. Umieściłem dołączony bilecik w środku jakiejś innej wiązanki i wyszeptalem:

„Dziękuję pani”, po czym pociągnąłem drzwi, zamykając je za sobą. Wracając korytarzem, umieściłem kwiaty delikatnie na górnej krawędzi „Enquireira”.

Pielęgniarka odłożyła torebkę chrupek, zlizła pomarańczowy ser z warg i przestudiowała bukiet. Podnosząc jedną brew, spojrzała na mnie znad okularów. A ja stałem tam z rękami w kieszeni, uśmiechając się. Ostrożnie, aby nie rozmazać sobie szminki, musnęła kąciki ust chusteczką, przesunęła kwiaty na róg biurka i wróciła do lektury.

- Mam nadzieję, że miło spędziła pani ten dzień - powiedziałem, kołysząc się na palcach i piętach oraz mieszając palcami w drobnych, jakich zawsze pełno po kieszeniach. Zachowywałem się - mówiąc krótko - niczym staruszek w kościele.

- Uhm.

Pochyliłem się nad kontuarem i spróbowałem ponownie.

- Mam nadzieję, że te serowe chrupki nie zablokują pani naczyń krwionośnych, powodując na miejscu rozległy zawał serca podczas tak ciężkiej pracy.

Zrobiła głęboki wdech, oparła na stole swoje obwisłe ręce i wolno zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, tym razem poprzez szkła okularów. Opierając się na trzeszczącym krześle, splótła sobie ręce, zastanawiając się, czy wezwać ochronę, czy dać mi to, co chciałem. W końcu poddała się.

- Wesołych świąt, panie Styles. Odwróciłem się, aby odejść, ale zatrzymała mnie.

- Wybiera się pan do domu? - zapytała.

Pokiwałem głową, zastanawiając się, dokąd to wszystko zmierza.

- Cóż, może pan iść na piechotę, jeżeli pan chce, ale ja jadę w tamtym kierunku. To może się pan równie dobrze zabrać ze mną.

Przyglądałem się jej z rękami w kieszeniach, mając w myślach widok mojego trucka stojącego na poboczu.

- No, to nie stójmy tak - powiedziała. - Chodźmy. Zszedłem za nią na dół i wyszliśmy na parking. Po chwili buick century zbliżył się do mnie i zwolnił. Pochyliła się i otworzyła drzwi po stronie pasażera. Pomiedzy nami znajdowała się wyjedzona do połowy torba serowych chrupek.

Wyjechaliśmy z miasta, przemierzając tę samą drogę, którą jechałem poprzedniej nocy. Powietrze w samochodzie było ciepłe i komfortowe.

Niewiele śniegu stopniało, ale drogi były czystsze i wszystko miało do tego mokry połysk. Dojechaliśmy do torów kolejowych, obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, skąd wóz holowniczy zabierał samochód Amosa i mojego trucka. Zostały tylko ślady holowania.

Kościół pastora Johna skąpany był w bieli i pomimo tego, co powiedziałem, koc ze śniegu naprawdę stanowił piękny widok. Kolejne półtora kilometra i wjechaliśmy na mój podjazd z tyłu domu.

Otworzyłem drzwi i zeskoczyłem na ziemię, opierając jedną rękę na siedzeniu, a drugą na drzwiach samochodu.

- Jak się pani nazywa?

Uśmiechnęła się, musnęła tabliczkę z imieniem przypiętą do koszuli i uniosła brwi. Na tabliczce widniał napis: „Alice May Newsome. Dyplomowana Pielęgniarka. Na służbie od 38 lat”. Wsunęła palce pod swój pas bezpieczeństwa i poprawiła go sobie.

- Przyjaciele - rzuciła z uśmiechem - mówią do mnie Allie.

- Dziękuję, Allie.

Pokiwała głową, zasunęła szybę po mojej stronie i odjechała cicho.

Poszedłem wzdłuż linii drzew otaczającej grób mojego synka i w dół ku brzegowi rzeki. Słońce ogrzewało mi plecy. Gdy przybyłem na piaszczysty brzeg, rozebrałem się do naga.

Stałem tam tak - nauczyciel na pół etatu, a czasami farmer, zdradzający pierwsze oznaki starzenia i odkrywający pierwsze zmarszczki, żonaty z kobietą, która mogła nigdy się nie obudzić, i uczący wyrzutków - łykając dumę i spoglądając w przyszłość opatrzoną znakiem zapytania. Nie widziałem nic poza chwilą obecną. Ale pierwszy raz od dłuższego czasu pojawił się na mojej twarzy uśmiech. Stałem na tym brzegu niczym idiota, uśmiechając się. Uśmiechając! Tak, było zimno, ale nie przejmowałem się tym zbytnio. Bywało mi zimniej.

Nurt, gdy wszedłem do wody, był mniej więcej taki jak zwykle. A była cieplejsza, niż przypuszczałem. Zanurzyłem się po pas i podszedłem nad krawędź zagłębienia w dnie, gdzie Maggie zwykła wykonywać swój lot łabędzia. W dole głębia sięgała sześciu metrów. Spojrzałem w górę na skarpe po mojej lewej stronie i pomyślałem o naszych pobudkach w środku letnich nocy i spacerach ręka w rękę nad ten brzeg. O tym, jak zdejmowała ubranie, o jej szczupłych łydkach, pełnych gracji ramionach, drobnych plecach, o tym, jak szybowała w blasku księżyca niczym Dzwoneczek. Z rozłożonymi ramionami, stopami jedna przy drugiej, skórą niczym porcelana. Wpadała następnie z pluskiem do ciemnej wody, tylko po to, aby wynurzyć się z szelmowskim uśmiechem pośród spływających po jej twarzy krople.

Widziałem nas leżących na brzegu, oglądających gwiazdy, podczas gdy ciepła, lekka woda zbierała się wokół nas. Widziałem nas wracających do domu, ją wtuloną we mnie. Mnie machającego zziębniętymi rękami, delikatnie zbierającego z niej krople wody opuszkami palców. Tak, dużo o tym myślałem.

Potem pomyślałem o moim synu leżącym niedaleko stąd oraz o tym, jak wistaria rozrastała się na jego grobie. O kwitnieniu, które odeszło, ale powróci.

I pomyślałem o tamtym rowie i poprzedzającej go nocy. W głębi mnie istniał konflikt. Byłem kłębkim strachu i spokoju. Strachu, ponieważ Amanda mogła mieć rację. Spokoju - z racji nadziei, że tak właśnie było. Gdyby On znajdował się tam przez cały czas, wówczas moje wątpliwości okazałyby się nieuzasadnione i zamieniły w swoje przeciwieństwo. Uświadomiłem sobie, że to właśnie przywiodło mnie tam, na to miejsce, i także dlatego stałem teraz w wodzie.

Wystąpiłem poza krawędź głębi, wciągnąłem wcześniej głęboko powietrze i pogrążyłem się w ciemnej wodzie. Nurt wirował wokół mnie i wciągał na dno, skąd nie chciał wypuścić pośród niewielkich baniek, które wylaniały się z mojego nosa i moich ust, łaskocząc zamknięte oczy. Zobaczyłem Maggie, jasne światła, posadzkę sali porodowej, twarz mojego syna i usłyszałem krzyki lekarzy oraz jej płacz. Unosiłem się nad kamiennym nagrobkiem naszego syna i szczytami kłaczy kukurydzy. Blue lizał mnie po twarzy, Pinky chrząkała, traktor poruszał się wolno, rzeka rwała tuż obok, pastor John ocierał pot ze swojej twarzy, barierka w kościele skrzypiała, łysa głowa Amosa połyskiwała, dzwonił kościelny dzwon, a pan Szeroki Uśmiech wskazywał gestem miejsce.

Drżąc, powstałem, pochyliłem się do przodu i zakosztowałem gorzkiego chleba. Stałem, pocąc się w swojej klasie pod wentylatorami u sufitu. Koy spoglądała beznamiętnie poprzez swoje okulary, Russell i Marvin tańczyli swój taniec na boisku. Pan Carter ustawiał kontener dla psów, wchodziłem do Salk, uśmiechałem się do światła księżyca prześwitującego poprzez srebrzyste futro, siadałem obok Jima Bigginsa, bujałem się na werandzie przed domem, wsadzałem rękę do dziupli, spoglądałem na mężczyznę w brudnym kilcie z piersią pełną medali, widziałem skraplającą się parę na puszcze zimnego piwa, stałem na opuszczonym parkingu, śmiałem się z muszki pana Caglestocka i słyszałem echo głosu Johna Wayne'a.

Znajdowałem się w bibliotece, czytając, pisząc swój doktorat, odżywiałem się jedzeniem na wynos, sprzedawałem swoją gitarę, mając na sobie buty kowbojskie oraz znoszoną kurtkę. Znajdowałem się w pierwszym rzędzie na widowni amfiteatru, siedząc w blasku księżyca i słuchając wiatru przemykającego pomiędzy sosnami.

I z powrotem byłem przy barierce przed ołtarzem, pastor John podawał Amandzie kielich: „Dziecko - mówił - to jest...”, a następnie podał go mnie.

Upiłem i poczułem pieczenie w gardle.

Stojąc przy łóżku Maggie, usłyszałem jej śmiech, odsłuchiwałem jej głos na automatycznej sekretarce, widziałem Blue liżącego ją po stopach, naciągałem skarpety na jej zimne palce u nóg, widziałem Amosa stojącego na korytarzu, dotykałem zmarszczki na jej czole, siedziałem obok Amandy, gdy ta czyściła i opatrywała moją ranę, i czułem palce Maggie delikatnie dotykające mojej blizny.

Zapadałem się.

Było ciemno i niczego nie było widać tu, na dnie rzeki, ale nade mną światło przecinało wodę niczym promyk słońca pośród deszczu. I już wiedziałem. On tam był. Był tam przez cały ten czas. Odepchnąłem się od piaszczystego dna. Przebiłem się na powierzchnię, otworzyłem oczy, spojrzałem w dół rzeki i tak daleko, jak mogłem dojrzeć, rozciągał się jej biały brzeg. A na nim połyskiwał blask słońca.

Stojąc w wodzie po ramiona, zatrzymałem się, aby na siebie spojrzeć. To znaczy naprawdę się sobie przyjrzeć. Studiowałem swoje zanurzone ręce i czerwoną bliznę na ramieniu. Wpatrywałem się w swoją bladą skórę pokrytą błękitnymi żyłami i gęsią skórką od zimna. I po raz pierwszy od dawna czułem się czysty. Żadnej krwi. Dookoła ani śladu krwi.

Rozdział dwudziesty ósmy

W niedzielny poranek kościół pastora Johna tętnił życiem i szalał, gdy przejeżdżałem obok. Powiedzieć, że było tam głośno, byłoby daleko niewystarczające. Razem z Blue wracaliśmy do domu, który wyglądał jak chlew, spędziłem więc dzień na sprzątaniu go. Blue spędził większość popołudnia, przyglądając mi się tak, jak gdybym postradał rozum. Następnie przeniosłem się do stodoły, dokąd za mną podążył, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Pinky była równie niedostępna i niemiała. Zresztą jak zwykle. Rzuciłem jej trochę kukurydzy i zachrząkała, nawaliła kupę i kopnęła w drzwi boksu. Pod koniec dnia razem z Blue wskoczyliśmy na traktor i toczyliśmy się pod dębami oraz wzdłuż rzeki. Blue kochał traktor. Podjechaliśmy do brzegu, wyłączyliśmy silnik, słuchaliśmy leśnych kaczek przelatujących ponad naszymi głowami i patrzyliśmy na znikające słońce.

Gdy wróciliśmy, ugotowałem kolację, która bardzo przypominała śniadanie. Nic innego zbytnio mi nie wychodzi. M aggie może to potwierdzić. Sześć jajek, cała paczka bekonu i trochę tostów. Pożarłem wszystko, a następnie przepłukałem usta parzoną kawą Maxwell House. Na werandzie przed domem było cicho, nie licząc skrzypienia mojego bujanego fotela, którego dźwięk uwielbiała Maggie. Przedemną światło księżyca spływało na kukurydzę, a cicha bryza kołysała rzędami suchych strąków.

Zaczynałem dochodzić do siebie. Mnóstwo przecięć i skaleczeń zasklepiło się i obolałość w większości już ustąpiła. Myślę, że jest tak z większością ludzi. Odnosimy rany, ale w końcu zdrowiejemy.

Amos nie wiedział, że pożyczyłem sobie jego forda expedition. Mój wóz stał obok jego radiowozu w warsztacie Jake's Jalopy Auto Center", w jednym z tych miejsc, gdzie wykonują prawie każdą usługę. „Jake Jalopy” naprawi ci auto albo jeszcze lepiej: sprzeda nowe, jeżeli nie da rady go naprawić. W rezultacie sprzedaje mnóstwo aut. Dopilem kawę, wskoczyłem w buty do biegania i doszedłem do wniosku, że nadszedł już czas, aby wybrać się po Amosa. Prawdopodobnie miał już właśnie dosyć szpitala.

Przejechałem przez polną drogę i wjechałem na podwórko Amosa, zabrałem wełnianą budrysówkę z jego sypialni, spakowałem mu trochę ubrań i włączyłem parę świateł, aby dom wyglądał bardziej zachęcająco. Posprzątałbym, ale w przeciwieństwie do słomianego wdowca po drugiej stronie drogi, Amos utrzymywał swój dom w czystości.

W szpitalu, gdy tam przybyłem, panował relatywny spokój. Maggie spała, tak jak i Amanda, a noworodek ssął smoczek butelki trzymanej przez panią Lovett.

Lekarz stojący w dyżurce pielęgniarek podniósł wzrok znad swojego notatnika i przyjrzał mi się.

Pomachałem mu.

- Dobry wieczór, doktorze.

- Przyjechał pan po niego? - zapytał, wskazując na pokój Amosa.

Pokiwałem głową.

Zastanawiał się nad tym przez jakąś chwilę, następnie szepnął coś do pielęgniarki. Spoglądając na mnie ponownie, powiedział:

- Niech pan jedzie ostrożnie, przez kilka dni będzie jeszcze obolały.

Amos obudził się, gdy wszedłem do jego pokoju. Usiadłem i oparłem sobie nogi na jego łóżku.

- Jak tam głowa? - zapytałem.

- Co się stało z twoimi butami?

- Skończyły swój żywot na posadzce izby przyjęć. Pielęgniarz rozciął mi je, gdy tu przybyliśmy. - Obejrzałem się w kierunku dyżurki pielęgniarek. - To co mówi lekarz?

Amos poprawił się pod pościelą.

- Mówi, że miałem dużo szczęścia z tymi zapiętymi pasami, a jeszcze więcej, że poduszka powietrzna przebiła się akurat wtedy, kiedy było trzeba. Jeszcze parę dni tutaj, jeszcze jakiś tydzień w domu i powinienem stanąć na nogi.

Rzuciłem na łóżko jego budrysówkę, z której wysypały się ubrania.

- Miałem nadzieję, że to przyniesiesz - powiedział. Amos wstał ostrożnie i wyprostował się.

- Stary, ten pokój wiruje. - Oparł się na mnie, a ja pomogłem mu się ubrać i wyszliśmy na korytarz.

Spojrzał na mnie.

- Zanim pojedziemy, chcę się zobaczyć z Amandą. Wyszliśmy z windy na poziom oddziału, na który trafiali pacjenci wypisani z intensywnej terapii. Amanda leżała na wznak, ale jej głowa wsparta była na poduszce, a jej spojrzenie spotkało się z naszym, gdy wkraczaliśmy w strefę przyćmionego światła pokoju, pustego, nie licząc trzydziestu lub czterdziestu bukietów.

- Hej - Amos usiadł i delikatnie ujął ją za rękę.

- Jak się czujesz? - wyszeptała Amanda. - Mówią, że odcisnąłeś głową niezły ślad na kierownicy.

- No, tak to wygląda, gdy się ma twardy łeb. - Amos chwycił się za klatkę piersiową i starał się nie śmiać. - Czuję się dobrze - powiedział - ale zrobię sobie jednak kilka dni wakacji.

- Zasłużyłeś na nie.

- A jak ty się czujesz, dziecko? - zapytał Amos.

- Cóż, złamałam kilka żeber, pogruchotałam sobie miednicę, doznałam wstrząśnienia mózgu i straciłam mnóstwo, o ile nie większość, krwi, ale wydobrzeję. Spędzę tu prawdopodobnie jeszcze trochę czasu. Ludzie z Kościoła taty oraz szkolni przyjaciele, którzy oddali krew, okazali się po prostu wspaniali. Nie sądzę, abym mogła karmić piersią, ale zobaczymy. - Uśmiechnęła się i spojrzała w kierunku korytarza.

- Jeżeli udałoby mi się zabrać go na chwilę mamie, mogłabym spróbować.

Amanda zwróciła się do mnie, ostrożnie, aby nie poruszyć się zbyt szybko.

- Witam, profesorze.

- Co słyhać? Jak się miewa twój chłopak?

- Był tu przez większą część dnia. Mama właśnie zabrała go na korytarz, żeby podać mu butelkę i trochę z nim pospacerować. Uważa, że nie czuje się dobrze, zamknięty w tym pokoju. - Amanda zaśmiała się. - Powtarzam jej, że ten pokój jest znacznie większy niż miejsce, w którym znajdował się przez ostatnich dziewięć miesięcy.

- Dałaś mu jakieś imię? - zapytałem.

- No - powiedziała Amanda, dumnie unosząc głowę.

- Nazywa się John Amos Dylan Lovett. Nie jesteśmy jeszcze pewni, jak będziemy się do niego zwracać, ale tatuś już mówi o nim Mały Dylan. Mama twierdzi, że tylko o tym tatuś dzisiaj opowiadał w kościele: Mały Dylan to, Mały Dylan tamto.

Spojrzeliliśmy z Amosem na siebie, a następnie znów na Amandę.

- Jesteś pewna, że chcesz, aby twoje dziecko się tak nazywało? Chodzi mi o to, że z takim imieniem naraża się na spore kłopoty - przerwałem i pokiwałem głową. - Było tak ze mną.

Amos wtrącił swoje trzy grosze.

- Nadal jest.

Amanda wskazała na szafkę przy łóżku.

- Proszę zobaczyć samemu. Napisali tak nawet w jego dokumentach.

- Rzeczywiście - powiedział Amos, uśmiechając się. Przeczytał dokument, a następnie podał go mnie.

Pokiwałem głową i uśmiechnąłem się znacząco.

- Mnie to nie przeszkadza. Możesz nadać chłopcu takie imię, jakie tylko chcesz.

Amos uściskał dłoń Amandy.

- Amanda, kochanie, muszę jechać do domu, znaleźć się w swoim łóżku, aby świat przestał wirować, i trochę się przespać. Wpadnę się dowiedzieć, jak się masz, za dzień lub dwa. Jak tylko to wirowanie się uspokoi.

Amos i ja wyszliśmy przez korytarz i skierowaliśmy się w stronę wyjścia.

- To wyjątkowo silna dziewczyna, Amos. Pokiwał głową.

- Kobieta. Silna kobieta. I mam nadzieję, że ten dzieciak nigdy nie wpakuje się w jakieś kłopoty w szkole, bo sporo czasu będzie mu zabierało przeliterowanie swojego imienia przy tablicy.

Wyszliśmy na parking i Amos zauważył swojego forda expedition.

- Fajny wóz - powiedział.

- No cóż, jego obecny właściciel jest uziemiony i nie będzie go potrzebował przez parę dni.

- Z twoim bardzo źle?

- Jake mówi, że zatarłem silnik. Jak będę miał czas, wybiorę się do niego i pogadam o tym.

Wysadziłem Amosa pod świecącym w pełni wyraźnie zarysowanym księżycem. W jego blasku drzewa przed domem Amosa rzucały piękne cienie. Pojechałem do siebie i owinałem się w ciepłą, spokojną otulinę rozluźnienia oraz refleksji. Tak wiele się wydarzyło, że musiałem cofnąć się i nasiąknąć tym przez jakiś czas. Sącyłem kawę na werandzie przed domem, Blue leżał przede mną, wsłuchując się w dźwięk bujanego fotela. Około północy chwyciłem swój płaszcz i poszedłem w kierunku pola kukurydzy.

Idąc pomiędzy rzędami, wyciągnąłem rękę, muskając dłonią wszystkie zeschnięte strąki, jakbym liczył sztachety w płocie. Papa już do tego czasu by je zorał. Po dziesięciu minutach razem z Blue wyszliśmy po drugiej stronie pola, wędrowaliśmy wzdłuż krawędzi pastwiska i zatrzymaliśmy się pod konarami wielkiego dębu, gdzie posiedziałem sobie w ciszy ze swoim synem. Jego grób pokryty był żołądziami oraz wijącą się wistarią, uniosłem więc pnącza, zmiotłem dłonią żołądzie i zdmuchnąłem ziemię z nagrobka.

Bryza przenikała przez liście w górze, odbijała się od rzeki i wirowała wokół mojego kołnierza, kierując się z powrotem w stronę pola kukurydzy. Była delikatna, zimna i cicha. To dobrze.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Trzydziestego grudnia, gdy szedłem przez podwórko, by zajrzeć do skrzynki na listy, było zimno i pochmurno jak nigdy. Bywało już w tym roku w Digger wyjątkowo chłodno, ale teraz zrobiło się wręcz lodowato. Amos pożyczył ode mnie swojego forda i pojechał do miasta zrobić zakupy. Po wypadku wianuszek kobiet z Kościoła przygotował mu zapiekankę, gulasz, klopsy, pieczeń i jeszcze jakiś gulasz, ale wszystko już zjadł, a nie był to ktoś, kto pozwoliłby sobie na głodowanie. Zdecydowałem się więc spędzić przedpołudnie w domu, ale gdyby Amos przywiózł z powrotem auto, wsiałbym i pojechał odwiedzić Maggs.

Mroźny wiatr dał w moje bokserki, obniżając temperaturę z naprawdę niskiej do jeszcze niższej, co przekonało mnie do szybszych ruchów. Stałem przy skrzynce na listy, marznąc i wpychając sobie pod pachę pocztę, gdy Chevrolet lumina z napisem „Usługi Kurierskie Mike'a” na boku zahamował z piskiem za moimi plecami. Upuściłem pocztę i odwróciłem się, aby sprawdzić, kto właśnie niemal przyprawił mnie o zawał, co skróci moje życie o jakieś trzy lata. Z auta wyskoczył szesnastolatek z taką ilością pryszczu, że żadna maść by tu nie pomogła.

- Dylan Styles? - Trzymał kopertę i wymachiwał nią w moim kierunku.

- Dylan to ja - powiedziałem, truchtając w miejscu i zastanawiając się, czy nie otworzył się rozporek w moich bokserkach.

- Niełatwo pana znaleźć. Jeżdżę po tym cholernym wygwizdowie od półtorej godziny. Jak pan tu może mieszkać? Jak w Egipcie. - Pokręcił głową i rzucił kopertę w moim kierunku. Bez słowa wskoczył z powrotem do auta, odpalił silnik, zagrzał gumy, zarzucił tyłem i zniknął.

Potruchtałem do domu, rzuciłem pocztę na podłogę, a jeden list zabrałem ze sobą na sofę, aby otworzyć go przy kominku. List wydrukowany został na papierze ze znakami wodnymi, z wytłoczonym nagłówkiem na szczycie kartki, i podpisany był przez mojego szefa z collegeu, pana Wintera,

27 grudnia

Szanowny Doktorze Styles,

Pana osiągnięcia dydaktyczne oraz oceny studentów wypadły wzorowo. W konsekwencji Rada DJC wraz ze mną ma przyjemność zaproponować Panu przedłużenie kontraktu na nadchodzący rok. Byłoby nam bardzo miło nawiązać z Panem dłuższą współpracę w charakterze członka naszego zespołu. Jeżeli wyraża Pan taką wolę, proszę podpisać załącznik, zatrzymać jeden egzemplarz dla siebie, a drugi odesłać mi w najbliższym dogodnym dla Pana terminie. Jestem do dyspozycji o każdej porze, gdyby zechciał Pan do mnie zadzwonić.

Szczęśliwego Nowego Roku!

Z poważaniem, William T. Winter Dziekan Wydziału Anglistyki Digger Junior College

Podrapałem się po głowie i spojrzałem w dół na Blue, który przyglądał mi się, wystawiając nos na wiatr.

- No, będę - wskazałem na list. - Wygląda na to, że mogę w końcu zacząć uczyć. Ale numer.

Blue wskoczył na sofę, położył mi głowę na kolanie i obrócił się na plecy, wystawiając brzuch. Rozparłem się na sofie, wyciągnąłem nagie stopy na stoliku i pomyślałem sobie, jak bardzo podoba mi się widok bębenka ustawionego na gzymsie kominka. Przyszło mi do głowy, że Maggie także by się podobał.

Rozdział trzydziesty

Amos nie pokazywał się do południa, więc wybrałem się do miasta okazją z nową umową w kieszeni. Chciałem pokazać ją Maggie. Stałem na zimnie przez czterdzieści pięć minut, zanim ktoś nadjechał, ale zatrzymał się dopiero następny samochód, godzinę później. Kierowcą był młody człowiek, zdążający na imprezę. Miał osiemnaście lat i prowadził pontiaca transam rocznik 1979. Takiego samego, jakim jeździł Burt Reynolds w filmie Mistrz kierownicy ucieka, ale mój przyjaciel wprowadził w silniku swojego auta kilka zmian.

- No - powiedział, wciskając dźwignię skrzyni biegów - ten model ma małe cylindry. Rozwierciłem je więc, rozebrałem, wypolerowałem, nałożyłem na tłoki parę pierścieni, oczywiście pod kątem, mocną krzywkę, a następnie wprowadziłem rurę wydechową przez parę dość sporych kolektorów oraz wyciszeń z waty szklanej. Chodzi co prawda głośno, ale - dodał z dumą w głosie - pójdzie prawie jak odrzutowiec. Mogę pewnie wycisnąć ponad czterysta koni mechanicznych.

Ledwo go słyszałem, ale wierzyłem w to, co mówił. Dodał gazu i wcisnęło mnie w fotel z taką siłą, że jechaliśmy sto dwadzieścia, zanim zdążyłem wyprostować głowę do pionu. To był najgłośniejszy, najszybszy samochód, jakim kiedykolwiek jechałem. Mógł palić gumy na każdym z czterech przełożeń, a kierowca z radością mi to prezentował. Deska rozdzielcza, niczym w kabinie bolidu, pełna była wskaźników, przełączników, migających światełek. Nie mam pojęcia, jak widział jeszcze drogę.

Pokonaliśmy pozostałe dwadzieścia kilometrów do miasta w jakieś siedem minut. W pewnym momencie jechaliśmy tak szybko, że gdy otworzyłem oczy, przerywana żółta linia na środku drogi wyglądała na ciągłą. Chciałem mu podziękować, gdy mnie wysadził, ale nie usłyszał poprzez dźwięk wydobywający się z rury. Powiedział, że jedzie teraz na stację benzynową, dałem mu więc trzy dolary, które wygoszparowałem na obiad. Dałbym mu więcej, ale poza nimi jedyną rzeczą, która znajdowała się w mojej kieszeni, była umowa na kolejny rok, i nie sądziłem, że może mu się do czegośkolwiek przydać.

Maggie, gdy wszedłem, emanowała pogodnym pięknem. Zachwyciłem się. Boże, jak ta kobieta wspaniale wygląda. Usiadłem obok łóżka i ująłem ją za rękę. Znałem to doskonale. Jej palce zrobiły się od świąt bardziej aktywne. Wydawało mi się nawet, że raz poczułem jej uścisk, ale nie byłem pewien. Być może była to raczej tylko jedna z tych mimowolnych reakcji rdzenia kręgowego, o których mówił mi lekarz, uprzedzając, abym zbytnio się tym nie ekscytował.

Tak czy owak, uściskałem jej dłoń. Za każdym razem, gdy siadałem na tym krzeselku, ścisnąłem jej dłoń dwa razy. Oznaczało to: „Kocham cię” i Maggs o tym wiedziała. W czasie naszego narzeczeństwa oraz małżeństwa dwa uściski w każdym razie zawsze oznaczały: „Kocham cię”. Cztery zaś: „Ja też cię kocham”.

Gdy tego dnia uściskałem jej dłoń, poczułem jeden uścisk Maggs. Nie, nie były to dwa uściski ani cztery, ale był to uścisk. I proszę mi nie wmawiać, że była to jakaś mimowolna reakcja rdzenia kręgowego. Była w tym dusza. Opowiedziałem jej o umowie, a jej gałki oczne skryte pod powiekami zaczęły biegać to w jedną stronę, to w drugą. Oddech zaś przyśpieszył. Siedziałem tam, śmiejąc się. Śmiejąc się na myśl o collegeu zamierzającym mnie zatrudnić na stałe.

Gdy tak siedziałem z Maggs, ktoś zapukał do pokoju. Pocałowałem ją i uchyliłem drzwi. To była Koy.

- Witam, profesorze. Przepraszam, że przeszkadzam, ale zastanawiałam się, czy mogę z panem porozmawiać.

- Jasne - powiedziałem - Daj mi minutę.

Okryłem Maggie kocem aż po szyję, upewniłem się, że ma podciągnięte skarpety, zgasilem światło i zamknąłem za sobą drzwi. Razem z Koy poszliśmy w kierunku automatu z kawą; nalałem sobie kubek i zaproponowałem jej także. Pokręciła głową.

- Hm, profesorze - zdjęła okulary i rozejrzała się, spoglądając za mnie, aby się upewnić, czy nikt inny nie słyszy. - Czy nadal ma pan to, hm... to usprawiedliwienie, które panu dałam?

- Sądzę, że tak. Myślę, że jest w dzienniku, który mam w domu. Czemu pytasz?

- Cóż - powiedziała, zajmując się okularami - zastanawiałam się, czy mogłabym dostać je z powrotem. - Opuściła wzrok i czekała na moją reakcję.

- Oczywiście, że możesz je dostać z powrotem - przerwałem i przyjrzałem się jej bliżej. Wyglądała tak, jakby nie spała przez kilka dni: - Koy, dobrze się czujesz?

- Tak, zastanawiałam się tylko, czy mogę je dostać z powrotem. To wszystko.

- Przyniosę je do szkoły w przyszłym tygodniu. Muszę powpisywać oceny.

- Ale - jąkała się - ja... ja zastanawiałam się, czy mogłabym dostać je wcześniej.

- Dobrze, o ile nie masz nic przeciwko, aby sama po nie wpaść.

- Nie mam - odpowiedziała szybko.

- Wracam dzisiaj późnym wieczorem, ale jeżeli odwiedzisz mnie jutro, będę w domu przez większą część dnia.

- Dzięki, profesorze. Do zobaczenia jutro.

Koy wyszła, a po jakiejś minucie wyślizgnałem się bocznym wyjściem. Nie chciałem, aby zobaczyła mnie wracającego do domu i na pewno nie chciałem, aby proponowała mi podwiezienie. Widok nauczyciela ze studentką sam na sam w samochodzie doprowadził już do niejednego oskarżenia. Mieszkałem nie tak znowu daleko. Chodziłem tam na piechotę już wcześniej.

Znajdowałem się już około pięciu kilometrów od szpitala, gdy pojawił się Amos mknący za moimi plecami. Zaparkował na poboczu.

- Wiedziałem, że to ty. Wspiąłem się do środka.

- Stary, cieszę się, że cię widzę. Znowu robi się zimno.

- Amanda wychodzi jutro do domu - powiedział. - Pastor John zatrzymał mnie w sklepie spożywczym i powiedział, że wypisują ją rano.

Wysadził mnie na końcu podjazdu, postawiłem więc sobie kołnierz. Teraz zaś szedłem w zupełnych ciemnościach z rękami w kieszeniach płaszcz. Gdy dotarłem do werandy, ktoś w okularach przeciwsłonecznych siedział na schodach, opierając sobie głowę na rękach. Tak jak kurier pozbawiła mnie kolejnych trzech lat.

- Koy?

- Przepraszam, profesorze. Nie wiedziałam, gdzie się włącza światło.

- No cóż, za jakieś osiem godzin wzejdzie słońce.

- No tak. Pomyślałam sobie jednak, że może dostanę to usprawiedliwienie jeszcze dziś wieczorem.

Wyglądała na zeszywniała, ale nie z powodu temperatury, i jej głos brzmiał tak, jakby wcześniej płakała.

- Przyniosę - wszedłem do środka, włączyłem światło na werandzie, zabrałem usprawiedliwienie i wróciłem na werandę. Podałem jej, ale tym razem nie zdjęła swoich okularów.

- Dzięki, profesorze.

- Koy? - powiedziałem. - Nie musisz mi tego mówić, ale po co ci to?

- Chcę to... po prostu mieć - wyjąkała. Po czym szybko odeszła do swojego samochodu. - Dziękuję, profesorze. - Zamknęła drzwi i wolno ruszyła z podjazdu. Gdy odjechała, była jedenasta.

Wszedłem do środka, podrapałem Blue między uszami i nalałem sobie kubek mleka. Stojąc na werandzie, wpatrując się w gwiazdy i sącząc słodkie, gęste mleko, przyglądałem się, jak nadciąga północno-zachodnia bryza i faluje moją kukurydzą.

Moją uschniętą i bardzo martwą kukurydzą.

Wylizałem mleko i chwyciłem zapalną z parapetu. Na brzegu kukurydzianego pola przy wietrze wiejącym od tyłu zapaliłem ją i przystawiłem do łodygi przede mną. Płomień wystrzelił, gdy pochwycił go wiatr, i prawie zgasł. Otoczyłem dłońmi zeschnięty liść i spróbowałem raz jeszcze. Nie upłynęły dwie minuty, a ogień już szalał. Cofnąłem się, skrzyżowałem ramiona i przyglądałem się, jak rozprzestrzenia się na dwudziestu akrach, szybko zamieniając pole w jedną, ogromną, ryczącą pożogę.

Amos zobaczył ogień i przybył biegiem od strony swojego domu. Przebiegł przez moje podwórko w skarpetach i z obcęgami w ręku, unikając iskier oraz płomieni. Krzyknął poprzez trzaski i zgiełk:

- Ivory, rozum ci odebrało?

Stałem tam, z zapamiętaniem wpatrując się w blask i płomienie.

- Nie - odpowiedziałem, gdy ogień dotarł do drogi i zaczął zanikać. - Właśnie zaczynam go odzyskiwać.

Amos pokręcił głową i zaczął truchtać z powrotem w kierunku domu. Słyszałem, jak gada do siebie pod nosem:

- Skończony idiota. Cała ta edukacja i nadal jest głupi jak but. Spali mi dom...

Stałem tam wystarczająco długo, aby zobaczyć, jak ogień dogasa, i poczuć powracające zimno. Potem zwałem z powrotem do środka, położyłem się na sofie i po raz pierwszy od wielu miesięcy spałem spokojnie w swoim domu.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Jake Powers to właściciel warsztatu „U Jake'a”. Poza faktem, że jest to jedyny warsztat naprawy samochodów w mieście, jest to także jedyny w Digger dealer samochodowy. Można powiedzieć, że jest monopolistą na tym niewielkim rynku. Jego oferta to miszmasz prawie nowych oraz bardzo używanych samochodów osobowych i trucków... w większości bardzo używanych. Ani jedno auto na parkingu nie jest chronione przedłużoną gwarancją, a jeszcze mniej z nich ma gwarancję fabryczną.

Miejsce to przypomina mi wyspę popsutych zabawek. Jak Jake zdołał przetrwać w interesie tak długo, to ósmy cud świata. Ale nie chodzi tu o jego smykałkę do sprzedaży. Myślę, że ludzie przyjeżdżają do niego, ponieważ jest im go żal. Żal z powodu wiecznie krzywiącej się żony oraz czwórki budzących litość dzieciaków. Tak naprawdę to cały ten żaloszny obrazek stanowi prawdopodobnie marketingowy wybieg.

Stanowiłem znakomity cel. Postanowiłem więc sobie, że pojedę do Walterboro, aby kupić sobie prawdziwy samochód, taki z zerowym przebiegiem na liczniku, gdy przypomniałem sobie billboard, który ukazywał uśmiechnięte dzieci Po-wersów siedzące na kolanach taty oraz mamy. Pod spodem widniał napis: „Odwiedź warsztat «U Jake'a»”. Zakup, którego dokonasz, pomoże mi wyżywić moje dzieciaki”.

Dość powszechnie wiadomo, iż jeżeli potrzebuje się czegoś porządnego, czegoś z gwarancją, czegoś, co nie pozostawi nas zdanych na własne siły, lepiej pojechać do Walter-boro. Jeżeli jednak jest się w kropce i jeżeli jest się frajerem, wówczas pozostaje warsztat Jake'a. Tak naprawdę nie byłem w kropce, ale nie chciało mi się targować z jakimś dealerem, samochodów z Walterboro, a poza tym Jake miał mojego trucka. Może mógłbym zainteresować go jakąś wymianą. Szczerze mówiąc, sam miałem pewien pomysł. Pamiętałem również, że Jake pracuje w święta i będzie miał otwarte w Nowy Rok. Skierowałem się zatem przez podwórko i wyruszyłem na spacer do Jake'a.

Po dziesięciokilometrowym ni to spacerze, ni to joggingu z Blue przy boku przybyłem na jego parking.

- Cześć, Jake.

Jake stanął pomiędzy mną a bramą, na wypadek gdybym się rozmyślił i postanowił sobie pójść.

- Cześć, Dylan, jak się masz?

Razem kończyliśmy szkołę średnią i Jake zawsze chwycił sprawy z niewielkim opóźnieniem. Poza tym jedno z jego dzieci wymagało specjalnej

troski, a Jake był dobry dla swojej rodziny. Pracował przez cały czas i jego parking zawsze był otwarty. Podczas świąt Bożego Narodzenia wiele osób kupowało u niego choinki. Bez mrugnięcia okiem gotów był pokazać tyle drzewek, ile tylko zażyczyła sobie żona któregoś z jego klientów. Następnie przycinał choinkę na miejscu, ładował na samochód, przywiązywał i życzył każdemu wesołych świąt, mając szczerą nadzieję, że takie właśnie będą.

- W porządku - skłamałem. Powiedzenie prawdy zabrałoby zbyt dużo czasu. - Jak tam mój truck? - zapytałem.

Pokręcił głową.

- Ugotowany. Silnik zatarł się na amen. Wymiana silnika kosztowałaby cię więcej, niż wart jest cały wóz.

W tym miejscu właśnie Jake rozpoczynał starania, by sprzedać klientowi coś ze swego parkingu. Wiedziałem, co się święci, więc tylko słuchałem. A poza tym nie był jedynym, który knuł intrygę.

Kontynuował, przekrzywiając głowę, jakby wyświadczał mi przysługę.

- Mógłbym zaoferować ci więcej, wymieniając na inny, niż mógłbyś dostać, po prostu go sprzedając.

- A co masz?

Jake uśmiechnął się, a w jego oczach dostrzegłem, że kalkuluje. Stary Jake pomyślał, że mnie ma. Ale parę miesięcy wcześniej na tyle jego parkingu zobaczyłem trucka, który przykuł moją uwagę. Gdy mój się zatarł, miałem wymówkę, aby sprawić sobie tego, którego szukałem.

Wyciągnął z kieszeni koszuli poplamioną kartkę - sporą, bo siedemnaście na dwadzieścia pięć, słowem: klasyczne B5 - i spojrzał spod swoich okularów.

- Zobaczmy... - Uważnie badał tę swoją kartkę. - Dla rodziny i w ogóle będziesz pewnie potrzebował coś takiego jak... - ścisnął sobie palcami podbródek - ta furgonetka, o tutaj. - Wskazał na furgonetkę Chryslera ustawioną z przodu placu, zaparkowaną pod trzepoczącymi czerwonymi, białymi i niebieskimi chorągiewkami.

Trzeba by jednak jeszcze większego frajera niż ja, aby opuścić plac czymś takim. Pokazałem na tył parkingu i powiedziałem:

- Hm... Jake, a tamten truck? Spojrzał znad swojej kartki i odezwał się:

- A, tak. Tamten truck.

Obaj wpatrywaliśmy się w wypłowiałego pomarańczowego forda pick-upa, pokrytego liśćmi i zaparkowanego w dość odległym miejscu.

- Wow, ty to wiesz, jak coś dojrzeć, Dylan. - Klepnął mnie w ramię, gdy szliśmy na tył placu. - To jest ford F-150 rocznik 1976, napęd na cztery koła, oczywiście. Na liczniku ma około 230 000 kilometrów, ale silnik jest po

remontcie, a na nowym przejechał tylko 800, ma nową skrzynię biegów, nowy tył karoserii.

Jake zdjął okulary i chyba rozejrzył się dookoła, zanim podjął na nowo:

- Dylan, ja wiem, że czasami sprzedają tutaj nie najlepszy sort, ale przy odpowiednim właścicielu to jest naprawdę w porządku wóz. To znaczy, paka jest przerdzewiała, taśma klejąca zakrywa poprute miejsca na tapicerce, ale co do niezawodności... - Jake delikatnie poklepał maskę auta. - Myślę, że może to być jeden z bardziej niezawodnych pojazdów na tym placu.

W tym szczególnym przypadku Jake prawdopodobnie mówił prawdę.

- Cztery cylindry, szesnaście zaworów z paroma wprowadzonymi zmianami. Myślę, że ma moc około czterystu koni mechanicznych. - Zmrużył oczy w słońcu. - Nie za dużo, jak na twoje potrzeby?

- Nie - powstrzymałem śmiech. - Powinno się przydać.

- W porządku, hm... Co jeszcze?... Wskaźniki funkcjonują dość dobrze, a opony... - Jake kopnął w opony. - Wyglądają całkiem nieźle. Na mój gust są trochę za duże, ale ty masz farmę, to mogą się przydać. - Oparł rękę na szczycie opony, która sięgała mu do połowy uda. - Co byś powiedział na dwa tysiące pięćset?

Jake zawyżył cenę. Musiał mieć ciężki miesiąc. Rzecz nie była warta nawet półtora tysiąca. Dla nikogo. Poza mną.

Przeszkodził mi, zanim zdołałem odpowiedzieć.

- Albo nie - głośno się zastanawiał - wiesz, co ci powiem, dam ci pięćset za twojego i wezmę półtora tysiąca, ale tylko z powodu naszej wspólnej historii. Pokręciłem głową.

- Jake, jesteś dla mnie taki dobry. - Zatarłem ręce, jakbym właśnie dokonywał w głowie kalkulacji. Dobrze, że nie mógł czytać w moich myślach. Mogłem dać tysiąc. - Dam trzy.

- No cóż, mogę ci spuścić do tysiąca, ale... - Jake podrapał się po głowie. - Co ty powiedziałaś?

- Powiedziałem, że fatalnie bym się czuł, gdybym dał ci za auto mniej niż trzy tysiące. To jest zabytek i obaj o tym wiemy. Robisz mi po prostu przysługę, bo znamy się od tak dawna. - Klepnałem Jake'a w plecy i podałem mu swoje prawo jazdy.

Jego oczy zrobiły się dwa razy większe i spojrzał na mnie tak, jakbym postradał rozum.

- Dylan? - pozbierał się. - Hm, ta... wejdźmy do środka i zabierzmy się za papierkową robotę.

Gdy Jake siadał za biurkiem, jego uśmiech rozrósł się. Już sam ten uśmiech wart był trzy pattyki. Truck mógł stanowić tylko deser. A przynajmniej tak zamierzałem powiedzieć Amosowi, gdy da mi szkołę za kupno tego wozu od Jake'a.

Upewniłem go.

- Tak, Jake. Naprawdę doceniam to, że jesteś dla mnie taki dobry. Jesteś starym zawodowcem i znasz się na samochodach. Wiem również, że zawsze byłeś dobry dla tych, co do ciebie przychodzą. Zrobiłeś wiele dobrego w Digger. Zwłaszcza gdy nadchodzi Boże Narodzenie albo gdy ludziska potrzebują pomocy.

Jake ponownie zmrużył oczy, jak gdyby nie był całkiem pewny, co stanie się za chwilę.

- Zrobiłem? - zapytał. - To znaczy... - odchrząknął - zrobiłem. Dzięki, że zauważyłeś.

- Słuchaj, Jake, przecież wszyscy tak robimy - znowu skłamałem.

Podał mi kluczyki i powiedział:

- Zatrzymam tytuł własności, oczywiście, i prześlę ci za jakieś dwadzieścia cztery miesiące. Jeżeli to ci odpowiada.

- Brzmi nieźle. I przekaż ode mnie pozdrowienia dla Lizy i dzieciaków.

Jake wyglądał tak, jak gdyby właśnie zobaczył Elvisa. Pokiwał głową, a ja wspiąłem się do trucka.

Nareszcie, napęd na cztery koła. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i silnik zagrział na wolnych obrotach. Ach, to się nazywa ciężarówka. Jeżeli ktoś tego jeszcze nie zrozumiał, niech się nie wysila, bo już nie zrozumie.

Gdy włączałem pierwszy bieg, starsza, przygarbiona, czarna kobieta zaparkowała na placu. Otworzyła skrzypiące drzwi, wygramoliła się ze swojego auta, podeszła do Jake'a i wyciągnęła równo złożony zwitek banknotów. Usłyszałem, jak mówi:

- Panie Jake, oto moja dziewiąta rata. Zostało mi jeszcze sześć do całkowitej spłaty.

Pomachałem do Jake'a.

- Cześć, miło cię było widzieć, stary - powiedziałem. - I dzięki za opiekę nad całym naszym ludkiem w Digger. Walterboro się nie umywa.

Jake podrapał się po głowie i skoncentrował na kobiecie.

- Pani Parker, bardzo dobrze wywiązuje się pani ze spłat. Jest tutaj pani co miesiąc, jak tylko dostanie czek z pomocy społecznej. Uznajmy po prostu, że jesteśmy kwita. Zarobiłem już na tym aucie tyle, ile chciałem.

- Ale Jake - zaprotestowała, kiwając głową. - Nadal winna ci jestem blisko trzysta dolarów.

- Tak, psze pani. Dwieście czterdzieści siedem dokładnie. - Jake objął ją ramieniem i pomógł jej wrócić do auta.

- Ale może zna pani kogoś, kto będzie potrzebował pewnego dnia samochodu? - Uśmiechnął się. - Przecież ma pani cały wianuszek dzieci.

- Kotku - pani Parker oparła sobie rękę na biodrze - mam ich siedmioro i jeżeli którekolwiek z nich kupi samochód gdziekolwiek indziej niż tutaj, stłukę je jak bękartą. - Wyciągnęła rękę, przysunęła sobie Jake'a do swojego wielkiego, wybujałego biustu i pocałowała prosto w usta.

Wyprowadziłem wóz z parkingu. Blue trzymał głowę wystawioną przez okno od strony pasażera, aby załapać się na wiatr. Włączyłem zepsute, podrapane radio i ruszyliśmy autostradą w oparach dymu z rury wydechowej i w rytmie ubłoconych kół, które wymagały prawidłowego ustawienia. Byłem zakochany.

Powinienem był prawdopodobnie pojechać od razu do domu, ale tak nie zrobiłem. Zamiast tego zatankowaliśmy do czegoś, co gdyby nie było podwójnym zbiornikiem, musielibyśmy tankować często. Potem wrzuciłem spokojnie na jedynkę. Jake miał rację, temu pojazdowi nie brakowało mocy. Ktoś wprowadził do niego kiedyś jakieś modyfikacje. Wyjechaliśmy z Digger przy otwartym oknie i skierowałem maskę w stronę „Gdziekolwiek”, które leży dokładnie na południe od „Wszystko jedno”. Blue i ja potrzebowaliśmy powiewu wiatru. Maggs nie miałyby nic przeciwko. Gdyby mogła, pewnie kazałaby mi się wynosić ze szpitala tak czy owak. Słońce zaszło nad Charlestonem, zawróciliśmy więc na południe i ruszyliśmy pustymi wiejskimi drogami wokół Walterboro.

Potrzebowałem nowej pary butów, zatrzymaliśmy się więc w Western World w Walterboro, gdzie przechadzaliśmy się alejkami z obuwem. Nie trwało to długo. Moje buty znajdowały się na górnej półce, czekając właśnie, aby na mnie skoczyć, gdy przechodziłem. Olathe Mule Skinners.

Twarda, brązowa skóra, średniej długości czubek, podwójny sztuper, podwójna podeszwa wyściełana skórą, średni obcas, dwudziestocentymetrowa cholewka. Wyglądały jak buty, które nosił Dean Martin w Rio Bravo, i gdy włożyłem je na stopy, moje poszukiwania zostały zakończone. Pokochałem je. Maggie miałyby na ten temat odmienne zdanie.

Zwróciłem się do sprzedawcy:

- Wezmę je... I chciałbym w nich wyjść.

Uniósł moje buty do biegania dwoma palcami, marszcząc nos, wrzucił je do pudełka i zamknął pokrywę. Zapłaciłem przy kasie, ale nie wcześniej nim kupiłem dwie nowe pary wranglerów. Co przy Maggie nie uszłoby mi na sucho.

Wyszedłem, uśmiechając się niczym skrzyżowanie naturalizowanego buraka z aktorzyną grającym farmera. Ale uśmiechałem się, a było to coś, czego nie robiłem zbyt często w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Przechodząc przez parking, celowo wszedłem w kałużę, a następnie razem z Blue zapakowaliśmy się do wozu i wycofaliśmy na szosę.

Uśmiech zniknął mi z twarzy, gdy spojrzałem w lusterko wsteczne. Nacisnąłem na hamulec i siedziałem, przyglądając się sobie. Gdy już się rozpoznałem, ruszyliśmy w kierunku północno-zachodnim w stronę Columbii, a następnie na południe różnymi bocznymi, wiejskimi drogami, przez małe miasteczka, które powyrastały wokoło pól bawełny, orzeszków ziemnych i tytoniu.

Blue zmieniał pozycję, to wystawiając nos przez okno, to zwijając się w kłębek na siedzeniu obok mnie. Obwąchiwał wszystko po drodze, przeskakując z jednego miejsca na drugie. Jego nerwowość wskazywała, że nie był całkiem pewien, co ma począć ze mną oraz z wozem. Podrapałem go pomiędzy uszami i uspokoił się, opierając w końcu głowę na moim kolanie. Siedziałem z jedną ręką na kierownicy, a drugą opartą na oknie. Od czasu do czasu spoglądałem w lusterko wsteczne tylko po to, aby zobaczyć swój uśmiech, próbując się do niego przyzwyczaić. Gdyby była tu Maggie, też by się śmiała i ta myśl nie pozwalała karmić się wyrzutom sumienia. Bez jej uśmiechu nigdy nie wyjechałbym z placu u Jake'a.

Tuż przed zapadnięciem zmroku tłukliśmy się jakąś boczną drogą, która stanowiła nieregularną mozaikę ziemi, twardej nawierzchni oraz wybojów, gdy coś przykuło mój wzrok. Ścieżka, która przyciągała. Blue i ja zjechaliśmy z twardej szosy na mokrą, trawiastą, pustą drogę z cyprysami tak wielkimi, że razem z Maggie i Amosem nie bylibyśmy w stanie złapać się wokół nich za ręce.

Toczyliśmy się przez jakieś półtora kilometra, docierając w końcu na piaszczysty brzeg rzeki. Zaparkowałem i wypuściłem Blue, aby obwąchał sobie krzaki. Wskakując na maskę, skrzyżowałem nogi, jeszcze raz przyjrzałem się swoim butom, następnie przechyliłem do tyłu głowę i poprzez gałęzie drzewa cyprysowego oglądałem zachód słońca nad bezimiennym potokiem w jakiejś zapomnianej części Południowej Karoliny. Zdaje się, że trud zauważenia tego wszystkiego zadało sobie do tej pory tylko niewielu. Leżałem tam przez dobrą chwilę, nucąc piosenkę Randy ego Trvisa.

Słońce zniknęło, a gałęzie cyprysu przybrały kształt oraz charakter sobie należny, gdy zapada zmrok. Blue zaczął skomleć. Zawróciłem trucka i wjechaliśmy z powrotem na asfaltową szosę. Nie wiem, ile kilometrów przejechaliśmy tamtego wieczoru. Może czterysta pięćdziesiąt. Byliśmy w drodze pięć, może sześć godzin, ale na pewno nie dało się tego odczuć. Tak już jest z czasem w Digger. Dla niektórych stoi on w miejscu.

Wjechaliśmy do miasta około dziewiątej. Było ciemno, zimno i pogodnie, a ja mógłbym tak jeździć przez następne trzy dni. Wciąż mam jeszcze pięć czy sześć niezłych piosenek w głowie, które mogłyby wypełnić mi czas przez całą noc. Skręcając na podjazd, zaśmiałem się, ponieważ dotarło do mnie wówczas, jak bardzo Maggie nie podobałby się mój nowy truck. Jeżeli zajrzy się do słownika i napotka się hasło „burak”, to dopiero wówczas można wyobrazić sobie wygląd mojego wozu. Ale cieszyłaby się, że mnie się to auto podoba.

Objechałem dom i zaparkowałem przy stodole. Potem wsunąłem garnek pod silnik, aby następnego ranka powiedział mi, czy cieknie z niego olej. Nowy silnik czy nie nowy, to wóz był stary, a stare wozy zużywają olej. Tak już mają. Jeżdżąc którymś z nich wystarczająco długo, zaczyna się to rozumieć. Uniosłem klapę i usłyszałem lekkie kroki na żwirze za sobą.

- Co to jest? - zapytał Amos, pokazując na moją blado-pomarańczową piękność.

- To - powiedziałem, wciąż się uśmiechając, z ręką teatralnie opartą na klapie - jest niebo.

Amos zsunął sobie swoją baseballówkę na tył głowy i spojrzał na mnie sceptycznie.

- Proszę, nie mów mi tylko, że kupiłeś to coś u Jake'a.

- No - powiedziałem, pocierając dłonią po zardzewiałej klapie.

- Ile cię to kosztowało? - zapytał Amos z ręką opartą na biodrze.

- Nie powiem. Powiem tylko tyle, że Jake udzielił mi sporego upustu i zgodził się, abym płacił mu co miesiąc przez następne dwa lata.

- Dylan - Amos przekrzywił głowę na bok - zapłaciłeś temu chłopakowi więcej niż cena, którą zaproponował?

- Amos, a skąd przyszło ci do głowy, że mógłbym zrobić coś tak głupiego?

- Po prostu odpowiedz na moje pytanie. Zajrzałem na pakę trucka.

- Zakup tego pojazdu stanowi transakcję finansową, będącą prywatną sprawą pana Powersa oraz moją.

Blue leżał na tyle, łapami zasłaniając sobie oczy.

- ...której szczegółów nie jestem władny podawać pod dyskusję.

- Dylan, jesteś głupi jak but! - Amos odwrócił się i odszedł moim podjazdem, kręcąc głową.

Wszedłem do domu, sięgnąłem po słoik masła orzechowego, a następnie znowu wyszedłem na zewnątrz, gdzie opuściłem klapę i usiadłem z Blue na pace trucka.

Gdy razem z psem opróżniliśmy słoik, wróciłem do środka i przebrałem się w swoją piżamę. Co oznaczało zdjęcie moich nowych dżinsów i rozebranie się do bokserek. Ułożyłem drewno w kominku i usiadłem, wpatrując się w płomień razem z Blue. Była to czynność, którą sobie upodobał, i coś, czemu często ostatnio się oddawaliśmy. Zahipnotyzowany płomieniami uświadomiłem sobie, że powinienem sprawdzić pocztę. Podszedłem w swoich bokserkach wzdłuż podjazdu do skrzynki pocztowej. Było zimno, ale kto miał mnie zobaczyć? Przecież to wygwizdowo. Jak powiedział ten kurier: „Egipt!”.

Otworzyłem skrzynkę, zanurzyłem rękę w ciemności i wyciągnąłem dwie koperty. Wróciłem wzdłuż podjazdu i w świetle światła na werandzie zobaczyłem, że adres zwrotny na pierwszej z nich brzmiał „Thentwhistle”. Gdy przesuwałem palcem pod skrzydłem koperty i rozerwałem ją, aby otworzyć list, włosy stanęły mi dęba na karku, a po rękach przeszły mnie dreszcze. Spodziewałem się tego, ale nie, żadną miarą nie zdołałem spłacić rachunków Maggie poza kredytem hipotecznym za farmę. Otworzyłem list, przygotowany na najgorsze.

Szanowny Panie Styks,

Jest moim obowiązkiem poinformować Pana, iż obecny stan należności za dotychczasowe oraz bieżące leczenie Pana żony, od momentu przyjęcia jej do szpitala, wynosi 227 753, 87 dolarów.

Dopiero po kilku minutach dotarła do mnie wysokość kwoty. Rozejrzałem się po farmie, spoglądając na dom Nanny, pola Papy, i uświadomiłem sobie, że będę musiał zaakceptować ich utratę. Nigdy nie byłoby mnie stać na raty takiego kredytu. Życie miało się teraz zupełnie zmienić. Czytałem dalej:

Po drugie, z wielką i niekłamaną przyjemnością informuję Pana, co następuje: administracja naszego szpitala właśnie zawiadomiła mnie, iż anonimowy darczyńca nieoczekiwanie spłacił całą należność i zażyczył sobie, aby wszystkie przyszłe roszczenia z tytułu dalszych należności kierowane były na inny niż Pański adres przez czas pobytu u nas Pani Maggie. Jeżeli ma Pan jakieś dodatkowe pytania lub jeżeli mogę okazać się w czymś pomocny, proszę o kontakt.

L poważaniem, Jason Thentwhistle

PS. Panie Styles, naprawdę przykro mi z powodu niefortunnej pory naszej poprzedniej sprzeczki i życzę Panu oraz Maggie wszystkiego najlepszego.

Potrzebowałam pół sekundy, aby zidentyfikować tego anonimowego darczyńcę. Właśnie taki był Bryce. Jego czyny zawsze mówiły głośniejszą niż jego słowa. I proszę, proszę, ten stary Thentwhistle. Może i nie był taki zły, jak sądziłem.

Drugi list był mniej oficjalny i zaadresowany do „Profesora”. Rozpoznałem charakter pisma Koy.

Drogi Profesorze,

Wyjeżdżam jutro do Spelmana. Mogę rozpocząć zajęcia w semestrze wiosennym. Nigdy nie myślałam, że będę mogła wyrwać się z tego szamba. Teraz, gdy je opuszczam, nie wydaje się tak zupełnie beznadziejne. Często umierałam w Digger. Ostatnio dowiedziałam się także, co znaczy życie. Życie lub śmierć - to tylko kwestia wyboru.

Jedno, co wiem, to że śmierć otacza Pana całego niczym koc. Dotknęła Pana straszliwa ręka, a mimo to - lub może właśnie dlatego - Pan żyje. Jest Pan najbardziej żyjącą osobą, jaką kiedykolwiek znałam. Gdy kroczy Pan, coś z wnętrza sączy się porami i krzyczy - „Ja żyję!” i „Dzisiaj nie zamierzam umrzeć!”. To elektryzuje i ludzie to czują. Wiedzą, że Pan nadchodzi, że jest za rogiem, ponieważ coś w nich budzi się, aby zetknąć się z tym, co Pan posiada.

Mogę tego wręcz dotknąć. Może to jest nadzieja, może to jest miłość, ale słowa te zawodzą. Nie zdołają opisać tego, kim Pan jest. Chciałabym porozmawiać z Pana żoną, ponieważ sądzę, że ona może wiedzieć, co to jest. Może ona posiadała tę tajemnicę - ten klucz - i wówczas ja także bym to poznała.

Mam nadzieję, że nie pogniewa się Pan, iż odwiedziłam Pana żonę zeszłej nocy. Weszłam do jej pokoju przy zgaszonym świetle - tylko przy błyskach jej bicia serca skaczących po ścianie - usiadłam obok niej, ujęłam za rękę i pozwoliłam, aby moje łzy opadały na jej palce.

Profesorze, przysięgam, tak mi dopomóż Bóg, że gdybym mogła wejść do szpitalnej sali, zdjęć swoją skórę i oddać jej siebie, zrobiłabym to. Rozebrałabym się przed samym diabłem, ale życie wygląda inaczej.

W środku czuję się bardzo źle, gdy pomyślę o tej klinice, co zrobiłam mojej młodej dziewczynce oraz co los uczynił Pana synkowi. I to nigdy nie przeminie. Zawsze będą dwa nagrobki. Ale dzisiaj, w tym miejscu i w tym czasie, ja żyję i Pan to sprawił. Nosiałam całą fiolkę pełną pastylek, ale nie zażyłam ich, ponieważ Pan wyłonił się z rogu, podszedł do mnie i tchnął we mnie życie swoim oddechem wówczas, gdy ja już nie chciałam oddychać. Chciałam jedynie je zażyć.

Profesorze, Pan o tym nie wie, ale przedstawił mnie Pan sobie samej. Życie potrzebuje ludzi, którzy stoją w rowie i kłócą się z Bogiem, ponieważ reszta z nas jest albo zbyt przerażona, albo zbyt dumna. Nie podoba mi się raczej to, co widzę w lustrze, ale zaczynam myśleć, że ta dziewczyna za okularami zasługuje na to, aby ją poznać. Może pewnego dnia je zdejmę.

Koy

Złożyłem list i wsunąłem go z powrotem do koperty, uświadamiając sobie, że nadal stoję na werandzie w bokserkach. Wszedłem do środka i usiadłem przy ogniu z Blue, gdzie przeczytałem list jeszcze pięć razy. Gdy drewno zwęgliło się na biały proszek, naciągnąłem swoje nowe buty, sięgnąłem po śpiwór i poszedłem do trucka. Uruchomiłem go, nie włączając świateł, i ruszyłem wolno w kierunku rzeki. Po zaparkowaniu nad skarpą razem z Blue wskoczyliśmy na tył wozu i zwinęliśmy się w kłębek wewnątrz śpiwora. Nie potrafiłem policzyć gwiazd. Ale to przez łzy.

Rozdział trzydziesty drugi

Wziąłem prysznic i spędziłem większość pierwszego dnia nowego roku na werandzie. Trochę myśląc. Trochę podsypiając. Trochę bujając się w fotelu. Brakowało mi noworocznej fasoli przyrządzanej przez Maggie. Nie wiem, czy brakowało mi samego dania, jego zapachu, oczekiwania oraz smaku fasoli, czy też widoku Maggie odzianej w fartuch, pokrytej mąką i bałaganiącej w kuchni. W każdym razie czegoś mi brakowało.

Może się to wydawać dziwne i było dziwne, ale przez cały dzień myślałem o Pinky. Kiedy poniosły mnie nerwy, podniosłem się z fotela, zeskoczyłem z werandy i pomyślałem, że nadszedł już czas, aby jakoś rozwiązać tę sprawę.

Chwyciłem za wiadro, napelniłem je kukurydzą i stanąłem w chlewie. Pinky chrząknęła i naparła na przeciwległą ścianę.

- W porządku, dziewczyno - powiedziałem, skrobiąc ją krawędzią wiadra - czy nie czas już, abyśmy się poznali?

Pinky zachrapała, wypróżniła się, rozmazała sobie wszystko po zadzie i ogonie i kopnęła w ścianę chlewu.

Zamknąłem bramkę, postawiłem wiadro z kukurydzą obok siebie i przykucnąłem jakieś pięć merów przed nią.

- To znaczy, no, pomyśl. Jak długo cię już karmię? Trzy lata? Cztery? Czyż nie dbałem o ciebie zawsze? Rozejrzyj się. - Wskazałem na jej ostatni miot dwunastu małych prosiąt, dopiero dwutygodniowych, wszystkich tłoczących się w walce o szansę na ssanie. - Spójrz na to wszystko, na co ci pozwalałam. To miejsce jest pełne świń, a to wszystko dlatego, że cię karmię. Jesteś jak odkurzacz w kształcie świni. Ty tylko jesz.

Poklepałem wiadro i rozsypałem przed sobą trochę ziarna kukurydzy.

- Dzisiaj nastał nowy dzień. Ty i ja zaprzyjaźnimy się. - Ponownie poklepałem wiadro. - Podejdź no więc tutaj i uściśnijmy sobie uszy albo potrzymajmy się pyskami, czy co tam ludzie i świnię robią, gdy się zaprzyjaźniają. Poskrobie cię za uszami,

Pinky chrząknęła i smarknęła siarczyście.

- Nie, to nie wystarczy - powiedziałem, ocierając sobie twarz rękawem koszuli. - Tak się nie da. Ja mówię o pełnym drapaniu po całym łbie. Smarkanie ci tego nie da. Weź się do porządnej roboty i podejdź no tutaj.

Pinky wykonała dumnie parę kroków w przód, a potem w tył, strząsając przy tym z siebie kilka ssących młodych. Były równie upačkane jak ona. Potrzebny był szlauch. A ten zapach? Okropny.

- W porządku, możesz się puszyć na całego, ale nie dostaniesz ani ziarenka tej tu oto kukurydzy, jeżeli nie podejdiesz i nie przeprosisz za tak cholernie wredne i nieładne zachowanie w stosunku do mojej osoby. - Obracałem ziarenko kukurydzy pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. - I niech ci się nie wydaje, że wskórasz coś chrząkaniem i smarkaniem mi w twarz, nie i koniec, jak mawiają moi studenci. Nie spotkamy się w pół drogi. Ty musisz przejść całą tę drogę, a ja mam na to cały dzień. A zatem gdy zgłodniejesz, ja będę kucał tu, w tym miejscu. Twój ruch.

Pinky walnęła łopatkami o ścianę chlewu, a jej nozdrza rozszerzyły się i zabłyzczały wilgocią.

- No, dawaj - trzymałem kukurydżę na dłoni.

A ta świnia pochyliła łeb i ruszyła na mnie na pełnej szybkości, strząsając ze swoich sutków sześć prosiąt i bryzgając podczas szarży błotem we wszystkie strony. Pół sekundy później całe ponad sto pięćdziesiąt kilo Pinky, z jej smarkami na czole, walnęło mnie w brzuch i rzuciło na ścianę chlewu. Moja głowa uderzyła w górną belkę bramki, pomieszczenie zawirowało i znalazłem się na plecach, spoglądając na deski w dachu.

Gdy otworzyłem oczy, znajdowałem się po szyję w świńskim łajnie. Miałem je we włosach i wydaje mi się, że w uszach. Siadając, usłyszałem kogoś przed chlewem. Podniosłem głowę, spojrzałem poprzez szczeliny w deskach i zobaczyłem Amosa, turlającego się po podłodze stodoły i trzymającego za brzuch.

- O, przestań! Nie rozśmieszaj mnie!

Jego czarna twarz zrobiła się prawie czerwona i łzy spływały mu z kącików oczu.

Usiadłem pośrodku chlewu Pinky i sięgnąłem palcami, aby ściągnąć sobie z włosów łajno i siano, a następnie przeczyściłem sobie uszy. A wewnątrz chlewu Pinky zakończyła właśnie z podniesionym ogonem swoją triumfalną paradę zwycięstwa, a potem podeszła i zaczęła wachać i lizać mnie po twarzy. Patrząc na mnie, szturchnęła mnie w nogę, wykopała sobie racicą niewielkie wgłębienie i ułożyła się w środku. Z głośnym sapnięciem położyła łeb na moim udzie i wypuściła z siebie głęboki, smarkaty oddech. Dwanaście małych prosiąt otoczyło ją następnie, a w konsekwencji także mnie, i zaczęło walkę o cycek.

Amos zebrał się już z ziemi i podniósł, podciągając o szczeble chlewu. Ocierając sobie oczy i odzyskując oddech, powiedział:

- D.S. , wiesz, że...- znowu wybuchnął śmiechem - wiesz, że siedzisz w świńskim gównie?

Spojrzałem w dół, poklepałem Pinky po łbie, uniosłem jedno z maleństw i chwyciłem jak kocię. - Ta... cóż... czystość nie zawsze tak wygląda.

Amos ponownie otarł sobie oczy. Wciąż przy tym chichotał.

- No, panie Zafajdane Gacie, gdy się już wymyjesz, a myślę, że to prawdopodobnie niezły pomysł, a może nawet i priorytet, to powiem ci, że ktoś w szpitalu chce się z tobą widzieć.

Przyszli mi do głowy księgowi, lekarze oraz inne zatwardziałe wrzody na tyłku.

- Kto? - zapytałem, marszcząc czoło. - Jeżeli chcą rozmawiać o rachunkach, to właśnie otrzymałem list od Jasona Thentwhistle'a...

Amos chwycił się za podbródek. Jego oczy spoglądały na mnie z góry, a jego zęby błyszczały perlístą bielą. A potem jego górna warga zadrżała i znowu wybuchnął śmiechem.

Moja wskazówka szybkościomierza wskazywała nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, gdy przeskoczyłem tory na przejeździe kolejowym w drodze do szpitala. Silnik zawył, gdy nagle wszystkie cztery opony oderwały się od ziemi po drugiej stronie torów.

Amos podążał za mną w swoim fordem crown victoria, migając niebieskimi światłami, trąbiąc w klakson i krzycząc do mnie przez swój megafon.

- Zwolnij, głupku!

Blue leżał rozciągnięty, skomląc na podłodze wozu i zakrywając sobie jedno oko łapą. Gdy skręciłem za róg i zacząłem wspinać się na wzniesienie, które prowadziło do przyczepy Bryce'a, ten stał u bramy, grając na dudach w stroju paradnym, na którym widniały wszystkie jego medale. Stał na baczność, z czerwoną twarzą i dał, na ile tylko było go stać, ale jechałem zbyt szybko, aby usłyszeć, co grał.

Szpital wyglądał niczym zoo, gdy tam dotarłem. Wskakiwałem po schodach, potknąłem się na ostatnim i pomknąłem jak długi trzy pokoje dalej po ładnie wypastowanej przez salową posadzce. Blue przeskoczył nade mną i zniknął na końcu korytarza w pokoju Maggie, gdzie zgromadził się zagląający do środka tłum. Zacząłem podnosić się z podłogi, ale znieruchomiałem na dźwięk, który słyszałem tylko raz w ciągu ostatnich pięciu miesięcy.

Po raz ostatni usłyszałem głos Maggie, gdy płakała i krzyczała: „Nie, o Boże! Proszę, nie!”. Lekarz zakrywał wówczas prześcieradłem mojego syna. A teraz leżałem skamieniały na podłodze, nasłuchując. Głos mówiący: „Kocham cię” tysiące razy, głos powtarzający co i rusz: „Dylan Styles!”, głos, który szeptał: „Chodźmy popływać”, przedarł się teraz z powrotem do świata i nappełnił moją duszę.

Przed chwilą żyłem w świecie, w którym pędy wistarii porastały nagrobek mojego syna, gdy ten spoczywał pod kamienną płytą; świat, w którym weterani z Wietnamu pochłaniali piwo, aby pomogło im zapomnieć ten dzień, kiedy nacierali sobie nos maścią, aby nie musieć czuć ciała, gdy zasuwali je w plastikowe worki; w świecie, w którym pozał się Boże farmer bezskutecznie próbował zmyć z siebie krew na polu kukurydzy; w świecie, w którym śnieg skrywał oblodzone tory kolejowe; w którym handlarz używanych samochodów naciągał starszą kobietę, zawyżając cenę i oprocentowanie; w którym mali chłopcy sikali do baptysterium, a kapłani puszyli się niczym pawie; w którym źli ludzie przywiązywali do drzewa niewinne dziewczęta, rozbierali je, gwałcili i pozostawiali, by zginęły; w którym studenci oszukiwali i bez przekonania gryzmolili na brudnych tablicach nikomu niepotrzebne profesorskie dyrdymały; w świecie, w którym już nie tak niewinne dziewczyny płaciły 265 dolarów za zabieg; w którym najdroższe, co kiedykolwiek miałem, leżało bez ruchu, okaleczone, samotne i umierające w prowincjonalnym szpitalu w jakiejś zapadłej dziurze w Południowej Karolinie. Ale teraz usłyszałem głos Maggie.

Rozejrzałem się i znalazłem w świecie, w którym wistaria kwitnie w grudniu; w którym szkocki dudziarz wygrywa swoje pieśni; w którym handlarz używanych samochodów otwiera drzwi samochodu, pomagając wysiąść starszej pani; w którym kapłan zanurza się razem z przerażonym dzieckiem i potem wynurza je jako czyste i pełne godności; w którym studenci mówią: „Nazwałby to oszustwem”, w którym nie tak niewinne dziewczyny noszą zawsze w kieszeni wypis z kliniki i piszą książki, które zostaną rozślawnione w telewizji; w świecie, w którym pożałowania godny profesor zanurza się w rzece, wypala swoje pole kukurydzy i wygrzewa się w świetle księżycy oraz blasku płomieni; w świecie, w którym słyszę głos mojej żony.

Teraz żyłem już w świecie, w którym umarli tańczą.

Wszedłem do pokoju mojej żony, a tam, pod oknem, promieniując blaskiem niczym słońce, leżała Maggie. Jej wielkie brązowe oczy wyszły naprzeciw moim pierwszy raz od tyłu miesięcy.

Dyszac ciężko i zmagając się z własnymi dłońmi, nie wiedziałem, co powiedzieć. Jak miałem zacząć? Czy byłem tym samym Dylanem, którego pokochała, i czy ona była tą samą Maggie? Jak głęboko sięgały blizny? Czy nadal byliśmy tacy sami? Stojąc tam w swoich nowych kowbojskich butach, wysmarowany świńskim łajnem, nie wiedziałem, kim być, zanim nie dowiem się, gdzie była ona. Potrzebowałem, aby to Maggie powiedziała mi, kim mam być - ponieważ w ten sposób dowiedziałbym się, gdzie była, a przede wszystkim, kim byliśmy.

Zamknąłem drzwi, uklęknałem przy łóżku i patrzyłem na jej spierzchnięte drżące wargi. Wsunąłem dłonie pod jej dłonie i wpatrywałem się w oczy Maggie, pragnąc ją rozpoznać i zostać rozpoznanym. Mrugnęła wolno, przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

Posłowie

Była północ, gdy usłyszeliśmy dźwięk dud. Wygrzebaliśmy się z łóżka, wciągnęliśmy na siebie dzinsy i ruszyliśmy wzdłuż linii drzew nad rzekę, trzymając się za ręce. Stojąc pod koronami dębów, obok grobu mojego syna, Bryce, udekorowany we wszystkie swoje wojskowe insygnia, z rumianymi licami, dał tak mocno, że aż żyły na jego szyi wystawały mu niczym pnącza winorośli. Znajdował się właśnie gdzieś pośrodku Itls Weil with My Soul, gdy podeszliśmy. Delikatna bryza nadciągała od strony wody i wirowała wokół nas, gdy tak staliśmy zwróceniami twarzami do rzeki. Nasze długie cienie biegły w jej kierunku i znikwały w wodzie.

Nie przerywając, Bryce przeszedł do Amazing Grace. Muzyka przenikała nas niczym poranne słońce, ciepło i blask. Z ostatnią nutą jego melodii odbitą echem od powierzchni wody i zanikającą w oddali Maggs podeszła i pocałowała go w policzek. Bryce stał wyprostowany, ze złączonymi nogami, na baczność i ze wzrokiem wbitym w horyzont. Miał na sobie zielony beret i wojskową koszulę, a jego pierś mieniła się i migotała od medali. Wszystko na nim, od beretu począwszy, poprzez koszulę, kilt na skarpetach skończywszy, było czyste, wyprasowane i włożone po raz pierwszy od dłuższego czasu. Bez słowa odwrócił się, zaczął dać i zniknął w ciemnościach niczym anioł. Gdy staliśmy tak pod baldachimem z dębów, głos dud z wolna cichł.

Maggie wsunęła swoją dłoń w moją i wzięła mnie pod rękę. Powietrze było chłodne, ale w żadnej mierze takie jak w zeszłym roku. Stałem na brzegu, gdy ona odbiegła ode mnie i wspięła się po piaszczystej skarpie. W księżycowym blasku rzuciła z siebie dzinsy, a jej sylwetka zarysowała się na tle księżyca, który utworzył wokół jej ciała aureolę i poprzeplatał jej włosy srebrem. Podziwiałem widok jak zahipnotyzowany. Oczarowany. Smukłe łydki, łagodne wgłębienie bioder, pełne gracji ramiona. Odbiła się od krawędzi skarpy i wykonała skok z ramionami rozłożonymi niczym łabędź, wpadając z pluskiem do wody tuż obok mnie. Wodne kręgi rozbiły się o mój brzuch, przyprawiając mnie z zimna o gęsią skórę. Gdy się wynurzyła, a krople ciemnej wody opadły jej z nosa i uszu, na twarzy Maggie wyrósł słodki, szelmowski uśmiešek.

Pół tuzina leśnych kaczek poderwało się ponad naszymi głowami, muskając wierzchołki cyprysów końcami skrzydeł. Sowa zahukała nisko i tajemniczo. Gdzieś dalej na północy, w górze rzeki, rozległ się pojedynczy głos psa myśliwskiego, brzmiący samotnie pośród bagien Salk. Półtora kilometra na południe od nas, ponad wieżą kościoła pastora Johna, niczym dym z komina lokomotywy wzniósł się przesywający radością i napełniony uśmiechami

śpiew. Maggie i ja płynęliśmy blisko siebie, unoszeni wolnym rytmem rzeki, gdy echo tych wszystkich głosów spłynęło na nas jak ciepły, letni deszcz. Wówczas miałem w sobie tylko jedną myśl, jedno pragnienie: Panie, błagam Cię. Pozwól mi być przy niej jeszcze przez wiele lat.

Podziękowania

Historia tej opowieści zaczęła się któregoś grudniowego dnia 1995 roku. Przejżdżałem właśnie przez jeden z tuneli na Hampton Roads w drodze do UPS, gdzie pracowałem na rannej zmianie załadunkowej. Jako że był okres świąt, musieliśmy stawić się chyba przed trzecią. Mogło być nawet jeszcze wcześniej, ale starałem się o tym nie myśleć. Studiowałem wówczas na Regent University i aby móc koncentrować się na nauce, tłumilem swoje historie tak długo, aż zaczęły się buntować i wynurzać na powierzchnię, solidnie przy tym bulgocząc. Wówczas wystarczy już tylko spać śmietankę.

Proszę pozwolić mi coś wtrącić - moje doświadczenia ze studiów są wspaniałe. Jedna latarnia za drugą zapalały się i oświetlały moją drogę. Nie zamieniłbym tego na nic. Trzech ludzi - Doug Tarpley, Michael Graves oraz Bob Schihl przyczyniło się do tego w szczególności i jestem niezmiernie zobowiązany każdemu z nich. Panowie, dziękuję za zaszczyt. Chylę przed wami czoła.

W każdym razie pamiętam, że jechałem przez ów tunel i nie mogłem już dłużej się powstrzymać. Pamiętacie ten eksperyment z podstawówki, gdy dzieciaki wylewają ocet na sodę oczyszczoną pod stożkiem z papier maché? Gdy zbliżałem się do dna tunelu, jedna scena wytrysnęła i błysnęła mi przed oczami: mężczyzna stojący w rowie, krzyczący na Boga. Wiedziałem, że był przemarznięty, samotny i u kresu sił.

Niczym Crusoe wyrzucony na brzeg, rozbitek wyczekujący swojego Piętaszka, aby pomógł mu opuścić wyspę. Powieść Umarli nie tańczą wyłoniła się w błysku tamtego wczesnego poranka lub na skutek halucynacji, co też jest możliwe. Podczas późniejszych podróży, w większości bocznymi drogami Południowej Karoliny, zobaczyłem kiedyś piękną dziewczynę i coś podpowiedziało mi, że ma na imię Maggie, przystojnego Murzyna, który wyglądał jak Mr. Muscle z odznaką szeryfa, oraz wiejski dom z dachem z zardzewiałych dachówek - taki, który dobrze znałem.

Droga od pomysłu do książki była, jak w przypadku innych debiutanckich powieści, wyboista, obfitująca w niewypały, ślepe zaułki, rwana i kręta. Owszem, pracowałem ciężko wcześniej rano, późno w nocy, ale to najmniej

istotne. Wielu pisarzy pracuje ciężko. Ja oraz ta książka jesteśmy w znacznej mierze efektem bezinteresowności innych ludzi. Ludzi, którzy dali mi szansę. Którzy we mnie uwierzyli. Bez nich nie byłoby mnie tutaj, a wy nie czytaliście tej książki.

Nie będę się rozwodził nad swoją młodością, ale muszę zacząć od podziękowań dla jednego z najznakomitszych pisarzy, jakich poznałem: Johna Dysona. John pracował w „Readers Digest” i napisał ponad 160 artykułów oraz 23 książki w swojej ponadtrzydziestoletniej karierze. Jest pisarzem nad pisarzami, prawdziwym fachowcem i mistrzem słowa. Nie wspominając już o jego umiejętnościach żeglarskich. Nie będę zanudzał was moimi historiami, ale John walenie przyczynił się do moich pierwszych prób pisarskich. Wiecie, na czym polega proces wytopu srebra, gdy podgrzewa się je i usuwa żużel? John zrobił coś takiego ze mną. Bolało, owszem. Gdzieś wewnątrz tego pieca nauczył mnie, na czym polega dobre pisanie, a co może ważniejsze, jak brzmi. Kiedyś na początku naszej wspólnej pracy powiedział mi: „Charles, redaktor jest tym, który powraca na pole bitwy i dobija rannych”. Miał rację i był wierny czystości formy, przybywał więc nie raz i nie dwa, aby grzać ze swojej dwururki. Ale w moim przypadku nie zawsze było to takie złe. Jak karzeł biegający pomiędzy gigantami stałem jedną nogą dokładnie na jego szerokim ramieniu. John, dzięki za udostępnienie widoku, za zgodę, abym szeptał ci do ucha i zadawał stale te same irytujące pytania, i za to, że nie strzepnąłeś mnie jak paprocha.

Podczas gdy jedną nogą opieram się na ramieniu Johna, drugą balansuję na wysokich barkach Davisa Bunna. Jakies dwa lata temu odchodziłem od zmysłów. Skończyłem pisanie pewnej książki, kupiłem Writer's Guide, jak powinni robić wszyscy pisarze, i wydałem paręset dolarów na znaczki pocztowe i rękopisy, wysyłając je do tylu agentów i wydawców, do ilu się dało. Wkrótce moja skrzynka na listy zaczęła się wypełniać najmiłszymi odmownymi listami, jakie kiedykolwiek otrzymałem. Każdy z nich był tak miły i tak nieodwołalnie odmowny, że przez około osiem miesięcy zrezygnowałem z otwierania skrzynki na listy. W tym czasie Christy wchodziła do pokoju, kładła listy na moje biurko, całowała mnie w policzek i mówiła: „Dla mnie nie jesteś z odrzutu”. Niewielkie było to jednak pocieszenie.

W każdym razie Davis, który napisał ponad sześćdziesiąt powieści, brał udział w przyjęciu w Waszyngtonie i został przyparty do muru przez mojego, mającego dobre zamiary, ale nieprzyjmującego odmowy, dziadka. Rozglądał się za wyjściem, ale będąc osaczony przez moich bezlitośnie dopytujących się dziadków, Davis ustąpił i złamał swoją zasadę, by nigdy nie czytać pierwszej powieści. Kilka dni później zaprosił mnie na lunch, na którym poczęstował mnie

kanapką i wykonał dwa szybkie telefony, przedstawiając jako swojego przyjaciela. Czego bardzo potrzebowałem. Zanim dotarłem do domu, zdążyłem już odebrać dwa e-maile oraz wiadomość na automatycznej sekretarce z prośbą o udostępnienie rękopisu. Tydzień później miałem agenta. A sześć tygodni później - wydawcę.

Owszem, nie zdobyłbym tego wszystkiego, gdyby praca sama się nie broniła, ale Davis pomógł otworzyć drzwi. Te, w które waliłem głową. Może zauważył płaskie miejsce na moim czole, które przypomniało mu o takim samym u niego. Davis to prawdziwy zawodowiec, który wiele mnie nauczył o swoim biznesie, jak go prowadzić i co robić, gdy nadchodzą burze - bo nadchodzą. Davis, dziękuję za tę perspektywę, za rozmowy, przyjaźń i za rozpędzanie chmur.

Davis otworzył przede mną drzwi prawdziwego męża stanu, jednego z prawdziwych patriarchów tego biznesu, Sealyego Yatesa. Sealy przedstawił mnie młodemu wilkowi jego biura o nazwisku Chris Ferebee. Chris przeczytał moją powieść w ciągu weekendu i zadzwonił do mnie w poniedziałek wieczorem. „Charles - rzucił tylko - chciałbym pomóc ci wydać tę książkę”.

Minęło parę minut, zanim doszedłem do siebie po tym telefonie. Nie jestem pewien, czy podobnie było z moimi sąsiadami. Chris zasugerował mi kilka rzeczy, ja wprowadziłem parę poprawek i sześć tygodni później Thomas Nelson zaoferował się wydać moją książkę. Chris, jesteś znakomitym doradcą, tarczą, sojusznikiem i przyjacielem.

Chris wysłał mój rękopis redaktorce Nelsona o nazwisku Jenny Baumgartner. Jenny przeczytała go i zaproponowała, że zafunduje mi śniadanie w barze z naleśnikami w Nashville, w którym podają owe fantastyczne naleśniki gryczane. Ucieliśmy sobie pogawędkę i niedługo później Nelson kupił moją książkę, a Jenny została moim redaktorem, a może - co ważniejsze - moim adwokatem u Nelsona. Jenny ma świetne oko do beletrystyki, niezwykłą zdolność robienia z czegoś dobrego czegoś jeszcze lepszego oraz wyjątkową zdolność przekazywania tego wszystkiego w takiej formie, że nawet pisarz może to zrozumieć. Wdzięczny jestem także zespołowi wokół niej: Jonathanowi Merkhowi, Mikebwi Hyattowi i Allenowi Arnoldowi. Reszcie zespołu Nelsona oraz wielu osobom, których nigdy nie miałem okazji poznać, a które pracowały tak bezinteresownie, począwszy od grafików, na sprzedawcach skończywszy. Proszę, przyjmijcie moje podziękowania.

Przez cały ten ośmioletni okres jazdy na roller coasterze moja rodzina oraz przyjaciele w domu pomagali mi zachować mój punkt widzenia i unikać lekarstw oraz trzymać się daleko od pomieszczeń bez klamek.

Nie rozczulając się zanedo, chciałbym podziękować: Johnny'emu oraz Dave'owi. Prawdziwym braciom. Gdy poobcierałem sobie kolana, wy, chłopaki - w różnym czasie i na różne sposoby - podnosiliście mnie z ziemi, otrzepywaliście i pomagaliście z powrotem zapiąć sobie kask. Moim teściom, Alice i O'Nealowi. Dziękuję wam za wasze wsparcie oraz za to, że się mnie nie wyparliście, gdy mówiłem: „Pracuję nad książką”. Moim siostrzom, Grace, Annie oraz Berry. Wszystkie czytałyście moje rzeczy i mówiłyście mi, że nie są złe, nawet gdy były. Dzięki za wasze kłamstwa. Tak trzymać. Moim dziadkom, TC i Granny. Gdy zapytaliście, czy możecie przeczytać moją książkę, trochę się obawiałem, że uznacie ją za niemądrą i że powiecie: „I po to cała ta edukacja?”. Ale tak się nie stało, a co więcej, zostaliście moimi najwierniejszymi fanami. Dzięki za osaczenie Davisa. Mamo i tato. Dzięki za wasze wyrzeczenia, za wzajemną miłość do siebie i za naukę, że ważna jest pasja, i za to, że mogłem ją realizować.

Naszym chłopakom - Charliemu, Johnowi T. i Rivesowi. Dzięki za waszą nadobecność i za zawieszanie się na moich nogach, że co chwila prosiliście mnie, abyśmy pograli w baseball, poszli na ryby, zbudowali coś z klocków lego albo posiłowali się. Potrzebowałem tego. Ciągłe potrzebuję. Zawsze będę potrzebował. A co najważniejsze, dzięki za modlitwę za moje książki. Oto dowód, że Bóg naprawdę wysłuchuje nas, i myślę, że wasza trójka ma z tym sporo wspólnego.

Christy. Fju, fju! Jestem wykończony. A ty? Gotowa na wakacje? Zasłużyłaś na nie. Gdziekolwiek, jak tylko spłacimy naszą kartę kredytową. Jak to się stało, że nie odeszłaś od zmysłów przez te dziesięć lat naszego małżeństwa, w czasie moich studiów, z trójką chłopaków i moimi marzeniami - pozostaje tajemnicą. Zdumiewasz mnie. Ludzie pytają mnie, skąd wzięła się Maggie, ale nie muszę się rozglądać zbyt daleko. Chodziła wokół mojego domu, kopała w ogródku, karmiła moich chłopaków, szeptała mi do ucha, trzymała za rękę i opierała sobie nogi o moje plecy. Dziękuję, że we mnie wierzyłaś i dzieliłaś moje nadzieje, ponieważ wiem, że było wiele takich dni w ciągu tego czasu, gdy trudno było mnie kochać. A to mało powiedziane.

Panie, cóż mógłbym powiedzieć, czego jeszcze nie słyszałaś? Dziękuję Ci za to wszystko, za ludzi, których wymieniłem, i za to, że wytrzymujesz z takim facetem jak ja. Mój kielich jest przeobfity.

Nota o autorze

Charles Martin uzyskał tytuł licencjata filologii angielskiej na Florida State University oraz magistra dziennikarstwa i doktorat z komunikacji społecznej na Regent University. Pracował przez rok na Hampton University jako wykładowca kontraktowy na Wydziale Anglistyki oraz jako doktorant na Regent University. W 1999 roku porzucił swoją karierę w biznesie na rzecz pisarstwa. Razem z żoną Christy mieszka niedaleko St. John's River w Jacksonville na Florydzie z trójką synów: Charliem, Johnem T. oraz Rivesem. Gdy nie pisze, łowi ryby z chłopcami, pracuje w ogródku z Christy, uczy dzieci gry w minibaseball i klęczy przy łóżku synów przed ich zaśnięciem. W chwili obecnej chłopcy modlą się o dwie rzeczy: o łódź, „na której zmieści się lodówka, trzy lub cztery osoby oraz pięć lub sześć wędek”, ponieważ nie chcą wyłapywać ryb z zatoczki u sąsiadów, oraz o „książkę tatusia”.